

ANASTAZJA NOWYCH

SENSEI  
PRAWDZIWIY  
SZAMBALI



AllatRa

Kijów 2015

Opowieść Młodości o jej spotkaniu z **Mądrością**, która na pierwszy rzut oka wydaje się naiwną. Ale to jest tylko pospolita opinia — tylko iluzoryczna przeszkoda, wprawna pułapka, przygotowana przez nasze Ego na drodze do doskonałości **Ducha**. Ten, kto pokona tę przeszkodę, **odkryje** coś znacznie ważniejszego, niż mógłby się spodziewać. Chwała Zwycięzcy, ponieważ **Wiedza** będzie mu nagrodą, ponieważ **tajne** stanie się jawne.

Książka została napisana z wykorzystaniem zapisów z pamiętnika byłej dziesięcioklasistki, w którym opisała wydarzenia z lat 1990–1991.



Tłumaczenie z rosyjskiego oryginału  
Sensei. Prawdziwy Szambali

Tłumaczenie: Alina Mecheda  
Okładka: Anastazja Nowych  
Korekta tekstu: Alina Mecheda  
Wydano przez Wydawnictwo IBIS  
wydanie 10

ISBN 978-80-904796-9-2



## Prolog

Cicha, ciepła letnia noc już dawno i w pełni nabrała mocy, zmieniawszy niespokojny dzień z całą jego uciążliwością i drobnostkową próżnością. Jej ciemna zasłona ukryła i uspokoiła wszystko co żyje, powolnie zanurzając go w głęboki sen. Jej czary nie miały żadnego wpływu jedynie na zakochane serca, dla których wieczność trwa jak mgnienie. Na morskim brzegu w bezludnym miejscu, samotnie błyszczało ognisko, rzucając dziwne i tajemnicze cienie. Ale obok niego siedziało tylko jakieś bezkształtne stworzenie. Świadkiem jego obecności był tylko bezkresny Wszechświat, z błyszczącym światłem gwiazd, oraz Księżyc, zapraszający w drogę do wieczności swoją srebrzysto-błyszczącą jak wodna gładź ścieżką. Wokół była taka cisza, że nawet morze nie ośmielało się niepokoić ją swoim lekkim szeptem fal. Wydawało się, że czas na zawsze zatrzymał się, tracąc cały swój sens. To była chwila wieczności.

Stworzenie ożywiło się, wydając dziwne dźwięki i powoli rozdzieliło się na dwie krzątające się części. W powietrzu rozległy się głosy:

— Boże, jakże bywa dobrze na tym grzesznym świecie.

— Wcale nie chce mi się odchodzić.

— Ja też tak myślę.

Płomień ogniska jaskrawie płonął, zagorzale pragnąc wywalczyć u nocy cząsteczkę przestrzeni. Jego jasne odblaski raz pochłaniała ciemność, a raz wyrwały się daleko do przodu, oświecając przyrodę swoim naturalnym błyskiem.

— Więc jaką będzie twoja ostateczna decyzja, Rigden?

— Wnioski moje są niezadowolające. Ale jeżeli jednak poczekaś z podjęciem decyzji... Chyba warto jeszcze się zastanowić.

— Nie wszystko jest tak źle. Skoro podjąłeś decyzję zostać, daj im jeszcze jedną szansę i pozwól mi...

W tej chwili niewiadomo skąd ponad morzem przeleciał lekki wiaterek, ożywiając księżycową ścieżkę. Ścieżka bajecznie zaiskrzyła się swoimi srebrzystymi odcieniami, wabiąc do tajemniczej dali. Przyroda niby umyślnie drażniła stworzenie, z jednej strony otaczając go swoją wiecznością, a z drugiej— naturalnym ziemskim pięknem. Pewnie w tym nienatrętnym porywie kryła się jakaś tajemnica, która była znana tylko jej.



**N**ie jest tajemnicą to, że Los prowadzi człowieka tylko znaną Mu drogą trudnych wzajemnych związków, zjawisk przyrody, zmyślnych splotów ścieżek, osobnych przypadkowości i zbieżności.

Cały ten splot prowadzi w końcu do konkretnego wydarzenia, do decydującego skrzyżowania jego drogi życiowej. I w tej sytuacji człowiek ma odwagę spodziewać się, że ma szansę do wyboru. Ale ta sama nieubłagana siła Losu, przy pomocy logicznego splotu okoliczności, niedostrzegalnie pomaga człowiekowi dokonać wyboru. Przecież szereg okoliczności, według zamiaru Losu, nieodmiennie powinien zbliżyć ze sobą absolutnie nieznanymi ludźmi, którzy, przebywając w swoim małym świecie, nawet się tego nie domyślają. Lecz takie zbliżenie zmusi ich do wspólnego działania w poszukiwaniu tego samego celu, stwarzając przy tym sporo istotnych okoliczności w życiu innych ludzi.

Taki los nie ominął również i mnie. Urodziłam się na dalekiej rosyjskiej prowincji. Moi rodzice

byli wojskowymi, rzetelnie i uczciwie wykonywali swój obowiązek. Również ich dowódcy, rzetelnie i uczciwie wykonując swój obowiązek, wysyłali ich do różnych zakątków ówczesnej naszej Ojczyzny — Związku Radzieckiego. W końcu nasza rodzina znalazła się na Ukrainie, „krajnie kwitnących kasztanów”, gdzie urządziliśmy się w pachnącym różami kraju górników.

Muszę powiedzieć, że jestem osobą towarzyską, mającą różne zainteresowania. Zawsze łatwo nawiązywałam kontakt i miałam wspólny język z poznanymi ludźmi. Więc na nowym miejscu dość szybko stawałam się częścią zespołu. Razem uczęszczaliśmy do różnych kółek, w tym szczególnie do kółka tańców salonowych, do kina, kawiarni, teatrów. Na ogół, życie toczyło się swoją drogą.

Wszystko było znakomicie, aż... do pewnej chwili. Przecież Los ma swoje plany. Nieoczekiwanie dla moich bliskich, a tym bardziej dla mnie, w samym rozkwicie wieku, życie rzuciło mnie w odmet trudnych prób, że prawie nie zginęłam z całkowitej beznadziei i zwierzęcego strachu przed śmiercią.



a początku roku szkolnego maturalnej klasy zaczęłam odczuwać częste bóle głowy, mocne i długie. Rodzice zaprowadzili mnie na badania lekarskie.

Wyniki tego badania lekarze omawiali z rodzicami sam na sam. To mnie bardzo zaniepokoiło. I wątpliwości, jedna po drugiej zaczęły dręczyć moją duszę. Jednak najgorszą była całkowita nieświadomość.

Te okoliczności budziły we mnie wiele obaw aż do chwili kiedy przypadkowo podsłuchałam rozmowę mojej matki z profesorem:

— ... przecież musi być jakieś wyjście?

— Oczywiście, zawsze można znaleźć wyjście. Ale niech Pani zrozumie, że ten niewielki guz może wkrótce zacząć rosnąć. I to jest bardzo niebezpieczne. Należało by zrobić operację póki jeszcze nie jest za późno...Przy okazji, w Moskwie jest bardzo dobra klinika, która zajmuje się takimi problemami i ma świetną kadrę fachowców. Ale tam trudno dostać się. Już jest kolejka na kilka lat. A pani dziewczyna

potrzebuje pomocy jak najszybciej. W przeciwnym wypadku... trudno jest przewidzieć rozwój choroby, szczególnie jeżeli jest to guz mózgu. Niekiedy człowiek może żyć rok, innym razem dłużej.... Ale w każdym razie, nie warto jest rezygnować. Może pani przyjaciele pomogą pani w znalezieniu dojścia do kliniki...

Pozostałe słowa przeleciały mi obok uszu. W głowie huczało: «Jeden rok... i koniec!» Wokół zapanowała beznadziejność i pustka. Cała szpitalna bieżanina zaczęła się powoli oddalać, ustępując miejsca nawale myśli: «Umrzeć w samym rozkwicie wieku! Ale przecież tak naprawdę jeszcze nie żyłam.... Dlaczego właśnie ja? Co złego uczyniłam w tym życiu?!» Był to krzyk rozpaczony. Łzy strumieniami lały się po policzkach. Zrobiło mi się strasznie duszno w tej szpitalnej krypcie, więc pobiegłam w kierunku wyjścia. A w uszach słyszałam głos profesora jak groźne echo: «Jeden rok! Jeden rok... Jeden!»

Świeże powietrze uderzyło mnie w twarz swoim upajającym aromatem. Wkrótce doszłam do siebie i obejrzałam się. Po deszczu drzewa z błyszczącymi brylantowymi wisiorkami wyglądały bajecznie. Wszystko wokół lśniło czystością i świeżością. Ciepło płynące od ziemi okrywało asfalt lekką mgiełką, jakby wszystko, co się działo, było nierzeczywiste. O Boże, jakie piękne było to wszystko! To piękno przyrody, której wcześniej nie dostrzegałam, przybrało dla mnie jakiegoś nowego sensu, nowego uroku. Wszystkie problemy, które dręczyły mnie każdego dnia,



wydawały się teraz nieistotnymi. Patrząc z goryczą i smutkiem na jaskrawe słońce, świeżą zielen, słuchając wesołego szczebiotu ptaków, pomyślałam: «Zmarnowałam całe swoje życie. Jak żal, że nie zdażyłam zrobić w ciągu mojego całego życia nic pożytecznego!» Wszystkie wcześniejsze winy, obrazy, plotki, próżność — wszystko straciło sens. W tej chwili wszyscy ludzie wydawali mi się szczęściarzami, a ja — więźniem pałacu Śmierci.

Przez jakiś czas przebywałam w strasznej depresji. Przestałam interesować się nauką, bytem, wszystkim co mnie interesowało przed tym. Unikałam ostrożnych pytań moich rodziców, zamykając się w swoim pokoju i obojętnie przerzucając kartki książek i czasopism. Chciałam się wypłakać, jak się mówi, «na czyimś ramieniu», opowiedzieć komuś o tym, jak bardzo boję się umierać, kiedy jeszcze nie zaczęłam żyć. Najbliższą mi osobą, oczywiście była moja mama. Ale czyje macierzyńskie serce wytrzyma taką dławiącą duszę spowiedź własnego dziecka. Pewnego razu, siedząc przy stole sam na sam ze swoimi smutnymi myślami, wzięłam do ręki długopis i opisałam swoje doznania na skrawku zeszytowego papieru. Poczułam się lepiej. Wtedy postanowiłam prowadzić pamiętnik. Wkrótce stał się on moim najlepszym «przyjacielem», który cierpliwie znosił wszystkie moje myśli o tak niezwykłym moim losie.

Jedyne co odrywało mnie od smutnych myśli — to kontakty z moimi przyjaciółmi. Oczy-

wiecie nie mówiłam im nic o mojej chorobie. Po prostu nie chciałam widzieć smutku również i na ich twarzach i w ich pełnych współczucia oczach tak, jak w oczach moich rodziców. To by zupełnie mnie zabiło. Bawiła mnie jednak ich beztroska gadanina, omawianie pewnych problemów, które wydawały mi się w tym życiu całkowitym absurdem. Wtedy na wszystko patrzyłam jedynie przez pryzmat pewnej nowej wizji, z zawiścią osoby, która w samym rozkwicie swojej młodości powinna opuścić ten tajemniczy, niepoznany świat. Na pewno coś się we mnie zmieniło, nadłamało się.





**P**ewnego dnia udało się wyciągnąć mnie z dobrowolnego domowego uwięzienia do kina, i ze zdziwieniem doszłam do wniosku, że również filmy

postrzegam w zupełnie inny sposób. Wtedy w modę wchodziły orientalne sztuki walki.

W nowych kawiarniach za rubel albo trzy ruble kręcono wideo z popularnymi wtedy filmami akcji. Kunszt sportowców, niezwykle przypadki ich samodzielnego uzdrowienia, siła i wola ducha zaintrygowały mnie. Wiedziałam, że to tylko gra aktorów. Jednak nie opuszczała mnie myśl o tym, że treść wielu filmów opiera się na realnych nadzwyczajnych faktach z historii ludzkości. Zachęciło mnie to do poszukiwania artykułów oraz książek i czasopism o tej tematyce. To moje oczywiste zainteresowanie fenomenami przerzuciło się również na moich przyjaciół. Z zapalem myśliwych zaczęli w miarę swoich możliwości zdobywać «deficytową» literaturę.

Zachwycona niezwykłymi zdolnościami tych ludzi oraz głębią poznania przez nich tego świata

obudziło we mnie jakąś wewnętrzną tajemną siłę ... nadziei, niewyraźne przeczucie, że śmierć mojego ciała — to jeszcze **nie koniec całej mnie!** To olśnienie na tyle zachwyciło mnie, nappełniło mnie takim wewnętrznym entuzjazmem, że nie tylko szybko zaczęłam wychodzić z depresji, ale również odczułam jakiś nowy smak życia. Choć mój rozum, tak jak i wcześniej, odczuwał nieuniknioną śmierć, ponieważ mało komu udawało się pokonać raka. Ta niepokieszająca diagnoza już nie gnębiła mnie, nie wzbudzała strachu. Ale coś we mnie, po prostu, w to nie chciało wierzyć. I co ciekawe, coś we mnie zaczęło przeciwstawiać się moim ciężkim ciemnym myślom.

To nowe uczucie zmusiło mnie do ponownego przeanalizowania mojego poprzedniego życia i tego, jak ja go zmarnowałam. Nie uczyniłam w nim nic złego. Ależ oczywiście, każdego dnia, w każdej chwili broniłam swojego własnego egoizmu, usprawiedliwiałam własne lenistwo, dążyłam nie do poznania samej siebie, ale do własnego prestiżu w społeczeństwie zdobywanego przez własną wiedzę. Innymi słowy, w całym moim życiu, nauce, pobycie ukrywałam jedyną myśl: «Ja, o mnie i tylko dla mnie». I właśnie uświadomienie tego, że temu małemu i ciasnemu imperium swojego «ja» nadchodzi koniec, czyli prawdziwa śmierć, wzbudziło we mnie ten zwierzęcy lęk, strach, rozpacz i beznadziejność, które tak ciężko przeżywałam w ciągu ubiegłych tygodni. Uświadomiłam sobie, że nie sama śmierć jest straszna, a głupie czekanie na nią. Przecież tak

naprawdę czekasz nie na samą śmierć cielesną, a na krach twojego egoistycznego świata, budowie którego poświęcasz całe swoje życie.

Po uświadomieniu tego doszłam do wniosku, że moje dotychczasowe życie i to co w nim robiłam, jest jak domek z piasku na brzegu morza, i każda z fal w jedną sekundę może całkowicie zmyć wszystkie moje starania. **I nie pozostanie nic**, tylko pustka, która istniała dotąd. Wydało mi się, że większość ludzi traci życie na budowie takich samych domków z piasku, zamków, pałaców, budując ich bliżej lub dalej od przypływających fal. Ale wynik ich życia jest zawsze ten sam — w pewnej chwili zostanie ono zniszczone falą czasu. Ale są również ludzie, którzy siedzą na brzegu i po prostu beczynninie obserwują tę ludzką iluzję. Może nawet i nie obserwują, a patrzą w dal, ponad nią, na coś wieczne i trwałe. Ciekawe, o czym oni myślą, jaki jest ich wewnętrzny świat? Przecież skoro zrozumieli całą marność takiego życia, poznali coś naprawdę ważnego, wartego tego, żeby poświęcić temu całe swoje życie?!

Te pytania zaczęły niepokoić mnie co raz bardziej. Ale nie mogłam znaleźć odpowiedzi na nie. Wtedy właśnie sięgnęłam do źródeł głównych światowych religii. Ale tak wielcy ludzie, jak Budda, Jezus, Mahomet byli tymi ludźmi, którzy obserwowali z brzegu. Ale w jaki sposób osiągnęli tę zdolność? Wszędzie piszą: przy pomocy koncentracji, wiary, modlitwy. Ale jak? Wyjaśnienia ich wyznawców są tak skompliko-

wane, niezrozumiałe i ukryte, że mój mózg po prostu «zasypiał», kiedy próbowałam przeczytać te same wiersze po raz dziesiąty. Same teorie tych geniuszy ludzkości były ciekawe, ale odzwierciedlały tylko ogólnoludzkie prawdy. Może sens ich teorii jest ukryty pomiędzy wierszami? Ale, niestety jestem tylko człowiekiem zwykłym, a nie «wtajemniczonym» i nie mogłam objąć tego wszystkiego rozumem. Chociaż czytanie niektórych wierszy wzbudzało we mnie jakąś wewnętrzną treść.

Następnie powstało we mnie kolejne pytanie. Czemu na świecie jest tak wielu wierzących ludzi? Jeżeli wierzą, to znaczy oni spodziewają się czegoś w przyszłości. We wszystkich światowych religiach pisze się o istnieniu życia po śmierci. Jeżeli wyrzucimy zbędne łuski legend i mitów, możemy dojść do wniosku, że istnieje to Coś, ale co? Jak owo coś wygląda? W czym się przejawia?

Spróbowałam dogłębnie poznać problemy religii, ale cały czas się gubiłam w nich. Jedyne, co zrozumiałam, to to, że wszystkie światowe religie łączy jedno i to samo - siła wiary ludzi, ich dążenie do poznania Boga i samych siebie. I tu ze zdumieniem zdałam sobie sprawę z tego, że ludzie-fenomeni, którzy już osiągnęli jakieś rezultaty na swojej drodze, również poszukiwali odpowiedzi na te same pytania, przy tym wielu z nich nie kojarzyło siebie samych z jakąś religią. Po prostu byli mądrymi i uzdolnionymi osobami.

Tak więc o co chodzi? Czemu takie zjawia-

sko jest charakterystyczne dla natury ludzkiej? Co za nim stoi? Miałam mnóstwo pytań i mizerny wynik. To pobudzało mnie do dalszych poszukiwań.

Krok po kroku moje normalne życie ustabilizowało się. I co więcej, opanowała mnie jakaś niebywała odwaga. Przecież nie miałam w tej sytuacji nic do stracenia. Więc musiałam pilnie realizować wszystkie swoje pragnienia. «Jeżeli maksymalnie wykorzystam każdy swój dzień, te dni zastąpią mi całe życie», — te słowa stały się moim hasłem, i zaczęłam szukać odpowiedniej literatury, uprawiać sporty, wypełniać luki w wykształceniu, uczęszczać na różne kółka. Wszystkie moje dni były całkowicie wypełnione i po prostu nie miałam czasu na złe myśli. Choć ataki bólu głowy przypominały mi o tym strasznym, ale mimo to wciąż kontynuowałam z zachłannością poszukiwanie i poznawanie nowych rzeczy, tego, o czym nie wiedziałam i czego nie umiałam wcześniej.

Podczas gdy rodzice szukali jakiegoś dojścia do moskiewskiej kliniki, moje zachłanne dążenie doprowadziły mnie do zajęć z kung-fu. Nasza grupa nie przepuszczała żadnego nowego filmu o swoich orientalnych idolach sztuk walki, śledząc z zapartym tchem potrójne salta z, obrotami, podcięciami i skokami sportowców. A kiedy w naszym mieście rozpoczęły swoją działalność szkoły gimnastyki wuszu, w których uczniowie w rzeczywistości zajmowali się kung-fu, naszą grupą doznała jakiegoś bojowego zapału. Zaczę-

liśmy odwiedzać szkoły jedna po drugiej. Ale w jednej ze szkół nauczyciel był szalony i ignorancki; w drugiej uważał siebie prawie za Brusa Li, chociaż uczył zwykłych walk mieszanych z boksem; a w jeszcze innej szkole w ogóle był oszustem i pijakiem. Szukaliśmy takiego Mistrza, którego obraz już się ukształtował w nas pod wpływem filmów o wschodnich sztukach walki. Jak się mówi, kto szuka, ten znajduje. Ale to, co znaleźliśmy, było dla nas nawet bardziej nieoczekiwanym, ponieważ przewyższał wszystkie nasze ideały i marzenia.







**P**o bezskutecznym obejściu kilku miejsc, poradzili nam odwiedzić szkołę na skraju miasta, obok jakiejś przedhistorycznej kopalni. Nie wierzyliśmy w to, że znajdziemy coś lepszego niż w centrum, ale coś nas tam ciągnęło. Spędziwszy pół dnia na poszukiwaniach i rozpytawszy z tuzin miejscowych mieszkańców, wreszcie trafiiliśmy do punktu docelowego.

— No tak — niegłówno powiedziała moja koleżanka Tatiana — ja już się boje tego miejsca. Jeżeli jeszcze będziemy tu ćwiczyć, umrę ze strachu. Ciarki mi przechodzą po grzbiecie.

Też odczuwałam lekkie ciarki, aczkolwiek pogoda była raczej ciepła. Podchodząc do obszarpanego, zapleśniałego od czasu budynku nawet Sławek, który cały czas milczał, w końcu nie wytrzymał:

— To ci dopiero! Uważam, że tracimy czas. Czy w tej dziurze ktoś jeszcze ćwiczy? Raczej, tylko myszy w nocy.

Andrzej, którego twarz i figura trochę przypo-

minaly rosyjski projekt Szwarcenegera, podsumował wymownie:

— Uważa się, że forma odpowiada treści. Więc upewnimy się w tym po raz kolejny.

I pociągnąwszy za klamkę starych drzwi, usłyszał pod swoim adresem drwiące słówka, które ze smutkiem powiedział Kostja:

— Jak ty możesz tyle wiedzieć  
Siedząc w biurze cały czas.

Z głośnym śmiechem wlecieliśmy do hali sportowej. Ale na zmianę naszej wesołości przyszło nieme zdziwienie, ponieważ w sali było około sześćdziesięciu osób.

— Oho — zagwizdał Sławek. — to ci dopiero.

Już nie czułam słów podziwu swoich przyjaciół. Niemal od razu moje spojrzenie zatrzymało się na jednej jasnowłosej osobie. Chociaż ten blondyn niczym się nie wyróżniał na tle innych stojących w tłumie, coś w tej osobie mnie podniecało. «Boże, ale znajoma twarz — pomyślałam, jego postać przypominała mi kogoś, kogo już od dawna dobrze znałam. Ale kogo? Grzebiąc się w pamięci, przypominałam sobie wszystkich moich znajomych w licznych miastach, całą moją liczną rodzinę i wszystkich przyjaciół moich krewnych. Ale to było na próżno. Cały ten strumień rozpaczliwych namysłów przerwał melodyjny głos Senseja którym okazał się ten zagadkowy młody mężczyzna.

— No co, nowicjusze — z uśmiechem powiedział — stoicie tutaj jak dziewczyna po pierwszym pocałunku. U nas tu ćwiczą albo odchodzą. Wybierajcie.

Ten głos!... Mojemu zdziwieniu nie było końca. Już go gdzieś na pewno słyszałam. Ale gdzie i kiedy?

Nasza mała grupa szybko ruszyła w kierunku szatni. Tymczasem moje natarczywe myśli wciąż żądały satysfakcji tej próżnej ciekawości. Przygotowując się do zajęć próbowałam spytać innych uczniów o Mistrza i dowiedzieć się skąd pochodzi. Ale okazało się, że nikt o nim nic nie wie. To mnie nadzwyczaj zaintrygowało.

W przeciwieństwie do marudnej Tatiany, szybko włożyłam białe kimono i ruszyłam do hali sportowej spodziewając się znaleźć odpowiedzi na moje pytania. Ale zamiast tego powstawały wciąż nowe. Przede wszystkim zdziwiło mnie to, że wśród uczniów byli ludzie w bardzo różnym wieku, od czternastu do pięćdziesięciu lat, i to było bardzo dziwne. Nigdy w żadnej innej sekcji nic podobnego nie widziałam. Pomyślałam: «Co może łączyć tak różnych ludzi pod względem sposobu myślenia, wieku i doświadczenia? Jeżeli tylko Kunszt walk, to trzeba by było być bardzo dobrym mistrzem i psychologiem, żeby zainteresować i pochłonąć tylu różnych ludzi?»

Kiedy rozpoczął się trening, druga rzecz, która mnie zdziwiła — to idealna dyscyplina i przyjazna atmosfera, która nas otaczała. Nikt tutaj nikogo nie zmuszał do robienia czegokolwiek, ale nikt nie próbował naruszać dyscypliny. Każdy rzeczywiście starał się ćwiczyć jak mógł, co było zdumiewające w porównaniu z naszymi dotychczasowymi doświadczeniami. Obserwu-

jąc taką masową pracę nad własnymi ciałami, nasza grupa, sapiąc, stękając i pocąc się starała się pokazać siebie z jak najlepszej strony. Ale nawet podczas tych ćwiczeń (męczących dla moich, jak się okazało, słabo trenowanych kończyn), nie opuszczała mnie myśl: «Jak to jest możliwe stworzenie takiej dyscypliny bez, jak się mówi, polityki kija i marchewki? Czego mogli się dowiedzieć i poznać tutaj ci ludzie, żeby potem ćwiczyć i napinać swoje mięśnie? I czemu milczą podczas ćwiczenia?! — zakrzeczał wreszcie mój wzburzony kobiecy rozum. — Choć by słowo ktoś powiedział!» Dla mojej ciekawej i gadatliwej osoby to była prawdziwa katastrofa. Przecież chciałam przynajmniej coś wyjaśnić dla siebie podczas tego treningu.

Po rozgrzewce rozległy się trzy klaśnięcia senpaja (starszego ucznia). Był to swojego rodzaju sygnał. Uczniowie utworzyli krąg, klękając na podłodze. Kiedy wszyscy usiedli, do centrum tego kręgu wszedł Mistrz. Zaczął nam opowiadać historię stylu «Tygrysa» jak gdyby opowiadał o tym nie tłumowi głupich uczniów, a swoim dobrym, starym znajomym. Po raz pierwszy dowiedziałam się tego, że styl «Tygrysa» — jest jedynym stylem, który zachował swój bojowy duch i nie doznał żadnych zmian. Powstał w Chinach. Jeden z mistrzów klasztoru Szaolin, obserwując zachowanie tygrysów, stworzył własny styl, którego cechą była agresywność i niebezpieczeństwo. Styl ten nie miał podstaw sportowych. Jego duch bojowy przekazuje się od Mistrza do

uczni, doprowadzając ucznia do takiego stanu świadomości, przy którym zaczyna myśleć i działać jak tygrys. Pod względem mądrości ten styl ustępuje tylko stylowi Smoka. — Ale teoria to teoria, czas trochę się rozgrzać — powiedział Sensei.

Zaprosił na tatami trzech bojowników, mocnych i wysokich chłopców o sportowej posturze i zademontrował kilka chwytów w tym stylu wykorzystywanych przy obronie i ataku. Najpierw zademontrował je w takim tempie, w którym, według jego, nanosi się prawdziwe uderzenia. Mówiąc uczciwie, również jak i liczni obecni, nawet nie zauważyłam, kiedy Mistrz uderzył. Wszystko co zdołały zauważyć moje oczy — to to, że Sensei przeszedł obok tych uczniów i w mgnieniu oka machnął rękoma. Nawet nie zauważyłam kiedy ci chłopcy zdążyli upaść. To samo zdarzyło się i przy demonstracji chwytów obronnych. Prędkość tych uderzeń wydawała mi się nierealną. I mój mózgiec dając temu wszystkiemu wiary, chytrze napomknął: «Może, sami upadli, na pewno udają. Ale zniekształcone od nieznośnego i strasznego bólu twarze chłopców, nie można było podrobić. Sensei spokojnie podszedł do nich i pomógł przywrócić oddychanie, naciskając palcem na jakieś punkty na ciele. Wkrótce chłopcy doszli do siebie po szoku bólowym i dołączyli do pozostałych uczniów. Całej tej scenie towarzyszyły spojrzenia zdziwionego tłumu.

Następnie Mistrz zaczął opowiadać o szczegółach stylu Tygrysa, powolnie pokazując każdy

ruch i miejsca naniesienia uderzeń. Pomyślałam, że te ruchy były zbyt skomplikowane, żeby nanieść uderzenie w ciągu zaledwie mgnienia oka.

Rozdzieliwszy się parami, uczniowie zaczęli starannie naśladować ruchy i chwyt Mistrza, każdy w miarę swoich możliwości. Niedaleko mnie, śmiesznie wyrzucając króciutkie nóżki i rączki, postękiwał gruby mężczyzna około pięćdziesiątki. Jego twarz z pulchną, wypinającą wargą, przypominała pierożek i była starannie ogolona. Mądre oczy patrzyły przez grube szkła okularów. Na głowie pobłyskiwała niewielka łysina z rzadkimi, siwiejącymi włosami. «A co ten pan tu robi? — pomyślałam. — Z wyglądu nie sposób pomyśleć o tym, że zajmuje się sztukami walki... Czego on tu szuka? Zdecydował się na opanowanie kung fu na stare lata?!»

Moje myśli przerwał głos Mistrza, który poprawiał technikę uderzenia u kilku mocnych młodych chłopców.

— Ale kto tak bije? Co pan robi, Walenty nie Leonidowiczu! Przecież pan jest przyszłym lekarzem. Musisz dobrze zdawać sobie sprawę, po co bijesz, gdzie bijesz i co przy tym odbywa się. Twoim zadaniem jest wywołanie szoku bólowego, a nie puste machanie rękoma. Uderzenie trzeba nanosić na konkretne miejsce, w którym się znajduje nerw albo splot nerwów. Uderzenie powinno być nagłym, natychmiastowym, ostrym. Im szybsze jest, tym lepsze. Dlaczego? Dlatego, żeby wywołać skurcz w tkance mię-

śniowej. Wysłany impuls nerwowy przechodzący kanałami układu nerwowego, z kolei, wywoła poważny uraz węzła nerwowego i wywoła hamowanie odpowiedniej strefy kory mózgowej. To znaczy, że człowiek przeżywa swojego rodzaju osłupienie od szoku bólowego...

Podczas rozmowy zaczął się zbierać tłum ciekawskich. Sensei kontynuował:

— Ale uderzenie powinno uwzględniać to, że każdy człowiek ma swoje własne cechy anatomiczne. Z tej racji uderzenie w ten sam punkt nie zawsze wywołuje jednakowe konsekwencje. Dla stuprocentowej gwarancji prawidłowego uderzenia trzeba uderzać nie prostą «cki», a ze skręceniem dłoni w chwili kontaktu, żeby skierować uderzenie w głąb. Wtedy powstaje obszerna strefa «porażeń»...

...To uderzenie jest skierowane do punktu między przegrodą a spletem słonecznym. Czemu właśnie do tego punktu? Ponieważ tam jest jeden z dwunastu par nerwów czaszkowych, tak zwany nervus vagus, czyli błędny nerw. W tym miejscu nie tylko przechodzi, ale tworzy spleć, który obok otworu przelykowego tworzy dwa błędne pnie. Czym jest błędny nerw? Jest to, przede wszystkim, innerwacja organów układu oddechowego, trawiennego, gruczołu tarczowego i przytarczyc, nadnerczy, nerek. Bierze też udział w innerwacji serca i naczyń. Czyli, pod warunkiem prawidłowego uderzenia w odpowiednie miejsce odbywa się poważne podrażnienie układu nerwowego, które tymczasowo naru-

sza funkcję mózdzku mózgowia. A mózdzek, jak już wiesz — odpowiada za koordynację funkcji organizmu. Człowiek natychmiast traci orientację. Czyli to oznacza, że będziesz miał czas na podjęcie prawidłowej decyzji. Na przykład, na to, żeby nanieść uderzenie i uciec.

Ostatnie słowo wywołało masę zadowolonych uśmiechów na twarzach obecnych, w tym u mnie. «Czemu miałabym uciekać teraz! — pomyślałam, rozmarzywszy się: — Gdybym miała takie mocne uderzenie, ... pewnie, że nie stchórzyłabym!»

Tym czasem Sensei spojrział na uśmiechający się tłum i powiedział poważnie:

— A czemu by nie uciec, jeżeli to jest jedyne wyjście... w takiej sytuacji. W niektórych sytuacjach znacznie lepiej dostać z dziesięć razy po twarzy, niż kogoś zabić, pozbawić kogoś życia...

Te słowa wywołały u mnie dreszcze i spowodowały, że zaczerwieniłam się od własnych egoistycznych myśli i arogancji. Myślami z goryczą wróciłam do gorzkiej rzeczywistości mojego istnienia.

— Przecież życie człowieka jest bezcenne — kontynuował Sensei. — Waszym zadaniem jest wywołanie skurczu mięśniowego, szoku bólowego, żeby unikać niepożądanych sytuacji. Ale w żadnym wypadku nie wolno uszkadzać organów wewnętrznych, łamać żeber albo jeszcze czegoś, czyli nie wolno wywoływać poważnych konsekwencji dla człowieka. Właśnie z tej przyczyny poświęcamy tyle czasu prawidłowej technice uderzenia. W przeciwnym wypadku jeżeli



naniesiesz mocne i niekontrolowane uderzenie, możesz wyrządzić ogromną szkodę organizmowi i nawet spowodować śmierć. Ale czy to ma sens?! ...Trzeba szanować życie człowieka, ponieważ w każdej chwili możesz okazać się sam na jego miejscu ... A może kiedyś ten człowiek uratuje ci życie. Nie można wykluczyć, że i z tobą może zdarzyć się nieszczęście i właśnie ten człowiek okaże się obok i przyjdzie do ciebie z pomocą i uratuje cię. **Przecież życie jest nieprzewidywalne i wszystko w nim może się zdarzyć, nawet najdziwniejsze, to, czego nawet nie możesz sobie wyobrazić.**

Cały pozostały czas treningu byłam pod wrażeniem niezwyklej i nienatarczywej lekcji z dogłębnej anatomii oraz niezwyklej filozofii. Opanowała całe moje myśli i znów przemyślałam to wszystko co usłyszałam.

Trzy klaśnięcia starszego sempaja obwieściły o zakończeniu treningu. Kiedy wszyscy się rozstapili, powiedział:

— Do-dżu, rej (co oznacza ukłon bojowemu duchu hali sportowej).

— Sensei, rej.

Mistrz również uczciwie uklonił się i powiedział:

— Spotkamy się jak zwykle o tej samej porze. A teraz, kto powinien, ten się ubiera, a kto chce, zostaje.

«To ci dopiero! Komu gdzie się śpieszy? Kto pozostaje? I ja chcę» — pomyślałam. Ale większość uczniów pobiegła w kierunku szatni,

porywając mnie ze sobą. Biegając obok Mistrza, zobaczyłam, jak podszedł do niego ten gruby mężczyzna w okularach, którego zauważyłam jeszcze podczas treningu.

— Igorze Michajłowiczu — z szacunkiem zwrócił się do Mistrza.

— Powracając do naszej z panem poprzedniej rozmowy. Coś przyniosłem, żeby pan zobaczył...

Następnych słów już nie słyszałam wśród hucznego śmiechu i żartów chłopców, którzy przebiegali obok. W kobiecej szatni wirowała burza emocji wywołana najbardziej jaskrawymi momentami i replikami Mistrza. To wszystko odbywało się jednocześnie z naciąganiem na mokre ciało przeróżnych kobiecych ubrań.

Obok mnie ubierała się dziewczyna o jasnych loczkach. Po zapoznaniu się z nią zapytałam:

— Czy długo ćwiczysz?

— Nie. Tylko trzy miesiące.

— I co, czy często Sensei to wszystko pokazuje i opowiada?

— Chyba wtedy, kiedy to jest naprawdę niezbędne... A kiedy ma dobry humor, wtedy można i nie takie zobaczyć... Dzisiaj to były tylko początki.

«Ależ to początki — pomyślałam. — Co jeszcze takiego umie?!»

— A jaki opanował styl, styl Tygrysa?

— Nie tylko. Słyszałam od starszych chłopców, którzy dawno z nim ćwiczą, że Sensei doskonale opanował style Smoka, Węża, Win-

Czun, Kota, Modliszki, Małpy oraz inne liczne style, których nawet nie zapamiętałam.

Z niedowierzaniem spojrzałam na moją rozmówczynię:

— A kiedy on tego wszystkiego potrafił się nauczyć? Przecież jest jeszcze młodym mężczyzną. Ludzie poświęcają tylko jednemu stylowi całe swoje życie.

— Sama byłam zdziwiona — powiedziała.

— Ale chłopcy mówią, że według słów Mistrza **«młode ciało wcale nie jest dowodem wieku duszy»** — wzruszając ramionami, odpowiedziała moja nowa znajoma.

— Ale kim on naprawdę jest?! — zaczęłam się denerwować, i stare myśli razem z nową informacją znów zaczęły dręczyć moją niezaspokojoną ciekawość.

— Zwykłym człowiekiem — usłyszałam odpowiedź.

Po przebraniu się nasza grupa stanęła obok wejścia, z zachwytem oglądając jak kilku chłopców o sportowej sylwetce, ćwiczyło w hali sportowej z tymi kto został. Takiego prawdziwego, naturalnego piękna podcięć, przewrotów, sprytnych i płynnych uników nie widzieliśmy nawet w filmach. Ale najbardziej nas dziwiła prędkość ich ruchu. «Czy przy takiej prędkości można jeszcze i dobrze orientować się w przestrzeni — pomyślałam. — Świetnie! Ale gdzie jest Sensei?»

Okazało się, że Sensei spokojnie siedział na boku, przeglądając kupę książek z zakładkami, które podkładał mu «Pierozek». Obok siedzieli

dwaj mężczyźni, uważnie słuchając objaśnień Mistrza. Następnie «Pierozek» rozwinął poźółkłą od czasu mapę, i wszyscy czworo pochylili się nad nią, jak nad bezcennym skarbem. Sensei zaczął coś wyznaczać ołówkiem, coś przy tym komentując i objaśniając. Bardzo chciałam wsunąć tam swój ciekawski nos, ale w tym momencie trochę mnie popchnęli od tyłu chłopcy, którzy wychodzili na ulicę.

— Hej, chłopcy! Dlaczego tu staliście? Przecież znacie prawo hali sportowej: «Albo ćwiczyć albo odchodzić». Jak chcecie to wracajcie, a jeżeli odchodzić to idźcie już, i nie przeszkadzajcie innym.

Razem wybiegliśmy na ulicę. «Aha! — pomyślałam z zazdrością. — Tamci pozostali, a nam nie wolno». Ale oczywiście nic nie powiedziałam.





**P**rawie przez całą godzinę czekaliśmy na jedyny w tej miejscowości autobus, natarczywie deptając skrawek powierzchni ziemi z nazwą «przystanek».

Ale nie doczekaliśmy się. Musieliśmy iść do przystanku tramwajowego, który, sądząc z tego co nam powiedzieli mieszkańcy, był gdzieś obok, jakieś czterdzieści minut pieszo. Bez przyzwyczajenia, wykorzystując doświadczenie zaliczaliśmy miejscowe zabytki w postaci jam i wybojów, spędziliśmy aż półtorej godziny. Ale nikt prawie nie zwracał uwagi na te nieprzyjemne okoliczności. Wszyscy bez przerwy dzielili się wrażeniami na temat tego co zobaczyli.

— I co — z uśmiechem powiedział Kostja — idziemy na następny trening?

Wszyscy razem odpowiedzieli «Tak!»

— Nie wiem jak wy — z zachwytem powiedział Andrzej, najbardziej wśród nas pasjonujący się wschodnimi sztukami walki — wydaje mi się, że znalazłem to, czego szukałem, przynajmniej, na tym etapie. Świetny trening!

— Tak — przerwał mu Kostja — dzisiaj dowiedziałem się znacznie więcej niż w ciągu całego miesiąca naszego włączenia się po sekcjach.

Chłopcy z aprobatą kiwnęli głowami. Raptem Sławek zatrzymał się i uderzywszy się w czoło, z przerażeniem powiedział:

— O, Matko! Zapomnieliśmy zapytać ile musimy zapłacić za trening?!

Andrzej położył mu swoją rękę na ramię i dobrodusznie uspokoił:

— Nie martw się stary. Pytałem Mistrza. Wiesz co powiedział: «Im więcej tym lepiej. Ale nie więcej niż pięć rubli, byłoby pożądane, żeby było to pięć rubli carskich».

Wszyscy zaśmialiśmy się, a Sławek nawet westchnął z ulgą. Wszystko było jasne. Był dobrym chłopcem, ale z biednej rodziny. Zajęcia w innych sekcjach były dla niego niedostępne. Dla niego zdobycie piętnastu-dwudziestu rubli oznaczało zdobycie całego majątku. Tak więc, hałaśliwie wspominając niektóre momenty treningu i wesołe żarty Mistrza, nie zauważyliśmy jak dotarliśmy do przystanku.





adeszła szara rzeczywistość. Bardzo nas zainteresowała opowieść o błędnym nerwie oraz generalnie o innerwacji organizmu. Więc przez wszystkie następne dni nasza grupa szukała informacji

o tym, wypytując nauczycieli z biologii i anatomii. Ale oni nic konkretnego nie powiedzieli, dodając, że ten temat odnosi się do anatomii, którą studiuje się na uniwersytetach. Ich odpowiedź jeszcze bardziej rozpałała naszą ciekawość i zachęciła do poszukiwania odpowiednich książek u naszych znajomych.

Tymczasem moja pamięć rozpaczliwie szukała odpowiedzi na pytanie o tym gdzie widziałam Mistrza. W tym celu sięgnęłam nawet do albumów rodzinnych. Ale mój wysiłek był marny. Generalnie, życie wrzało w nieustannych poszukiwaniach odpowiedzi na niewiadome pytania.

Nie mogąc doczekać się następnego treningu, wyruszyliśmy już dwie godziny przed nim, żeby się nie spóźnić. Kiedy nasza grupa dotarła do hali sportowej, ze zdziwieniem zobaczyliśmy, że nie

byliśmy pierwsi, aczkolwiek pozostawało jeszcze trzydzieści minut. Stało tam już około trzydziestu osób, widocznie, takich jak my, nie życzących sobie przepuścić niczego interesującego. Nasi chłopcy, którzy już mieli znajomych wśród tych ludzi, potem żartowali, że jak się okazało, w porównaniu z tymi biedaczyskami docieramy do hali sportowej z sukcesem. Ci uczniowie, którzy mieszkają jeszcze dalej, muszą tracić prawie pół dnia w drodze na trening, zmieniawszy przy tym kilka środków komunikacji miejskiej i zcierając nie jedną podeszwę podczas wielokilometrowych podróży. I tylko niektórzy szczęściarze docierają własnymi samochodami.

— Tak więc — wnioskował Andrzej — możemy uderzać się w piersi i mówić, że jesteśmy miejscowi!

Wkrótce przybył i Sensei otoczony przez grupę chłopców. Na twarzach ludzi pojawiły się życzliwe uśmiechy. I małe grupki ludzi pojednały się, tworząc wielki zespół, życzliwie witając Mistrza, wchodząc do otwartej hali sportowej. Też zaraziliśmy się tym pozytywnym nastrojem. Ale radość trwała niedługo.

Na samym początku rozgrzewki do hali weszło kilku dobrze ubranych mężczyzn, którzy podeszli do Mistrza i o czymś poufale powiedzieli mu szeptem. Po tej rozmowie Mistrz powierzył starszemu senpajowi prowadzenie treningu i, narzucawszy palto wprost na kimono, wyszedł razem z nimi. Od tej chwili zaczęły się męki naszych kończyn.



Starszy senpai, wyznaczając poziom treningu według wymogów swojego muskularnego ciała, przeprowadził rozgrzewkę w takim szybkim tempie, że zdawało się, że to jest przygotowanie do złotego medalu na mistrzostwa. I wtedy naprawdę odczuliśmy znaczną różnicę między Mistrzem i starszym senpajem, który przed powrotem Mistrza usiłował zrobić z nas mistrzów olimpijskich z pełnym kompletem nagród. Tak czy inaczej, ale pod koniec rozgrzewki dostaliśmy polecenie przybrać pozę rozluźnienia, którą senpai niewiedomo czego nazwał pozą trupa - i ja wraz z ludźmi w hali upadłam na podłogę z takim hukiem, że zdawało się, że naokół pełno trupów. Później dowiedziałam się, że takie traktowanie niektórych poleceń było związane z zawodową działalnością senpaja, który pracował w służbach spraw wewnętrznych.

Po tym męczącym ćwiczeniu zaczęliśmy pod kierownictwem naszego prowadzącego ucznia ćwiczenia z doskonalenia uderzeń, bloków i postaw. Miałam wrażenie, że jestem w japońskiej armii, w której żołnierze dokładnie i jednocześnie wykonywali polecenia z głośnym odliczaniem w języku japońskim.

Kiedy do hali wszedł Mistrz, odetchnęłam z ulgą. Jak gdyby nigdy nic, zdjął palto i wznowił trening. Zauważywszy błąd u ucznia w pierwszym rzędzie, uprzejmie poprawił go:

— Prawidłowe uderzenie należy nanosić tą częścią — obrysował na dłoni odcinek kostek palca wskazującego i kostek palca środkowego.

— O tak... Nie możecie wykorzystywać pozostałych palców (IV i V), ponieważ w razie nieprawidłowego uderzenia możecie poważnie uszkodzić nadgarstek.

I zwracając się do tłumu, dodał:

— Trzeba długo i konsekwentnie pracować nad sobą, żeby nie tylko prawidłowo nanosić uderzenia, ale i nie wyrządzić sobie ani szkody ani bólu. Bezpośrednie uderzenie pięścią — jak już mówiłem — jest jednym z podstawowych chwytów sztuk walki. I bez rzetelnego przygotowania można łatwo uszkodzić pięść. Jeżeli będziecie codziennie trenować prawidłowe uderzenie, wynikiem tych treningów może stać się to, że ścięgna mięśni zginających stawy palców dłoni, które są tutaj, rozejdą się do bocznych stref stawów członowych II i III palców tak, że kości staną się zabezpieczone i uszczelnione. Wtedy będziecie mogli nanosić uderzenia bez uszkodzenia dłoni.

Ktoś zapytał:

— A żeby rozwinąć stawy trzeba od razu uderzać w coś twardego?

— Po co takie ofiary — odpowiedział Igor Michajłowicz. — Nanosite uderzenia po gruszcze. Kto jej nie ma, może uderzać po miechu z piaskiem. Myślę że taki przyrząd każdy może sobie zrobić w domu. Ale najważniejsze — to codzienne ćwiczenie uderzenia z stopniowym zwiększaniem prędkości. Sumiennie, bez lenistwa, z całym poświęceniem. I wtedy wynik nie będzie kazał na siebie długo czekać.

Trening skończył się demonstracją nowych chwytów stylu Tygrysa i ćwiczeniem starych uderzeń. I znów po treningu do Mistrza przykleił się (nie sposób nazwać to inaczej) ten gruby «Pierozek». Trzeba powiedzieć, że sporo ludzi chciało porozmawiać z Mistrzem albo posłuchać go. Ale ten grubas arogancko przedzierał się przez otaczający go tłum, w którym my też staliśmy, odprowadził Mistrza na bok, uważając swoje pytanie za najważniejsze. Straciwszy nadzieję na rozmowę z Mistrzem poszliśmy do domu.





ilka dni później czekała na nas dobra wiadomość: Kostja w jakiś sposób dostał przy pomocy znajomych, swoich rodziców, podręcznik z anatomii przeznaczony dla studentów. Naszej radości nie było granic. Od razu oczywiście zaspokoiliśmy swoją ciekawość, związaną z błędnym nerwem, obmacując go na swoim ciele. A Kostja, bez skrupułów przeprowadził swoje badania diagnostyczne wprost na ciele Tatiany, co wywołało jej pisk i lawinę naszych żartów. Następnie rzetelnie zbadaliśmy budowę naszych dłoni. I już potem, z wyraźną ciekawością, obejrzelśmy rysunki kości, mięśni, ścięgien, nerwów, organów, mózgowia. Nie można stwierdzać, że nie wiedziałam o tym wszystkim wcześniej. Ogólnie czytaliśmy o tym na lekcjach z anatomii. Ale po raz pierwszy patrzyłam na to wszystko innymi oczami. I po raz pierwszy chciałam to poznać nie dla dobrego stopnia w szkole, ale dla samej siebie.

Zachciało mi się przebadać swoje mięśnie, stawy, zrozumieć jak i czemu odbywa się ruch.

Jakie mięśnie biorą udział w naszych rozgrzewkach i jak to odbija się na naszych organach wewnętrznych? Co odbywa się podczas uderzenia? Czym jest ból pod względem fizjologicznym? W ogóle dlaczego człowiek cierpi? I wreszcie, co odbywa się w moim własnym mózgu? Owszem, ostatnia myśl była najważniejszą, ponieważ zawsze mnie prześladowała podświadomie.

Tymczasem chłopcy z zachwytem, ale kierując się własnymi opiniami, komentowali to wszystko, co zobaczyli. Jednogłośnie zgodziliśmy się, że jesteśmy pełnymi profanami w tej dziedzinie i trzeba wspólnie nadrabiać luki. W tym celu nawet wymyśliliśmy grę karcianą. Żeby łatwiej zapamiętywać, namalowaliśmy osobne kartki poświęcone odpowiednim kościom, mięśniom, naczyniom krwionośnym i nerwowym, limfie, różnym organom i osobno mózgowiu. Następnie spróbowaliśmy ułożyć razem tę łamigłówkę, wymieniając przy tym nie tylko nazwę, ale i odpowiednie funkcje. Oczywiście, że na początku nie było łatwo. Ale temu wszystkiemu towarzyszyły żarty i zawzięta atmosfera, że trudno było nie zapamiętać.

Przed kolejnym treningiem przygotowaliśmy parę pytań z biomechaniki ruchu podczas uderzania. Postanowiliśmy zwrócić się z tymi pytaniami do Mistrza po treningu, ponieważ to był dobry powód aby zostać. Ale tego dnia samo życie dało nam tę szansę nawet bez naszych planów tajnej «zmowy».

Pod koniec treningu Sensei organizował

sparingi. Uczniowie usiedli na podłodze, tworząc koło, do którego środka na prośbę Mistrza wychodzili dwaj rywale. Naszego Andrzeja też nie ominął ten los. Jako rywala Mistrz wybrał mu jakiegoś nowicjusza, muskularnego i zgrabnego. Po rytualnym ukłonie chłopcy rozpoczęli pojedynek. Przez pewien czas pojedynek toczył się na równi. Ale Andrzej okazał się sprytniejszy i szybszy, dzięki czemu zdołał odnieść zwycięstwo. Aprobujące oklaski Mistrza oznaczały koniec sparingu. Nasz chłopiec pomógł podnieść się swojemu niedawnemu rywalowi. Ukłoniwszy się nawzajem i swojemu Mistrzowi, zajęli swoje miejsca.

A kiedy na improwizowany ring zaczęli wychodzić bardziej doświadczeni bojownicy, Andrzej nie wytrzymał. Uskrzydłony po odniesieniu niedawnego sukcesu, dobrowolnie wystawił swoją kandydaturę. I... prawie od razu przegrał. Ta okoliczność tylko więcej rozpałała jego niezadowolone z siebie. Zakazona jego nastrojem emocjonalnym, nasza grupa, zdobywszy się na odwagę, wprosiła się do Mistrza na dodatkowe zajęcia. Mistrz odpowiedział z uśmiechem:

— Prawo hali jest wam znane: «Kto chce ćwiczyć, zostaje i ćwiczy».

Tego dnia fortuna wyraźnie była po naszej stronie, ponieważ w dodatku nieobecny był «Pierożek», dokuczający wszystkim swoją natarczywością. Dostęp do Mistrza był wolny, więc mogliśmy spokojnie zapytać go o elementy treningu, które interesowały nas najbardziej.

Kiedy większość uczniów wyszła, pozostali starali się eliminować swoje błędy w uderzeniach. Chłopcy, których nazwaliśmy «szybcy koledzy», pracowali na swoim poziomie, my i reszta uczniów — na swoim. Ale Sensei uważnie pilnował wszystkich i korygował zauważone błędy. Już w pustej hali pokazał naszej grupy nowe kata (walkę z cieniem), w których połączono podcięcia, uderzenia, bloki i szybkie odejścia i przewroty. Kiedy zaczęłam wykonywać te ruchy, Sensei nieoczekiwanie podszedł do mnie od tyłu i położywszy rękę na bark, powiedział:

— Nie wolno ci tego robić.

Spojrzałam na niego ze zdziwieniem:

— Dlaczego?

Ale w tej chwili nasze spojrzenia spotkały się ze sobą. Miałam uczucie, jakby przeświecił mnie rentgenem od głowy do pięt. Nigdy z czymś takim się nie spotkałam. Było to nieco niezwykle, przeraźliwe i dziwne.

— Dlatego.

Jego odpowiedź nieco mnie zaskoczyła. Stałam zamyślona, nie wiedząc co powiedzieć.

Po chwili milczenia, dodał:

— Wykonuj lepiej te kata.

Sensei pokazał początek płynnie następujących kolejno po sobie ruchów z ćwiczeniem głębokiego oddechu. Przez cały ten czas powtarzałam te ruchy niemal automatycznie. A kiedy odszedł, żeby pomóc innym, w mojej głowie zaczęły rodzić się kolejne pytania: «Co miał na myśli? Czy on zna moją diagnozę? Ale skąd?! Nikomu z moich

przyjaciół nic nie mówiłam o tym i moja choroba w żaden sposób nie wykazała się podczas treningów. Myśląc o tym, dokonałam przerażającego odkrycia. W szkole, na zajęciach z tańców salonowych miewałam strasznie długie bóle głowy, tutaj podczas tych wszystkich «znęcań» nad moim ciałem, żadnego razu nie miałam takiego bólu. Czemu? Jaka jest tego przyczyna?

Więc pograżywszy się w myślach podczas pracy nad nowymi ćwiczeniami, nie zauważyłam, jak wokół Mistrza zebrali się uczniowie, którzy przerwali ćwiczenia. I kiedy wreszcie to zauważyłam, szybko dołączyłam do nich, żeby nie przepuścić niczego istotnego dla siebie.

— Proszę powiedzieć, jak się osiąga techniki prawidłowego uderzenia, wyłącznie przy pomocy wytrenowanych mięśni? — spytał Andrzej.

— Nie. Przede wszystkim, przy pomocy wytrenowanego mózgu — odpowiedział Sensei.

— Ale jak to jest możliwe?

— Więc żeby było bardziej zrozumiałe, powiedzmy tak... Mięsień — to to samo co jakiś mechanizm, który pełni swoją funkcję. Ma określony program, który wysyła z mózgu sygnały, wywołujące skurcze grupy mięśni.

Na tej zasadzie odbywa się nie tylko ruch kończyn, ale złożone akty ruchowe. Czyli nasz trening jest niczym innym jak tylko konsekwentnym doskonaleniem naszego mózgu i odpowiednio naszych mięśni. Sens polega na tym, że im lepiej i szybciej pracuje «wytrenowany» mózg, tym lepiej i szybciej pracują mięśnie.



— Co do wysokiego kunsztu sportowców w sztukach walki — Kostja dołączył się do naszej rozmowy.

— Gdzieś czytałem, że mistrzowie nawet nie zdążają pomyśleć a już uderzają. Jak to się odbywa i dlaczego?

— Tak, chłopcy. Poruszacie bardzo ważny temat... Postaram się krótko wyjaśnić... Cała sprawa nie polega na tym, że trzeba po prostu trenować swoje mięśnie, a na tym, żeby wyobrazić sobie konkretną sytuację, obraz rywala. I co najważniejsze — dobrze wiedzieć, gdzie uderzasz, w jaką tkankę, co wtedy dzieje się w organizmie, jaka jest moc uderzenia i tak dalej. Jeżeli człowiek uderza tylko dlatego, żeby ćwiczyć, to ego starania są bez sensu! Prawdziwy wojownik, pracując na makiwarze, przede wszystkim, pracuje z obrazem. Realnie wyobraża sobie, jak rywal otwiera się, i w tym momencie nanosi uderzenie, zdając sobie sprawę z możliwych konsekwencji. Czyli trenuje swój mózg.

— A co przy tym odbywa się w mózgu? — spytał ktoś ze starszych chłopców.

— Mózg przez percepcję wzrokową ocenia sytuację, analizuje ją i podejmuje decyzję. Następnie przekazuje swoją komendę mózdzkowi, czyli do centrum ruchowego. A od niego, już przez nerwy, do mięśni dociera odpowiedni sygnał. Cała ta działalność skupia się w pamięci. Następnie podczas pojedynku ta pamięć odtwarza się na poziomie podświadomości, ale już bez tych złożonych łańcuchów analizy i komend

w mózgu. Czyli w chwili, w której rywal otworzył się, mistrz już robi podświadomy ruch. Powiedzmy, to już trochę inna praca psychiki, inna praca innerwacji, inna praca mózgowia.

— Więc to wszystko odbywa się na poziomie podświadomości z punktu widzenia fizjologii? — błysnął erudycją Kostja.

— Masz absolutną rację. Złożone refleksyjne reakcje ruchowe odbywają się na poziomie podświadomego refleksu — z uśmiechem powiedział Sensei, następnie dodał: — W szkolnym programie z anatomii są takie pojęcia, jak refleksy warunkowe i bezwarunkowe. Bezwarunkowe — to refleksy wrodzone. Dzięki nim odbywa się regulacja całego środowiska wewnętrznego organizmu, zabezpieczenie żywego osobnika. Do refleksów warunkowych należą refleksy nabyte w wyniku gromadzenia doświadczenia, nowych umiejętności. Ale i one kształtują się na podstawie bezwarunkowych refleksów. Człowiek ma mnóstwo refleksów bezwarunkowych, środków komunikacji, reakcji, odbywających się przy pomocy rdzenia kręgowego, tylnego i środkowego mózgu, podkorowych ośrodków dużych półkul i mózdzka...

— Więc to, o czym Pan nam opowiedział na początku jest największym kunsztem? — nie odpuszczał Andrzej.

— Nie. To jest tylko początkowy stopień prawdziwego kunsztu... W wielkim kunszcie podstawowa praca jest związana z przewidywaniem. To jest praca szyszynki, która jest

położona po nad mózdzkiem w nadwzgorzu międzymózgowia.

— A szyszynka — to po prostu odcinek białej substancji? — spytał Kostja.

— Nie. To jest tak zwany gruczoł szyszkowaty, jego waga wynosi około jednego karata. Ale pełni on ważną rolę w funkcjonowaniu całego organizmu. Jest jedną z najbardziej zagadkowych części mózgowia i organizmu człowieka. Niestety, na razie nauka nic nie wie o jego rzeczywistych funkcjach.

— A kto wie? — zapytał z zaciekawieniem Kostja.

— Kto chce, ten wie — z chytrym uśmiechem odpowiedział Sensei i dodał: — Więc, wykorzystując przewidywanie, mistrz podświadomie wypracowuje zdolność do przewidywania myśli rywala. Czyli, jeszcze przed tym jak rywal zechciał nanieść gdzieś uderzenie, mistrz już wypracowuje środek przeciwdziałania, ale taki, który jest odpowiednim. To wszystko odbywa się podświadomie, w mgnieniu oka.

— Ciekawe, a czy z takimi zjawiskami «błyskawicznej prędkości» spotykają się również mistrzowie sztuk walki? — spytał Andrzej.

— Czemu? Nie tylko oni. Wielu ludzi bardzo często w życiu spotyka się z takimi zjawiskami psychiki. U jednych to odbywa się po długich treningach. Na przykład cyrkowcy, którzy łapią noże, strzały lecące z ogromną prędkością. Inni ludzie na sobie odczuli wpływ tych refleksów bezwarunkowych. Powiedzmy, jeżeli coś kogoś

strasznie przerazi, na przykład, pies. Człowiek może przy tym wykonać całą serię ruchów. I tylko potem, kiedy niebezpieczeństwo minie zda sobie sprawę, jak szybko on to zrobił. Ta zdolność została dana człowiekowi. Inaczej nie przetrwałby w ciężkich czasach, kiedy musiał uciekać przed mamutem, tygrysem szablстым albo przed innym drapieżnikiem.

Staliśmy milcząc, oczarowani opowiadaniem Mistrza. W tym momencie ktoś zapukał do drzwi. Niespodziewanie coś we mnie na chwilę skurczyło się. Było już za późno na wieczorne spacerowanie. Sensei spokojnie podszedł i otworzył drzwi, a my pilnie obserwowaliśmy każdy jego ruch.

— O, dobrze że jesteś — ściskając rękę, przywitał się z nim jakiś mężczyzna. — Już chciałem jechać do ciebie. Mam taką sprawę...

— Zaraz, poczekaj chwilę — odpowiedział Sensei, i zwracając się do nas, powiedział: — Macie jeszcze piętnaście minut treningu a potem wszyscy do domu.

Za pół godziny już wszyscy staliśmy na ulicy, czekając na ostatnich. Igor Michajłowicz zamknął halę sportową, i szybko zegnając nas, wszedł do samochodu i odjechał razem z tym mężczyzną.

«To ci dopiero, złośliwie powiedziałam sama do siebie — chciałam zapytać Mistrza o jego zagadkowe słowo «Dlatego», ale nie wyszło. Trzeba było to zrobić w hali sportowej. Ale wszędzie są ciekawi słuchacze. Ale pech!»

Kiedy jechaliśmy do domu, każdy myślał o swoim. I nie dziwne, bo po dzisiejszym treningu było o czym pomyśleć. Ktoś myślał milcząco, ktoś głośno. Prawie pół drogi Andrzej próbował przekonać nas o tym, że jego dzisiejsza porażka w sparingu — to coś przypadkowego.

— Szkoda, że wtedy nie miałem przy sobie nunczako. Ale nie szkodzi, wezmę na następny trening. Wtedy pokażę prawdziwą klasę!

To miało być zachwycające widowisko, ponieważ wiedzieliśmy, że Andrzej dobrze pracuje z nunczako. To był jego «konik».





**C**zekaliśmy na ten trening jak nigdy. Przyjechaliśmy na niego bardzo wcześnie. Hala sportowa była zamknięta. Niektórzy, już po przebraniu urządzili sobie małą rozgrzewkę. Sensei stał

z boku, żarliwie rozmawiając z jakimś tyczkowanym starszym panem. Ten starszy pan był tak szczupły, że kimono wprost wisiało na nim, jak na wieszaku. Niedaleko, razem z grupą mężczyzn, stał «Pierożek». Ale wyraz jego twarzy świadczył o tym, że nawet nie słyszał żartów swoich kolegów. Zdawało się, że jego uszy przekształciły się na echo-lokatory, łapiące każdy dźwięk ze strony Mistrza i tyczkowanego mężczyzny. «Oj — pomyślałam z oburzeniem. — Znów tu jest!»

W ślad za nami weszło kilku chłopców, którzy trenowali w naszej sekcji w ożywionym nastroju. Razem z nimi kroczył niechlujny chłop, około czterdziestki, w powalonym ubraniu, z tygodniowym zarostem na twarzy. Chłopcy przywitali Mistrza z wyraźnym zadowoleniem:

— Spotkaliśmy ciekawą osobę, wizjoniera...  
Poznajcie Witalija Jakowlewicza.

Przy tych słowach niechlujny mężczyzna zrobił elegancki ukłon głową i znów przybrał poważną minę.

— Posiada niezwykle zdolności, które uprzejmie zgodził się zademonstrować naszej ekipie ...

Sensei uprzejmie kiwnął:

— Byłoby ciekawie zobaczyć.

— I bardzo pouczająco — wieloznacznie dodał Witalij Jakowlewicz, podnosząc przy tym wskazujący palec.

Wokół zebrał się cały tłum ciekawskich. Tymczasem «wizjonier» z miną niedoścignionego znawcy swojej sprawy, wyjął z nadszarpniętej kieszeni z tuzin zwykłych stołowych łyżek, związanych paskiem z brudnego materiału.

— Jak myślisz — szepnął Kostja Andrzejowi — skąd u tego neoandertalczyka tyle przedmiotów ludzkiej cywilizacji?

— Chyba gdzieś ukradł — jak gdyby nigdy nic odpowiedział Andrzej.

— Ciekawe, czy wie, jak się używa tego wszystkiego? — uśmiechnął się Kostja.

W tej chwili Witalij Jakowlewicz, demonstracyjnie rozebrał się do pasa i odsłonił brzuch, który obrósł tłuszczem, zaczął gorliwie przyczepiać łyżki tylną stroną do klatki piersiowej. Nasi chłopcy parsknęli śmiechem, a Kostja dodał:

— Ale numer! Nie na próżno ludzie gadają, że technika w rękach dzikusy jest kupą metalu!

Wszyscy byliśmy lekko zdziwieni. Łyżki rze-

czywiście przylepiły się i «wizjonier» z poważną miną przechadzał się, wypinając pierś, niby obwieszoną medalami «Za odwagę».

Ktoś z chłopców zapytał:

— Jak pan to robi? Jak to można wyjaśnić?

Widocznie Witalij Jakowlewicz czekał na takie pytanie. Z zadowoleniem zaczął opowiadać o polach biologiczno- i energo-informacyjnych, biologicznym magnetyźmie człowieka, o jego fenomenalnych przejawach u ludzi i o wszechmogącej sile jego oddziaływania. Jego przemówienie sięgnęło szczytu. Przechadzając się przed zdziwionym tłumem z gołym tułowiem, obwieszonym łyżkami i stanowczo wymachując rękoma, «wizjonier» gorliwie deklamował:

— ... ten mocny pulsujący fluid, ukształtowany za pośrednictwem Siły Rozumu Kosmicznego, odzwierciedla ostatni stopień doskonałości ducha. Może otaczać człowieka siłą swojej aury. Może nie tylko oddalać się od ciała człowieka, ale i razem z duszą istnieć poza ciałem. Powiedziałbym, że to jest świadome istnienie poza granicami.

Akumulując energię tego fluidu kosmicznego, wykryłem w sobie nadzwyczajne zdolności. Otrzymałem wspaniały dar magnetyzmu, jasnowidzenia, ocalania chorych. Wszystkie choroby są podwładne mojemu cudotwórczemu leczeniu. Leczę przy pomocy nieznanego przeszkód podwójnego strumienia fluidów, będącego przyczyną całego pola energetycznego i informacyjnego wielkiego Kosmosu. Swoim pozytywnym



biegunem odnawiam siły, ciało, aurę człowieka, oraz eliminuję uroki...

Zauważyłam, że chociaż ta swobodna lekcja była dla mnie niezbyt zrozumiałą, ale to jednak moje myśli rozpoczęły poszukiwanie ewentualnych wariantów leczenia. «Może on będzie mógł mnie wyleczyć?! Oczywiście trudno było w to uwierzyć, ale...» Uskrzydłona przez złudną nadzieję, zaczęłam gorliwie słuchać przekonującego przemówienia «wizjoniera», już nie zwracając żadnej uwagi na jego wygląd.

— ...Moja moc, w miarę mojego doskonalenia się, stała się ogromną... Proszę, sami zobaczcie. To jest jeden z jej przejawów — pokazał przylepione łyżki.

Przy tym robił dziwne ruchy. Obchodząc zdziwiony tłum, coraz bardziej wystawiał brzuch, lekko odchylając się do tyłu, jak pingwin. Spojrzałam na Mistrza. Stał, skrzyżowawszy ręce na piersi i trochę pochyliwszy głowę, chyba już znużony tym pokazem. Na twarzy miał ironiczny uśmiech.

— ...Osiągnąłem doskonałość dzięki tajemnej wiedzy, nikomu nie znanej, oprócz wybranych. Na podstawie tej tajemnej informacji wypracowałem swój własny system duchowego rozwoju. Ale nie jest on dostępny dla każdego śmiertelnika. Nawet ten, kto drogą nędzy i odkupień swoich grzechów osiągnie dziesiąty szczebel mojej drabiny doskonałości, nie jest w stanie opanować wielkiej tajemnicy, ponieważ ona jest dana tylko wybranym. I są tacy ludzie, jak ja,

którzy potrafili połączyć śmiertelne ciało z wielkim duchem, duchem Światowego Rozumu, posiadają moc Boga!!!

Zdaje się, przy tych słowach puściły Mistrzowi nerwy. Sądząc po fali lekkich ruchów zdawało się, że za moment zerwie się z miejsca i uderzy tak, że nawet wychwalana siła tego «posłańca» nie ocali. Ale wbrew moim prognozom, Sensei, dokładnie wymawiając każde słowo, powiedział:

— Drogi panie, czy nie nadmierną odpowiedzialność bierze pan na siebie? Na razie pan nic nie zademonstrował, co by potwierdzało pańskie słowa.

— Jak to nie zademonstrował?! — rzucił się z oburzeniem Witalij Jakowlewicz. — Co, nie wierzysz mi?!

— To wszystko są głupstwa — powiedział Sensei. — Każdy to może zrobić. I nie ma w tym nic nadzwyczajnego i nadprzyrodzonego... Po prostu trzeba się częściej myć.

Cały tłum wybuchł śmiechem. A Kostja, uderzając się w czoło, powiedział wymownie:

— Dokładnie! Przypomniałem sobie, że czytałem o tej sztuczce. Po prostu ma mokre i lepkie ciało, więc łyżki przyczepiają się do niego.

«Władca Kosmosu i całej ziemi» jeszcze bardziej się rozzłościł i krzyknął, zwracając się do Mistrza:

— Jesteś jeszcze za młody, żeby sądzić o mojej wielkiej wiedzy! Co ty w ogóle umiesz, oprócz machania rękoma...

Sensei uważnie spojrział na niego. Następnie podszedł i łatwo zdjął jedną z łyżek z jego piersi. Wszyscy zamarli. Mistrz wyciągnął naprzód rękę, trzymając się za wąski koniec łyżki, i zaczął wykonywać jakieś ćwiczenia z głębokim oddechem. Za minutę jego twarz rozluźniła się, emocje znikły. Jego oczy się zmieniły i zdawało się, że są bezdenne. Zamarł na jakieś parę sekund, uważnie patrząc na łyżkę. Jego postać stała się podobną do majestatycznej rzeźby. I w tej chwili łyżka zaczęła się zginać, jak miękkie, więdnące ździebełko. Miałam wrażenie, że tę łyżkę zrobiono nie z metalu, a z jakiegoś miękkiego materiału. Nie wierzyłam własnym oczom. Niesamowite, ale fakt!

Sensei po kilku sekundach znów powrócił do swojego poprzedniego stanu i spokojnie powiedział do oszołomionego Witalija Jakowlewicza, wręczając mu zgiętą łyżkę:

— Kiedy pan będzie mógł zademonstrować chociaż tę sztuczkę, wtedy z przyjemnością posłuchamy pana dłużej.

I nagle obracając się do grupy, Sensei dodał:

— Chciałbym poinformować tych, kto się jeszcze nie przebrał. Trening rozpocznie się za dwie minuty. Kto nie zdąży, będzie odrabiać karne (tak u nas się nazywają pompki za spóźnienie).

Po usłyszeniu tych słów, pobiegliśmy w kierunku szatni, wyprzedzając się nawzajem, nie patrząc jak dochodził do siebie ten nowo objawiony «nędzny bożek».

— Starszy senpaju! Czemu obce osoby są w

hali sportowej?! — usłyszeliśmy od tyłu głos Mistrza.

W ciągu całej rozgrzewki myślałam: «Jak mogłam nawet dopuścić do siebie myśl o tym, że ten żebrak może mi w czymś pomóc?! Ach.... Ale z drugiej strony, w mojej beznadziejnej sytuacji jestem zmuszona wierzyć i spodziewać się jakiegoś cudu. Tonący brzytwy się chwyta, żeby ocaleć. Dlatego z przyczyny wewnętrznego prawie panicznego lęku rodzą się głupie myśli. Nie. Trzeba skupić się. I tak znajdę ratunek. Postaram się przeżyć. Trzeba tylko nie tracić nadziei i walczyć do samego końca!» Najdziwniejsze było to, że moja pewność opierała się na jakimś głębokim, podświadomym uczuciu, na tym Czymś, czego ja tak rozpaczliwie szukałam. Ale to wszystko przejawiało się w nieokreślonych domysłach.

Tymczasem rozgrzewka się skończyła i zaczęliśmy podstawowe ćwiczenia pod przewodnictwem starszego senpaja. Sensei siedział na sportowej ławeczce, dyskutując o czymś z tyczkowanym starszym panem. «Dobrze by było usłyszeć, o czym rozmawiają» — pomyślałam. Widocznie, takie myśli roily się nie tylko w mojej głowie. «Pierozek» mimo że miał już siwe włosy, ale się starał podczas treningu zająć miejsce jak najbliższe Mistrza. W każdym takim wypadku wzbudzał we mnie uczucie zawiści i zazdrości. I widząc osądzające spojrzenia naszych chłopców, nie byłam jedyną osobą, która miała takie uczucie.

W hałasie i monotonności podstawowych uderzeń i głośnego odliczania ich kolejności znów zagłębiłam się w swoje myśli. «W jaki sposób Sensei zdołał zgiąć łyżkę? I czemu nazwał ten fenomen tylko sztuczką? Przecież jeżeli to jest tylko sztuczka, uważam, że trzeba ją dokładnie przygotować. A on zdołał zgiąć łyżkę siłą tylko swojego spojrzenia».

Można powiedzieć, że jednocześnie wierzyłam i nie wierzyłam. Wierzyłam, ponieważ czytałam o ludziach-fenomenach, którzy posiadali takie umiejętności. Przypomniałam sobie, że ludzie-magnesy też są w takich książkach opisani. Ale przyklepiały się do nich różne przedmioty, niezależnie od materiału, z którego są zrobione: z drzewa, metalu, plastiku. Pamiętam, że zdziwiło mnie to, jaką wagę wytrzymywali ci ludzie — ponad dziesięć kilogramów!

Paradoksalnie, ale nie wierzyłam własnym oczom, kiedy widziałam to wszystko «na żywo». Ścisłej mówiąc, ta niewiara dotyczyła mojego uświadamiania rzeczywistości samego faktu. Wszędzie same tajemnice. Ja rozumiałabym to, gdyby ktoś nas zahipnotyzował, wcześniej mówiąc, co za chwilę zobaczymy. Ale Sensei po prostu milczał, a potem zrobił to. W jaki sposób?!

Tym nie mniej, sam fakt takiej możliwości był dla mnie bardzo ważny. To była jakaś nieznaną mi prawda, którą utworzyła wiedza otrzymana od Mistrza. Ta prawda w mojej podświadomości stawiała wszelki opór wstrętnym myślom. Nie wiem czemu, ale zaczęłam ufać temu człowie-

kowi. Chociaż on wiedział, gdzie jest prawda, a gdzie wymyśl.

Po podstawowych ćwiczeniach nadszedł długooczekiwany moment dla naszej grupy. Tę część treningu nazywaliśmy «programem wolnym», podczas którego uczniowie, rozdzielwszy się na pary na własne życzenia ćwiczą stare chwytty albo jakieś specjalne uderzenia z poprzednich zajęć. Andrzej wziął nunczako i podszedł do Mistrza odprowadzany naszymi spojrzeniami.

— Czy można coś zrobić przeciwko nunczako?

— A możesz nimi obracać? — z uśmiechem spytał go Sensei.

— Jeszcze jak! — z zadowoleniem pochwalił się Andrzej. — Już w ciągu czterech lat nie wypuszczam go z rąk. Można powiedzieć, że jem i śpię z nim.

I Andrzej demonstracyjnie zrobił kilka skomplikowanych, według nas, ruchów.

— Nieźle — odpowiedział Sensei.

— A więc czy można coś zrobić przeciwko nunczako? — powtórzył swoje pytanie Andrzej, widocznie, prowokując Mistrza.

— Oczywiście... Dla każdego Widzaja znajdzie się Radża.

— Słucham? — zapytał Andrzej, nie rozumiejąc.

— Mówię, że dla każdej siły znajdzie się przeciwdziałanie. Nunczako również nie jest wykluczeniem.

— I może pan to pokazać?

— Mogę... Ale to będzie nie uczciwie, ty z nunczako przeciwko mnie... Bierz jeszcze kogoś.

Ze zdziwieniem wymieniliśmy się spojrzeniami. Ale Andrzej poszedł szukać sobie kolegi, a nasza grupa zaczęła szukać drugiego narzędzia do pojedynku. Niestety, nie znaleźliśmy jeszcze jednego nunczaka. Za to w pokoju inwentarza sportowego znaleźliśmy kilka dwumetrowych kijów.

Narzędzie znaleźliśmy szybko, ale mieliśmy problemu ze znalezieniem towarzysza dla Andrzeja. Starsi chłopcy kategorycznie «odżegnali się» od propozycji aby wziąć udział w tym pojedynku, uśmiechając się: «Nie, kolego, spróbuj poradzić sobie sam».

Wreszcie Andrzej zdołał namówić jakiegoś mężczyznę z nowych. Tym czasem Sensei rozmawiał ze szczupłym staruszkim w białym kimonie.

— Znalazłem! — z radością zwrócił się do Mistrza Andrzej.

— Znalazłeś, to dobrze. Niech starszy senpai będzie u nas sekundantem... Po jego klaśnięciu zaczynajcie atakować w pełnym kontakcie. Zrozumiano?

Andrzej tylko na to czekał. Z widocznym zadowoleniem kiwnął głową. Sensei stanął na środku hali. Andrzej stał naprzeciwko Mistrza, a mężczyzna z kijem wybrał pozycję z prawej strony z tyłu Mistrza. Nadeszła decydująca chwila. Wszyscy uczestnicy byli w stanie bojowego napięcia, oprócz Mistrza. Stał rozluźniony, myśląc o czymś

swoim, trochę grając końcami czarnego pasa z wyszytymi złotymi hieroglifami.

Po klaśnięciu starszego senpaja Andrzej zawzięcie ruszył do ataku czołowego, kręcąc nunczako z szybkością skrzydeł pracującego śmigła. W tej samej chwili podskoczył mężczyzna z boku, zamierzając uderzyć go kijem. To, co odbyło się następnie, trwało jedynie przez jakiś moment. Sensei od początku ataku w ogóle nie zmienił swojej pozycji, stojąc w rozluźnionej pozie. Ale w chwili, w której jego rywale zbliżyli się do niego, nie zmieniając postawy, gwałtownie wystawił naprzód rękę. Jeżeli jego ruch można nazwać «wystawianiem ręki», ponieważ ręka wystrzeliła tak szybko, jak atakujący wąż. Nunczako owinęło się, pokręciło się wokół niej i poleciało w stronę drugiego wojownika. Mistrz zakręcił dłonią, trochę zmieniając kierunek jego lotu. Nunczako w powietrzu zrobiło pół-obrotu, wyprostowało się jak pałka i czołem trafiło prosto w głowę mężczyzny, który atakował od tyłu. Druga pałka nunczako, kontynuując swój lot, uderzyła w kij. I kij, odpowiednio zmieniając kierunek ruchu, uderzył wprost w głowę Andrzeja. W wyniku czego obaj wojownicy rozplaszczyli się na podłodze, nawet nie mając świadomości, co się stało. A Sensei nadal stał namyślając się, jakby cała ta scena go wcale nie dotyczyła. Przerwał swoją medytację i troskliwie spytał swoich byłych «rywali»:

— I co, chłopcy, nie za mocno uderzyliście się?

— Nie — ze zmieszaniem odpowiedział



Andrzej, rozcierając guz na czole. — Wszystko ok...

Mężczyzna też kiwnął głową.

— Przepraszam, trochę nie obliczyłem siły.

I podchodząc do swojego rozmówcy, jak gdyby nigdy nic, powiedział:

— Wie pan, mam wspaniały pomysł! Co, jeżeli...

W tej chwili w grupie, obserwującej ten pojedynek zahuczało, dyskutując, śmiejąc się i dając upust zdziwieniu z powodu tak szybkiego pojedynku. A jeden ze starszych chłopców, któremu Andrzej zaproponował być jego towarzyszem, powiedział, uśmiechając się:

— Sensei i nie obliczył siły! No nic, chłopcy, trzymajcie się. My już popełnialiśmy głupstwa i cierpieliśmy od następstw takich nieprawidłowych obliczeń.

Kiedy Andrzej wreszcie zrozumiał, co się zdarzyło, po prostu zamęczał Kostję i Sławka pytaniem: «Ale jak takie coś może być? Raz... i jednym ruchem, nawet nie uderzeniem?!» Na co Kostja ze zdziwieniem odpowiadał:

— Skąd mamy wiedzieć? Sensei jest tam, zapytaj go.

Ale w ciągu całego treningu Mistrz był zajęty demonstrowaniem nowych chwytów, pracą nad skomplikowanymi uderzeniami ze starszymi chłopakami, odpowiadaniem na niekończące się pytania i rozmową ze staruszką na koniec treningu. Jednak Andrzej postanowił wyjaśnić wszystko właśnie dzisiaj.

I taka szansa dana była naszej grupie dopiero po tym, jak skończyły się dodatkowe zajęcia. Szybko przebraliśmy się i stanęliśmy koło wyjścia, jak straż, postanowiwszy koniecznie poznać odpowiedź. Ale okazało się, że my z Igo-rem Michajłowiczem i jego chłopcami mamy po drodze do przystanku. Właśnie wtedy zadaliśmy mu wszystkie pytania.

— A czy mógłby pan jednym ruchem powalić dwóch uzbrojonych rywali? — zadał Andrzej swoje pytanie, na które koniecznie chciał otrzymać odpowiedź.

— Cała rzecz nie w uzbrojeniu. Ta technika walki opiera się na wykorzystaniu siły rywala. Jest ona stosowana w różnych stylach, na przykład, w Aikido, Jujutsu, Wing Chun i innych. Trzeba tylko wiedzieć, w którym momencie ją zastosować.

— W sumie zrozumiałem. A w przypadku pana, jaki styl pan wykorzystał?

— Otóż — wzruszając ramionami, wymijająco odpowiedział Sensei — wszystkiego po trochu.

— Ale jednak? — nie zadowolił się Andrzej.

— Należy znać regułę inercji z fizyki i rozmieszczenie środka ciężkości z biomechaniki oraz trochę stylu węża.

— Ale numer! — gwizdnął Andrzej.

— A co ty myślałeś? **Wszystko co jest wielkie, jest bardzo proste, lecz dochodzi się do niego ciężką pracą.**

Kiedy Andrzej zastanawiał się nad tą sentencją, Sławek szybko zapytał:

— A ten chwyt z łyżką można w jakiś sposób wyjaśnić?

— Oczywiście można — z uśmiechem odpowiedział Sensei. — Na ziemi nie ma nic tajemniczego, co by się wcześniej czy później nie ujawniło.

— Ale co to było?

— To wszystko to tylko drobiazg. Nic nadzwyczajnego w tym nie ma, zwyczajny qigong, dokładniej, jedna z jego modyfikacji.

— A czym jest qigong? — z kolej, zadałam swoje pytanie.

— Gdzieś czytałem, że to tylko gimnastyka oddechowa — powiedział Kostja.

— Tak, wielu ludzi tak uważa — odpowiedział Igor Michajłowicz. — Ale w rzeczywistości qigong jest systemem oddechowo-medytacyjnym, za pomocą którego człowiek może kierować wewnętrznymi procesami psycho-fizycznymi. Chociaż generalnie jest jedną z najprostszych rodzajów praktyk duchowych.

Te słowa zainteresowały całą naszą kompanię. A we mnie wewnątrz coś drgnęło. I kiedy otworzyłam usta, żeby zadać pytanie, jak mam tego się nauczyć, wtrącił się Kostja ze swoją skłonnością do pustosłowia.

— Tak,

**Jak wiele mógłbym osiągnąć,  
Gdybym miał solidną podstawę.**

— Jesteś miłośnikiem Johanna Wolfganga Goethego? — spytał Igor Michajłowicz. — Jeżeli czytałeś jego książki, są w nich takie słowa:

**...mędrzec powiedział:**

**Świat duchów jest obok, drzwi nie są  
zamknięte,**

**Ale jesteś ślepy w nim i wszystko w tobie  
jest martwe.**

**Umyj się w porannej rosie, jak w morzu,  
Ocknij się — tu jest ten świat, wejdź do  
niego.**

W tej chwili nie sposób było nie zobaczyć zdziwionej twarzy Kostji. Był na tyle porażony tym, co poczuł, że nie od razu umiał na to odpowiedzieć. Przecież to była pierwsza w jego życiu osoba (po rodzicach), która odprawiła go na tak «wysoko intelektualnym poziomie». «Dostał to, na co zasłużył — pomyślałam złośliwie. — Niech nie zadziera nosa i nie myśli, że jest jedynym mędrce».

— Przeczytałem sporo książek — zaczął bronić się «filozof», walcząc raczej, o swoją dumę, niż o temat rozmowy. — W nich świat duchów jest tylko bajką dla dzieci.

— Kto wie — obojętnie powiedział Sensei, nadal cytując Goethego:

**Pergaminy nie zaspokajają pragnienia.  
Klucza mądrości nie ma na stronach  
książek.**

**Kto do tajemnic życia dąży każdą swoją  
myślą,**

**W duszy swojej znajduje ich źródło.**

— Hm, łatwo powiedzieć, «znajduje źródło» — mruknął Kostja i po chwili milczenia dodał: — Jak mówił Molier:

Nie wszystko się spełnia, czego dusza  
pragnie,  
I droga od namysłu do spełnienia nie jest  
krótka.

— Co słyszę? — zartobliwie powiedział  
Sensei —

**Rozsądek unika skrajności.**

**I nawet mądrym nakazuje umiarkowanie.**

— Coś znajomego...

— To też Poquelin, jego słowa z «Mizantropa».

— Kto-kto?

— Jean Baptiste Molier. Jego prawdziwe  
nazwisko było Poquelin.

Nawet w świetle ulicznych latarni widać było,  
że Kostja zarumienił się po same uszy.

— Ale...ale... według przysłowia wschod-  
niego, prawdziwy rozsądek tkwi w tym, żeby  
już na początku każdej sprawy przewidywać jej  
koniec.

— Masz absolutną rację. Czyli, wszystko  
wskazuje na to, że **człowiek jest myślącym  
stworzeniem i podstawowa jego siła jest  
zawarta w jego myślach.** Nawet we współ-  
czesnym świecie, mówiąc słowami uczonych, na  
przykład Cyołkowskiego, można znaleźć tego  
potwierdzenie: «Spełnienie poprzedza myśl, a  
dokładne obliczenia — wyobraźnia». Jak widzisz,  
nic się nie zmieniło w zakresie czynnika ludz-  
kiego w ciągu wielu stuleci. Dlaczego? Ponieważ,  
według słów Walentyna Sidorowa:

**Przyroda myśli — to twoja przyroda.**

**Opanuj myśl, a opanujesz siebie.**

## **I będziesz miał władzę nad samym sobą.**

Cała sprawa w sile rozumu.

— Tak — powiedział Kostja i z mądrym wyrazem twarzy dodał: — «Głowa bez rozumu to to samo co latarnia bez świecy».

— To są świetne słowa Lwa Mikołajewicza Tołstoja — niespodziewanie dla «filozofa» zgodził się Igor Michajłowicz. — Jeżeli pamiętasz, jest też w jego utworach i taki zapis: «Myśl jest początkiem wszystkiego. I myślami można kierować. Dlatego podstawową sprawą samodoskonalenia jest praca nad myślami».

Kostja nieśmiało kiwnął głową. Ale ta okoliczność, jak się okazało, zaczęła go. Więc w ciągu następnych kilku minut byliśmy świadkami bitwy aforyzmów, cytatów, sentencji rodzimych i zagranicznych poetów, filozofów, uczonych, których nazwisk w większości nawet nie słyszałam. Podczas tej batalii chciałam włączyć się do dialogu, ze swoim bardzo ważnym pytaniem. Ale polemika Mistrza z naszym «filozofem» toczyła się bez końca, stopniowo sięgając swojego szczytu. Już nie na żarty rozzłościłam się na Kostję, ponieważ zabierał zbyt dużo czasu, żeby zaspokoić swoją manię wspaniałego erudyty. Ale był na tyle pochłonięty tym procesem, że się zdawało, że dla niego nic innego oprócz tej dyskusji nie istniało.

Kiedy już zbliżaliśmy się do przystanku, Kostja przywołał chyba już wszystkich, o których słyszał, ponieważ wymówił swoją koronną sentencję:

— Tak więc, mówiąc słowami Villona: «**Znam wszystko, tylko nie siebie samego**».

— Więc

**...zerknij wzrokiem na siebie samego,  
Kim jesteś i gdzie jesteś i — co dalej?**

— Kto to powiedział?! — tracąc opanowanie nad sobą, spytał Kostja.

— O — z przyjemnością odpowiedział Sensei — to Omar Chajjam. Słynny perski poeta i filozof. Również był wielkim uczonym, który na długo wyprzedził swój czas. Jego pełne nazwisko Ghiyath al-Din Abu'l-Fath Omar ibn Ibrahim Chajjam Al-Nisapuri. Żył w XI stuleciu. Z jego mądrości czerpali nawet niektórzy Seldzuccy władcy Iranu, chociaż pochodził z Chorošana, małej wsi niedaleko Nisaburi. Jego filozofia jest bardzo interesująca. Wierzył w nieśmiertelność duszy, która przybyła z Niebytu do ciała człowieka i wróci do Niebytu po jego śmierci. Dla niej ten świat jest obcy.

— Ciekawe — wtrąciła się do rozmowy Tatiana — a gdzie się mieści dusza w ciele człowieka? Co mówi o tym ten filozof, czy ona mieści się w sercu albo gdzieś indziej?

— Nie. Uważa, że serce urodziło się na ziemi i jest częścią śmiertelnego ciała człowieka, przy tym, jest najlepszą i najbardziej «uduchowioną» jego częścią. Właśnie za pośrednictwem serca przemawia dusza. Ale serce, według niego, zna tylko ten świat, Byt... W jednym z jego wierszy pisał o tym, że Serce pyta duszę o tajemnice Niebytu.

Sensei chwilę zastanawiał się i w końcu powiedział:

— **Powiedziało mi serce: «Zacznij mnie uczyć.**

**Nauki są tajemnicami, ale co kryją w sobie?»**

**Zacząłem od alfabetu: «Alef...» i słyszę: «Dosyć!**

**Swój swojego zrozumie, powiedz tylko literę.**

— Co to jest «Alef»?

— «Alef» — to pierwsza litera w jego ojczystym języku, jest też liczbą «jeden». Według niego, to symbol Ogólnej Rzeczywistości i symbol jedności Wszechświata — i rzuciwszy okiem na Kostję, powiedział z ironią: — O czym tu jeszcze można mówić?!

Kostja w końcu speszył się, nie wiedząc co ma odpowiedzieć. Skorzystałam z tego i wypaliłam jednym tchem:

— A jak można się nauczyć tych ćwiczeń, które kierują ukrytymi psychicznymi i fizjologicznymi możliwościami?

— Bardzo prosto. Nie ma tu żadnej tajemnicy. Najważniejsze to mieć ochotę, a możliwości się znajdują.

— Czyli można tego się nauczyć od pana?

— Oczywiście.

— A kiedy można zacząć? — spytał Andrzej, który widocznie był zwolennikiem tych samych poglądów, co i ja.

— Jeżeli macie ochotę, to proszę bardzo. Te



zajęcia trwają u mnie dwa razy w tygodniu po półtora godziny.

— A ile kosztują? — spytał Sławek.

— Czy można wiedzę duchową zmierzyć pieniędzmi? — zdziwił się Sensei. — Za dużo myślicie o tych papierkach. Ćwiczmy po prostu dla siebie, dla własnego duchowego rozwoju. Chcecie ćwiczyć, to proszę bardzo.

Umówiliśmy się, gdzie i kiedy się spotkamy.

— Gienek mnie odprowadzi — dodał Mistrz.

Gienkiem okazał się wysoki, jasnowłosy chłopak o sportowej sylwetce, jeden z tych «szybkich chłopców», towarzyszy w podróżach Mistrza.

— Przyjdziemy na pewno — odpowiedział za wszystkich Andrzej.

Pozegnaliśmy się. Byłam bardzo szczęśliwa. Wreszcie zbliżyłam się do tego, czego tak długo szukałam. Zdawało się, że potrzebuje tylko jednego kroku, i być może, uda mi się pokonać tę przepaść i stanąć na twardej podstawie Bytu. Czułam to intuicyjnie, jakimś szóstym zmysłem. Chociaż rozum nie widział w tym żadnej szansy na ratunek. Ale dusza, jak się mówi, śpiewała.

Przez całą drogę chłopcy z zachwytem omawiali dzisiejszy trening i to, co czekało na nas pojutrze na zajęciach duchowych. Entuzjazm przepelniał wszystkich, oprócz Kostji. Był nadęty, jak indyk, zciągnął brwi.

— Kostja, a ty pójdziesz? — szturchnął go w bok Andrzej.

— Myślę, że nie warto tam jechać nam wszystkim — z niezadowoleniem powiedział «filozof». —

Nie jesteśmy cyrkowcami, żeby uczyć się jakichś sztuczek. Szkoda czasu na takie głupstwa.

— Czy ty jesteś głupi, Kostja — «uprzejmie» spytał Andrzej. — Gdzie znajdziesz cyrkowca, który zgina łyżki jednym swoim spojrzeniem?!

— I żeby w dodatku jeszcze uczył tego bezpłatnie — dodał Sławek.

— Ja też tak myślę. W ogóle jesteś głupcem!

— Przyznaje, że jestem głupcem. Ale w miarę swoich możliwości doceniłem waszą przyjaźń — złośliwie powiedział niezadowolony «filozof».

— Spokojnie chłopcy, nie kłóćcie się — powiedziała Tatiana. — Lepiej powiedźcie mi, jak mam namówić rodziców, żeby puszczali mnie na te zajęcia.

— Jak to jak — odpowiedział za wszystkich Andrzej — tak jak w dowcipie: «Wraca córka późno do domu. Ojciec pyta ją: «Co to ma znaczyć?» A córka mu odpowiada: «Nie wiem, co to ma znaczyć, ale od teraz będzie to moim hobby».

Wszyscy zaśmiali się z aprobatą. Po umówieniu się na spotkanie nasza grupa rozeszła się.





**Z** niecierpliwością czekaliśmy na ten dzień. Wreszcie w czwartek cała nasza grupa w świetnym humorze dotarła do punktu docelowego. Podjeżdżając do przystanku, zauważyliśmy w ciemności dwie męskie postacie.

— O, Gienek jest tutaj — wesoło powiedział Andrzej.

Jak się okazało, Gienek przybył razem ze swoim przyjacielem Stasiem. Po przywitaniu się ruszyliśmy do nieznajomości, dokładnie w absolutną ciemność.

— Dobrze byłoby powiesić tutaj chociaż jedną latarnię — powiedziała Tatiana po kolejnym potknięciu.

— Racja — potwierdził Kostja — to miejsce to pasmo przeszkód.

— Po co zużywać państwowy prąd? — z uśmiechem powiedział Gienek. — I tak, po omacku dojdziemy, znamy tu wszystko jak swoich pięć palców... Nikt obcy z własnej woli do tej miejscowości i tak nie trafi.

— Dlaczego? — ostrożnie spytał Sławek.

— To miejsce nie jest zwyczajne, to odludzie. Tu nawet zwierzęta nie przechodzą, nie mówiąc już o człowieku. Słyszycie, jak wyją psy.

Rzeczywiście, gdzieś wśród domów prywatnych, przeciągle wyło kilka psów. Tatiana wzdręgnęła się i wczepiła w moją rękę.

— A pies jest takim zwierzęciem — kontynuował chłopak — które czuje niebezpieczeństwo.

— Dlaczego straszysz ludzi swoimi bajkami! — próbował pożartować Andrzej.

— To wcale nie są bajki. Pożyjesz tutaj, to zobaczysz, jakie лихо tu zdarza się, jeżeli przeżyjesz, oczywiście.

Po tych słowach nasz dobry humor raptem znikł. Przez jakiś czas szliśmy milcząco rozglądając się na boki. Ale w zupełnej ciemności, wbrew naszym staraniom i rozglądaniu się na wszystkie strony, nic nie było widać. Widzieliśmy tylko obrysy domów. Dziwnie, ale nigdzie nie było światła. Tylko psy swoim wyciem okazywały znaki życia w tym ubogim miejscu.

— Dokąd idziemy? — zaniepokoił się Kostja.

— Jak to gdzie — drażniąc go, odpowiedział Gienek. — Gdzie chcieliście... do czarnej polany.

— Gdzie?! — krzyknęliśmy z przerażeniem.

— Tfu, nie krzyczcie tak — powiedział Gienek, zatykając ucho, które widocznie ucierpiało od naszych krzyków. — Przecież mówię, do polany... czarnej.

I potykając się o kolejny wybój, zaklął:

— Kurcze! Jakiś zły duch cały czas wszędzie

podstawia mi nogę. W końcu kogoś z nienadążających zaciągnie do ciemności.

Tatiana, która trzymała mnie za rękę, dla pewności wczepiła się drugą ręką za Kostję. Zaczęła drzeć, i jej drzenie ogarnęło również mnie. Przy tych słowach Sławek, który trochę nie nadażał, szybko dogonił nas wszystkich. Andrzej szedł milcząc, patrząc we wszystkie strony.

— Jakie tu może być licho, jaka czarna polana — z obawą powiedział Kostja. — Skąd to się wzięło? To są jakieś brednie...

— Jak to skąd? Stamtąd — Gienek machnął ręką w jakąś stronę.

— Dlaczego w ogóle przyszliśmy tu — ze strachu lamentowała Tatiana. — lepiej by było siedzieć w domu i nie mielibyśmy tych problemów.

— Sami chcieliście zapoznać się z czarną magią, i co teraz: «Dlaczego tu przyszliśmy»? — wzruszywszy ramionami, powiedział Gienek.

— Z czym?! — znów ze zdumieniem spytaliśmy.

— Ale numer! — Gienek zrobił zdziwioną minę. — Nie wiecie, że Sensei jest najsilniejszym czarodziejem, prawą ręką Lucyfera?!

Teraz wybałuszyliśmy oczy ze zdziwienia.

— Co? Kogo? Kim jest ten Lucyfer? — sypnęliśmy lawiną pytań.

— Tak — dumnie zatrzymał nasz potok słów nowo objawiony przewodnik. — Pozwólcie wyjaśnić. Po pierwsze, Lucyfer tłumaczy się jak anioł światła, prawa ręka Boga. Dla większości ludzi jest znany pod różnymi imionami. Na przykład,

Szatan albo Diabeł, do wyboru. Jest właścicielem Ziemi. Po drugie, podkreślam raz jeszcze, Sensei jest jego prawą ręką. I jego moc nie ma granic. Dla niego zginanie łyżek — to pestka. Jest zdolny do rzeczy, które wam nawet się nie śniły w najstraszniejszym śnie! I po trzecie, macie duże szczęście. Nadprzyrodzone zdolności, które chcecie osiągnąć, możecie otrzymać prawie za darmo... W zamian za jakąś duszę, o której nawet nic nie wiecie i nie odczuwacie jej obecności... Zresztą, po co ja to wszystko opowiadam, sami zobaczycie.

— Świetnie! Ale trafiliśmy — wpadła w panikę Tatiana.

— Otóż to! — prawie zachłystując się wykrzyknął Kostja. — A nie mówiłem! Nie trzeba było iść, ale nie posłuchaliście mnie. Od razu zrozumiałem, że coś tu jest nie tak. Ja też jestem durniem, bo poszedłem z wami. Co teraz robić?

Tym panicznym lękiem Kostja zaraził Sławka i powiedział do wszystkich tonem konspiratora:

— Myślę, że czas wracać.

— Gdzie? — zaszeptał Kostja. — Pamiętasz, ile razy skręcaliśmy? Płataliśmy się po jakichś zaułkach...

— A ja się nie boję! — zdecydowanie powiedział Andrzej. — Niechaj by Sensei był czarodziejem, to jest jego własny problem. Najważniejsze jest to, że umie dziesięć razy więcej ode mnie. I ja nie będę marnował okazji, żeby się tego nauczyć.

— Ja też — odpowiedziałam.

Pomyślałam półgłosem: «To wszystko mnie nie obchodzi, jeżeli to jest moją szansą na pozostanie przy życiu. Jeżeli mi się nie uda, i tak nie mam nic do stracenia. A jeśli pomoże...»

Wyszliśmy na krętą wzdłuż długiego płotu ścieżkę. W tej chwili zza chmur zaczęło przebijać się światło. Nagle obok nas duży czarny kot z palącymi się, jak dwie latarnie żółto-zielonymi oczyma wskoczył na płot. Ze strachu krzyknęliśmy i razem z Tatianą schowałyśmy się za plecami chłopców. Jednak nasi «obrońcy» również zatrzymali się i stali jak wryci. Tylko przewodnicy spokojnie kroczyli do przodu. Gienek, zobaczywszy nasze «osłupienie» powiedział tajemniczym głosem: «To dopiero początek». Kot, nie zwracając na nas żadnej uwagi dumnie, kroczył po płocie, i jak na złość, w tym samym kierunku, w którym szliśmy.

— Tfu, tfu, tfu — splunął Sławek przez lewy bark.

— Trzeba jeszcze chrzcić się — zakpił Andrzej.

— Dobrze by było — oblizwała przeschnięte wargi Tatiana. — Mówi się, że jeżeli czarny kot przebiegnie przez drogę, trzeba złapać się za guzik. Wtedy zły duch nie zauważy.

Na wszelki wypadek namacałam drżącymi rękami guzik. Nasza grupa śpiesznie dognała swoich przewodników, cały czas spoglądając na kota.

Ścieżka doprowadziła nas do niewielkiej polany. Zza chmur złowrogo wypełził ogromny pełny księżyc. To, co tam zobaczyliśmy, całkowi-

cie wstrząsnęło naszą wyobraźnią. W centrum polany, tyłem do nas, stał człowiek w czarnym ubraniu z narzuconym kapiszonem. Jego postać odbijała blade i zimne światło księżyca. Ponad nią unosił się lekki dym. Wokół panowała przygniatająca, straszliwa cisza. Na ten widok zaniemówiliśmy. W tej chwili, czarny kot skoczył prosto nam pod nogi, spinając ruchy naszych kończyn. Ostatnie, co zdążyła zrobić nasza osłupiona grupka — to instynktowne chwytanie guzików. Podskoczywszy, to bezczelne zwierzę popędziło w kierunku ciemnej postaci i ku naszemu przerażeniu, zaczęło ocierać się o jej nogi.

Od takiego przerażającego widoku zaschło mi w gardle, dreszcz przebiegł mi po całym ciele. Wbrew pragnieniu, uciec stąd dokąd czy poniosą, stałam, nie będąc w stanie nawet się ruszyć. Spojrzałam z ukosa na chłopców. Tatiana o niemalże nie wskoczyła na Kostję i wczepiła się w niego żelaznym uściskiem. Sam Kostja wyglądał jak gipsowa rzeźba. Sławek stał z otwartymi ustami i zaokrąglonymi oczyma. Nawet u Andrzeja, mimo niedawnego optymizmu, ząb na ząb nie trafiał ze strachu. Jego twarz pokryła się potem.

Gienek spojrzawszy na nas spokojnie podszedł do ciemnej postaci. Podniósł ręce do góry, a potem głośno i uroczyście przemówił:

— O wielki magu i czarodzieju, władco wszystkich narodów, którego moc, siła, władza nad wodą, powietrzem i ogniem obejmuje cały Wszechświat. Twoi wierni uczniowie wykonali



swój święty obowiązek. Przyjmij do siebie swoje zabłąkane dzieci, żeby odnowić swoją sprawiedliwą władzę i moc na całej Ziemi!!!

I Gienek uklonił się w pas. Jeszcze podczas jego przemówienia Sensei ze zdziwieniem odwrócił się.

— Słucham? — spytał. — Jaka, jaką władzę? Co ty pleciesz?

Gienek zaczął razem ze Stasiem tarzać się ze śmiechu.

— Co się stało? Dlaczego jesteście tacy radośni? — spytał Sensei, paląc papierosa. — Chłopcy, gdzie ich spotkaliście?

Dławiąc się ze śmiechu, Gienek machnął ręką w naszą stronę:

— Stoją tam... osłupiali.

— Jak to osłupiali? — nie zrozumiał Sensei, wpatrując się w ciemność. — ...Co narobiłeś?!

Ale Gienek nie mógł powstrzymać się od śmiechu, beznadziejnie machając ręką.

— Ale błazen!

— Sensei, przecież znasz Gienka — śmiejąc się z całej duszy, odpowiedział Staś.

Patrząc na tę całą sytuację, Andrzej pierwszy zrozumiał o co tu chodzi. Zdejmując rękę z guzika, odetchnął z olbrzymią ulgą.

— Dość już chłopcy — powiedział Andrzej, wychodząc z ciemności. — Ale numer. To był dobry żart, ale kto teraz będzie pracować spodnie!

Ale chłopców znów ogarnął ponowny atak śmiechu. A Sensei z uśmiechem powiedział:

— Cóż ten klaun jeszcze wymyślił?

Andrzej ze wszystkimi szczegółami zaczął opowiadać o tym, jak ten Susanin prowadził wszystkich po osiedlu, które, dzięki jego opowieściom, zmieniło się w Łysą Górę. Dołączyliśmy do jego opowieści, dodając nowych wrażeń. W końcu całą naszą kompanię razem z Mistrzem objął nieskończony atak śmiechu, będący wspomnieniem o naszych niedawnych przygodach.

— Po prostu przyszedłem dzisiaj trochę wcześniej — tłumaczył się Sensei, śmiejąc się przez łzy: — W naszym osiedlu odłączyli światło, pewnie dlatego, że zerwały się druty.

— Ale historia — głośno powiedziała Tatiana. — Mało tego, że nacierpieliśmy się od Gienka, a tu jeszcze ten kot!

Tymczasem kot, mała przyczyna naszego wielkiego strachu nastroszony ludzkim śmiechem, siedział obok.

— Przecież to Samuraj — machnął ręką Staś. — Kot Mistrza. Zawsze za nim chodzi.

— Stasiu, byłoby dobrze, gdybyś nam chociaż przy pomocy mimiki podpowiedział o co tu chodzi — uśmiechając się, powiedział Andrzej.

— Jak to? — wzruszył ramionami. — Boicie się każdego słupa, i nawet gdybym zrobił minę, długo szukałbym was po całym osiedlu.

Chłopcy zaśmiali się, wyobrażając to sobie.

— Ale — usprawiedliwiał się Gienek — żart to żart. Jak mówił Ostap Bender: «Najważniejsze — to wywołać popłoch w obozie wroga... Przecież ludzie odczuwają największy lęk przed niezrozumiałym».

— Tak — powiedział Sensei — **lęk, wzbudzony przez wyobraźnię, widzi niebezpieczeństwo tam, gdzie wcale go nie ma ...** Jest taka starożytna wschodnia przypowieść o strachu. «Jeden mędrzec spotkał na swojej drodze Dżumę i spytał: «Dokąd idziesz»? Odpowiedziała mu: «Do dużego miasta. Muszę zabić pięć tysięcy ludzi». Za kilka dni ten sam mędrzec znów spotkał Dżumę. «Powiedziałas mi, że musiałaś zabić pięć tysięcy ludzi, a zabiłaś pięćdziesiąt tysięcy» — wypomnił jej mędrzec. «Nie — zaprzeczyła mu Dżuma — zabiłam tylko pięć tysięcy, pozostali umarli ze strachu»...

Wyjaśniwszy wszystkie szczegóły tych przygód i obaliwszy mit przy pomocy śmiechu i humoru, skierowaliśmy rozmowę na bardziej poważny temat. Do naszej grupy dołączyło jeszcze trzech chłopców — Rusłan, Jurek i Wiktor (starszy senpai). Trochę później dołączył do niej również Mikołaj Andrejewicz, który okazał się psychoterapeutą. Rozmawialiśmy o energii qigong.

— A co oznacza samo słowo «qigong»? — spytał Mistrza Sławek.

— Jeżeli dosłownie przetłumaczyć to słowo z chińskiego, quigong oznacza pracę z energią powietrza, ponieważ «qi» oznacza «wiatr», «gaz», «oddech», a sylaba «gong» oznacza «pracę», «czyn», «poświęcenie».

— I ten system również wymyślili chińscy — z westchnieniem powiedział Andrzej.

— Nie zupełnie — odpowiedział Mistrz. — To

jest indyjski system samoregulacji, który przeniósł się do Chin na początku nowej ery.

— Czytałem, że quigong może być różny — jak zawsze, wstawił swoje słówko Kostja. — Tam chyba chodziło o dwie różne szkoły.

— Jest ich o wiele więcej — powiedział Igor Michajłowicz. — We współczesnym świecie istnieje wiele szkół quigongu. Na przykład, quigong konfucjański, buddyjski, medyczny, wojskowy...

— Medyczny? — zakłatało mi serce. — I co leczy?

— Liczne choroby.

— Tak więc, trzeba tylko prawidłowo oddychać? — przerwał moje kolejne pytanie Andrzej.

— Nie tylko. Trzeba jeszcze **myśleć prawidłowo**. Jest takie przysłowie «myśl prowadzi Qi, a Qi prowadzi krew». A krew, jak już wiecie, jest pogotowiem dla całego organizmu i posiada cały niezbędny zakres środków leczniczych. W starożytnym traktacie medycznym «Huang Di Neiquin» napisano jest, że myśl przebywa w stanie spokoju i jest wolna; to oznacza, że możecie opanować Qi. **Człowiek, który opanował zdrową myśl, opanował również zdrowie.**

— Krótko mówiąc, w zdrowym ciele zdrowy duch — wniosł Kostja.

— Nie zupełnie. Powiedziałbym, **w zdrowych myślach jest zdrowy duch, a w zdrowym duchu jest zdrowe ciało.**

— Pan zawsze podkreśla istotność idei o tym, że trzeba prawidłowo myśleć podczas treningów fizycznych i teraz — zauważył Andrzej. — Ale

wcześniej myślałem, że trzeba tylko prawidłowo działać. Przecież podczas wyboru tego czy innego czynu mogą być różne czyny: i dobre, i złe.

— Właśnie tutaj tracisz swój bezcenny czas na walkę z samym sobą. Nie powinieneś mieć wyboru pomiędzy złą a dobrą myślą. Ponieważ w twojej głowie w ogóle nie powinno być złych myśli. Sens najwyższego Kunsztu, Kunsztu Lotosu polega na tym, żeby nauczyć się prawidłowo myśleć, czyli «zabić w sobie Smoka», «zwyćiężyć Smoka» Słyszałeś taki wyraz?

— Tak.

— Właśnie w tym tkwi sens. **Największe zwycięstwo — to zwycięstwo nad samym sobą. Co to oznacza? To oznacza zwycięstwo nad swoimi negatywnymi myślami, zdolność do kontrolowania ich, zdolność do kontrolowania swoich emocji.** Powtarzam jeszcze raz, *w twojej głowie nie powinno być nic ne-ga-tyw-ne-go. Tylko czynniki pozytywne! Wtedy nie będziesz tracił czasu na walkę z samym sobą i twoje uczynki zawsze będą pozytywne. Przed wszystkim, wewnątrz siebie powinieneś być spokojny. Pokój i zgoda.*

— Czyli, w każdym czynie człowieka odtwarza się jego myśl? — myśląc o czymś swoim, spytał Andrzej.

— Nie tylko odtwarza się, a kieruje naszymi czynami. Przecież myśl jest materialna.

— Materialna? — z kolei zdziwił się Mikołaj Andrejewicz.

— Oczywiście. Jest bardzo cienką materią,

jeszcze nie zbadaną dość dobrze. Ale mimo to istnieje, jest rzeczywistą i jej ruch już zanotowano. Nawet obecnie przeprowadzono masę eksperymentów w zakresie fenomenu myśli. Na przykład, nadmożliwości współczesnych ludzi, takich jak Ninel Kulagina, Julia Worobjowa oraz innych. Już nie mówię o ogromnej światowej praktyce naukowej. Odpowiednie badania są przeprowadzane na całym świecie, aczkolwiek mają różne nazwy. Na przykład, w Anglii takie badania nazywają się badaniami psychicznymi, we Francji — metapsychiką, w krajach Europy Wschodniej — psychotroniką, w Stanach Zjednoczonych — parapsychologią, w Chinach — badaniami niezwykłych funkcji ciała człowieka i tak dalej.

Jeżeli sięgniecie w głąb dziejów ludzkości, znajdziecie tam sporo dowodów tego, że o tym było wiadomo już od dawnych czasów. We wszystkich mitologicznych, magicznych i religijnych systemach i koncepcjach ludzi obecna jest niezniszczalna wiara w możliwość wyobrażanego wpływu na kogoś albo coś, niezależnie od odległości, czasu i przestrzeni. Czyli, generalnie mówiąc, ta wiedza istniała zawsze.

Mikołaj Andrejewicz znów zaczął polemizować:

— Dobrze, ale pan przedstawił nam ludzi z nadmożliwościami, o których dowiedzieliśmy się niedawno. Dlaczego w Związku Radzieckim takich ludzi nie było wcześniej? Zajmuje się psychoterapią już nie jeden rok. Ale, badając psychikę różnych ludzi, ani ja, ani moi kole-

dzy ani razu nie spotykali się z takimi ludźmi. Trafiali do nas ludzie, którzy rozpowiadali różne brednie i uważali się za ekstrasensów. I nawet usiłowali coś zademonstrować. Ale to była tylko gra ich chorej wyobraźni. Prawdziwych ludzi z nadmożliwościami w Związku Radzieckim nie było.

— Jak to nie było? — zdziwił się Igor Michajłowicz. — Było, i to kilku! Od niepamiętnych czasów byli w Rosji tacy ludzie. Tylko jak ich traktowano? Za dawnych, ciemnych czasów robiono z nich świętych, ale w większości tych, którzy nie podporządkowywali się kościołowi. W zależności od zachcianek władcy palono ich na stosach albo sadzano na pal.

Tylko w drugiej połowie XVIII stulecia, po odkryciach zrobionych przez Akademię Nauk, rozpoczęto w Rosji bardziej poważne badania zjawisk życia psychicznego człowieka, w tym pod względem medycznym. I już po jakichś stu latach badania w tej dziedzinie prowadziło już wielu znanych naukowców. Na przykład, badania jednego z założycieli nauki Władimira Michajłowicza Biechtieriewa. Będąc kierownikiem carskiej Wojskowo-Medycznej Akademii, za własne środki wybudował cały instytut zajmujący się badaniami działalności mózgu oraz działalności psychicznej.

A w latach władzy radzieckiej? Praktycznie od początku jej istnienia znaczną uwagę poświęcano badaniom fenomenów mózgu i jednej z jego najważniejszych zagadek — myśli. O tym świadczy chociaż taki historyczny fakt, że te badania,

na rozkaz Włodzimierza Ilicza Lenina i pod personalną kontrolą Feliksa Edmundowicza Dzierżyńskiego, przeprowadzał oddział specjalny OGPU, który również był odpowiedzialny za ochronę tajemnicy państwowej. W ramach tego oddziału istniało nawet specjalne neuro-energetyczne laboratorium. Ta elitarna jednostka służb specjalnych wykorzystywała w swojej pracy przeróżnych znachorów, medium, szamanów, hipnotyzerów.

— Boże, po co im byli potrzebni ci «ludowi uzdrowiciele»? — szczerze zdziwił się Mikołaj Andrejewicz.

— Z tej samej przyczyny — z przyczyny ich nadmożliwości. Byli w stanie manipulować takimi wewnętrznymi siłami człowieka, które znacznie przewyższają możliwości każdej techniki. Te wszystkie zjawiska badano i przy tym bardzo poważnie! Przeprowadzano całe ekspedycje naukowe w celu poszukiwania tej wiedzy: poczynając od badania tajemnic starożytnych cywilizacji i kończąc na poszukiwaniach legendarnej Szambali.

— Szambala ... jakaś znajoma nazwa...

— Co to jest? — niecierpliwie spytał Andrzej.

— Szambala? Jest swojego rodzaju klasztorem, położonym wysoko w górach. Słynie z zespołu uczonych, którzy tam mieszkają i pod względem duchowym oraz naukowo-technicznym o wiele wyprzedzają nowoczesnych uczonych.

— Wspomniałem — powiedział Mikołaj



Andrejewicz. — Czytałem, że według podania, Szambala jest Klasztorem mędrców. Ale co to ma wspólnego z nauką? Ci naukowcy badają coś konkretnego: astronomię, matematykę czy tylko filozofię?

— W Szambale bada się pierwotną naukę «Bielao Zi», albo naukę «Białego Lotosu», która zawiera wszystkie nauki, w tym ścisłe. Ponadto, jest jedynym źródłem wszystkich nauk, kiedykolwiek badanych przez ludzkość.

Mikołaj Andrejewicz z niedowierzaniem spojrział na Mistrza.

— Co to znaczy najstarsza i pierwotna? Przecież większość nauk ścisłych pojawiło się nie tak dawno, ze dwieście, trzysta lat temu!

— Nie ma pan racji. Całą tę wiedzę dawano ludziom w celu rozwoju ich cywilizacji jeszcze w czasach głębokiej starożytności. Przed okresem znanych nam dziejów ludzkości istniały również inne cywilizacje, które osiągnęły znacznie wyższy poziom rozwoju, niż teraz. Niektóre z nich zostały zniszczone, niektóre osiągnęły Absolut. Jednak ślady ich istnienia znajdują po dzień dzisiejszy. Niech pan przeczyta o tych znaleziskach archeologicznych, o odpowiednich badaniach i sam pan zobaczy. W przyszłości ludzie będą znajdowali nawet więcej świadectw tego, co się odbywało dawno temu na kuli ziemskiej. O istnieniu takiej wiedzy piszą liczne źródła naukowe. Na przykład, piszą o podobieństwach wybuchów atomowych, których pozostałości uczeni znajdują w starożytnych warstwach gruntu, o dokładnych

mapach nieba gwiazdnego, oznaczonych planetach, które jeszcze nie odkryto, o «wimanach» — latających pojazdach i tak dalej. Czyli całą tę wiedzę dawano ludziom wcześniej i jej jedynym źródłem była Szambala.

— Tak więc o ile ta nauka wyprzedza współczesną naukę? — wyniośle spytał Mikołaj Andrejewicz, skrzyżowawszy ręce na piersi.

— O wiele — po prostu odpowiedział Sensei. — O wiele więcej, niż pan może to sobie wyobrazić. Przytoczę tu przykład, aby miał pan chociaż najmniejsze pojęcie o tej wiedzy. W tych czasach, kiedy ludzie wierzyli, że Ziemia stoi na trzech wielorybach, a Słońce obraca się wokół niej, uczeni Szambali przeprowadzali badania i eksperymenty naukowe na samym Słońcu. Współczesnej cywilizacji jest jeszcze do tego bardzo daleko, i nie wiadomo, czy w ogóle osiągnie taki poziom rozwoju... Jak myślicie, dlaczego ludzie będący na szczycie władzy szukali Szambali? Jako przykład weźmijmy znany wszystkim okres dziejów ludzkości, czyli okres panowania Aleksandra Macedońskiego, Napoleona, Hitlera, Mussoliniego, Stalina i innych. Ponieważ, zgodnie ze starożytnymi legendami i mitami różnych narodów, w Szambali została ukryta cała wiedza świata i skarby kultury starożytnych cywilizacji.

— Ciekawe, czemu poszukiwali jej sami tyrani?

— Nie tyrani, a ludzie, którzy poszukiwali nieograniczonej władzy nad światem. Ci wszyscy, co są na górze i posiadają informacje o ist-

nieniu tego klasztoru oraz o wiedzy, która jest w nim zawarta. Zdają sobie sprawę z tego, że w Szambali jest skupiona rzeczywista władza nad światem, więc wielu ludzi nadal jej szuka... Jednak sama Szambala nie dawała ludziom żadnej szansy na opanowanie całego świata. Jakby zrównoważała wszystkie siły. I jeżeli ktoś, będąc na szczycie władzy, zawzięcie dążył do realizacji swojego marzenia opanowania całego świata, po prostu ginął... Wielu z tych, co byli u władzy, podczas swojej działalności spotkało się z ludźmi Szambali, wykonując ich «prośby». Wszyscy starali się im pomóc, ponieważ nie mogli zrezygnować z okazji aby dowiedzieć się więcej, niż cała ludzkość, a to jest niemożliwe... Poza tym wiedzy Szambali poszukiwało wielu zwykłych ludzi.

— I co, czy ktoś ją znalazł? — spytał Kostja.

— Owszem. Paradoks tkwi w tym, że Szambala nigdy nie ukrywała swojego istnienia. Nie wtrąca się aktywnie do ludzkich spraw, jeżeli te sprawy nie dotyczą spraw globalnych i bardzo ważnych dla ludzkości i konkretnie dla Szambali. Ale w razie konieczności to społeczeństwo naukowe samo decyduje o tym, z kim warto wchodzić w kontakty.

— Załóżmy. Ale jeżeli ten klasztor mędrców nie ukrywa swojego istnienia, to czemu ludzie na szczycie nie byli w stanie go znaleźć? Przecież mieli wszystko: technikę, pieniądze, zasoby ludzkie? — z niedowierzaniem spytał Mikołaj Andrejewicz.

— Tak, wymienił pan wszystko, oprócz ich

nieczułego serca i chciwych myśli. Aczkolwiek najistotniejszym warunkiem kontaktu Szambali z poszukującymi tej wiedzy jest wysoki poziom moralności i czystość myśli. Posiadając, przede wszystkim, te cechy, człowiek może otrzymać interesującą go wiedzę.

Widzicie, znów wracamy do naszego punktu wyjścia. Dlaczego człowiek nie jest w stanie rozwinać tych fenomenalnych nadmożliwości świadomie, aczkolwiek ma do tego odpowiednie zasoby siły? Ponieważ ma w sobie wiele egoizmu, arogancji, chciwości, złości, zazdrości. Czyli ma za wiele cech, charakterystycznych dla zwierzęcego pierwiastka. I jeżeli spotyka się ze zjawiskami i fenomenami psychicznymi, których nie może pojąć, włącza swoją logikę, obawiając się straty imperium władzy, stworzone w świadomości człowieka na podstawie pasożytujących myśli. Czyli dla zachowania swojej władzy nad człowiekiem dąży do zdrowego rozsądku albo krytycznego uświadamiania tego, do czego potrzebna jest tylko dziecięca wiara.

Są, oczywiście, przypadki, w których człowiek odkrywa w sobie nadmożliwości, wskutek, na przykład, urazów, silnego stresu i tak dalej. Ale... jeżeli w jego świadomości przeważają jakości negatywne, to będzie to samo co neoandertalczyk znajdzie klucz rozsuwany i nie wiedząc, do czego rzeczywiście służy, wykorzysta go ze swojego negatywnego punktu widzenia, przeciwko swoim współplemiennicom.

Chłopcy uśmiechnęli się, a Gienek podstępnie spytał:

— Żeby uderzyć w głowę?

— Gorzej, w duży palec nogi. Wtedy współplemiennik w ogóle zapomni o głowie.

— A jeżeli w człowieku w tej chwili przeważa pozytywny pierwiastek? — spytałam.

— Jeżeli w człowieku przeważa pierwiastek duchowy, będzie prawidłowo odbierał nowe informacje na poziomie podświadomości, wykorzystując swoje zdolności w dobrych celach. Ponieważ w tym przypadku **wiara kształtuje wiedzę, a wiedza wzmacnia wiarę. A bez wiary nie ma cudów na świecie.**

— Ciekawa myśl — powiedział Mikołaj Andrejewicz, i chwilę później dodał: — Ciekaw jestem, czy w naszym państwie zostały przerwane badania ludzi z nadmożliwościami, podczas, gdy do władzy doszedł Stalin?

— Wprost przeciwnie. Kontynuowano je nawet po jego śmierci. I nawet dzisiaj wzbudzają ciekawość. Liczne instytuty naukowe badają ten problem.

— Hm, czytałem prace naukowe wielu różnych autorów z licznych instytutów w ramach swojej specjalizacji, ale w żadnej z nich nie poruszono tej tematyki.

— Nic dziwnego, ponieważ ten temat badań odnosi się do badań ukrytych sposobów kierowania masami ludzi. Myślę, że zdajecie sobie sprawę z tego, że są to badania zastrzeżone. Jako przykład mogę przytoczyć Leningradzki Instytut

imienia Władimira Michajłowicza Biechtieriewa. Przy okazji, sprawę Biechteriewa kontynuowała jego wnuczka Natalia Pietrowna Biechtieriewa. Więc w tym instytucie zajmują się bezpośrednio badaniami mózgu. I jednym z najważniejszych kierunków działalności tego instytutu jest badanie fenomenów psychiki człowieka.

— Ale Leningradzki Instytut jest jednym z wiodących instytutów w zakresie... — Mikołaj Andrejewicz zamarł w pół słowa, zdziwiony własnym domysłem.

Poradziwszy sobie ze wzruszeniem, dodał:

— No dobrze, jeżeli te zjawiska badano i jeżeli wzbudzają takie zainteresowanie wojskowych i inwestuje się w to takie pieniądze, to znaczy, musi mieć miejsce wielki skok naukowy w zakresie badania zjawisk psychicznych.

— Skok?! — Sensei uśmiechnął się. — Jaki może być skok na takim tle? Uczni tego instytutu dotychczas nie są w stanie objaśnić nadprzyrodzone zjawiska dotyczące tej biomasy o wadze trochę więcej niż kilogram, która się nazywa mózgowie, aczkolwiek światowi uczeni też nie są w stanie zrozumieć wszystkich jej tajemnic. Tajemnice pozostały wbrew wszystkim wysiłkom. Kosmos jest tak samo niezbadany przez ludzi, jak i mózg.

— Zgadzam się... Ale pan twierdzi, że tajemna wiedza jest dostępna dla ludzi o wysokiej moralności. Przecież nie wszyscy są zawziętymi egoistami z rozдутą manią wielkości. Biechtieriewa, na przykład...

— Ma pan absolutną rację. Jeżeli śledzicie uważnie pracę akademika Biechtieriewej jako osobowości i uczoney, zobaczycie, że badając mózg człowieka, dochodzi do wniosku, że posiada tylko małą część wiedzy o jego możliwościach. I tym nie mniej, im głębiej bada mózg, tym bardziej, uwzględniając złożoną budowę i wszechstronność mózgu, skłania się do idei o jego niezwykłym pochodzeniu, czyli do prawdziwego pierwszego źródła. I jestem pewien, że wkrótce oświadczy o tym publicznie. W taki sam sposób, co i wielcy uczeni z całego świata, nie tylko badacze ludzkiej psychiki ale też przedstawiciele innych nauk przyrodniczych. Na przykład, Einstein, Tesla, Wernadski, Cyłkowski i inni wielcy uczeni. Ta lista uczonych jest na prawdę długa i nie sposób jest wymienić wszystkich. Ale ci uczeni doszli do wniosku, że człowiek jest stworzeniem unikatowym i bardzo zagadkowym, że on w żaden sposób nie mógł się urodzić na Ziemi i przejść ewolucję od jakiegoś tam wymoczka!

Staliśmy w milczeniu, trochę przerażeni tym, co usłyszeliśmy.

— Tak więc, siła niezwykłych, fenomenalnych ludzi jest ukryta wyłącznie w ich myślach? — spytał Kostja.

— Masz rację. **Myśl jest realną siłą. O wiele większą, niż człowiek może sobie wyobrazić.** Myśl jest zdolna poruszać całe planety, stwarzać i burzyć całe galaktyki, i ten fakt został potwierdzony przez samego Boga.

Mikołaj Andrejewicz uśmiechnął się i ironicznie powiedział:

— Bardzo przekonująca odpowiedź, najważniejsze, że nie w sposób jej zaprzeczyć.

— Coś podobnego?! — z kolei, wyraził powszechne zdziwienie Andrzej. — Więc dlaczego nie odczuwamy tej wielkiej siły w sobie samych?

— Ponieważ nie wierzycie w nią.

— Ale numer! Wszystko, co było takie skomplikowane na początku ma prosty koniec? — zapytał Kostja.

— Trudno, taka jest natura poznania — z uśmiechem odpowiedział Sensei.

— Chwileczkę, ale jak to — nie rozumiał Sławek — jeżeli odczuję taką siłę, to nie uwierzę w nią?

— Cała szuka polega na tym, że należy najpierw uwierzyć, a potem odczuć.

— A jeżeli uwierzę, ale nie odczuję — nie uspokajał się Sławek. — Co wtedy?

— Jeżeli uwierzysz, to naprawdę odczujesz — odpowiedział Sensei i dodał: — Można o tym długo dyskutować, ale czas na medytację.

— A co to jest medytacja? — spytała Tatiana. — Czytałam, że to trening psychiczny w stanie transu. Ale co to naprawdę jest, nie rozumiałam...

— Najprościej mówiąc, zwykła medytacja jest treningiem myśli, a już bardziej głęboka praktyka duchowa jest treningiem ducha.

— A więc duch i myśli to nie to samo? — znów wtrącił się do rozmowy Kostja.



— Nie.

Zauważyłam, że kot, który siedział niedaleko, zaczął kręcić się na miejscu, usiłując usadowić się wygodniej.

— Zaraz przeprowadzimy niewielki seans medytacji w celu koncentracji uwagi, żeby nauczyć się kierować energią Qi. Ale przed tym chciałbym powtórzyć dla tych, kto dołączył do nas później. Oprócz materialnego ciała człowiek ma też «ciało» energetyczne. «Ciało» energetyczne składa się z aury, czakranów, kanałów energetycznych, południków, specjalnych zbiorników do gromadzenia energii. Każdy ma swoją nazwę. Będę zapoznawać was z nimi w toku całego seansu, w zależności od medytacji.

— Co to jest czakran? — spytałam.

— Czakran — to bardzo mały punkt na ciele człowieka, przez który wchodzi i wychodzi do niego różne rodzaje energii. Pracuje, żebyście lepiej zrozumieli, jak diafragma w aparacie fotograficznym, widzieliście?

Twierdząco kiwnęliśmy głowami.

— Czakran tak samo błyskawicznie otwiera się i również błyskawicznie zamyka się.

— I co, cała energia w ciągu tego momentu opuści ciało człowieka? — zdziwił się Sławek.

— Tej energii nie ma całe wiadro. Przecież człowiek jest stworzeniem energetycznym i materialnym, w którym materia i energia istnieją zgodnie z własnymi prawami i czasem, są ściśle powiązane i przebywają w stanie wzajemnej zależności... Są jeszcze pytania? — Wszy-

scy milczeli. — Więc zaczynamy. Teraz waszym zadaniem jest nauczyć się odczuwać w sobie ruch powietrza, ruch energii Qi. Uważacie, że świetnie samych siebie rozumiecie i odczuwacie. Ale jestem pewien, że nie możecie teraz zobaczyć, na przykład... palców swoich nóg. Dlaczego? Ponieważ nie macie wewnętrznego wzroku. Wewnętrzny wzrok, jak i wewnętrzne doznanie, trzeba trenować regularnie, podczas codziennych zajęć. Tak więc zacznijmy z najprostszego, najbardziej elementarnego ćwiczenia. Spróbujemy nauczyć się kontrolować myśl i doznania: wywoływać je i kierować nimi.

Proszę stanąć wygodnie, rozluźnić się... Uspokójcie wasze emocje. Możecie zamknąć oczy, żeby nic nie odwracało waszej uwagi. Rozpuśćcie swoje myśli i problemy życiowe w pustkę...

Kiedy tylko usłyszałam te słowa, od razu przypomniałam sobie o całej kupie drobnych domowych spraw. «To ci dopiero! Ale aroganckie myśli — pomyślałam. — Mówię wam, rozpuszczajcie się. Znow spróbowałam o niczym nie myśleć.

— Skupcie się na koniuszku waszego nosa...

Z zamkniętymi oczyma usiłowałam «zobaczyć» koniuszek mojego nosa, w większym stopniu kierując się wewnętrznymi doznaniem. Odczułam w oczach jakieś napięcie.

— Swobodnie, powoli wdychamy. Najpierw dolną częścią brzucha, potem brzuchem, piersią, podnosząc ramiona... Na moment zatrzymujemy oddech... Powolny wydech... Wewnętrzny

wzrok skupiamy wyłącznie na koniuszku nosa... Powinniście odczuwać, wyobrażać, czuć, że wasz koniuszek nosa jest jak mała lampka albo mały płomyk, który rozpala się podczas każdego waszego wydechu... Wdech... wydech ... Wdech... wydech... Płomyk zapala się mocniej i mocniej...

Najpierw odczułam lekkie pieczenie i klócie w jamie nosowo-gardłowej. Miałam takie wrażenie, że wypełniono mnie czymś materialnym, niby dzban z wodą. Potem odczułam, że w miejscu, w którym jest koniuszek nosa, w ciemności zjawił się zarys jakiejś małej purpurowej plamki z jej odległymi wewnętrznymi fragmentami. Ale na początku nie mogłam się wystarczająco skupić. Wreszcie udało mi się ją złapać i odczułam, że zaczęło rozjaśniać się od wewnątrz. Przy tym podczas wdechu światło robiło się węższe, a podczas wydechu — bardziej szerokie. Kiedy dostosowałam się do takiego oddechu, usłyszałam słowa Mistrza.

— Teraz przenieście swoją uwagę na inną część medytacji. Trochę wzniescie ręce dłońmi do ziemi. Robimy zwykły wdech: przez dolną część brzucha, brzuch, pierś. Ale wydychamy przez ramiona, ręce, ku centrum waszych dłoni, w których są czakrany rąk. I przez nie do ziemi. Wyobraźcie sobie, że coś się przelewa przez wasze ręce, energia Qi czy światło albo woda, następnie wlewa się do ziemi, wychodzi. Ten strumień wznosi się od dolnej części brzucha do piersi i rozdziela się na dwa ruczaje, cieknie przez

ramiona, ręce, dłonie i wpada do ziemi. Skupcie całą waszą uwagę na odczuwaniu tego ruchu ... Wdech... wydech ... Wdech... wydech ...

Przez głowę mi przemknęła myśl: «Co oznacza oddychać przez ręce? Jak to?» zaczęłam nawet panikować. Sensei, widocznie czując moje zakłopotanie, podszedł i podniósł swoje dłonie do moich, nie dotykając skóry. Po pewnym czasie moje dłonie się rozgrzały, jak piece, rozpowszechniając ciepło od centrum do peryferii. I najdziwniejsze w tym wszystkim jest to, że rzeczywiście wyczułam, jak przez moje ramiona płyną małe ciepłe strumienie. Gubiły się gdzieś około łokci, ale dobrze odczuwałam ich wyjście przez dłonie. Pochłonięta przez moje nowe doznania, nawet nie zauważyłam, że Mistrz odszedł. «Ale cud! — pomyślałam i zadałam sama sobie pytanie. — Jak to robię?» Kiedy pograżyłam się w swoje myśli, odczucie strumieni zniknęło. Musiałam znów się skupić. Generalnie, radziłam sobie ze zmiennym powodzeniem. Po kolejnej mojej próbie znów usłyszałam głos Mistrza.

— Połączycie dłonie przed sobą. Ściśnijcie je mocno, żeby czakrany rąk się zamknęły i ruch energii się przerwał. Zróbcie dwa głębokie, szybkie wdechy — wydechy... opuśćcie ręce, otwórzcie oczy.

Po medytacji, kiedy wszyscy zaczęli dzielić się wrażeniami, zrozumiałam, że każdy z nas miał swoje własne doznania. Na przykład, Tatiana nie widziała «płomyka», ale odczuła jakiś ruch po rękach. Andrzej odczuł dreszcze w nogach

i lekkie zawroty głowy. Kostja, wzruszywszy ramionami, powiedział:

— Nie odczułem nic specjalnego, tylko jakieś dreszcze. Ale to jest całkiem normalna reakcja przesycenia organizmu tlenem.

— Po trzecim, czwartym wydechu — tak — odpowiedział Mistrz. — Ale najpierw, bezpośrednio przed rozpoczęciem ruchu energii Qi, odbywa się fiksacja myśli przez mózg. I jeżeli przysłuchacie się samym sobie, rozluźnicie się i zrobicie głęboki wdech, od razu odczujecie rozpieranie albo dreszcze w głowie, czyli w niej rozpocznie się pewien proces. I to jest właśnie to, co trzeba zrozumieć, to, co tam się rusza, i nauczyć się nim kierować.

— Dlaczego mnie nic się nie udało? — spytał rozdrażniony Sławek.

— A o czym myślałeś? — półzartobliwie spytał go Sensei.

Z opowieści chłopca wynikało, że sam nie wiedział, czego ma się spodziewać, chyba że jakiegoś cudu. Sensei na to odpowiedział:

— No właśnie, nie otrzymałeś, ponieważ skupiałeś swoje myśli nie na tym, żeby pracować nad sobą, a na spodziewaniu się jakiegoś nadzwyczajnego cudu. Ale cudu nie będzie dopóki sam go nie stworzysz... Nie trzeba czekać na coś nadzwyczajnego tylko dla tego, że będziesz prawidłowo oddychał albo nad czymś się skupiał. Nie. **Najważniejszy cud — to ty sam, cud, że jesteś Człowiekiem!** Do czego sprowadza się wielka sztuka duchowa? Do tego, żeby czło-

wiek stał się człowiekiem, żeby stale budził się i przypominał sobie tę wiedzę, którą przekazano mu wcześniej. Te medytacje są tylko jednym ze sposobów obudzenia się po śpiączce i przypominania sobie tego, co jest ukryte i zapomniane, tego, co kiedyś umiałeś i wiedziałeś, i tego, jak to wykorzystywać.

— Jak to wiedziałem? — nie rozumiał Sławek.

— Właśnie, wiedziałeś. Na przykład, każdy człowiek umie czytać, pisać, liczyć, jeżeli, oczywiście, jest normalnym człowiekiem, bez dewiacji psychicznych. Tak?

— Tak.

— Ale trzeba go najpierw nauczyć. Następnie już po prostu się czyta, liczy i tak dalej. Czyli, on już dokładnie wie, że jeden plus jeden — to dwa, dwa razy dwa — to cztery. Potem to wydaje się takie proste i rzeczywiste! Ale przecież najpierw go nauczono, on to wszystko po prostu wspominał. To są jego ukryte, podświadome możliwości. Albo podam wam następny przykład, bardziej prosty i związany z poziomem fizjologii. Człowiek, który nie umie pływać, na pewno utonie w basenie. Aczkolwiek, już niejednokrotnie udowodniono drogą przeprowadzania porodów w wodzie, że kiedy nowonarodzone dziecko zanurza się do basenu, pływa jak jakieś zwierzę. A więc, już ma te refleksy? Tak, ma. Ale potem po prostu je zapomina. Tak samo i człowiek, który ma wiele umiejętności, o których istnieniu nawet nie wie.

Ale... to wszystko pracuje tylko na podstawie pozytywnego czynnika. Lecz jeżeli ktoś ma merkantylistyczne motywy, na przykład, żeby kogoś oszukiwać albo skierować tę energię przeciwko komuś na odległość, albo ktoś będzie gnać łyżki i brać za to pieniądze, nic z tego nie wyjdzie. Tylko wtedy kiedy człowiek nauczy się kontrolować swoje myśli, przemieni się na człowieka z wielkiej litery, i tylko wtedy coś będzie mógł.

— Tak więc, praktyki duchowe są środkiem przebudzenia się człowieka? — spytał Andrzej.

— Masz rację. Praktyki duchowe są tylko narzędziem dla reperowania swojego umysłu. Wynik zależy od tego, w jaki sposób będziesz wykorzystywał to narzędzie. Czyli wszystko zależy od pragnienia i umiejętności samego mistrza. Aby nauczyć się trzymać w rękach to narzędzie, należy nauczyć się kontrolować swoją myśl, skupiać się, widzieć przy pomocy wewnętrznego wzroku. W naszym przypadku trzeba nauczyć się kontrolować swój oddech, odczuwać, że oddychasz przez czakrany rąk. Trzeba nauczyć się wywoływać odpowiednie doznania, żeby następnie kierować wewnętrzną, ukrytą energią.

— A ja uważam, że to jest halucynacja — wstawił słówko Kostja.

— Owszem, halucynacja, jeżeli będziesz ją postrzegać jako halucynację. Jeżeli będziesz traktował tę energię jako realną siłę, naprawdę przetworzy się w realną siłę.

— Dziwne, ale dlaczego?

— Ponieważ, powtarzam, myśl kontroluje

czynność. A energia właśnie jest tym czynem. I to wszystko. To jest bardzo proste.

Po krótkim milczeniu Mikołaj Andrejewicz spytał:

— Czy z punktu widzenia psychologii jest to czynnik obiektywny czy też doznanie subiektywne? Ja, na przykład, dobrze odczułem koncentrację na koniuszku nosa. Ale ruch po rękach już odczuwałem tylko częściowo, tylko tam, gdzie skupiałem uwagę.

Sensei zaczął objaśniać psychoterapeucie, wykorzystując przy tym jakieś specyficzne terminy, których nie rozumiałam, znane z ich zawodowej leksyki. Zrozumiałam z ich rozmowy, że dyskutowali o problemach ekstrasensoryki oraz na temat leczenia różnych chorób. Ten ostatni bardzo mnie zainteresował.

Podczas tej dyskusji, kiedy inni chłopcy słuchali, Sławek przyglądał się swoim dłoniom. I kiedy w rozmowie nastąpiła mała przerwa, zapytał:

— Coś nie zrozumiałem o tych czakranach. Mówił pan, że powinny tam być otwierające się punkty. Ale tam nic nie ma!

Starsi chłopcy zaśmiali się.

— Oczywiście — odpowiedział Sensei. — Wizualnie nic podobnego tam nie zobaczycie.

Gienek, który stał z tyłu Sławka, nie wytrzymał, potarł jego rękę, jak lekarz i spytał go poważnym tonem:

— Tak, panie pacjencie? Widzi pan tam tam kości i żyły?



— Nie — wciąż nie rozumiejąc powiedział Sławek.

Gienek mlasnął i smutnie powiedział:

— Jest beznadziejny!

Chłopcy zaśmiali się.

— Rozumiesz, czakrany — to pewne strefy na ciele człowieka — cierpliwie objaśniał Mistrz — mające podwyższoną wrażliwość na ciepło. Oczywiście, że ich nie widać, ale ich obecność można zarejestrować przy pomocy nowoczesnych przyrządów. Dla uczonych, również jak i dla ciebie te strefy są na razie zagadkami: te same komórki, te same związki, ale podwyższona wrażliwość. Dlaczego? Dlatego, że są tam czakrany. A już czakran jest związany z ciałami astralnymi, czyli z bardziej dogłębną fizyką. Myśl jest ogniwem łączącym astralne i materialne ciała. Dlatego ważne jest nauczyć się kontrolować myśli... Właśnie wtedy będziesz umiał rozprowadzać energię Qi po całym swoim ciele.

Dalej do rozmowy dołączyli starsi chłopcy, omawiając swoje doznania związane z medytacją. Na końcu naszego spotkania Sensei kazał Gienkowi i Stasiowi odprowadzić nas na przystanek i wsadzić do autobusu.

— I żadnych sztuczek — patrząc srogo, pogroził Sensei Gienkowi.

— Tak jest — zameldował Gienek — tak jest, żadnych sztuczek!

Sensei beznadziejnie machnął ręką. Wtedy cała nasza grupa zaśmiała się i wyruszyliśmy ku ścieżce. Mistrz zawołał kota. Ale kot dum-

nie poszedł w innym kierunku. Sensei usiłował go dogonić i złapać, ale nie miał żadnych szans. Ten spryciarz wskoczył do najbliższych krzaków. Przykucnąwszy, Sensei usiłował go stamtąd wyciągnąć. Korzystając z jego zakłopotania, podeszłam do Mistrza, pomagając mu złapać kota.

— A może pan stawiać diagnozę.., — nie zdążyłam skończyć, a Sensei już odpowiedział.

— Chciałaś mi powiedzieć o swoim guzie w głowie, słoneczko moje... Samurai! Jeszcze tu mi stawiasz opór. Ale cwaniak. Wyłaż no stąd!

«Skąd wie!» — byłam wręcz zdumiona. I uskrzydłona nadzieją, pomyślałam: «Skoro już wie o nim, być może pomoże mi uporać się z nim!» Tymczasem Igor Michajłowicz zapytał:

— A jaką diagnozę stawiają ci eskulapi?

— Rodzice mówią, że nic poważnego, coś z naczyniami. Ale z tego, co zrozumiałam z rozmowy między matką a profesorem, mam nowotwór w mózgu. I nie wiadomo, co będzie potem.

— Mocny argument — odpowiedział Sensei otrząsając ręce i spoglądając w stronę krzaków, powiedział: — Dobra, siedź tu ile chcesz. Kiedy zmarzniesz, wtedy sam do mnie przyjdiesz!

Chłopcy, zauważywszy «zmagania» Mistrza z kotem zaczęli wracać, proponując swoje usługi w zakresie łapania kota.

— A niech go! — machnął ręką Sensei. — Sam przybiegnie do domu.

Ku mojemu pełnemu rozczarowaniu, ten niewielki okres czasu, który można było wykorzy-

stać dla rozmowy, przeszliśmy z Mistrzem w milczeniu, dołączając do pozostałych. Czekałam na jakąś jego reakcję, coś w rodzaju współczucia, jakiejś nadziei na pomoc w leczeniu. Ale daremnie myślałam, że lada chwila coś powie. Odpowiedzią na wszystko była cisza. W moim sercu tliła się malutka nadzieja, że usłyszę chociaż aluzję rady albo wsparcie moralne podczas wspólnej rozmowy z chłopakami. Mistrz po prostu szedł i żartował razem ze wszystkimi, opowiadając jakieś anegdoty wywołujące śmiech grupy. To rozwścieczyło mnie nie na żarty.





**C**iałą drogę złościłam się. A w domu po prostu nie znajdowałam sobie miejsca. «Wszystko stracone, wszystko stracone! — lamentowałam w myślach. —

Zjawiała się malutka nadzieja i raptem znów wszystko runęło. Nudziło mnie wszystko, absolutnie wszystko. Wszystko na tym świecie jest bez sensu! Nie mogę tak dłużej, po prostu nie mam już sił. Do diabła z tym wszystkim, z tą walką o życie, z głupią nauką, z treningami dla myśli, z obojętnym Mistrzem. Koniec i tak będzie ten sam!»

Przez jakiś czas moja wyobraźnia już rysowała straszliwy i wywołujący dreszcze obraz mojego własnego pogrzebu, gorzkie łzy matki, bliskich i przyjaciół. Wyraźnie wyobrażałam sobie, jak w moją trumnę wbijają gwoździe i po opuszczeniu do mokrej jamy, zasypują ją ziemią. A dookoła przygniatająca cisza, pustka i beznadziejność. I tyle!

A co dalej będzie tam, na górze, gdzie burzy się życie, jak pełna wody rzeka? I tu moja wyobraź-

nia rysowała już inny obraz. Wszystko było jak zawsze, nic się nie zmieniło. Rodzice, jak zwykle, chodzili do pracy. Przyjaciele uczęszczali na zajęcia, na ich twarzach świeciła się radość życia, wesoły śmiech łał się z ich ust razem z nieskończonymi żartami. A Sensei, jak zawsze, przeprowadzał swoje ciekawe treningi, demonstrując i opowiadając zdumionym chłopakom ich własne możliwości.

Nic się nie zmieniło na tym świecie! Tylko że mnie tu nie będzie. Na tym właśnie polega cały sens, obraza i nieszczęście. To była tylko moja własna tragedia. I generalnie rzecz biorąc, moje myśli, doznania, wiedza i całe moje życie nikomu nie są potrzebne i nikogo nie przejmują, oprócz mnie samej. Urodziłam się w samotności i umieram w samotności. Więc w czym jest sens takiego istnienia? Po co ludzie w ogóle przychodzą na świat? Dlaczego człowiekowi daje się życie?

Właśnie taki «kisiel» z filozofii życia i głównie, filozofii strachu przed śmiercią wypełniał moją głowę. Ogarnęła mnie straszna chandra, szybko przekształcająca się w depresję. Przy tym szybko «zwiędłam» pod wpływem swoich gniotących myśli w ciągu zaledwie doby. Moje zdrowie znacznie się pogorszyło, znów miałam straszne bóle głowy, opuszczałam naukę i wszystkie zajęcia w kółkach szkolnych, w tym moje ulubione tańce. Już nic nie było dla mnie ważne na tym świecie. Ale...

Nadchodził czas kolejnego treningu. I mimo zewnętrznej burzy negatywnych emocji gdzieś

głęboko wewnątrz mnie pozostawało stałe i niezmiennie uczucie pewności siebie i pełnego spokoju. Właśnie przez to uczucie sprzeczałam się sama ze sobą, czy mam iść na trening, czy nie? I właśnie to wewnętrzne uczucie z jakiejś przyczyzny najwięcej mnie drażniło.

Decydujące słowo w moich zmartwieniach należało do chłopców, którzy całą grupą wpadli do mnie do domu. Przed tym nawet nie pomyślałam, żeby się zebrać na trening. Ich zaraźliwy śmiech, omawianie ogólnych problemów oraz wymiana wrażeń o tym, jak medytowali w domu, oderwały mnie od smutnych myśli i trochę polepszyły humor. W końcu chłopakom udało się wyciągnąć mnie z mojego «cementarza» na trening, kiedy nazwali mnie zatwardziałą symulantką. A Andrzej przeczytał mi całą lekcję o tym z wymownymi przykładami, i ogłosił swój wniosek:

— Jeszcze rozumiem, że można zrezygnować z nauki. To jest zrozumiałe, bo nauka jest nudna. Ale trening?! Przecież jest prawdziwą przygodą, o której nie przeczytasz w żadnej książce i nie zobaczysz w żadnym filmie! Przecież jest bardzo ciekawy i poznawczy! Jesteś śpiochem i mówisz mi tu «nie chcę, nie pójdę». Prześpisz tak wszystkie najlepsze lata swojego życia i nie będziesz miała nic do wspomnienia.

«Uhm — ponuro pomyślałam. — Jeżeli to «potem» kiedyś nadejdzie».



**J**ak zwykle, przybyliśmy do hali sportowej wcześniej. Po przywitaniu się z Mistrzem chłopcy pobiegli do szatni. Bez chęci powlokłam się za nimi, opuściwszy głowę. I tu raptem usłyszałam głos Mistrza.

— Jednak zwyciężyłaś samą siebie!

Nawet się pogubiłam i ze zdziwieniem spojrzałam mu w oczy. W jego uważnym spojrzeniu zobaczyłam niezmienną życzliwość i współczucie. I jak zawsze, nie dając czasu na dojsście do siebie, dodał:

— No idź już, przebieraj się.

Tymczasem, po przywitaniu się, podeszła do niego nowa grupa chłopców. Zaczęli mu opowiadać o jakichś swoich problemach.

«To ci dopiero! — pomyślałam. — Czy wiedział o moich myślach, wątpliwościach i udrękach?! Ale jeżeli wiedział, to może to jest normalne i tak powinno być? Pochwalił mnie, czyli jeszcze nie wszystko jest stracone». Tym nie mniej, słowa Mistrza zadziałały, jak eliksir młodości na staruchę. Szybko pobiegłam do szatni i już zapo-

mniałam, że chwilę przed tym ledwie plotłam się wyczerpana i zmęczona przez życie.

— Dokąd tak się śpieszysz? — ze zdziwieniem spytała mnie Tatiana, patrząc na tę szybkość, z którą ubierałam się w kimono. — Dopiero co umierałaś z wyczerpania, a teraz niesiesz się z całej siły do hali sportowej.

— Ah, Tatiano! — uśmiechnęłam się. — Andrzej miał rację, pytając nas, czy to my mamy się smucić.

I patrząc na jej zdziwiony wyraz twarzy, dodałam:

— Spieszę się żyć, «żeby nie bolało mi z przychyny marnie przeżytych ...»

Tatiana zaśmiała się, a ja wyskoczyłam do hali sportowej i z przepelniającym mnie uczuciem burzliwej działalności dołączyłam do pozostałych rozgrzewających się uczniów. Szczerze mówiąc, sama nie oczekiwałam takiego pędu w moim gasnącym ciele. I skąd to wszystko wzięło się?

Kiedy do treningu pozostawało pięć minut, Gienek, który ćwiczył razem ze Stasiem, spojrział w stronę drzwi i rozplynał się w szerokim uśmiechu.

— Ale numer, kogo ja widzę! Jacy ludzie w naszych progach — wzruszył ramionami.

Do hali wszedł mocny chłopak o niewielkim wzroście, energicznej twarzy i wojskowej sylwetce. Po usłyszeniu zdziwionego głosu Gienka inni chłopcy też obrócili się twarzą do wejścia. Sensei razem ze starszymi chłopcami podszedł do niego:



- Witaj, Wołodja!
- Bardzo się cieszymy!
- Miło cię znów widzieć!

Kiedy zachwyty w związku z powrotem trochę ucichł, Sensei zapytał:

— Jak twoja wycieczka do ciepłych krajów? Pogrzałeś trochę koście na uzdrowisku?!

— Tak, trochę się usmażyłem. Do diabła z nimi, z takimi wycieczkami. Jak się mówi, nie miałem problemów, ale szefowie pomogli.

— Co się stało? — spytał Gienek.

— Nie oglądasz telewizji, wieśniaku — z uśmiechem powiedział Staś.

— Co takiego? Jaka tam telewizja? Żebyś wiedział, że u nas na wsi wszystkie nowości rozpowszechniają się tylko ustnie. A jeżeli ktoś nie rozumie, bije się go pięścią w ucho i od razu zaczyna wszystko rozumieć. Tak się to robi!

Chłopcy zaśmiali się. A Gienek zwrócił się do Wołodji, już przyjmując rolę księdza:

— Powiedz mi, synu, powiedz szczerze o cierpieniach swoich za siedmioma morzami, o sprawach bolesnych. Niech dusza twoja dozna ulgi.

— Gienku! Złego kościół nie naprawi — odpowiedział Wołodja, śmiejąc się razem ze wszystkimi, i dodał bardziej poważnym tonem: — Co tam mówić, ci czarni kłóca się, nie mogą podzielić działki ziemi... Takie uzdrowisko zepsuli!

— Tamci mogą zrobić burzę w szklance wody — zgodził się Wiktor. — Mają to we krwi.

— Tak — przeciągłym głosem dodał Gienek —

nie minął lud kąpieli krwawej, nie minął... Też się chyba bałeś?

— Ja już się przyzwyczaiłem. To nie jest po raz pierwszy — śmiesznie przedrzeźniał go Wołodja.

— Dobra chłopcy, jeszcze pogawędzimy — Mistrz zatrzymał ten nieskończony potok wzajemnych wrażeń. — Idź się przebrać, już pora zacząć trening.

Rozgrzewkę przeprowadziliśmy szybko, z umiarkowanym obciążeniem. Zwróciłam uwagę na to, że Wołodja mimo że był przysadzisty, poruszał się miękko i lekko, jak śnieżny bars. Kiedy podstawowa grupa skończyła rozgrzewkę, Wołodja z «szybkimi chłopakami» zaczął o czymś rozmawiać z Mistrzem. Skończywszy swoje ćwiczenia też dołączyliśmy do nich, wnikając w treść rozmowy.

— Czy można było coś z tym zrobić? — zawzięcie spierał się Wołodja. — Musieliśmy pracować głównie w nocy, w pełnej ciemności, często w piwnicach. Nie mogliśmy tam świecić latarką czy nawet zapalić, od razu dostawaliśmy kulę. Sporo chłopców tak zginęło! Musisz strzelać przy każdym hałasie w ciemności.

— Ale musieliście mieć specjalistyczny sprzęt, pozwalający wam widzieć w nocy, — powiedział Staś.

— Taki sprzęt to tylko w kinie pokazują. Ale w rzeczywistości, może w «Alfie» i jest taki sprzęt, ale skąd my go mogliśmy mieć?

— A po co ci specjalistyczny sprzęt? — wzru-

szając ramionami, powiedział Sensei. — Człowiek jest bardziej doskonały od jakiegoś tam żelastwa.

Wołodja pomyślał i po chwili powiedział:

— I czego ja tam nie robiłem. Na początku zamykałem oczy, żeby wzrok się przyzwyczaił. Próbowaliśmy też z chłopakami ćwiczyć słuch w ciemności. Ale marnie. W każdym wypadku czynnik zaskoczenia sprowadzał całe nasze wysiłki do zera, mimo to, że wszyscy czuwali.

— Wzrok i słuch nie mają z tym nic wspólnego — konstatował Mistrz. — Każdy człowiek posiada zdolność do zmysłowego postrzegania, dzięki której możesz kontrolować otaczającą przestrzeń na takiej odległości, na której sobie życzysz.

Wołodja z ożywieniem spojrzał na Mistrza:

— Sensei, pokaż nam — powiedział z uśmiechem, przyciskając dłoń do serca, i dodał: — Moja dusza stęskniła się za twoimi przykładami.

Sensei uśmiechnął się i machnął ręką, zgadzając się:

— Dobra, kamikadze, dawaj...

Wołodja wraz z innymi chłopcami opracował cały plan, jak zdeorientować Mistrza. Tymczasem hazard tego niezwykłego popisu już pochłoniął całą grupę. Ktoś przyniósł gruby szalik, żeby zawiązać mu oczy, niejednokrotnie sprawdzając jego nieprzepuszczalność światła. Inni dyskutowali, jakie trzeba stworzyć efekty dźwiękowe i drgania powietrza. Nasza grupa z ciekawością obserwowała ten proces, stojąc razem ze Stasiem.

— Kim jest ten Wołodja? — spytał go Andrzej.  
— Wołodja? Jest przyjacielem Mistrza. Jest jednym z jego dawnych uczniów.

— A jak od dawna uczy się u Mistrza?

— Już piąty rok. Kiedy trafiłem do Mistrza, Wołodja dopiero co wrócił z wojska. Ale ćwiczył u Mistrza jeszcze przed wojskiem.

— Poważny chłop, prawdziwy sportowiec — zauważył Andrzej.

— Też tak uważam. Wołodja jest mistrzem sportu z sambo. Służył w wywiadzie w piechocie morskiej. A po wojsku — w organach MSW.

— A gdzie teraz pracuje? — spytałam.

— Teraz zajmuje się przygotowaniem jakiegoś niedawno stworzonego oddziału specjalnego przeznaczenia.

I po chwili milczenia dodał:

— Jeszcze ten gagatek!

Cały nasz duży zespół pod dowódctwem Wołodji rozmieścił się po brzegach hali sportowej, tworząc ogromny krąg. Sensei wszedł do jego środka. Wołodja sam zawiązał mu oczy, starannie zakrywając wszystkie możliwe szczeliny. Po takim przygotowaniu schował się w tłumie. I tu Sensei stanął i przyjął jakąś dziwną pozę. Poza ta podobna była do pozy pielgrzyma, opierającego się o wyobrażany kij.

— To ci dopiero! — z zachwytem powiedział Gienek, pocierając ręce w oczekiwaniu czegoś niesamowitego: — Zaraz będzie coś ekstra.

— Dokładnie — potwierdził Staś, uważnie patrząc na Mistrza.

— Ale co to za postawa? — ciekawym głosem zapytał Andrzej.

— Jeżeli się nie mylę, to postura ze stylu «Stary lama» — cicho odpowiedział Staś.

— Jakoś nigdy nie słyszałem o tym stylu.

— Hm, wątpię, że kiedykolwiek usłyszysz. Jest to bardzo stary i już martwy styl. Jak mówił Mistrz, zapomniano o nim jeszcze przed Chrystusem. Do naszych dni przetrwało tylko żałosne podobieństwo tej szkoły. W Chinach jest znany pod nazwą «Smok».

— Ależ — zdziwił się Andrzej — żałosne podobieństwo! O ile wiem, styl «Smoka», jest najmocniejszym stylem, ponieważ zawiera w sobie mądrość i siłę wszystkich szkół sztuk walki ...

I po kolejnym spojrzeniu na Mistrza, dodał:

— A skąd znasz ten styl?

— Miałem okazję zapoznać się z tym stylem dwa lata temu. Jacyś turyści przyjechali do nas. Wtedy Sensei demonstrował wszystkim styl «Stary lama». To był popis, nie sposób było odebrać wzroku!

Po takiej reklamie, żeby nie przepuścić czegoś nadzwyczajnego i dla własnej historii skierowaliśmy całą swoją uwagę na Mistrza. Tymczasem Wołodja podał sygnał, po czym cały nasz zespół zaczął głośno hałasować, klaskając dłońmi i głośno tupając nogami.

Pod taką zasłoną Wołodja zaczął zbliżać się do Mistrza, obchodząc go w kierunku wskazówki zegara. Jego ruchy były lekkie i miękkie. Stapał niby pantera, przed skokiem, podchodząc bliżej

i bliżej do ofiary. Wołodja lekkim półkrokiem podszedł do Mistrza z tyłu od prawej strony i zaczął nanosić mu w głowę uderzenia mowasi-gari. Sensei praktycznie jednocześnie odstawił do tyłu prawą nogę, a jego prawa ręka zgrabnie kreśląc łuk krawędzią dłoni błyskawicznie i lekko dotknęła twarzy Wołodji. Dotknęła niby lekkie piórko, a nie mocno uderzyła, jak na to oczekiwałam. Sądząc po tym, co z ogromnym zdziwieniem zobaczyliśmy później, dotyk ten wcale nie był dotykiem ani przypadkowym, ani błędnym. Wszystkie ruchy zostały wykonane lekko, swobodnie i wyjątkowo dokładnie. Co dotyczy Wołodji, to po tym lekkim dotyku poleciał tak, jakby strzelili do niego z armaty. Jego nogi wleciały do góry, a on sam zrobił koziołka i z hukiem upadł na podłogę. W hali zapanowała całkowita cisza. Wołodja poruszył się, siadając na podłodze. Tłum odetchnął z ulgą, a potem zaroilo się jak w ulu.

— Jakim cudem on tak upadł? — spytał Andrzeja Kostja.

Ten wzruszył ramionami.

— Pewnie, stracił równowagę. Przecież stał na jednej nodze. No chyba tak, przecież uderzenie było bardzo lekkie. Nawet nie można go nazwać uderzeniem.

Sensei uwolnił się od szalika i spytał Wołodję:

— Żyjesz, samobójco?

— Żyję — odpowiedział przeciągłym głosem, trzymając się ręką za prawe oko. — Nie rozumiem, gdzie się pomyliłem?

— Twój błąd tkwi w tym, że usiłowałeś dostać się do mnie od tej strony, którą uważałeś za bezbronną, czyli najbardziej narażoną.

— Tak, oczywiście!

— Właśnie dlatego upadłeś! Gdybyś atakował bezpośrednio od czoła, wtedy miałbyś większe szanse na powodzenie, niż w przypadku ataku z tyłu albo z prawej strony. A gdybyś zaatakował z lewej strony, poszłoby jeszcze gorzej.

— Ale dlaczego?

— Ponieważ postępujesz jak człowiek, który ma wzrok i słuch. Wiele razy ci mówiłem, że trzeba brać pod uwagę sposób myślenia rywala. Przecież jeżeli nic nie słyszę i nie widzę, logicznie było by przypuszczać, że moja świadomość kontroluje najbardziej narażone miejsca lepiej i uważniej.

— A co z frontem ataku?

— Od przodu kontrola jest słabsza, ponieważ tu i tak ciało jest w stanie gotowości numer 1. Człowiek, pozbawiony zmysłowego postrzegania, fizycznie jest gotów do boju od przodu, duchowo jest gotów do uderzenia od tyłu, a to jest najbardziej niebezpieczne. Tak więc, im bardziej narażonym wydaje się rywalowi miejsce, tym bardziej jest zabezpieczone i odpowiednio, tym bardziej nieoczekiwanym może okazać się kontratak.

— A gdybym był ze «spluwą»?

— Gdybyś miał «spluwę», to wtedy jutro mielibyśmy z ciebie większy pożytek, niż teraz.

— Jak to?

— To proste. Najedlibyśmy się pasztecików.

Wołodja uśmiechnął się w odpowiedzi na czarny humor Mistrza:

— Już dobrze i tak wam przyniosę paszteciki...

Kiedy zobaczyliśmy twarz Wołodji, trochę zdziwiliśmy się. Pod okiem miał duży siniec. Trudno go nawet nazwać sińcem. Skóra wokół niego stała się granatowo-czarna i pokryła się strupami, jak po oparzeniu. Dziewczyny z naszej grupy szybko się zorientowały i przyniosły mu, zmoczony w zimnej wodzie ręcznik. Ale ten kompres mu nie pomógł. Tym nie mniej Wołodję, jak się wydawało, najmniej od wszystkich niepokoiło jego oko. Wstał, strzepując ubranie i wesoło żartując z Mistrzem. A dla nas wszystkich rozległa się komenda ćwiczyć chwyt.

Po treningu, prawie pod koniec dodatkowych zajęć znów usłyszeliśmy coś ciekawego również i dla nas.

— Mistrzu, czy istnieje technika treningu kontroli otaczającej przestrzeni w bardziej prostej formie? Żeby, na przykład, chłopcy z mojej grupy też mogli z niej korzystać, — zapytał Wołodja.

Mistrz trochę się zastanowił i odpowiedział:

— Tak, istnieje taka technika. Ale konieczna jest obecność partnera. Najlepiej zajmować się w pozie «lotosu»... Treść tego ćwiczenia jest taka. Na poziomie głowy wieszka się na lince małą tenisową piłeczkę w taki sposób, żeby podczas kołysania albo popychania go przez partnera trajektoria jego lotu zbiegała się z pozycją twojej głowy. Twoim zadaniem jest po prostu nauczyć



się odchyłać, wyłączając z tego wszystkie zwykłe organy kontroli otaczającej przestrzeni, i bardziej polegać na intuicji. Piłkę można traktować jako duchowy odpowiednik przedmiotu. Trzeba wyczuć zbliżenie przedmiotu do twojej potylicy i na podstawie intuicji odchylić głowę. Najważniejszy jest trening całej świadomości, i znów wracamy do podstaw — uśmiechnął się Sensei. — ... Mówiąc poważnie, musisz osiągnąć całkowitą ciszę swojego rozumu, żeby przypominał gładzię jeziora. I w tej całkowitej ciszy twojej świadomości zbliżający się przedmiot, czyli w tym przypadku piłka, będzie jak kamyk, który wrzuca się do gładzi jeziora, tworząc zmarszczki, albo jak łódka czy kuter, nazwij to jak chcesz. Jednak będzie rozcinać twoją przestrzeń. Pozostałe przedmioty, które są daleko jak, na przykład, ludzie stojący w kręgu to jak drzewa albo ludzie na brzegu, jak sobie życzysz. Ale ty jesteś w samym centrum tego jeziora. I musisz się nauczyć wylapywać każde wahnięcie na twojej powierzchni, każde wtargnięcie do twojej przestrzeni. W końcu nauczysz się odczuwać zbliżenie obcego przedmiotu i wszystko co się odbywa naokoło.

Andrzej, który stał obok Mistrza, spytał go:

— Czy możemy również tak trenować?

— Jeżeli macie ochotę, proszę bardzo, trenujcie sobie na zdrowie — odpowiedział Sensei.

— A jak w tym przypadku pracuje percepcja? — postawił pytanie Wołodja.

— Prawie w ten sam sposób, co i podczas demonstrowania. Najważniejszym w tym przy-

padku jest to, żeby pozwolić waszej świadomości wyjść poza granice swojego ciała.

— Ale jak to? — nie zrozumiał Andrzej.

— Oto prosty przykład. Każdy człowiek, kiedy przestaje myśleć, czyli usiądzie, rozpręży się i postara się maksymalnie uspokoić swoje myśli, zacznie odczuwać, że jego świadomość rozszerza się i wychodzi daleko poza granice jego ciała. Świadomość staje się wielowymiarową. Obejmuje duże przestrzenie. A tutaj po prostu ograniczasz ją w ramach pewnego miejsca. W tym przypadku to była hala sportowa. Chociaż, jeżeli będziesz ćwiczył dość długo, wyczujesz, co się odbywa na innym końcu dzielnicy. W zasadzie, to nie jest takie trudne.

— Czyli najważniejsze w ćwiczeniu z piłką — to całkowity spokój świadomości, jak w przykładzie z jeziorem? — ponownie zapytał Andrzej.

— Tak, masz rację, i postaraj się, żeby żadna z twoich myśli nie wdarła się do tej przestrzeni.

— To jest skomplikowane ćwiczenie.

— Skomplikowane, ale możliwe.

— Proszę pana, Staś mówił, że styl «Stary lama» jest stylem bardzo starym. Czy to prawda?

— Tak.

— A czy historia zachowała imiona tych ludzi, co opanowali ten styl? — zapytał Kostja.

Sensei uśmiechnął się i po krótkim namyśle odpowiedział:

— Z tych, kogo znasz, to Budda. I oczywiście, jego pierwsi uczniowie.

— Budda? — zdziwił się Kostja. — Ale przecież miał inną filozofię, filozofię dobra. Co to ma wspólnego z pięściami?

— Dobro też bywa z pięściami — odpowiedział spokojnie Sensei. — Ale opanować tę Sztukę to wcale nie znaczy napadać na kogoś. Dla nich to był w pewnym sensie kolejny stopień w duchowym poznaniu ...

I tak skończyły się nasze dodatkowe zajęcia, podczas których po raz kolejny byliśmy świadkami cennej, naszym zdaniem, wiedzy i zdolności Mistrza... To był szczyt naszego zachwytu. Po przebraniu się, czekaliśmy na pozostałych pod halą sportową. Kiedy cały tłum wyszedł na ulicę, Gienek spojrzał na Wołodję i z przerażeniem powiedział:

— O, Matko! To ci dopiero... Ale masz twarz, Szarapow...

Po tych słowach już wszyscy zwrócili uwagę na Wołodję. Jego oko całkowicie się rozplynęło i wyglądało jak jedna duża czarna plama.

— Drobiazg — podtrzymał go na duchu Gienek i wystawiając pierś, z dumą zadeklamował: — Sińce ozdabiają mężczyznę!

Na co Wołodja z uśmiechem odpowiedział:

— Chcesz się stać takim przystojniakiem?

Wszyscy się roześmiali.

— Chce, chce. A ja będę świadkiem, jak w tej anegdocie — dodał Staś. — Kiedy spytano: «Czy widziałeś jak ktoś kogoś uderzył w głowę?» Odpowiedział: «Nie widziałem, ale słyszałem, jakby coś trafiło w coś pustego».

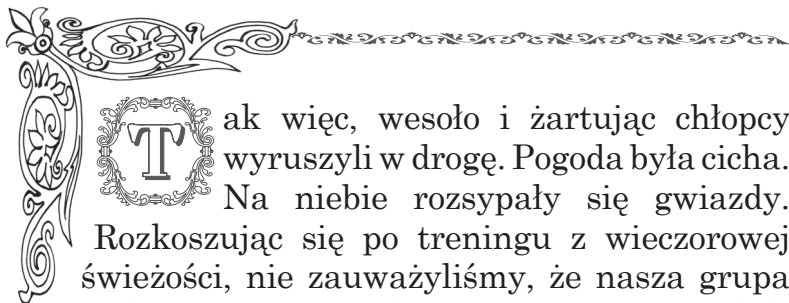
A Wiktor dodał:

— A ja będę następnym świadkiem. I jeżeli spytają mnie, czemu nie przyszedłem poszkodowanemu z pomocą podczas awantury, z czystym sumieniem odpowiem: «Skąd miałem wiedzieć, że jest poszkodowanym. Tak się zaciekle bili!»

Nowa fala śmiechu rozległa się po całej dzielnicy.

— Oj, oj, oj, — przedrzeźnił wszystkich Gienek. — Wasze żarty cuchną koszarami... Mistrzu, widziałeś, starczyło rzucić słówko, a już mnie wsadzają do aresztu!...





**T**ak więc, wesoło i żartując chłopcy wyruszyli w drogę. Pogoda była cicha. Na niebie rozsypały się gwiazdy.

Rozkoszując się po treningu z wieczorowej świeżości, nie zauważyliśmy, że nasza grupa trochę się rozciągnęła. Kostja i Tatiana byli daleko z przodu. Wołodja, Gienek i Staś włączyli się gdzieś z tyłu. A Wiktor, Andrzej, ja, Sławek i Jurek szliśmy rozmawiając z Mistrzem.

Zza zakrętu naprzeciw nam wyszła brygada górników, około ośmiu osób. Byli pijani. Widocznie, zaczepili Kostję, przechodząc obok jego i Tatiany, ponieważ, kiedy podeszliśmy bliżej, jego twarz była cała czerwona ze złości. Powiedział coś nieprzyzwoitego w odpowiedzi na ich obrazę, i poważnie rozzłościł tych pianych chłopców. Do tego jeszcze Andrzej, dolewając oliwy do ognia stanął w obronie swojego przyjaciela. Jeden z brygady, najbardziej zawzięty, rozpoczął awanturę.. Andrzej razem z Kostją rzucili się na niego. Ale Sensei stanął na ich drodze, zwracając się do górników:

— Panowie, uspokójcie się! Po co kłać, przecież tu są kobiety... nie przystało porządnym panom tak kłać ...

— A ty to kim jesteś ... po co się wtrącasz?! — chwytając Mistrza za klapy, chrypiał rozjuszony chłopak: — Idź swoją drogą, póki nie porachowałem twoich kości.

Tutaj już wszyscy nie wytrzymaliśmy i rzuciliśmy się całym tłumem na prowokatora. Nawet ja wybuchnęłam ze złości do pijaków i byłam gotowa rozerwać ich na kłaczki. Z tyłu podbiegli starsi chłopcy. Ale Sensei, nieoczekiwanie dla wszystkich, położył kres wszystkim naszym próbom awantury dając znak Wiktorowi, żeby wszyscy odeszli. Zawrzeliśmy z oburzenia. Ale Wiktor razem ze Stasiem, Gienkiem i Wołodcją odprowadzili nas dalej po drodze, niby staranni pasterze stado beczących baranów, nie dając nam szansy na zatrzymanie się.

Cały czas oglądałam się, czekając na to, że Mistrz zademonstruje jakiś chwyt przeciwko ośmiu rywalom. Ale Sensei zaczął, coś z uśmiechem objaśniać górnikom i gestykulował tak, jakby usprawiedliwiał się. Kiedy spojrzałam na niego po raz kolejny, zobaczyłam, że uśmiechnięci górnicy bratali się z nim jak starzy przyjaciele. «Coś podobnego! — pomyślałam. — Po co tyle lat zajmował się kung-fu?» Sądząc po zdziwionych minach i słowach moich przyjaciół, nie tylko ja o tym pomyślałam. Kiedy Sensei dołączył do nas, Andrzej powiedział z oburzeniem:

— Po co pan się przed nimi usprawiedliwia! Przecież pierwsi nas zaczęli i sami narobili bigosu. Trzeba było zbić ich, żeby im się raz na zawsze odechciało. Gdyby pan mnie nie powstrzymał...

— Oczywiście — przerwał mu Sensei — gdybym cię nie powstrzymał, otrzymaliby ciężkie urazy, stłuczenia nie tylko miękkiej tkanki, ale i organów, może nawet wstrząs mózgu. Ale czy pomyślałeś o tym, że ci wszyscy górnicy mają własne rodziny, może ich rodziny utrzymują się dzięki tylko ich pracy ... Czy pomyślałeś o tym, że to są górnicy! Czy byłeś kiedyś w kopalni?

— Nie, — odpowiedział Andrzej.

— A ja byłem... Ci chłopcy, których chciałeś zbić, schodzą do kopalni, jak do piekła, na głębokość jednego kilometra albo nawet więcej. Wyobraź sobie, jakie ciśnienie wytrzymuje ich organizm. Plus — Sensei zaczął liczyć na palcach — tam jest upał, bardzo mało tlenu i wiele szkodliwego dla organizmu metanu, pyłu węglowego... I do tego zdają sobie sprawę z tego, że w każdej chwili narażają swoje życie, ponieważ w każdej sekundzie może dojść do wybuchu, co może doprowadzić do śmierci wielu z nich. Przeróżne urazy w kopalni są zwykłą rzeczą. I człowiek to wszystko przeżywa. Czyli, jego psychika jest na skraju przepaści, można powiedzieć, emocje wychodzą poza granice. Taki stan jest porównywalny chyba ze stanem żołnierzy na linii frontu podczas wojny. Nie na próżno Stalin mówił «Kopalnia — to drugi front».

Jak myślisz, czemu oni piją? Żeby chociaż w jakiś sposób uwolnić się od stresu, ponieważ są w stanie stałego wewnętrznego napięcia i lęku. Żeby pokonać tę barierę psychologiczną z górnika-  
kami powinni pracować wykwalifikowani specjaliści w zakresie psychologii i medycyny. Oczywiście, że nie otrzymują takiej pomocy. Dlatego właśnie piją.

— Tak, westchnął Kostja —

**«Gdyby nie to pijaństwo,  
człowiek nigdy by nie dowiedział  
się co to jest niewola».**

Masz rację... Ponadto, każdy z górników, pracujących w kopalni już od dłuższego czasu, zdaje sobie sprawę z tego, że nie ma dla niego żadnych perspektyw. Ty masz perspektywę, możesz ukończyć studia, zrobić jakąś karierę. A on ma jedyną perspektywę: albo zdechnąć w kopalni, albo umrzeć od zapracowanych tam chorób. Oni zdają sobie sprawę z tego wszystkiego. Ale mają swoją godność, swoją manię wielkości, taką samą, co i ty.

— Jaka tam u mnie mania wielkości — machnął ręką Andrzej. — Wcale jej nie mam.

— Jak to nie masz?! Przecież dopiero co chciałeś bić górników, ponieważ cię zaczepiali... To jest właśnie mania wielkości, że ciebie wielkiego króla, zaczepiali i obrażali... Oni mają taką samą pychę. Ale, w odróżnieniu od ciebie, oni nie mają przyszłości. I ty chcesz pozbawić ich tego wszystkiego?! Wyobraź sobie, co by działo się z nimi przy tych wszystkich przeżyciach, nierealizowa-



nych ideach, marzeniach i straconych możliwościach, gdyby jeszcze znaleźli się na reanimacji po awanturze z tobą... Kolejne męki, o wiele mocniejsze, niż fizyczny ból. Po co to wszystko?!

Myśmy spuścili głowy z poczuciem własnej winy. Mimo że Sensei rozmawiał z chłopcami, to wszystko dotyczyło również mnie. Jego słowa wprost zdziwiły mnie. Odczułam jakiś wewnętrzny dyskomfort w związku z moimi niedawnymi wojowniczymi myślami. Zrobiło mi się przykro przed samą sobą...nieoczekiwanie odczułam całą głębię myśli Mistrza i zrozumiałam, jak pojmuje i wyczuwa każdego człowieka.

— Po co to wszystko?! — powtórzył Mistrz. — Czy ucierpiełaś od tego, że przeprosiłeś, uspokoiłeś ich i spokojnie odszedłeś? Nie. Nic z tobą się nie stało. Dobrze rozumiesz, że własnymi nogami mogłeś pokaleczyć ich wszystkich.

— Oczywiście, ja bym... — znów wybuchnął Andrzej.

— No, widzisz, znów przemawia twoja mania wielkości. A przecież uczę cię wymachiwać nogam wcale nie po to, żebyś kaleczył ludzi na ulicy. Sens sztuk walki tkwi w absolutnie innych rzeczach, i te wszystkie chwytaki mogą ci się nigdy w życiu nie przydać. I daj Boże, żeby się nie przydały... twoim zadaniem jest zrozumieć przyczynę i skutek, głębię i sens sytuacji i rozwiązać konflikt polubownie.

— A co pan im powiedział? — spytał Kostja.

— To bardzo proste. Objasniłem im, że też mają dzieci. I że każda inna grupa pijanych chło-

pów może zaczepić i zbić ich dzieci. Opisałem taką sytuację z punktu widzenia człowieka. Przy tym proszę zauważyć, że ich mania wielkości nie ucierpiała. I, co jest najważniejsze, odeszli z uczuciem zadowolenia, z ostatecznym zamiarem bronić takich, jak wy. Czyli każdy konflikt można rozwiązać polubownie, drogą pokojową...

I po chwili namysłu dodał:

— Każdy głupiec może kłócić się i machać pięściami... Nie trzeba od razu ulegać swoim zwierzęcym instynktom. Najważniejszą rzeczą jest w każdej sytuacji pozostawać człowiekiem. Trzeba zrozumieć, dlaczego i przez co została wywołana agresja. Musisz pomyśleć, jak możesz uniknąć awantury, postarać się zdobyć nowego przyjaciela, a nie wroga...

I zbliżając się do przystanku, Sensei dodał:

— Zapamiętajcie, **każde uderzenie naniezione przez was w gniewie, ostatecznie wraca do was samych.**

Nasza zawstydzona grupa stała w milczeniu, spoglądając na Mistrza. W końcu, umówiwszy się na kolejne spotkanie, pojechaliśmy do domu.





**P**rawie całą drogę jechaliśmy w milczeniu. A kiedy podjechaliśmy do centrum, Andrzej, który cały ten czas był w głębokim zamyśleniu, nieoczekiwanie wybuchnął:

— Ale Sensei rąbnął, aż mi samemu wstyd!

— Racja — zgodził się Kostja. — Sam się zastanawiam, po co rozdrażniałem tych chłopców? Przecież się mówi, że milczenie — to złoto!

— Drobiazg — uspokoił go Andrzej. — Widzisz, jaki obrót przebrała cała ta sprawa. Nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło... Tak, ale mi Sensei wyprał mózg...

«Teraz będę musiała długo to trawić» — pomyślałam. Przez całą drogę rozmyślałam nie tyle o tym, co się stało, ile o sobie samej. Coś w moim zwykłym stanie ducha było nie tak. Ale co? Po raz kolejny zaczęłam szczegółowo analizować tę rozmowę i znów wyczułam ten dyskomfort i ... moment! Raptem mnie olśniło. Ależ oczywiście, to było nowe uczucie! Przecież po mocnym, wstrząsającym uderzeniu w ogromną podwodną

górze mojej niewiedzy i egoizmu, we mnie nieoczekiwanie wynurzyło się jakieś dawno zapomniane, głębokie uczucie. Nie byłam w stanie wtedy rozpoznać go. Ale kiedy dotarło do brzegu mojej świadomości, zrozumiałam, co Sensei miał na myśli. Odczułam coś podobnego po raz pierwszy. Wyraźnie zrozumiałam prostą prawdę. To było ogromne odkrycie dla mojego wewnętrznego świata. Cieszyłam się z tego, jakby mi się udało pogodzić ze sobą samą.

Wróciłam do domu bardzo ożywiona. Okazało się, że czekała tam na mnie niespodzianka.

— Mamy dla ciebie dobrą wiadomość — lśniąc swoim przepięknym uśmiechem, powiedziała mama. — Dzwonił dziś wujek Witia z Moskwy. Udało mu się umówić z najlepszym profesorem z Moskwy. Pozostaje tylko ustalić termin.

Gdyby tę wiadomość powiedziano mi wcześniej, pewnie bym się strasznie ucieszyła. Ale teraz przyłapałam siebie na myśli, że wszystko mi jedno, co się odbywa w mojej głowie na poziomie fizycznym. Najważniejsze było to, co rozumiałam wewnątrz siebie. Był to nowy poziom postrzegania, który bardziej dotyczył duszy, niż ciała. Ale żeby nie zmartwić rodziców, powiedziałam:

— Świetnie! Wcale w to nie wątpiłam. Żeby wujkowi Wiktorowi się nie udało z jego pozycją społeczną oraz znajomościami?! Zuch z niego, umie dopiąć swego, w każdej sytuacji.

Przez cały następny dzień myślałam o tym nowym uczuciu. Znów wróciłam do normalnego,

pełnowartościowego życia, jak się mówi, ciałem i duszą. I kiedy nadszedł czas iść na zajęcia z medytacji, szybko pobiegłam, ponieważ już nie mogłam się ich doczekać. Tym razem ja podganiałam marudną Tatianę, żeby szybko się zbierała.

Przyszliśmy na przystanek tramwajowy, na którym już czekali na nas chłopcy.

— Dziewczyny, wyobraźcie sobie — śmiejąc się, powiedział Kostja. — Sensei o mało nie zmienił nam Andrzeja.

— Co się stało? — spytałyśmy z zainteresowaniem.

Andrzej stał milczący i uśmiechnięty, a Kostja z zapalem ciągnął dalej:

— Po tym, jak was odprowadziliśmy, poszliśmy do domu. I kiedy już prawie byliśmy w domu, zaczęli nas jacyś chłopcy, bo im się zachciało zapalić pośrodku nocy. Tak żądali jakbym był im winien haracz za dwadzieścia lat. Ale Andrzej, jak prawdziwy dżentelmen, chciał wytłumaczyć im, że nie palimy i im też nie radzimy palić dla ich zdrowia. Słyszeliście, przecież Ministerstwo Ochowy Zdrowia ostrzega... I na końcu dodał, że zamiast tego, żeby truć swoje płuca, włączyć się po zakamarkach, lepiej dla nich byłoby zająć się kung-fu. Więcej byłoby korzyści i dla duszy i ciała.

— I co? — niecierpliwie spytała Tatiana.

— Wzięli się pod boki i rzucili się.

— A Andrzej?

— A on, proszę sobie wyobrazić, nasz Andrzej, zaczął czytać im lekcję o sensie ich marnego życia, o tym, że ich słowa z tą samą siłą powrócą do nich.

— I po co to — zdziwiłam się.

Myślałam, że już po nim. A potem patrzę, i normalnie...

— I co dalej?

— A dalej było tak. Atmosfera oczywiście była napięta. Andrzej cierpliwie znosił ich obrazy, ale potem dla pewności zbił ich. I w dodatku jeszcze ich pouczył: «Widzicie, każde wasze złe słowo wraca do was z taką samą mocą uderzenia».

— Ale narobił głupstw — zdziwiłam się.

— I czym to wszystko zakończyło się? - zapytała z uśmiechem Tatiana. — Mam nadzieję, że bez ofiar?

— Ale wszystko było ok — machnął ręką Kostja. — Ah, tak! Przecież nie opowiedziałem najważniejszego. Potem wszyscy zaczęli się wpraszać do niego na zajęcia.

Wszyscy roześmiali się, ale ja poczułam się jakoś nieswojo. Po pierwsze, nie spodziewałam się po Andrzeju takiego głupstwa. A po drugie, było mi za niego wstyd.

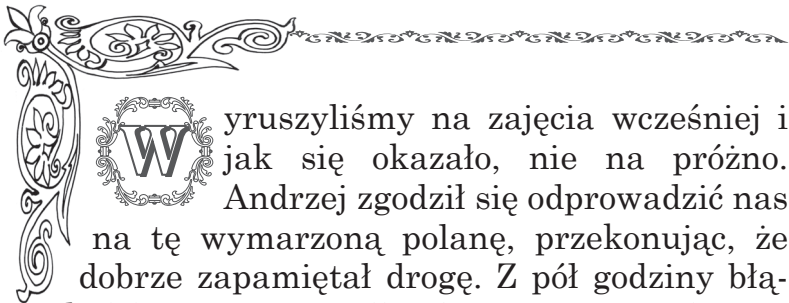
— Andrzeju, jesteś prawdziwym zбоченцем — śmiejąc się, odpowiedziała Tatiana.

— Właśnie — żartował Kostja. — Niebezpieczny typ, można powiedzieć, recydywista. On i mnie przewracał w głowie...

— Oduść sobie wielkie myśli — przedraźnił go Andrzej. — Też mi Sokrates się znalazł.

— Ale dlaczego od razu Sokrates, byli i bardziej znani ludzie ...

Ten wesoły dialog mógł trwać bez końca, ale nadjechał nasz tramwaj.

**W**

yruszyliśmy na zajęcia wcześniej i jak się okazało, nie na próżno. Andrzej zgodził się odprowadzić nas na tę wymarzoną polanę, przekonując, że dobrze zapamiętał drogę. Z pół godziny błakaliśmy się po osiedlu, drażniąc swoją obecnością wszystkie miejscowe psy. W końcu, zawzięcie sprzecząc się o to, gdzie mamy skrócić, dotarliśmy do jakiegoś stawu.

— Ależ Susanin z ciebie, cholero! — powiedział Kostja. — I gdzie jest ta twoja polana?

— Teoretycznie musi być gdzieś tu — wzruszył ramionami Andrzej.

— A praktycznie zniosła ją powódź w zupełnie inną stronę. Wracamy.

W drodze spotkaliśmy Gienka.

— Nareszcie jakaś żywa dusza — z ulgą odechnął Kostja.

— Co, zabłądziliście w naszym Szanghaju? — uśmiechając się kąpił z nas Gienek.

— Liczyliśmy na pamięć tego Susanina.

— A gdzie jest polana? — spytał Andrzej.

— Jest tam — chłopak machnął ręką w zupełnie inną stronę.

— Przecież mówiłem, że skręciliśmy nie w tę stronę! Tego zbrocza tam nie było — narzekał do Andrzeja Kostja.

— A jak ty się tu znalazłeś? — spytała Gienka Tatiana.

— Co, nie wiecie? Przecież przy pomocy energii określam lokalizację każdego człowieka, o którym tylko pomyślę.

— Daruj sobie te bzdury — uśmiechając się, odpowiedział Kostja. — Ale, na serio, co ty tu robisz?

— Czego się czepiacie. Ja tu mieszkam! — śmiejąc się odrzekł Gienek. — Wyszedłem za bramę, i widzę, że wasza orda poniosła się do stawka. Nawet nie zdążyłem otworzyć ust. Pomyślałem, że za chwilę ochłona i wróca. Miałem rację! Patrzę, a już po pięciu minutach wracacie. Tym razem wyszedłem na drogę, żeby mnie znów nie pomyłono ze słupem.

Uśmiechnęliśmy się, ponieważ cieszyliśmy się z tego szczęśliwego spotkania, i razem wyruszyliśmy w stronę polany. A w tym zacisznym miejscu, z miłością stworzonym przez naturę, prawie wszyscy już się zebrali, w tym Sensei i Wołodja. Witając wszystkich radośnie dołączyliśmy do grupy. Sensei, widząc, że znów naszą kompanię przyprowadził Gienek, spytał żartobliwie:

— Co, znów ten Susuanin urządził wam wycieczkę?

— Nie, mamy już własnego przewodnika —



Kostja kiwnął w kierunku Andrzeja. — Ten nawet jeszcze jest leprzy od Gienka...

Następnie Kostja szczegółowo opisał nasze przygody. I tak przejął się swoim opowiadaniem, tak się rozpedził, że na końcu powiedział coś zupełnie zbędnego, czyli to, co postanowiliśmy zataić przed Mistrzem.

— I co! Nie wolno już mu powierzać uczniów. Zaprowadzi do ślepej uliczki i nie będzie wiedział, jak stamtąd wyjść.

— Których uczniów? — Zapytał Sensei, który, jak mi się zdawało, słuchał nie zbyt uważnie.

— Tak — zaśmiał się Kostja, zdając sobie sprawę, że się wygadał: — Była tam taka historia...

— Jaka historia? — spytał go Sensei.

Kostji nic już nie pozostawało i musiał opowiedzieć o wszystkim. Andrzej też dołączył do rozmowy, usprawiedliwiając swoje czyny dobrymi zamiarami. Sensei, po wysłuchaniu wszystkich szczegółów, tylko pokręcił głową:

— No... Wiesz, jest taka starodawna, bardzo starodawna przypowieść: «Pewien król miał jedynego syna. Król gdzieś usłyszał, że jest na świecie wielki mistrz sztuk walki, który wyróżniał się swoją mądrością nawet spośród królów. Mówili, że tworzył istne cuda, że niby zrobił ze zwykłego wieśniaka mistrza sztuk walki. Król zadecydował oddać swojego nastolatka do niego.

Minał rok i król zapytał Mistrza:

— I co, czy mój syn opanował już drogę wojownika?

— Na razie nie — odpowiedział Mistrz. — jest zbyt zarozumiały i marnuje czas na swoją pychę. Przyjdź do mnie za pięć lat.

Po pięciu latach król zwrócił się do Mistrza z tym samym pytaniem.

— Na razie nie. Jego spojrzenie jest pełne nienawiści, energia wychodzi poza kraj.

Minęło kolejne pięć lat. I wtedy Mistrz powiedział królowi:

— Teraz jest gotów. Popatrz na niego! Jest niby wyrzeźbiony z kamienia. Duchem jest doskonały, wszystkie cechy wewnętrzne też są doskonałe. Żaden wojownik nie odważy się odpowiedzieć na jego wezwanie, ucieknie nawet przed jego spojrzeniem.

I wtedy król zapytał Mistrza:

— Dlaczego mój syn musiał pokonać tak długą drogę? Przecież był o wiele mądrzejszy od tego wieśniaka.

Na co Mistrz odpowiedział:

— Tu chodzi nie tyle o rozum, ile o serce człowieka. **Jeżeli twoje serce jest otwarte i twoje myśli są czyste, twój duch jest doskonały. W tym tkwi cały sens Drogi wojownika...** Wieśniak przyszedł do mnie, kiedy już miał doskonałego ducha, mnie pozostało tylko nauczyć go techniki. A twój syn spędził długie lata, żeby opanować tę Mądrość. Bez tego źródła siły nie byłby w stanie nawet i kroku zrobić na Drodze wojownika.

Ucieszywszy się z sukcesów syna, król powiedział:

— Teraz widzę, że jesteś gotów obiać tron.

— Nie, ojciec — odpowiedział młody wojownik. — **Odkryłem coś bardziej ważnego. Wcześniej mój rozum ograniczał się tylko do cielesnych pragnień, a teraz jest bezgraniczny w swoim poznawaniu ducha. Najmocniejsza władza, całe złoto świata bledną przed tym, jak szary kurz pod nogami podróżnika. Ale podróżnika nie interesuje kurz. Pochłania go to, co z każdym jego krokiem otwiera się przed nim poza horyzontem».**

Andrzej ze wstydem spuścił głowę. Zapanała cisza. Ale tu do naszej grupy dołączył Mikołaj Andrejewicz i zaczęliśmy omawiać inne problemy, w tym medytacje, które wykonaliśmy w domu.

— Znów odczułem dreszcze — powiedział Kostja. — Czy to jest normalne?

— Oczywiście. W czym tkwi sens? Trzeba odczuć te dreszczyki, które odczuleś w głowie podczas pierwszych wdechów. Trzeba odczuć, jak «biegną» ci po rękach i co jest najważniejsze, jak «wyskakują» przez centrum dłoni na ziemię. Czyli musisz odczuć wdech i wydech. Przy tym nie powinno być żadnych obcych myśli.

— Właśnie to jest najtrudniejsze. Kiedy tylko skupisz się na koniuszku nosa, czepiając się, jedna za drugą, zaczynają pchać się do głowy. I co jest najdziwniejsze, nie zauważam, kiedy powstają.

— Masz absolutną rację. To świadczy o tym, że nie jesteśmy przyzwyczajeni kontrolować swo-

ich myśli w codziennym życiu. Więc to one kierują nami i jeśli, to chcą uwikłać nas w swoje «logiczne» łańcuchy. A niekontrolowana myśl z reguły prowadzi do negatywu, ponieważ jest kierowana przez zwierzęcy pierwiastek. A więc istnieją różne duchowe praktyki oraz medytacje, które pozwalają nam nauczyć się **kontrolować myśl**.

My jeszcze trochę porozmawialiśmy o tematach, które nas ciekawią i o pytaniach, powstających podczas domowej praktyki. Potem przystąpiliśmy do kolejnej medytacji.

— Dzisiaj połączymy dwie części medytacji — powiedział Sensei — żebyście mogli zrozumieć, jak należy pracować i starać się osiągnąć cel podczas indywidualnych treningów. A teraz proszę stanąć wygodnie...

Następnie, pod jego kierownictwem, jak zwykle rozluźniliśmy się i rozpoczęliśmy wykonywanie medytacji. Najpierw, jak poprzednio, skupiliśmy się na koniuszku nosa. A potem Mistrz powiedział:

— Nie spuszczać oka z koniuszka nosa, robimy wdech przez dół brzucha, brzuch, pierś... Wydech — przez ramiona, ręce, czakrany dłoni do ziemi. Podczas wydechu płomyk rozpala się mocniej i mocniej. Wdech... wydech... Wdech... wydech ... Koncentracja na koniuszku nosa... Wdech...

Ale raptem doznałam całkowitej zenady. Kiedy skupiałam się na «strumyku» i odczułam jego częściowy ruch po rękach, wtedy straciłam kontrolę nad koniuszkiem nosa. A kiedy skupiałam się na

«zapalającym się» koniuszku nosa, «strumyk» zniknął. I to wszystko miało miejsce wtedy, kiedy powstawały we mnie «obce» myśli. Tak więc, nie udało mi się połączyć tego wszystkiego. Podczas kolejnej próby usłyszałam głos Mistrza, informujący nas o zakończeniu medytacji. Jak się potem okazało, tego samego doznali i moi przyjaciele.

— To jest oczywiste — powiedział Sensei. — W tym przypadku nie musicie myśleć, a tylko obserwować. Wtedy wszystko się uda.

To mi się wydało w ogóle nieosiągalnym. Ale dodawało mi otuchy to, że Mikołaj Andrejewicz i starsi chłopcy nie mieli żadnych problemów z tą medytacją. «Więc wszystko nie jest jeszcze beznadziejne — uspokajałam się. — Skoro oni mogą, czemu to ja nie mogę? Trzeba tylko uparcie ćwiczyć. Na tym polega cała sztuka». I wtedy przyłapałam się na tym, że nawet w myślach zaczynam mówić słowami Mistrza. Kiedy rozmyślałam, jeden z chłopców spytał:

— Więc pan chce powiedzieć, że droga do samopoznania zaczyna się od obserwacji samego siebie i swoich myśli?

— Oczywiście. Samoobserwacja oraz kontrola własnych myśli stopniowo doskonala się podczas codziennych ćwiczeń. Ale do tego jest potrzebna pewna podstawowa wiedza. To jest naturalne podejście do każdego treningu tak fizycznego, jak i duchowego. Przytoczę wam taki przykład. Człowiek podnosi ciężar 20 kilogramów. Po pewnej ilości treningów, po miesiącu już będzie mógł podnieść 25 kilogramów i tak dalej. To samo i na

poziomie duchowym. Jeżeli człowiek jest gotów, to łatwiej opanowuje bardziej skomplikowane techniki.

— Ale na świecie istnieje dużo różnych medytacji i ich modyfikacji. Trudno jest zorientować się, która prowadzi do samego szczytu — jak zawsze, zabłysnął erudycją Kostja.

— Do szczytu jest jeszcze bardzo daleko. Wszystkie medytacje, które istnieją na świecie — to tylko «abecadło», którego nikt nigdy nie ukrywał. Lecz prawdziwa wiedza, prowadząca do szczytu, zaczyna się właśnie z umiejętności składania «słowa» z tego abecadła i rozumienia ich sensu. Czytanie «ksiąg» jest już, jak się mówi, przywilejem wybranych.

— Ależ! To wszystko jest takie skomplikowane — powiedział Andrzej.

— Nic skomplikowanego w tym nie ma. Musisz tylko chcieć.

— A jeżeli człowiek ma chęć, ale wątpi? — spytał Sławek.

— Jeżeli człowiek wątpi, jeżeli trzeba bić go po głowie młotem, żeby odczuł, że tak, to jest młot, to świadczy o tym, że człowiek wpadł w pułapkę materii, logiki i egoizmu swoich myśli, swojego rozumu... jeżeli w ogóle ma rozum...

Przy tych słowach chłopcy uśmiechnęli się, a Sensei dodał:

— Jeżeli człowiek szczerze dąży do samopoznania z czystą wiarą w duszy, to jemu się powiedzie. Jest to prawo natury... A jeżeli jest osobą duchowo rozwiniętą, to tym bardziej.

Andrzej w zadumie powiedział:

— Co do abecadła, to wszystko jest zrozumiałe, ale co dotyczy składania «słów» jakoś nie bardzo. Czy to też jest medytacja?

— Powiedzmy, że tak — to jest wyższy poziom, czyli praktyka duchowa, starożytna pierwotna technika, która umożliwia pracę nie tylko ze świadomością, ale, co jest znacznie ważniejsze, z podświadomością. Zawiera serię pewnych medytacji, które doprowadzają do odpowiedniego duchowego poziomu ... Wszystko to nie jest złożone. Najważniejsze jest, aby człowiek mógł najpierw pokonać swojego Strażnika, swoje materialne myślenie z jego niezmienną chęcią aby najeść się, ubrać się i opanować cały świat ... To jest wieczna prawda, jak również i wieczny kamień obrazy. Jeżeli indywiduum jest w stanie go pokonać, stanie się człowiekiem.

— Ciekaw jestem, a to, co osiągnie podczas doskonalenia swojego ciała, do czego się odnosi? — spytał Jurek.

— To jest jeden ze sposobów opanowania «abecadła».

— Nie tak dawno temu oglądaliśmy z Jurkiem wideo o sztukach walki — dołączył do rozmowy Ruslan. — Przed filmem pokazali nam film dokumentalny o możliwościach człowieka w doskonaleniu swojego ciała. Wyobraźcie sobie, pewien młody człowiek przystawił sobie oszczep ostrzem do gardła, a tępy koniec — do małej ciężarówki i popychał ją bez pomocy rąk, nie wyrządzając sobie żadnej krzywdy. Drugi leżał pod różnymi

ciężkimi przedmiotami. I nic! Trzeci w ogóle, kruszył cegłę jednym uderzeniem dłoni. Ale najciekawsze rzeczy pokazali pod sam koniec. Wzięto zwykłą byczą kość i polano ją pewnym skoncentrowanym kwasem. Oczywiście że kwas rozpuścił kość. Następnie tym kwasem polano człowieka. Kwas momentalnie zniszczył jego ubranie, ale nie wyrządził żadnej krzywdy jego ciału.

— Ależ! — wykrzyknął Andrzej. — Coś podobnego!

— Całkiem normalne zjawisko — jak zawsze spokojnie odpowiedział Sensei. — **Możliwości człowieka ogranicza jedynie jego wyobraźnia.**

— Ale co to było, qigong?

— Powiedzmy, oprócz qigongu istnieje masa podobnych technik. Ale mają to samo źródło wiedzy, co i qigong. Czyli jest to praca z energią «Qi» — twórczą energią powietrza.

— Gdzieś czytałem, że «Qi» jest energią życia, a pan ją nazywa twórczą. Dlaczego? — zapytał Kostja.

— Ponieważ różne rodzaje energii, czakrany, kanały i nawet centra energetyczne w różnych szkołach nazywają się inaczej. Na przykład w jodze energia «Ji» jest energią szlachetną, regeneracyjną. Ale w nauce «Lotosu» w istocie pod «Ji» kryje się mocna rujnująca energia. Tak samo i z energią «Qi».

Po krótkim namyśle, Mistrz dodał:

— Przecież ludzie mogą jedynie domyślać się, ale oni wcale nie posiadają dokładnej informacji



o prawdziwym pochodzeniu tej wiedzy. Dlatego istnieje taka płatanina w nazwach. Jak się mówi, lepiej stać na głowie, niż wisieć w powietrzu.

— Hm, racja — zgodził się Wołodja. — jeżeli parafrazować mój ulubiony plakat, który już od dziesięciu lat sterczy przed oczyma na naszym domu: «Nie ma takiej przeszkody, której nie moglibyśmy sami dla siebie zorganizować!»

Rozweseliło to chłopców.

— Proszę pana, a czym jest qigong w porównaniu ze sztuką Lotosu? — znów wrócił do poważnych tematów Andrzej

— Można rzec, że qigong jest czymś podobnym do przedszkola. A Kunszt Lotosu — to, powiedzmy, akademia. I jednym z pierwszych etapów w poznaniu wielkiej sztuki jest pełna kontrola nad myślą. Będziesz kontrolował myśli to opanujesz wszystko.

— O, to tam można ... — ze wzruszeniem powiedział Sławek.

— Nie można, ponieważ będziesz kontrolował myśli. Czyli nie będziesz mógł postępować źle i negatywnie. W tym tkwi cały sens. I jeżeli uczymy się sztuki qigong i ćwiczymy, w ramach Sztuki Lotosu, to nie trenujemy, lecz przypominamy sobie to, co było na początku w naszej duszy.

— A czy możemy się nauczyć tych fenomenalnych dla ciała rzeczy, które widzieliśmy na filmie? — zapytał w zamyśleniu Rusłan.

— Oczywiście. To wszystko jest bardzo proste, jeżeli umiesz prawidłowo korzystać z tej energii.

— Ale co do tego jest potrzebne?

— Podstawowe nawyki, koncentracja na oddechu, trochę rozumienia istoty tego zjawiska ...

— Nie mogę zrozumieć — powiedział Jurek — jak ten chłopak potrafił kruszyć cegłę tylko podstawą dłoni?

— Chciałbyś, żeby rozbił je inną częścią ciała? — pożartował Gienek.

— Można i inną — uśmiechnął się Sensei — jeżeli tylko będziesz chciał. Sprawa polega na tym, że pod warunkiem pewnego stopnia skupienia i ćwiczeń oddechu można zgromadzić energię Qi w dowolnej części ciała, w tym przypadku, w ręce. W chwili uderzenia otwiera się czakran na dłoni i wypuszcza się cała ta moc, która niszczy przedmiot. Ale najważniejszy, jeszcze raz powtarzam, jest sam proces skupienia myśli, czyli proces skupienia koncentracji.

— A czy to się odbija w pewnym stopniu na poziomie zmiany procesów działalności mózgu? — zapytał Mikołaj Andrejewicz.

— Oczywiście. Przy tym w mózgu odbywa się bardzo ciekawy proces. Jeżeli to opisać w kategoriach medycyny, to w chwili przygotowania do uderzenia, kiedy odbywa się pełne skupienie myśli, w mózgu można zafiksować beta-rytm. Na kilka sekund przed uderzeniem człowiek w ogóle już nie myśli o tym, co robi. W tym momencie jego działalność mózgową z beta-rytmu przełącza się na alfa-rytm, co jest podobne do stanu szoku. I właśnie w tym stanie dokonuje uderzenia. To przypomina coś... w rodzaju zatrzyma-

nia czasu. Nie ma w tym nic skomplikowanego. Po prostu, trochę inna fizyka. I tyle.

— W naszym plutonie mamy takiego «dziwaka»; też kruszy cegłę — dołączył do rozmowy Wołodja. — Inni też usiłowali go naśladować, ale dalej sprawa nie ruszyła.

— To jest naturalne — odrzekł Mistrz. — Błąd wielu ludzi polega na tym, że usiłują za wiele myśleć, analizować sytuację. Dlatego im nie wychodzi.

— A czy pan może rozbijać cegły? — zapytał Andrzej, nie powsztrzymując się przed pokusą zobaczenia tego na własne oczy.

— To jest całkiem proste, weź młot i rozbijaj sobie — pożartował Sensei.

— Nie, chciałem powiedzieć, dłonią — sprecyzował pytanie chłopak.

— Po co brudzić ręce, lepiej wykorzystać skrawek papieru.

— Skrawek papieru?

— Tak. Nie gwarantuję, że cegłę, ale coś z drewna na pewno rozbiję. Czy ktoś ma skrawek papieru?

Zaczęliśmy zawzięcie przeszukiwać swoje kieszenie. Wołodja wyrwał ze swojego notesu skrawek papieru o szerokości około pięciu centymetrów. Tymczasem Jurek znalazł suchą gałąź o średnicy około 3-4 centymetrów.

— Czy nikt nie chce spróbować? — zaproponował Mistrz.

Chłopcy po kolei zaczęli bić skrawkiem papieru po gałęzi, jak zawzięci karciarze, aż porwali ten

skrawek. Ale żadnych zmian nie zobaczono. Wołodja musiał wyrwać kolejną kartkę. Sensei wręczył ją mnie i Tatianie.

— Nie, nie, nie — zamachałyśmy rękoma. — Jeżeli chłopcy nie potrafili tego zrobić z ich mięśniami, to co dopiero my.

— Mięśnie nie mają z tym nic wspólnego. Każdy z was potrafi to zrobić, nie można tylko wątpić w swoje zdolności.

Wypowiadając te słowa Mistrz ścisnął kartkę między palcem wskazującym a kciukiem wyciągniętej ręki. Skupił się i zaczął wykonywać jakieś ćwiczenia oddechowe. Potem kartka zaczęła drgać, następnie amplituda jej drgań stopniowo się zmniejszała i wkrótce w ogóle przestała drgać, wyprostowawszy się jak kij. Nawet minuty nie minęło, a Sensei powoli podniósł rękę i płynnym ruchem przeciął gałąź. A przekrój był taki, jakby użył jakiegoś bardzo ostrego narzędzia.

— Coś podobnego! — wykrzyknęliśmy wszyscy ze zdziwieniem.

Patrzyliśmy to na gałąź, to na kartkę, to na Mistrza z niemym pytaniem: «Jak on to zrobił?» Mikołaj Andrejewicz zapytał:

— Czy to jest jakiś trik?! Chyba pan w ostatniej chwili niedostrzegalnie przebił gałąź palcem.

— Naprawdę? — zdziwił się z kolei Mistrz. — A czy widzieliście taką sztuczkę?

Potem Mistrz rzucił kartkę, która jak ostrze noża z metalowym brzękiem wbiła się w najbliższe drzewo. Po chwili, gdy nasze dolne szczęki powróciły do zwykłej pozycji, pobiegliśmy do

drzewa, jakby od tego właśnie zależała odpowiedź na wieczne pytanie: «Być albo nie być»? Mikołaj Andrejewicz sam wyciągnął «klin-kartkę», nawet spróbował ją na smak. Potem każdy z nas potrzymał ją w rękach. Rzeczywiście, była kartka papieru okazała się stalową płytką ze wszystkimi cechami, właściwymi dla metalu. Byliśmy zaskoczeni, nie wierząc własnym oczom. Nieoczekiwanie płytka w rękach Sławka zaczęła stopniowo tracić kształt, przemieniać się na zwykłą kartkę papieru. Zauważwszy to, Sławek pisnął, odrzucił kartkę i odskoczył do tyłu, wywoławszy taką samą reakcję nie tylko u nas, ale i u starszych chłopców. Pierwszym, kto doszedł do siebie, był Wołodja. Ostrożnie podniósł były arkusz swojego notesu i powiedział gromkim basem:

— Czego krzyczycie? Papier jak papier.

Spojrzeliliśmy na Mistrza.

— Wszystko w porządku. Po prostu cała siła się wyczerpała.

Kiedy trochę się uspokoiliśmy, Sensei powiedział:

— Widzieliście jedną z cech, właściwych dla energii «Qi» — jest to zdolność do gromadzenia jonów metalu. Przecież Qi jest energią budującą, powiedzmy towarzyszącą. W moich myślach skupiłem jony żelaza na tej płytce. A energia Qi ucieleśniła moją myśl, dostarczając przez mój oddech jony metalu do kawałka papieru. A więc papier na jakiś czas przemienił się w żelazną płytkę. Qi jest energią swobodną, więc od razu

rozpuściła się w przestrzeni, przywracając swojemu wyrobowi poprzedni wygląd.

— Fajnie! — z zachwytem powiedział Rusłan. — Więc w taki sposób można wydobyć ze dwa kilo złota?

Chłopcy zaśmiali się.

— Teoretycznie to jest możliwe — uśmiechnął się Sensei. — Ale praktycznie to jest to samo, co, jak się mówiło o miedzie w kreskówce o Puchatku: «Jeżeli jest miód, to już go nie ma». Przypomnij sobie fizykę: żeby utrzymać jony metalu, niezbędne są mocne związki molekularne. A jony te są połączone przez energię Qi razem z energią psychiczną. Czyli energia Qi jest ogniwem, łączącym jony metalu, a energia psychiczna na krótki czas stwarza kształt przedmiotu. Ale nie uda się uzyskać niezbędnej szczelności.

— Coś podobnego! — zaroiło się w grupie.

— Czy to tak więc właśnie wygląda w praktyce! — domyślił się Kostja. — A ja tak się zastanawiam, po co to wszystko jest potrzebne? Przecież to jest super!

— Więc można narobić takich spraw — z uśmiechem powiedział Rusłan.

Wszystkim zabłyśły oczy i zaczęliśmy omawiać, jak najlepiej skorzystać z tej wiedzy. Sensei milcząco obserwował nasze podniecenie. I im więcej żartując rozdmuchiwałośmy sytuację, tym mroczniejsza i bardziej poważna stawała się jego twarz. W końcu powiedział:

— Chłopcy, widzę, że macie w sobie sporo pierwiastka zwierzęcego.

— Przecież to są jedynie żarty — usprawiedliwiają nasze zachowanie, powiedział Rusłan.

— W każdym żarcie jest część prawdy.

— Właśnie — potwierdził Wołodja, również w milczeniu słuchając naszych żartów. — Przecież może się powtórzyć ta historia z wojownikami ninja.

Nie zrozumieliśmy, czy żartuje, czy mówi poważnie.

— Co masz na myśli? — zapytał Andrzej.

— Właśnie to — odpowiedział basem Wołodja.

Z zapytaniem w oczach spojrzeliśmy na Mistrza.

— Tak, była taka historia — powiedział Sensei. — Kiedyś cały klan ninja został zniszczony za wykorzystanie wiedzy duchowej w celach otrzymania własnej korzyści.

— Nic nie słyszeliśmy o tym — powiedział Rusłan. — Proszę nam to opowiedzieć.

— Tak, prosimy pana — podtrzymaliśmy jego prośbę.

— Nie ma o czym opowiadać... Dopóki ninja doskonalili swoje ciała, polepszali swój kunszt, dobrze im się wiodło. Nikt nie miał do nich żadnych pretensji. Byli to po prostu mordercy do wynajęcia. Ale kiedy ninja zaczęli oswajać duchowe praktyki i nauczyli się niektórych rzeczy, to zaczęli wykorzystywać swoją wiedzę dla własnych korzyści materialnych. Ten okres stał się decydującym momentem w ich historii, można powiedzieć, i świtem i zmierzchem jednocześnie. Błyskawicznie zdobyli chwałę niezwy-

ciężalnych morderców. Dzięki praktykom duchowym ninja rozwinęli w sobie niezwykle cechy. Mogli wszystko zamienić na broń: dowolny skrawek papieru, tkaniny, czyli dowolny przedmiot. Nauczyli się oni też świetnie maskować, bardzo wysoko skakać w górę i z góry absolutnie bez żadnej szkody dla swojego zdrowia i tak dalej.

— Super! — wyrwało się Sławkowi.

— Nie trzeba ich podziwiać — powiedział wprost Mistrz, patrząc na reakcję Sławka — tym bardziej robić z nich idoli. To była po prostu banda wstrętnych najemnych morderców, którzy napadali z tyłu, tajemnie, z zasadzki. Są wstrętnymi bydlakami, nie mogę ich nazwać inaczej. Kierowały nimi zwierzęce pierwiastki... Nie mieli *honoru*. **A honor jest jedną z cech ogólnej duchowości człowieka, nie tylko wojownika;** honor ma każdy kto żyje, kierując się wartościami wysokiej moralności. Człowiek bez honoru jest nikim i niczym.

— I co się stało z tymi ninja? — spytał Jurek.

— To, co staje się zwykle z takimi ludźmi. Kiedy zaczęli wykorzystywać duchowe praktyki dla własnej korzyści materialnej, zostali zniszczeni.

I w tej chwili chłopcy zasypali Mistrza pytaniami. Ale najbardziej upartym okazał się Rusłan.

— A w jaki sposób otrzymali tę duchową wiedzę, skoro ją wykorzystywali do własnych celów?

— Wcale jej nie otrzymali. Ninja ją skradli, mówiąc dokładniej zapoznali się z technikami



medytacji przez oszustwo. I już samodzielnie wyhodowali te ziarna wiedzy. Ale wykorzystywali całą tę wiedzę na złe. Dlatego zostali ukarani.

— A kto ich ukarał? Przecież pan sam powiedział, że osiągnęli taki poziom, że już ludzie nie radzili sobie z nimi — zadał pytanie Andrzej.

Seinsei uśmiechnął się i powtórzył nam swoje ulubione przysłowie:

— Rozumiesz, że dla każdego Widzają znajdzie się Radza... Albo na przykład, jeżeli jest sprawa wojenna, to jest ktoś, kto tą sprawą dowodzi. To samo dotyczy również praktyk duchowych. Jeżeli są praktyki duchowe, to jest ktoś, kto kontroluje wykorzystywanie tych praktyk... Właśnie dlatego ta wiedza nazywa się duchową, bo jest przeznaczona dla duchowego wzbogacenia indywiduum, a nie dla materialnego, zdobywanego przez zabijanie do siebie podobnych.

— Czytałem, że nawet dzisiaj istnieją szkoły ninja — niby tak sobie powiedział Kostja.

— Wiesz, współczesne szkoły ninja są tylko żalną parodią tego, co było w starożytnych czasach. Tak, chwytty i narzędzia ninja pozostały. Ale cała ta nauka zatrzymała się na fizycznym poziomie. Ale dalej drzwi do doskonałości zamknęły się. **Prawo głosu: duchowe dla duchowego ...** jeżeli będziecie dążyli do opanowania Sztuki dla korzyści materialnej albo dla zaspokajania własnej manii wielkości, chłopcy — Sensei pokręcił głową, patrząc na nas, uważnie — to źle się skończy ...

— Dlaczego? — zapytał Sławek.

— Po pierwsze, nigdy niczego się nie nauczy-  
cie. A po drugie, jeżeli będziecie mieli szczęście,  
zachorujecie co najmniej na schizofrenię.

— Tak, fajna perspektywa — z uśmiechem  
powiedział Rusłan.

— No, tobie to już nie grozi — śmiejąc się  
powiedział mu Gienek.

— Ale my nie zamierzamy nikogo zabijać —  
usprawiedliwiał się Andrzej.

— Fizycznie, może i nie. Ale w waszych  
myślach jest sporo zwierzęcego. A to jest pierw-  
szy krok w kierunku agresji i przemocy.

— I co mamy z tym zrobić?

— Kontrolować swoje myśli, co do sekundy.

I po chwili dodał, patrząc na Andrzeja:

— **Czy zastanawiałeś się kiedyś nad tym,  
kim tak na prawdę jesteś? Kim w ogóle  
jesteś w swojej istocie? Czy kiedyś zastana-  
wiałeś się nad tym, jak postrzegasz otacza-  
jący świat? Nie z punktu widzenia fizjologii,  
lecz z punktu widzenia życia... Kim jesteś?  
W jaki sposób widzisz, w jaki sposób sły-  
szysz, dlaczego odczuwasz, kto w tobie jest,  
kto rozumie i kto postrzega? Zajrzyj w głąb  
swojej duszy.**

I już zwracając się do chłopców, Sensei  
powiedział:

— Czy w ogóle zastanawialiście się kiedykol-  
wiek o nieskończoności waszej świadomości? O  
tym, czym jest myśl? Jak się rodzi, dokąd znika?  
Czy myśleliście o swoich myślach?

— No tak — nieśmiało powiedział Andrzej — stale myślę, nad czymś się zastanawiam.

— To ci się tylko wydaje, że właśnie ty się zastanawiasz. A czy jesteś pewien, że to są właśnie twoje myśli?

— A czyje miały by być? Ciało jest moje, więc myśli też są moje.

— Skoro są twoje, to spróbuj śledzić je chociaż przez jeden dzień. Skąd się biorą i dokąd znikają. Pogrzebaj dokładnie w swoich myślach i co tam oprócz gówna znajdziesz? Nic. Samą przemoc, same paskudztwo, same dążenie do tego, żeby się najeść, włożyć modne ciuchy, ukraść, zarobić, kupić, podnieść swoją manię wielkości. I tyle! Sam się upewnierz, że myśli, stworzone przez twoje ciało mają ten sam cel — zapewnieniem dobrobytu materialnego. Ale czy na prawdę takim jesteś w środku? Zajrzyj do swojej duszy... a spotkasz się z pięknym i wiecznym, z twoim prawdziwym «ja». Przecież to zewnętrzne krzątanie wokół ciebie — to tylko sekundy... Czy zdajesz sobie z tego sprawę?

Staliśmy w milczeniu. Nagle wydało mi się, że znam już ten obraz, że to już kiedyś przeżyłam, wszystko, w najdrobniejszych szczegółach: ta sama rozmowa, ta polana, te jaskrawe gwiazdy, i, co najważniejsze, ten bardzo znajomy, miękki głos, ta dobra twarz... *dokładnie wiedziałam, że to już było*. Ale kiedy i gdzie? Z całych sił starałam się sobie przypomnieć, natężałam uwagę, ale nic nie mogłam przypomnieć sobie. Trochę wstrząsnęłam głową, żeby jakoś wyjść z tego głu-

piego stanu swojej świadomości przed tą nową sytuacją. Sensei zaś ciągnął dalej:

— Macie 16, 22, 30 lat, no dobrze, ty masz około 40. Ale czy każdy z was pamięta, jak spędził te lata? Nie, raczej jakieś urywki, związane z jakimś pluśnięciem emocji.

— Tak — zadumanie powiedział Mikołaj Andrejewicz — życie przeleciało gdzieś obok, a ja go nawet nie zauważyłem. Cały czas nauka, praca, jakieś rodzinne drobnostki, nieskończone kłopoty... Nie miałem nawet czasu zastanowić się nad sobą, pomyśleć o swojej duszy, zawsze temu przeszkadzały jakieś pilne sprawy.

— No właśnie — potwierdził Sensei. — Rozmyślcie o przyszłości i o przeszłości. **Ale przecież żyjecie w tej chwili, która się nazywa teraz. A czym jest teraz? Jest bezcenną sekundą życia, Boskim darem, który trzeba wykorzystać racjonalnie. Ponieważ dzień jutrzejszy jest krokiem do nieskończoności. I nie jest wykluczone, że ten krok może okazać się ostatnim w tym życiu, krokiem do otchłani, do nieskończoności. A co będzie tam?**

Każdy z was uważa, że ma sporo czasu na Ziemi, dlatego nie myślicie o śmierci. Ale czy naprawdę tak jest? Każdy z was może umrzeć w każdej chwili, z jakiegokolwiek przyczyny, która niby nie zależy od was z istoty biologicznej, z jednej strony, ale z drugiej strony, nie jesteście zwykłą istotą biologiczną, jesteście **Człowiekiem, obdarzonym cząsteczką wieczności. Jeżeli**

zdacie sobie z tego sprawę, to zrozumiecie, że wasz Los jest w waszych rękach, zrozumiecie, że bardzo wiele w tym życiu zależy od was. I nie tylko w tym życiu, ale i po nim. Więc pomyślcie: kim jesteście, doskonałym biologicznym robotem czy Człowiekiem, zwierzem czy duchową istotą? Kim jesteście?

— Chyba, człowiekiem... — powiedział Rusłan.

— Właśnie, «chyba». A czym naprawdę jest człowiek, nie zastanawiałeś się nad tym? Zbliży się do sedna tego pytania. Kto w tobie odczuwa, jak się poruszasz w przestrzeni, kto porusza twoimi kończynami? Jak w tobie powstają emocje, czemu powstają? I nie zwalaj od razu na kogoś innego, kto cię zaczepił, obraził, czy, odwrotnie, jeżeli byłeś zazdrosny, złośliwy, gadatliwy. Czyżby to w tobie przemawiał pierwiastek duchowy?

Odszukaj w sobie kryształowe źródło twojej duszy, a zrozumiesz, że cały ten materialny blichtr — samochody, mieszkania, dacje, status społeczny, te wszystkie dobra materialne, dla osiągnięcia których tracisz całe swoje świadome życie, okaże się kurzem. Kurzem, który w tym źródle przemieni się w pustkę. A życie mija. Życie, które możesz wykorzystać dla transformacji w nieskończony ocean Mądrości.

Czy zastanawiałeś się kiedyś nad tym, na czym polega sens naszego życia? Najwyż-

szy sens życia każdego indywiduum tkwi w poznaniu swojej duszy. Pozostałe rzeczy są tymczasowe, przemijające, są po prostu kurzem i iluzją. Jedyna droga do samopoznania wiedzie tylko przez wewnętrzną Miłość, przez moralne oczyszczanie swoich myśli i przez absolutne i twarde przekonanie w osiągnięciu tego celu, czyli przez wewnętrzną wiarę... Dopóki w tobie tli się życie, nigdy nie jest za późno aby poznać samego siebie, odszukać w sobie swój początek, własne, święte, życiodajne źródło duszy... Zorientuj się w samym sobie, a zrozumiesz kim naprawdę jesteś.





**P**

o tym co zobaczyliśmy i usłyszeliśmy podczas tej medytacji mieliśmy o czym myśleć, szczególnie ja, będącej o włos od śmierci. «Boże, przecież to są odpowiedzi na pytania, które tak długo poszukiwałam.

**Czyżby ta genialna formuła osiągnięcia nieśmiertelności była taka prosta: kontrolować swoje myśli, Wierzyć i Kochać.** Czy przy pomocy tej formuły dopłynę do zbawionego brzegu, skraju wieczności, z którego już patrzą na nas nieśmiertelni, ci którzy poznali siebie, swoją boską istotę?! Czyżby moje «ja» było w stanie wyrwać się z kościstych łap Śmierci? Nawet jeżeli zabraknie mi czasu, żeby «odwojować» swoje ciało, i tak stanę się wolna, co najmniej, przygotowana do spotkania z Nieznajomością». Takie myśli wywołały u mnie falę natchnienia, jakiś wewnętrzny przypływ sił. Postanowiłam nie odkładać tego do jutra i zacząć pracować tu i teraz. Przecież nie wiem, co będzie ze mną następnego dnia.

Najpierw spróbowałam uporządkować swoje

myśli. Ale miałam taki zapał, taki entuzjazm, że nie mogłam zatrzymać się na czymś konkretnym, ponieważ wszystkie materialne myśli przy takim zapale gdzieś znikły. Wtedy spróbowałam uporządkować swoje uczucia. I dopiero wtedy zauważyłam, że byłam o tyle zagłębiała we własnym wewnętrznym świecie, że zaczęłam spoglądać na otaczający mnie świat w jakiś inny sposób. To była jakaś nowa wizja, jakiś nowy dla mnie punkt widzenia, z którego spoglądałam na stare i jak się mówi, starte do dziur problemy.

Ta nowa wizja otaczała mnie ze wszystkich stron, jak kokon, odrywając moją świadomość od szarej codzienności z jej drobiazgowymi kłopotami. Miałam wrażenie, że istnieje sama w sobie, a świat — sam w sobie. Ponadto zobaczyłam pracę swojego ciała jakby z boku. Wykonywało jakieś zwykłe ruchy, jak automat: machinalnie wracało do domu, machinalnie brało prysznic, machinalnie jadło, machinalnie dotarło do swojego prywatnego kąta, czyli do własnego pokoju. Ale prawdziwe «ja» tymczasem obserwowało i myślało o ocaleniu. To małe odkrycie zdziwiło mnie. Jak się okazało, mam swoje prawdziwe «ja» i jakiś cielesny «autopilot».

Ale im dalej tym więcej. Po raz kolejny wspominając rozmowę z Mistrzem, przypomniałam sobie jego słowa: «Czy zastanawialiście się nad tym, jak poruszacie się w przestrzeni, kto porusza waszymi kończynami?» Spoglądając na siebie już z innego punktu widzenia, pomyślałam:



«Rzeczywiście, kto we mnie porusza kończynami «ja» czy «autopilot?»»

Popatrzyłam na swoją otwartą dłoń i postanowiłam przeprowadzić niewielki i prosty eksperyment. Pomyślałam: «trzeba ścisnąć i rozluźnić palce». Moja ręka posłusznie zrobiła to. «A teraz nie będę poruszać palcami». Ale w tej chwili błysnęła we mnie jakaś szalona myśl: «A jednak ścisnę». Moje palce po takim «rozkazie» znów ścisnęły się i rozluźniły. «Oho ho! — zdziwiłam się. — I kto myślał wewnątrz mnie? Kto jeszcze grzebie się w moich myślach?!». Zebrałam całą siłę woli i jeszcze raz, ale już bardziej uparcie pomyślałam: «Nie będę poruszać palcami. Ja tego chcę i tak będzie». Dziwnie, ale moja ręka nawet się nie ruszyła, a tej wstrętnej i szalonej myśli niby nigdy nie było w ogóle. «Coś podobnego! — zdziwiłam się jeszcze bardziej. — To znaczy, kiedy byłam rozluźniona w swoich myślach, ten ktoś zaczyna ukradkiem kierować moją świadomością i ciałem tak jak chce. Ale kiedy uważnie kontroluję myśl, gdzieś znika bez śladu. Ale numer!» Tym niemniej, cieszyłam się z powodu tej odkrytej okoliczności tak, niby udało mi się zdemaskować szpiega, który przez długie lata chował się w moim tajnym oddziale. «O tak, ten «mądrala» jest o wiele bardziej niebezpieczny od tępego «autopilota». Trzeba bardziej uważać!»

Łatwo to powiedzieć, ale trudno zrobić. Kiedy rozpoczęłam medytację, zrozumiałam, że ten «spryciarz» niejednokrotnie odwiedzał moje

myśli w chwili rozluźnienia i szczególnie podczas skupienia się na medytacji, stale odwracając moją uwagę na inne tematy. I tak to wszystko umiejętnie robił, tak logicznie, że nawet sama tego nie rozumiałam, kiedy zeszłam z «toru» skupienia. Ale podczas pogłębiania i skupienia myśli na medytacji «spryciarz» zniknął. Kiedy tylko kontrola słabła, zjawiał się, jak na zawołanie. «Ale bydlak! Arogancki i dokuczliwy» — pomyślałam, usiłując po raz kolejny skupić się na medytacji. Kiedy skończyłam medytację, zrozumiałam, że wcale nie łatwo jest walczyć z tym moim wrogiem numer jeden. «Muszę zapytać Mistrza, jak mam pokonać tego spryciarza — pomyślałam, zasypiając. — Przecież zepsuje mi wszystko».

Następnego dnia, kiedy wybuch emocji po wczorajszej burzy trochę zgasł, znów zajęłam się samoobserwacją. Ciało jakoś oderwało się od ciepłego łóżka i zaczęło machinalnie wykonywać codzienne czynności. Wydało mi się, że mój rozum jeszcze się nie obudził, więc nie chciało mi się o czymkolwiek myśleć. Idąc zwykłą drogą do szkoły, przez miejski skwer, rozkoszowałam się w ciszy, porannej świeżości, szelazczeniu opadłych liści. Bardzo podobał mi się ten stan, stan jakiegoś ukojenia. Mój rozum spał, ciało szło w zadanym kierunku, po prostu czułam się dobrze i przytulnie. Czułam, że to było moje prawdziwe «ja».

Ale w szkole sytuacja się całkiem zmieniła. Wlałam się w cały wir wydarzeń, informacji,

emocji. W wyniku tego już ostatecznie zaplątałam się w przyrodzie moich myśli, ponieważ szły całym strumieniem, i trudno było je uporządkować, oddzielić moje myśli od obcych. I w takim to szalonym tempie minął cały dzień.





**W**ieczorem, spotkawszy się na przystanku z chłopakami, podzieliłam się z nimi swoimi «osiągnięciami» i na końcu rozmowy z ciekawością spytałam:

— Czy też mieliście takie coś? Myśleliście o czymś po poprzednim zajęciu?

— Ale o czym tu myśleć — wyniośle powiedział Kostja. — Ja — to ja, całe, jednolite i niepodzielne... Przecież nie jestem maniakiem, żeby się kroić na połówki.

— Racja, nie jesteś maniakiem, jesteś geniuszem... z szóstego oddziału. Czy Napoleon ci nie dokucza? — z uśmiechem pożartował z niego Andrzej.

— Idź do diabła... Żebyś wiedział, że nie mam rozdętej manii wielkości.

I po chwili dodał:

— Wielcy ludzie nie mają takiego problemu.

— Oczywiście — roześmiał się Andrzej — nawet nie czekałem na inną odpowiedź.

— Dość już tego, znów zaczynacie się sprze-

czać o to samo. Powiedźcie mi serio — powiedziała z niecierpliwością.

— O czym tu mówić — odpowiedział Andrzej. — Wczoraj Sensei opowiedział sporo pożytecznych rzeczy. Mózgowi wystarczy pracy nie na jeden rok. Wczoraj cały czas zastanawiałem się, czy prawidłowo sformułowałem przyszłe cele, czy mam coś skorygować, biorąc pod uwagę nowe informacje.

— Cholera, ale powiedziałaś — mruknął Sławek. — Czy przypadkiem nie zamierzasz wstąpić do Akademii Nauk?

— O co to, to nie, wystarczą mi ćwiczenia Mistrza.

— Racja — powiedziała. — A czy tobie powiodła się medytacja?

— Wiesz, o wiele lepiej, niż wczoraj. Myśli jakoś mniej wchodziły do głowy. Zaczęłam lepiej się skupiać i doznania stały się bardziej wyraźne.

— A co u ciebie, Taniu, czy się powiodło?

— Tak, szczerze mówiąc, nie przeprowadzałam medytacji i nie próbowałam myśleć. Wczoraj tak się zmęczyłam, że ledwie dotarłam do łóżka. A rano odprowadziłam brata do przedszkola, poszłam do sklepu po mleko, potem do szkoły. Kiedy mam myśleć, skoro tyle spraw na głowie!

— Racja — podtrzymał ją Kostja. — nie trzeba myśleć, trzeba działać. Do tego ma się młodość, żeby działać, a starość — żeby myśleć.

— Aha — żartował z niego Andrzej — będziesz w starości skrzypiał swoim zgrzybiałym głosem,

myśląc resztkami mózgu: «Gdyby młodość wiedziała, gdyby starość mogła».

Chłopcy znów się zaśmiali, żartując z Kostji.

— Co u ciebie słyhać? — spytałam Sławka.

— Normalnie.

— Normalnie, to jak?

— Tak samo, jak i ty.

— Wszystko jasne — uśmiechnął się Andrej, beznadziejnie machnąwszy ręką w jego stronę.





**P**odczas następnego treningu, kiedy rozgrzewaliśmy się przed ćwiczeniami, do hali sportowej weszła grupa dobrze zbudowanych mężczyzn, na czele z Wołodją.

— Ależ tu ludzi! — zdziwił się Andrzej.

Wiktor uśmiechnął się i powiedział Stasiowi:

— To się nazywa «kilka osób».

— Nie zrozumiałem?

— Wołodja dzwonił do mnie wczoraj w pewnej sprawie i powiedział, że przyjdzie na trening z kilkoma chłopakami.

— Ale tu chyba z pół plutonu będzie — z uśmiechem powiedział Staś.

— No właśnie.

Wołodja po przywitaniu się podszedł do Mistrza, który stał niedaleko nas. Starsi chłopcy dołączyli do niego.

— Sensei, nie masz nic przeciwko temu? — kiwnął Wołodja w stronę swoich chłopców.

— Oczywiście, nie ma problemu — jak zawsze, po prostu odpowiedział Sensei.

— Czy oglądałeś wczoraj wieczorem telewizję?  
— Kiedy? I tak nie mam czasu.  
— Wyobraź sobie, kogo wczoraj pokazywali —  
naszego Aleksandra Aleksandrowicza!

— Naszego Aleksandra Aleksandrowicza?! —  
zdziwił się Gienek. — Dość długo nie słyszeliśmy  
o nim.

— O! Ale za to stał się bardzo popularny!  
Opowiadają, że mieszkał w pewnych jaskiniach,  
opanowywał rosyjskie sztuki walki. Teraz sam  
siebie nazywa rosyjskim ninja. I co jest najcie-  
kawsze, sam demonstrował swoje chwytty. Tyle  
że mówił, że jest to dawno zapomniany styl sta-  
rosłowiański, który on właśnie odrodził.

— Ale zasuwaj! — uśmiechnął się Staś. —  
Tak, Wołodja, gdybyś wtedy nie zaczął go tak  
mocno, byłbyś teraz jego partnerem.

— Nie, zgodziłbym się na to — podstępnie  
odpowiedział Gienek.

— Dlaczego?

— Jak to dlaczego? Gdyby Wołodja rąbnął go  
porządnie, nigdyby tego nie osiągnął.

Chłopcy się szczerze roześmiali.

— Niepotrzebnie go wtedy stłukłeś — powie-  
dział Sensei. — Przecież jest już w podeszłym  
wieku. Starość trzeba szanować.

— To była jego wina, dlaczego się czepiał, dla-  
czego mnie prowokował? — zaczął usprawiedli-  
wiać się Wołodja, potem dodał bardziej miękkiem  
tonem: — Prawie go nie dotykałem, tylko po pro-  
stu niechcący zaczęliśmy.

— Tak, tak, Mistrzu, właśnie tak było —



potwierdził Gienek. — Pamiętam jak dziś, że Wołodja tylko wystawił pięść, a ten gość całych pięć minut bił o nią głową... Ale to dobrze mu zrobiło! Widzisz, od razu się zmienił, zrobił się rosyjskim ninja.

Chłopcy razem zaśmiali się.

— Niech się bawi — dobrodusznie machnął ręką Sensei. — Kiedy już znalazł swoją złotą żyłę, niech teraz kręci się.

— Wczoraj byliśmy skoszarowani, mieliśmy dyżur — opowiadał dalej Wołodja — widzieliśmy w telewizji, jak Aleksandrowicz machał nogami, rzucał chłopaków na ziemię. Śmialiśmy się do rozpuku, wspominaliśmy młodość. Moi nowicjusze są trochę lepsi... Postanowiliśmy dzisiaj przyjechać, trochę się zaprawić do prawdziwej sztuki. Że tak powiem, popełnić swoją wiedzę rezerwową.

— Szlachetna sprawa — zgodził się Sensei.

Następnie wspominali dawne treningi i całą kupę kawałów, z nimi związanych. W końcu chłopcy Wołodji też dołączyli i rozmowa o sztukach walki przerosła do filozoficznej dyskusji o stosunkach międzyludzkich.

— Potraktowałem go tak. Ponieważ mam pewne zasady postępowania — zacięcie bronił swojego punktu widzenia jeden z chłopaków Wołodji.

— Zasada jest tylko ślepym oporem wobec rzeczywistości, podobnym do idiotyzmu. Zasada...

Sensei ledwie wypowiedział to słowo, a starsi chłopcy prawie chórem powtórzyli zamiast niego:

— ... jest dobra tylko w naukach ścisłych jako synonim aksjomatu.

— Właśnie — potwierdził Mistrz.

Wołodja tochę się zawahał:

— Przecież usiłowałem im to wytłumaczyć, jak mogłem.

— Więc źle się starałeś. To, co nie dociera przez rozum...

— ... wbija się przez ciało!

— Tak więc, skoro wszystko tak dobrze znacie, niepotrzebnie się śmiejecie...

Sens ostatnich słów Mistrza dotarł do mnie później, już kiedy się rozpoczął trening. Sensei ostrzegł nas, że dzisiaj będziemy ćwiczyć na pełną moc, i jeżeli ktoś nie wytrzyma takiego tempa, może odejść do lewego kąta hali sportowej i ćwiczyć tam uderzenia, nie przeszkadzając innym. Zaśmialiśmy się, jak wróble, z urazą szepcząc między sobą:

— Kto — my nie wytrzymamy! — cicho powiedział Andrzej.

— Nie mów — dodał Kostja. — Zaraz pokażemy, na co nas stać!

— Przecież to nie jest po raz pierwszy — rzuciłam niedbale, wspominając rozgrzewkę starszego senpaja.

Ale cała nasza pycha znacznie się zmniejszyła już po pierwszych minutach rozgrzewki. Tak wzmózonego treningu jeszcze nigdy nie miałam. To była prawdziwa szkoła przetrwania. Galiano nas po całej hali sportowej w szalonym tempie z pokonywaniem stale zmieniających się prze-

szkód. Po zaledwie czterdziestu minutach wielu z nas już przepełzało przez te przeszkody prawie na czworakach, w tym i ja. Tatiana, która stękała obok, powiedziała:

— To jakiś koszmar! To wprost jak w humoresce: «Szanowni państwo! Towarzysze i towarzyski! Czworaki i czworaczki...» Ostatnie słowa dobrze nas opisywały. Czułam się, jak rdzenna obywatelka krainy czworaków.

W lewym kącie hali sportowej już pojawiły się pierwsze «ofiary», podczas gdy nasza grupa wytrwale kontynuowała ćwiczenia. Ale dalej było tylko gorzej. Po tym biegu maratońskim z serią różnych ćwiczeń zaczęliśmy robić pompki, nie pamiętam, ile razy, ale pamiętam, że o wiele więcej, niż sto. Trzęsły mi się ręce, jak po młocie mechanicznym, a ciało wyginało się, jak u gąsienicy, usiłując się podnieść nie tyle kosztem «wibracji», ile kosztem skoków tyłka. Zdawało mi się, że tylko tam zachowałam trochę siły. Co raz częściej zaczęłam patrzeć w lewy kąt, ponieważ liczba tych, kto chciał dopełznąć do tej zbawiennej oazy, stale rosła. W dodatku Tatiana zdradziecko dołączyła do nich, przywołując mnie ręką.

Tymczasem starszy senpai odliczał pompki. Żeby polepszyć ludziom humor, żartobliwie przymawiał, jak gospodarz uczyty:

— Sensei ma owczarka, który wszystkich wpuszcza do domu, ale nikogo nie wypuszcza. Więc zrobmy dziesięć pompek za spryt tego mądrego psa, który nie na próżno je swój chleb.

Kiedy wszyscy wypuszczali «parę» pod odliczanie, Sensei obchodził cały ten ludzki krąg pocących się uczniów i patrzył, czy komuś trzeba dodać obciążenia przy pomocy naciśnięcia dłonią na plecy. A jego dłoń, mówiąc słowami Andrzeja, jeżeli naciśnie, to człowiek odczuje, jakby ciężarówka po nim się przejechała. Kiedy po raz drugi podszedł do mnie, gdy robiłam pompki, prawie dostałam konwulsji, pomyślałam: «Już po mnie! Jeżeli jeszcze dołoży swoją «dłoń», na pewno upadnę, niby robaczek na szkło». Wbrew moim oczekiwaniom Mistrz tylko chwycił za moje kimono, jak kota za kark i zaczął pomagać mi podnosić się podczas robienia pompek, co wywołało śmiech chłopaków. A Wiktor sobie opowiadał dalej:

— Sensei ma też kota o imieniu Samuraj, który jest tak pewny siebie, że zaczepia nawet psy. Więc zróbmy dziesięć pompek, żeby jego pragnienia zawsze odpowiadały jego możliwościom.

Od takiego wytężenia bolały mnie kości. A Wiktor wciąż opowiadał swoje dowcipne kalambury. Już z całej siły przeklinałam pchłę Samuraja o imieniu Maszka, która daleko skacze, i tę myszkę, która mieszka w szopie i szybko biega, i te «syjamskie» walczące rybki, które mają błyskawiczną reakcję i maniery piranii, i w ogóle wszystkie te żywe stworzenia mieszkające w domu Mistrza. W końcu zrobiłam jeszcze jedną pompkę za męską dumę papugi o imieniu Kieszka, która już zdążyła

spłodzić aż pięć piskląt, wykończeni padliśmy na podłogę. Ale zaledwie minęła minuta a znów położono nas w sztaple i cały tłum zaczął przeskakiwać przez ciała swoich biednych partnerów, przy okazji, nieostrożnie przygniatając im kończyny. W hali było sporo wytrzeszczonych ze zdziwienia oczu i cały czas roznosił się powściągliwy, zawodzący dźwięk «Osssss!» Też już nie mogłam wytrzymać i dołączyłam do szeregu «przewrażliwionych».

— Dawno już trzeba było to zrobić — powiedziała Tatiana.

Ale nasz odpoczynek trwał niedługo. Kiedy skończyła się rozgrzewka, zaczęliśmy wzmożone ćwiczenia podstawowych technik i doskonale uderzeń i chwytów. Zauważyłam, że Sensei więcej czasu poświęca chłopakom Wołodji, objaśniając im i pokazując serię nowych chwytów. Zuchwale rzucali rywali na podłogę podczas ćwiczeń uderzeń, i zdziwiła mnie ich wytrzymałość i niewyczerpana moc. Jakby w ogóle nie było tej męczącej rozgrzewki ze wszystkimi jej konsekwencjami.

Po dwóch i pół godzinach wzmożonego treningu pozostało nam tylko tyle sił, ile trzeba, żeby pomyśleć, jak mamy przetrwać dodatkowe zajęcia. Oczywiście, nikt nas nie trzymał, jak chcesz, to idź. Ale ciekawość była powyżej jakiegokolwiek fizycznego zmęczenia. Skoro Wołodja zaprosił swoich chłopców, to najciekawsze musi czekać na nas później. I mieliśmy rację.



**K**iedy większa część uczniów poszła do domu, Sensei zaczął pokazywać jakieś specjalne chwytty, wykorzystujące siłę przeciwnika. Podzieliwszy się na pary, chłopcy zaczęli je ćwiczyć. My z Tatianą też usiłowałyśmy je wykorzystywać. Ale cała sprawa kończyła się na tym, że nasze ciała powisały jedno na drugim, jak w ostatniej rundzie w pojedynku wykończonych bokserów. Zobaczywszy tę parodię na sparing, Sensei rozdzielił nas, przydzielając nam do pary chłopaków. Od razu zmobilizowałam resztki swoich sił. Jak to się mówi, skąd to wszystko się «wzięło».

Po ćwiczeniu kolejnego uderzenia Rusłan, który wyglądał, jak chuda mrówka w porównaniu do swojego przeciwnika Gienka, poskarżył się Mistrzowi:

— Czy można wykończyć tego olbrzyma? Przecież jest odporny, jak zwarty pancerz. Jeżeli on na mnie napadnie, to tylko mogę wykorzystać jego własną siłę, jak pan mówił. Ale jeżeli przeprowadzę atak, przeciwko temu upartemu

nosorożcowi to jestem skazany na niepowodzenie. Przecież to góra mięśni!

— Góra mięśni — to drobiazg. W sztukach walki to nie jest najważniejsze. Na Wschodzie jest takie przysłowie: «Ręce i nogi są tylko przedłużeniem ciała, a ciało z kolei jest przedłużeniem rozumu». Czyli najważniejsze są: wiedza i nawyk. Wtedy nawet bardzo słaba kobieta jednym palcem może zneutralizować albo zabić nawet najmocniejszego atletę na świecie.

— Tak, teoretycznie to jest możliwe — uśmiechnął się Gienek. — Szczególnie jeżeli jest piękna, wtedy jednego spojrzenia wystarczy... Ale na serio jest to praktycznie niemożliwe.

— Możliwe — odpowiedział Sensei.

— Sportowca?

— Sportowca.

— Jednym palcem?

— Jednym palcem.

— Bez siły?

— Bez siły.

— Nie wierzę...

Gienek ledwie skończył mówić, a Sensei lekkim ruchem średniego palca lewej ręki dotknął mięśnia jego szyi, trochę poniżej prawego ucha. Nieoczekiwanie dla wszystkich Gienek wykrzywił usta tak, jakby zjadł z tuzin cytryn swoją prawą częścią jamy ustnej. Jego prawa noga gwałtownie podcięta zgięła się i upadł na podłogę, nie zdążywszy nawet zrozumieć dlaczego. Jego prawa ręka zupełnie go nie słuchała i wisiała niby szmatka. Gienek spojrzał

na Mistrza przestraszonymi oczyma, ruszając lewą połową ciała:

— «Szo do siero» — zdążył syknąć, usiłując coś powiedzieć.

Staliśmy zdumieni tą sceną błyskawicznego przetworzenia młodego zdrowego chłopca na bezradne, targające się ciało o połówce sparaliżowanego «staruszka».

— «Ccho cham robic»?

Sensei pochylił się nad «żywym trupem» Gienka i ponownie nacisnął na jakieś punkty na ciele w okolicy plec i brzucha. Zrobił to tak szybko i zgrabnie, że nawet nie zdążyłam zauważyć, gdzie nacisnął. Gienek zaczął stopniowo dochodzić do siebie, rozcierając poszkodowane kończyny:

— «Jaszna szoinka»!

— I co, niewierny Tomaszu? — spytał Sensei.

— Sensei! Przecież mogłeś chociaż uprzedzić. Prawie mi mózg z ostatnim zwojem nie spłonał — z trudem powiedział Gienek łamanym, sepleniącym językiem.

— Szkoda — ze zmartwieniem pożartował Sensei. — Wtedy by w nim chociaż pluskwy zginęły. Byłoby to korzystne pod względem profilaktyki.

— Sensei, zdradź nam receptę tej trucizny — żartobliwie dołączył do rozmowy Staś, który widocznie był pierwszą osobą, która doszła do siebie po tym, co zobaczyliśmy.

— Ta recepta jest prosta. Trzeba tylko wiedzieć, gdzie, kiedy i jak.



— Logiczne, ale czy są jakieś szczegóły? — dopytywał się Wołodja.

— Szczegóły? Na ciele człowieka jest masa biologicznie aktywnych punktów BAP.

— Czego? — niezrozumiał Gienek.

— BAP — biologicznie aktywne punkty.

— Jakie jeszcze tam punkty! Tomahawki balistyczne! — oburzył się z ironią chłopak. — Do tego jeszcze z autopilotem.

Chłopcy uśmiechnęli się, usłyszawszy staranną wymowę.

— Masz absolutną rację. To po raz kolejny potwierdza, że każdą wiedzę można przetworzyć na broń... Tak więc, taki efekt «balistycznych tomahawek z pilotem automatycznym» jest wywołany właśnie przez punktowe oddziaływanie na biologicznie aktywne punkty organizmu człowieka.

— Ale co to za punkty? — z ciekawością spytał jeden z chłopaków. — Jak one funkcjonują?

— To jest pewny odcinek ciała, posiadający ogólną inercję. Nerwy, przez które docierają sygnały od receptorów, położonych w tej strefie, przekazują z kolei ten sygnał nie tylko do rdzenia kręgowego, ale również przez drogi dośrodkowe i przez drogi grzbietowe do mózgowia. Tam odbywa się swojego rodzaju zwanie powstających reakcji bezwarunkowych. Ponadto, ten proces odzwierciedla się w analizatorach kory mózgowej z powstaniem połączeń warunkowo-refleksyjnych, czyli, mówiąc prościej, tworzy się pewny rozkaz dla organizmu.

— I co, będzie z tego jakiś efekt?

— Nie tylko. Człowieka można zneutralizować na pewny czas albo zrobić tak, żeby stracił przytomność, albo, w końcu, zaprogramować przerwanie czasu istnienia tego obiektu biologicznego w pewnej żądanej chwili.

— I co, wystarczy tylko nacisnąć na odpowiedni punkt?

— Nie zupełnie. Wszystkie procesy wewnątrz organizmu odbywają się z wykorzystaniem bardzo małej energii. Oddziaływanie na te punkty za pomocą bodźców progowych, czyli słabych, wywiera na funkcje organizmu znacznie większy wpływ, niż bodźców silnych.

W tej chwili Gienek podniósł się i spróbował się przejść, cały czas kulejąc na prawą nogę i potrząsając prawą ręką:

— «O maszko, a boli mnie, jakszbym szmiał odszleżyny na szprawym boku».

— Ale próżniak leniwy — pożartował Sensei. — Tylko leżałby na piecu i jadł kołacze... Trzeba więcej ćwiczyć!

— «Asz przeszcież ćwiczczylem czak, jak i wszyszczy».

— Mam na myśli to, że musisz więcej doskonalić swój rozum, żeby nie popadać w takie głupie sytuacji.

— A gdzie mu tak lekko dołożyłeś? — spytał Wołodja.

— To jest tak zwany punkt Botkina-Erba. Gdybym nacisnąłem w inny sposób, efekty byłyby zupełnie inny. A gdybym nacisnął na

miejsce splotu wewnątrzściennego nerwu, położonego obok, z taką samą siłą impulsową, to mogłoby wywołać skurcz arterii gruczołu tarczowego, co by doprowadziło do zakłócenia jego funkcjonowania. Takie zakłócenia wywołują osłabienie układu odpornościowego albo jego całkowite odłączenie. W takim przypadku człowiek może umrzeć w wyniku jakiegokolwiek infekcji.

Gienek zdębiał, usłyszawszy te słowa:

— Dziękuję, całkiem mnie pan uspokoił taką cudowną perspektywą.

— Powiedział pan: «Kiedy, gdzie i jak» — spytał jeden z chłopców Wołodji. — Co to znaczy, kiedy?

— Sprawa polega na tym, że ponadto trzeba znać dokładne położenie punktu, siłę oddziaływania na niego, trzeba też wiedzieć, kiedy ten punkt jest najbardziej aktywny.

— Hm! I tyle, — uśmiechnął się Wołodja.

Gienek i tutaj nie zmarnował szansy na żart, ledwie ruszając swoim językiem:

— «Cieńkuje szanu, sze mnie szardzo uszpo-koił szak radoszno perspektyw!»!

Sensei uśmiechnął się:

— Zależy dla kogo. Dla durniów i tego może zabraknąć.

— Ale jak zrozumieć te wszystkie punkty i uporządkować je? — zapytał Staś.

— Najprostsza droga do zrozumienia — to, oczywiście, odczuć je na sobie, szczególnie impuls dotyku, to jest bardzo ważne.

— Aha, ale jak coś sobie uszkodzimy — półzartobliwie zapytał Wiktor.

— Nie uszkodzicie. Do tego na ciele człowieka są punkty antagonistyczne, które neutralizują takie oddziaływanie albo skurcz. Wszystko w przyrodzie jest zrównoważone.

— Lepiej już próbować na innych ludziach — z uśmiechem powiedział Kostja.

— Nic z tego — odpowiedział Sensei. — Próbując to na innych ludziach, nigdy nie osiągniecie pożądanego efektu, trzeba na sobie odczuć efekt takiego oddziaływania.

— Ale czy można spróbować już dzisiaj tego, jak się mówi, w warunkach bojowych? — zadał pytanie ktoś z chłopców Wołodji.

— Można.

— A nam? — spytał ktoś z tej samej grupy.

— Tak, proszę.

Do Mistrza podeszło trzech ochotników z zespołu Wołodji i Rusłan. Staś, który też dołączył do nich, zaproponował również Wołodji, ale ten odpowiedział:

— Czy wyglądam jak jakaś dyżurna makiwara?

— Chodź-chodź.

Gienek, kulejąc, usiadł obok Wołodji na ławce sportowej i przedrzeźniał Stasia:

— Chodź-chodź. Język — «gadu-gadu», głowa — «na podłogę». Sam tego chciałeś.

— I co, czy to są wszyscy ochotnicy? — spytał Sensei, patrząc na chłopaków Wołodji.

I tu, zebrawszy całą swoją odwagę podnio-

słam się i dołączyłam do ochotników, wywołując uśmiech na twarzach chłopaków.

— A ty gdzie się wybierasz? — zdziwił się Sensei.

«Rzeczywiście, po co wyszłam?» — od razu powstała we mnie tchórzliwa myśl. Ale już było za późno na odwrót:

— Czy mogę spróbować?

— Nie boisz się?

— Tylko łaskotek — pogubiwszy się wypaliłam, ulubiony żart mojego ojca.

— Dobra, skoro chcesz dołączyć do szeregów kamikaze.

I zwracając się już do innych ochotników, dodał:

— Więc tak, pracujemy na pełny kontakt. Waszym zadaniem jest za wszelką cenę wygrać ten pojedynek.

— Możemy atakować grupą? — spytał ktoś z chłopaków Wołodji.

— Możecie. Róbcie co sobie życzycie, macie całkowitą swobodę działania.

Kiedy Sensei odwrócił się, chłopcy Wołodji stanęli w kręgu, omawiając coś w swoim «wojskowym» języku gestów. Rusłan ze Stasiem też coś szeptali. A ja stałam wśród tych atletycznych ciał jak myszka, nie wiedząc, co mam przeciwstawić z moją mocą robaczka przeciwko huraganowi. Jak na złość, nic mi nie przychodziło do głowy. «Dobra, niech będzie co ma być» — pomyślałam.

W końcu wszyscy zajęli swoje pozycje bojowe wokół Mistrza. Tylko ja stałam na swoim miej-

scu. Kiedy starszy senpai dał sygnał zaczynać, chłopcy Wołodji stali wokół Mistrza i zaczęli jednocześnie atakować na wszystkich poziomach. Ale Mistrz zadziwiająco łatwo sobie poradził z ich uderzeniami. Potem przeprowadził kontratak tak błyskawicznie, że nadażałam tylko patrzeć na bezradnie spadające ciała. Ze strachu zatrzęśły mi się kolana. Następnie atakować Mistrza spróbowali Rusłan i Staś. W tej samej chwili Sensei odwrócił się do mnie plecami na odległość wyciągniętej ręki, blokując ich natarcie. Pomyślałam, że trzeba coś zrobić. I nic innego nie przyszło mi do głowy, jak tylko wczepić się w plecy Mistrza, jak pchła, żeby nie mógł mnie dostać. I kiedy z całej siły spróbowałam zrealizować tę ideę, okazało się, że zamiast Mistrza złapałam powietrze. Nie uwierzyłam swoim oczom, ale właśnie stał przede mną! «Łatwiej jest złapać widmo, niż Mistrza» — pomyślałam.

Ale raptem moje myśli razem z duszą gwałtownie «opuściły się» do pięt, ponieważ Sensei już doprowadził do otępienia kolejnych «cudownych» wojowników. Odwróciłam się i z całych sił pobiegłam w przeciwnym kierunku. Ale ledwie zdążyłam zrobić dwa kroki, odczułam lekkie bólowe popchnięcie w okolicy pierwszego i drugiego kręgów szyjnych. Przed moimi oczyma zabłysnął wybuch płomienia, jakby oświetcono mnie olbrzymim reflektorem jakiegoś żółto-różowego koloru. Całe moje ciało ktoś obezwładnił w niezwyklej pozie z zastygniętymi rękoma, tuło-

wiem pochylonym do produ i w połowie podniesioną prawą nogą. Jak zachowałam równowagę, sama tego nie pamiętam. Ale wtedy to mnie najmniej niepokoiło.

Z przerażeniem czułam co się dzieje z moimi mięśniami. Zaczęły, jak wspólny mechanizm kurczyć się wbrew mojej woli i pragnienia. I ten skurcz opanował całe moje ciało. Wydawało mi się, że napięcie rośnie z każdą sekundą i nie sposób było go zatrzymać. Skurcz był tak silny, iż zdawało mi się, że słyszę chrzęst kręgosłupa. Najdziwniejszym było uczucie napięcia wszystkich organów wewnętrznych. Nigdy nie czułam czegoś podobego. Wszystkie moje nawet najsilniejsze bóle głowy były drobnostką w porównaniu z tym nieznośnym bólem. Mięśnie mimiczne były tak napięte, że twarz skreśliła się w przerażającym grymasie.

Dziwne, ale mimo tych wszystkich metamorfóz mojego skurczonego ciała, przebywałam w pełnej świadomości. Nadal wszystko widziałam i słyszałam. Widziałam, jak chłopakom z naszej grupy, obserwując to, co się odbyło, zmieniła się twarz, jak z przerażeniem patrzyli na nasze zastygłe ciała. Wyraźnie usłyszałam słowa Kostji pod moim adresem:

— Coś podobnego! Stałaś się piękną, nie mogę się napatrzeć.

Chciałam odpowiedzieć coś przykrego, ale nie mogłam poruszyć językiem, ani powiedzieć nawet słowa.

Wydało mi się, że minęła cała wieczność, kiedy

Sensei «odżywił» nas z powrotem. Ale jak się okazało, przebywałam w tej dziwnej pozie mniej niż minutę. W moje ciało wbiły się małe igielki i ścierpły mi wszystkie kończyny. Moi «współuczestnicy» intensywnie rozcierali swoje ciała. Postanowiłam wziąć z nich przykład. W ciele odczuwałam łamanie i ból.

— Nic się nie stało — spokojnie powiedział Sensei. — Za dwa, może trzy dni wszystko minie.

Do końca dodatkowych zajęć sześcioro poszkodowanych zajmowało się tylko tym, że intensywnie rozcierali swoje kończyny, wysłuchując nieskończonych żartów innych chłopaków. Kiedy cała nasza grupa «kalek» wyszła na ulicę, Wołodja, który stał obok Mistrza, powiedział z zachwytem:

— Super! Świetny trening mieliśmy dzisiaj. Taka przyjemność dla mięśni.

«To dopiero przyjemność! — pomyślałam, ledwie ruszając nogami. — Jeżeli dalej tak mi będzie szło, to w najbliższym czasie będę tu przyjeżdżała rejssem specjalnym na wózku inwalidzkim». Nasza grupa «marnych wojowników» wolno kuśtykała po drodze, słysząc wesołe żarty chłopaków.

— Nieźle wyglądacie, wprost jak w żarcie, — ironicznie powiedział Wiktor.

— Którym?

— Dwaj chłopcy leżą w punkcie traumatologicznym, od głowy do nóg są w gipsie. Jeden pyta drugiego: «Gdzie tak się urządziłeś?» «Wpadłem na garaż».



— «Samochód, oczywiście, cały zniszczony» — ze smutkiem powiedział.

— «Nie, szedłem pieszo».

— Śmiech śmiechem, ale ciało boli — poskarżyłam się Mistrzowi.

— Nie myśl o bólu. Przecież ból jest tylko iluzją.

— Jak może być iluzją, skoro odczuwałam go naprawdę?

— To ci się tylko wydaje, że go odczuwasz. Każdy ból można przestać odczuwać, jeżeli tego zechcesz.

— Co takiego — z niedowierzaniem spytał Staś — nawet jeżeli będą cię ciąć na kawałki?

— Nawet palić — z uśmiechem odpowiedział Sensei i już bardziej poważnym tonem dodał: — Przecież ból jest reakcją na wzbudzenie pewnych końcówek nerwowych, które przekazują sygnał do mózgu. Jeżeli człowiek doskonale panuje nad swoim ciałem i rozumem, to może regulować swój próg bólowy. A propos, jest taka szkoła walki «Katedo», której mistrzowie uczą swoich zwolenników nie odczuwać bólu.

— Szczęściarze, którzy u nas ćwiczą — marzy cielsko powiedział Rusłan.

— Dlaczego są szczęśliwi? — żartobliwie zapytał Mistrz — przecież zanim się nauczą, dostaną co najmniej ze sto razy kijem po głowie.

W tej chwili Jurek, zamierzając powiedzieć coś przyjemnego swojemu przyjacielowi, ledwie

otworzył usta i poklepał Rusłana po ramieniu, gdy ten głośno krzyknął:

— A-a-a! nie dotykaj moich kończyn!

Wszyscy znów wybuchli śmiechem.

— Jak się mówi, naumyślnie nie wymyślisz — śmiejąc się, powiedział Staś.

A Gienek dodał:

— Po takich treningach chłopcy mogą wymyślić nowy język.

— Tak — dołączył do rozmowy Wiktor. — I będzie mówić słowami z niewiadomo jakich głosek.

Tak więc, poszliśmy dalej, sypiąc nowymi anegdotami, prawie zapomniawszy o swoich nieszczęsnych kończynach. Tylko brzuch drżał w wyraźnych konwulsjach bólowych. Andrzej cały czas szedł pogrążony we własnych myślach i nie brał udziału w naszej rozmowie. Nie zwracając żadnej uwagi na nasz śmiech, spytał Mistrza:

— A ten styl, że tak powiem, styl punktów, który pan nam pokazywał, jest właśnie stylem «Starego lamy»?

— Nie, nie myl głazu z Himalajami. W stylu «Starego lamy» Kunszt jest doprowadzony do doskonałości. Wystarcza w nim jeden uścisk dłoni choćby nawet pośrednika, żeby zrobić z człowiekiem co się chce.

— Coś podobnego! — zdziwił się Andrzej.

— To jest pestka. Są bardziej poważne rzeczy, może kiedyś opowiem ci o tym.

Już zegnając się koło przystanku, ściskając wszystkim dłonie, Sensei nieoczekiwanie odpro-

wadził na bok Kostję i powiedział mu coś szeptem. I mimo, że staraliśmy się cokolwiek usłyszeć, wszystko było na próżno. A kiedy grupa Mistrza się oddaliła, zaczęliśmy dręczyć Kostję pytaniami. Ale Kostja żartował, jak mógł, tłumacząc wszystko tajemniczymi wywodami.

Jechaliśmy do domu milcząc. Tylko Kostja coś mruzczał sobie, usiłując bawić nas żartami. Ja całkowicie pograżyłam się w swoje myśli o bólu. I co najważniejsze, kiedy dopiero zaczęłam o nim myśleć, ciało znów zaczęło łamać i odczuwać ból. Marzyłam tylko o tym, żeby jak najszybciej dotrzeć do domu. Dobrze, że mój dom był w centrum miasta, pięć minut na piechotę od przystanku.

Ale, odprowadziwszy mnie do mojego bloku, chłopcy nie śpieszyli się rozchodzić po domach. Dokładniej, Kostja nie śpieszył się, ponieważ właśnie wtedy dopiero zaczął opowiadać anegdoty i różne śmieszne historie życiowe. Już dreptałam z nogi na nogę, uśmiechając się monotonnie i nie pokazując po sobie, że czas się pożegnać. Ale Kostja wcale nie reagował i kontynuował swój kalambur, tylko od czasu do czasu spoglądając na zegarek.

Ale zaledwie minęło dziesięć minut, gdy nieoczekiwanie dla wszystkich Andrzej z dzikim krzykiem bólu skręcił się i kurcząc się prawie upadł, ale go złapał Kostja, który stał obok. Kostja sam nie zdołał zachować równowagi i poleciał, trzymając przyjaciela na swoim ciele. Wystraszeni, pochyliliśmy się nad nimi, usiłując w czymś pomóc Andrzejowi. Ze strachu zapo-

mniałam o moich mięśniach. Tylko Kostja, jak się wydawało, zachował spokój.

— Drobiazg, trzeba go tylko usadzić i rozetrzeć skronie. Szybko to minie — powiedział, podnosząc Andrzeja.

Kiedy krzaliśmy się wokół bezradnego chłopca, Kostja spojrział na zegarek i powiedział z zadumą:

— Dokładnie, jak Sensei powiedział... Ale siła!

Z niedowierzaniem spojrzeliśmy na niego.

— Co powiedziałaś?

— Potem odpowiem — szybko zripostował Kostja i zaczął intensywnie rozcierać skronie Andrzeja.

Stopniowo kolor twarzy chłopca powracał. Żółto-niebieskie plamy zniknęły, pojawił się lekki rumieniec. Oddech stał się bardziej stabilny. I już za minutę, która dla nas, przestraszonych, trwała całą wieczność, Andrzej mniej-więcej doszedł do siebie. Chwytając samego siebie za głowę, mruknął z zakłopotaniem:

— Nie rozumiem, co się zdarzyło... Nigdy nie miałem czegoś podobnego... Chyba zmęczył mnie trening albo jest coś nie tak z organizmem... Przecież jestem jeszcze młody.

Kostja uśmiechnął się, kręcąc głową:

— Ale Sensei, daje popalić, przewidział wszystko, nawet te słowa ... Co, żyjesz, dziwaku?

— Które to słowa? — nie zrozumieliśmy.

Ale Kostja był całkowicie pochłonięty rozmową z Andrzejem:

— Sensei kazał mi zapytać, czy spodobało ci się to, co się z tobą zdarzyło?

— Co?! — Andrzej ze zdziwieniem spojrział na Kostję.

— Pytam, czy podobało ci się to, co się z tobą działo?

Kiedy te słowa dotarły do świadomości Andrzeja, wpadł we wściekłość i jego twarz pokryły czerwone plamy gniewu:

— Czy mi się to spodobało?! Idź do diabła! Gdyby ciebie tak rąbnęło o asfalt, czy podobało by ci się?!

— O! — z uśmiechem odpowiedział Kostja. — Skoro krzyczy, to na pewno żyje.

A potem dodał:

— Nie złość się, sapiesz, jak lokomotywa. Uspokój się. Ten upadek to nie tyle upadek, ile kara Mistrza za twoje myśli.

— Co?! — jeszcze bardziej zdziwił się Andrzej.

Wewnątrz mnie wszystko się zagotowało: «Co znaczy kara?! Jak można było tak potraktować człowieka, zrobiwszy z niego bezradne stworzenie. Ale Sensei! Jeżeli jest tak dobry, to dlaczego tak robi. Mówi nam o miłości do bliźniego, a co wyrabia!» W tej chwili przypomniałam sobie to, jak ćwiczymy uderzenia na treningu — twarde, bezlitosne, szorstkie wobec partnera ze sparringu. I natychmiast pograżyłam się w rozpacz i oburzenie. Tymczasem Andrzej dodał:

— Co!!! Kara Mistrza za moje myśli?! Za jakie myśli? Zgłupiałeś? I w ogóle, ty o wszystkim wiedziałeś i nic mi nie powiedziałeś! Też mi przy-

jaciel. A ja tu myślę, dlaczego on tak się stara, patrzy na zegarek. Jak się okazało, żeby przekazać mi słowa Mistrza. I co, przekazałeś?! Jesteś zadowolony z pokazu, palancie?!

Teraz już Kostja się zaczerwienił:

— Jesteś naprawdę durniem! Sensei po prostu kazał mi być cały czas obok, żebyś nie rozbił sobie tej pustej głowy o asfalt. A potem, gdy już przyjdiesz do siebie, żebym powiedział ci te słowa.

Andrzej osłupiał, czuł jakby wylano na niego cały dzban zimnej wody. Przyjaciele popatrzyli sobie w oczy. Zapanowała cisza. My też staliśmy pogubieni po takim zbiegu wydarzeń.

— I co ci Sensei kazał przekazać? — z rozdrażnieniem, ale już bardziej opanowany, spytał Andrzej.

— Sensei kazał mi ci przekazać, że myśl jest materialna, i że wykorzystywać sztuki przeciwko ludziom nie wolno.

— Co to ma do czynienia ze sztuką? Jaka myśl? O czym ty mówisz?! — osłupiał Andrzej.

— Ty lepiej wiesz jaka myśl. O czymś cały czas myślałeś, to twoja główka pracowała cały czas, nie moja.

— Kiedy?! — jeszcze bardziej zdziwił się.

— Ale ja, ja, ja... w tramwaju przypominałem sobie cały nasz trening od początku do końca — dławiąc się z oburzenia, powiedział Andrzej.

— To nie tramwaj miałem na myśli. Wtedy, kiedy szliśmy z Mistrzem, o czym myślałeś całą drogę?

Andrzej skupił się, usiłując przypomnieć sobie ten moment.

— Śmiałyśmy się, opowiadaliśmy anegdoty...

— To my, to my?

— A a... a ja ... O czym wtedy myślałem, hm...

Po chwili skupienia namysłu Andrzej powiedział ze zdumieniem:

— O, rany! Czyż naprawdę za to...

Zatrzymał się w pół słowa. Przypomniał sobie..., doznał oszałamiającego odkrycia. Ta okoliczność wzbudziła w nas jeszcze większe zainteresowanie. I znów nasza ciekawość przelewała się przez brzegi.

— Ale za co? Za co? — na Andrzeja posypała się lawina pytań.

Chłopak na początku odpędzał nas, jak dokuczliwe muchy, ale w końcu się przyznał:

— To stara historia... Ja tu znalazłem tych bydlaków, którzy mnie pięć lat temu mocno zbili. Pamiętasz Kostja, tych bojówkarzy?

— Tych, na których postanowiłeś mścić się całe życie.

— Przesadziłem.

— Przecież to były twoje słowa, — wzruszył ramionami Kostja.

— Tak, moje. Ale powiedzmy tak, dzięki tym słowom zacząłem intensywnie zajmować się karate... Więc tak... wtedy, kiedy szedłem... myślałem...

Chłopak trochę się zawahał, opuszczając głowę. Widocznie nie łatwo mu było przyznać się do tego. Ale, zebrawszy całą swoją odwagę, powiedział:

— W sumie myślałem.., że przy pomocy tej sztuki... nigdzie nie ukryją się... przed moją... zemstą.

Po jego słowach zapadła cisza. Kostja westchnął i powiedział:

— Tak, ale historia... Widzisz, sam jesteś winien, marzysz nie wiadomo o czym, a cała wina spada na mnie.

— To ci też Sensei przekazał? — mruknął Sławek, próbując żartować.

Kostja spojrział na niego tak, że ten od razu speszył się.

— A teraz wyobraź sobie — kontynuował swoje przemówienie Kostja, zwracając się do Andrzeja.

— W jakim szoku byli ci bojówkarze. Przecież to oni byli zwykłymi ludźmi, z własnymi wadami i zaletami, tacy jak my. Ale ty jesteś przygotowany myślowo, dużo więcej wiesz o tej sile, niż oni... Nawet jeżeli ktoś przeżyłby, to wyobraź sobie, co z nimi było by po takich przeżyciach. Każdy z nich pomyślałby, że jest chory co najmniej na epilepsję... Dla ciebie to było przykre, ale oni! Sensei prosił przypomnieć ci: **Każde uderzenie naniesione przez was w gniewie, ostatecznie wraca do was samych... I jeszcze jedno: «Nie wolno życzyć złego nawet w myślach. Ponieważ siłą myśli szykujesz pułapkę dla samego siebie, swojego ciała i rozumu. I im częściej myślisz o tym, tym bardziej zaciska się sieć, tym węższa pętla».**

I po krótkim namyśle dodał:



— Chyba nic nie zapomniałem powiedzieć... Teraz już możesz być wolny.

— Co masz na myśli - wolnym? — nie zrozumiał Andrzej. — Sensei wygania mnie?

— O tym nic mi nie mówił... Ale w tej chwili ja pozwalam ci już iść, jesteś wolny.

— A — przeciągnął uśmiechając się Andrzej i zaczął razem z Kostją podnosić się z ziemi: — A ty dlaczego upadłeś?

— Dlaczego, dlaczego, bo trzeba mniej jeść. Przecież nie jestem jakimś Rambo, żeby cię utrzymać.

Pozegnaliśmy się z uśmiechem, jak się mówi, na wesoło. Byłam zadowolona, że to wszystko tak się dobrze skończyło. W mojej duszy znów dokonała się rewolucja uczuć. «Rzeczywiście, ktoż jest winny temu, że wokół nas dzieje się zło? Sami jesteśmy temu winni. Przecież nie kontrolujemy swoich czynów. I czeka nas kara. I przy tym krzyczymy, oburzamy się, ale dlaczego? Trzeba częściej myśleć o dobrym, trzeba nieść ludziom dobro i może świat wokół ciebie się zmieni. Co najmniej, w twoim rozumieniu. A twoje rozumienie jest twoim prawdziwym światem... Gdybym to zrozumiała wcześniej, nie musiałabym teraz płacić za swój egoizm i manię wielkości własnym zdrowiem i życiem... Ech! Gdybym wiedziała o tym wcześniej, miałabym więcej pewności, co do dnia jutrzejszego. Ale skoro mam taki los, dobrze by było przeżyć swoje ostatnie dni jak należy... Sensei kiedyś słusznie powiedział: **«Najważniejsze — to nie ilość przeżytych lat, ale ich jakość. Jak, a nie ile».**

Tak, odpowiadamy za to, co robimy i myślimy. I dlaczego byłam zła na Mistrza? Sami zawiniłiśmy. On jest tylko obserwatorem naszej rzeczywistości, naszej nieodpowiedzialności i niechlujstwa. Wyciąga wnioski z punktu widzenia swojego wewnętrznego świata, swojej wiedzy, swoich wysokich wartości moralnych. Żeby go całkiem zrozumieć, trzeba stać się chociaż Człowiekiem.





domu przez jakiś czas myślałam o tym co się wydarzyło. Ale potem przypomniałam sobie o własnym ciele. Przez cały ten czas, w ciągu którego moje myśli były oderwane od niego, ból był przygłuszony i istniał jedynie w jakimś trzecim wymiarze myśli. Ale jak tylko przypomniałam sobie o zmęczonych mięśniach, błyskawicznie odczułam gwałtowny ból, jak wierny pies odzywa się do swego pana groźnym szczekaniem. Całe ciało znów zaczęło nyc i rozrywać się, a rozum żałował go, i winił moje prawdziwe «ja» za wszystkie cierpienia, które doznawałam, ubolewać nad moimi kończynami.

Jakoś zmusiłam się aby usiąść w pozie «lotosu», żeby zacząć medytację. Miałam duże trudności z rozluźnieniem się i skupieniem. Ale, mimo to, moja zawziętość przyniosła swój mały wynik. Podczas jednej z prób samodzielnego skupienia ból minął sam. Medytacja poszła jak po maśle. I dopiero wtedy, gdy do mojej głowy przyszła wstrętna myśl, znów odczułam ból. Wtedy wyraźnie odczu-

wałam strumyk płynący po «ręce». I pomyślałam: «Ten mięsień boli mnie najbardziej. Stop! Mam cię, przywódczo buntu. Znów prowokujesz całą sytuację. Ale to nic. Tym razem nie mogę rozmawiać z Mistrzem, ale na zajęciach z medytacji na pewno znajdę na ciebie sposób».

Potem, kiedy już wyszłam ze stanu medytacji, zaczęłam myśleć logicznie: «Może już jestem chora na schizofrenię? Zaczynasz sama ze sobą rozmawiać, kogoś w sobie łapać. Może mam pomieszanie zmysłów?» I tu błysnęła inna myśl: «To jest dobre «pomieszanie». Gdybym częściej o tym myślała, szybciej osiągnęłabym cel». Wewnętrznie, na jakimś nieosiągalnym poziomie zdawałam sobie sprawę, co to jest. Ale mój rozum krzyczał: «Jakiego tam jeszcze celu? Kto tam krzyczy?» Znów, zupełnie pogubiwszy się w swoich myślach o tym, kim jestem i czego w ogóle pragnę, zasnęłam, biorąc przykład ze swojego bezlitośnie wymęczonego ciała.

Następnego dnia moje ciało stało się dla mnie zupełnie obce. Mało tego, że bolało, ale ruszało się, jak zardzewiały robot. Zrobiło się ciekawie, ponieważ nigdy jeszcze nie widziałam siebie samej w takim stanie. «Autopilot» widocznie się wyłączył. Musiałam wymyślać nowe sposoby kierowania moim ciałem i nie tylko, żeby ubierać się. Dobrze, że chociaż rodzice byli w pracy i nie widzieli moich komicznych zmagania z własnym ciałem. Pokręciwszy się po domu razem z tą nieposłuszną «maszyną», omal nie spóźniłam się do szkoły.

Odsiedziałam jakoś na lekcjach, chociaż uczucie «roboty» było niezapominane. Ostatnią lekcją było wychowanie fizyczne. To był koniec wszystkiego. Próbowałam zwolnić się z zajęć. Ale nauczyciel był chłopem starego hartu i do tego strasznym biurokrata. Nie martwiły go wszystkie nasze bóle — pokazujesz mu zwolnienie lekarskie i możesz być wolny. Miałam oficjalne zwolnienie lekarskie, ale miałam go w domu, było schowane przed rodzicami. Zrobiłam to, ponieważ lubię zajęcia z wychowania fizycznego i nie chciałam wbrew opinii lekarskiej siedzieć na zajęciach, jak pień. Tym bardziej, że nic nadzwyczajnego, według mnie, nie było. Na treningach nawet więcej obciążamy swoje ciała. Ale tego dnia po raz pierwszy pożałowałam, że zostawiłam zwolnienie lekarskie w domu.

Mimo że w ciągu dnia trochę się rozchodziłam, ale robiłam ćwiczenia rozgrzewkowe z wielkim trudem. Do tego dzisiaj, jak na złość, mieliśmy zaliczenia z pompek. «Tego już nie wytrzymam. Nie zrobię nawet jednej pompki po wczorajszym dniu — pomyślałam. — Ale biurokrata uparty, wpatruje się w swój papierek...» I znów moje myśli zaczęły linczować tego starszego chłopca z całych sił. Podczas kolejnej przerwy przyszły mi do głowy groźniejsze myśli i tu raptem wspomniałam słowa Mistrza: «Nie wolno życzyć innemu człowiekowi zła nawet w myślach». «O Matko! Co ja wyprawiam — obudziłam się. — Stwarzam pułapkę dla samej siebie...» Trochę ochłonęłam i zaczęłam myśleć trzeźwo: «Co mi

z tego przyjdzie, że oblewam go brudem i patrzę na niego z taką nienawiścią? Tylko zepsuję sobie nastrój i będę nedorzeczna podczas zaliczenia. On też nie pozostanie dłużny, postawi dwóję i zawoła rodziców. Rodzice dowiedzą się o tym, że nie zniosłam zwolnienia lekarskiego do szkoły, też zaczną się martwić. Po co mi to wszystko? A gdybym, jak Sensej mówi, wlaźła do «skóry» tego chłopca, to co wtedy? Czy to jest jego wina, że przyszłam na zajęcia w takim wykończonym stanie? Nie. Przecież nie wiedział, że cały wieczór wczoraj przygotowywałam się do jego zajęć z całych sił? Nie wiedział. Więc dlaczego mam się złościć? Po prostu uczciwie wykonuje swoją pracę. Co do zwolnienia, to też musi potwierdzić obecność. A raptem dyrektor czy jakaś komisja zechce przyjść do nas na lekcję. Też można go zrozumieć». Po przeanalizowaniu w myślach wszystkiego, zauważyłam, że mój gniew zniknął i mogłam już spokojnie zastanowić się, jak mam «polubownie» rozwiązać ten problem.

Po rozgrzewce znów zwróciłam się do nauczyciela i spokojnie wytłumaczyłam mu całą sytuację, że wczoraj intensywnie ćwiczyłam, dzisiaj mam katastrofalne konsekwencje tego treningu, ale podczas następnego zajęcia zrobię te wszystkie pompki, nawet dwa razy więcej. A również dodałam, że dobrze rozumiem, że on też ma sporo problemów przez nasze nieustanne «wymówki».

— Ale co tu robić, przecież sam pan kiedyś był młody.

Widocznie, ostatnie zdanie, które wyrwało mi

się przypadkowo, wzbudziło u niego jakieś przyjemne wspomnienia. Ponieważ przez następne piętnaście minut słuchaliśmy lekcji o jego burzliwej sportowej młodości. I wreszcie, kiedy zaczęliśmy zdawać zaliczenie, znów go spytałam:

— Więc mam robić pompki?

— Dobra — nauczyciel dobrodusznie machnął ręką — następnego razu zrobisz. Postanówmy, że dzisiaj nie zdążyłaś.

Ku wielkiej radości pozostałych, razem ze mną połowa klasy też nie zdążyła. Kiedy rozległ się dzwonek, moi rówieśnicy ze śmiechem powiedzieli:

— Fajnie! Słuchaj, może i podczas innych lekcji namówisz nauczycieli, żeby dzielili się wspomnieniami o dalekiej młodości i wtedy nie zdążą nas wszystkich zapytać. Było by super!

— Przecież nie jestem czarodziejką — żartując, powiedziałam. — Tylko się uczę.

Po tym zdarzeniu poczułam się lepiej. Nikt nie ucierpiał z moralnego punktu widzenia i poza tym, wszyscy byli zadowoleni. To bawiło moje ambicje i «mania» wielkości zaczęła rosnąć, jak na drożdżach. Zwróciłam na to uwagę dopiero wtedy, kiedy przyjaciele, słuchając mnie wieczorem, pożartowali:

— Ale rozdmuchałaś całą tę historię, jak bańkę mydlaną — zauważył z uśmiechem Andrzej.

— Co w tym takiego? Ja mam takie wymówki prawie na każdej lekcji. Należało podejść do tego niepospolicie i z humorem.

— Tak, ale czy podczas każdej lekcji opanujesz swój gniew?

Andrzej zamyślił się:

— Co prawda, to prawda... Ale humor mnie nigdy nie zawiódł w rozmowach z nauczycielami.

— Słuchaj! — klepnął go ręką po ramieniu Kostja. — Przecież to genialny sposób na gniew... Przypomnij sobie chłopaków Mistrza: Gienka, Stasia i innych. Nigdy nie przestają żartować.

— Dokładnie! — potwierdził Andrzej.

— Widzisz, wszystko jest proste, mówiąc słowami Mistrza. A ty przez całą noc coś tam wymyślałeś, jak mamy opanować gniew. Oto i odpowiedź... Będiesz musiał żartować przez całe życie ze swoim rozumem.

A potem Kostja «spokojnym» tonem dodał:

— Ale nie martw się. Będziemy tobie do kliniki psychiatrycznej przynosić pyszne pierogi...

— Idź do diabła! Zawsze przewrócisz wszystko do góry nogami.

Chłopcy zaśmiali się. Razem poszliśmy zdobywać szturmem przepelniony tramwaj. I już kiedy jechaliśmy, Kostja powiedział Andrzejowi:

— A ja, że tak powiem, nie na próżno spędziłem całą noc.

— Na kogo? — z uśmiechem spytał Andrzej.

— Ty jesteś wulgarnym typkiem! Nie na kogo, a na coś, czyli na myśli. Zrobiłem genialne odkrycie!

— W zakresie miłości do samego siebie?

— Mówię poważnie. Słuchaj, jaki łańcuch logiczny się utworzył. Gdybyś nie został zbity



przez tych bojówkarzy, nie zacząłbyś trenować karate. Gdybyś nie zajmował się sztukami walki, nie wciągnąłbyś mnie do tej sprawy. A gdybyś mnie nie wciągnął, nie poznalibyśmy Mistrza, oraz nic z tego, co znamy i co ćwiczymy. Bynajmniej, nawet gdybyśmy przeczytali o tym w jakimś czasopiśmie, uznalibyśmy to za jakieś brednie. Więc, przekonaliśmy się i zobaczyliśmy wszystko, jak się mówi, na własne oczy. Mówiąc krótko, gdyby cię nie zbili, nie znaleźlibyśmy naszej złotej żyły duchowej! I tyle!

— Masz rację. Ale dlaczego twierdzisz, że przez ciebie spotkaliśmy się z Mistrzem? Adres jego sekcji dał nam zupełnie nieznamy chłopiec, który uczęszczał do tej poprzedniej sekcji z wuszu. Ani ja, ani ty go nie znałeś. Po prostu wtedy rozmawialiśmy o ludziach-fenomenach, i już potem o Mistrzu.

— Tak. Ale to właśnie ja zaprowadziłem was do tej hali sportowej — bronił swojej teorii Kostja. — Jeszcze stawialiście opór, nie chcieliście iść. A ten chłopak tam przypadkowo trafił. Czekał na swojego przyjaciela w szatni.

— Czekał. Milczałby, gdyby nie zobaczył naszego czasopisma, w którym był artykuł o fenomenach.

— Które to czasopismo?

— Pamiętasz, Tatiana przyniosła go tego dnia z domu. Burzyliśmy się, że będziemy musieli nosić ten «ciężar» cały dzień, żeby oddać go dopiero wieczorem.

— A! Tak, oczywiście! — przypomniał sobie Kostja.

— Tak, położyłem go na parapecie. A ten chłopak widocznie się nudził i poprosił mnie o pozwolenie czy może przeczytać to czasopismo. A dalej, słowo po słowie, i proszę — mamy adres Mistrza.

— Racja, tak właśnie było — i, odetchnąwszy, dodał: — Tak, jak zawsze: takie drobne fakty eliminują nawet najpiękniejsze hipotezy... A więc, moja teoria będzie wyglądała następująco. Gdybyś nie wciągnął mnie do tych sztuk walki, nie odprowadziłbym was na ten trening, a w nawiasach uwaga (i Tatiana nie przyniosłaby czasopisma), zamykamy nawiasy, wtedy nie było by znajomości pomiędzy naszą kompanią a Mistrzem i tak dalej.

— A jednak wszystko się zaczęło od czasopisma — upierał się przy swoim Andrzej i dalej rozwijał swoją myśl — przez artykuł. I zaczęliśmy interesować się tymi artykułami, ponieważ... Dlaczego?

— Jak to, dlaczego... Dlatego... A! To ona zamała całą wodę, to ona zaraziła nas wszystkich tymi ludźmi-fenomenami — powiedział Kostja, kiwając w moją stronę.

— Dokładnie!

Chłopcy popatrzyli na mnie:

— A dlaczego interesujesz się nimi?

— Ja? — trochę się pogubiłam, ale poradziłam sobie z odpowiedzią: — Ja... Natchnęły mnie filmy.

— O! A te filmy stwarzały...

I dalej chłopcy zajęli się rozkręcaniem całego łańcucha domniemanych okoliczności. Tatiana uśmiechnęła się i powiedziała:

— Hej, w taki sposób dotrzecie do pierwotnego człowieka — i śmiesznie naśladując ich dodała: — Gdyby tego człowieka dogonił tygrys szablasty, w ogóle was nie byłoby, i nie poznaliście Mistrza.

— Święta racja — uśmiechnął się Kostja.

— Tacy są faceci — narzekła Tatiana — Zawsze muszą coś znaleźć, żeby ich logika to coś uchwyciła. Poznaliście Mistrza i dobrze. Czyli tak trzeba, czyli macie taki los. I tyle. Nie ma o co się sprzeczać.





**N**asza grupa dotarła do polany, tym razem znaleźliśmy ją bezbłędnie.

— Słyszycie, tu chyba nikogo nie ma — z powątpiewaniem w głosie powiedział Sławek. — Może to jest nie ta polana?

— Ale to jest ta polana, ta. Tamtym razem dobrze ją zapamiętałem — twierdząco kiwnął Andrzej.

— Też coś! — uśmiechnął się Kostja.

Roześmialiśmy się przypominając nasze niedawne przygody. Po pięciu minutach dołączyli do nas starsi chłopcy, też będący w dobrym nastroju.

— O, zaraz tu będzie Mistrz — ożywił się Wiktor.

— Skąd wiesz? — spytałam, patrząc na gwiazdy.

— Samurai jej podpowiedział — odpowiedział starszy senpai.

Przeniosłam swoją uwagę do ziemskiej rzeczywistości i dopiero tu zauważyłam, że w świetle

oddalonej latarni po płocie kroczył kot, od czasu do czasu tracąc równowagę bo mu zdradziecko ześlizgiwały się łapy.

— Przychodzi dokładnie przed medytacją — ciągnął dalej chłopak. — Siedzi sobie spokojnie w całkowitym transie, a potem, nie marnując czasu na nasze gadanie i wrażenia, od razu odchodzi.

— Kiedy przyszliśmy tu po raz pierwszy, pozostał z nami do końca. Sensei jeszcze łapał go potem w krzakach — zauważyłam.

— To chyba było małe odstępstwo od jego reguł.

«Coś podobnego, jak to wtedy dobrze wyszło — pomyślałam. — Nawet kot brał w tym bezpośredni udział».

Do naszej rozmowy dołączyli chłopcy.

— Ale dlaczego Sensei sprawił sobie takiego czarnego kota? — spytała Tatiana.

— Nie zrobił tego umyślnie. Po prostu kiedy Samurai był kociakiem, rzucali w niego kamienie miejscowi chłopcy. A Sensei go zabrał z ulicy i wyleczył. Od tej pory ten kot mieszka razem z nim i nigdzie nie odchodzi.

— Ale kto go tak potargał za uszy? — z uśmiechem zainteresował się Andrzej.

— Urządzał sobie sparingi z psami.

— Z psami?

— No tak. Przecież Samurai zajmuje się nie tylko praktyką duchową, ale również ćwiczy sztuki walki — powiedział Wiktor, zwracając uwagę wszystkich obecnych na kota. — Sensei

prawie od urodzenia uczy go stylu «Wing-chun», który jest przeciwieństwem stylu «Kota». Teraz zadziera z kotami i z psami.

— Chyba żartujesz? — zdziwił się szczerze Andrzej. — W jaki sposób można nauczyć kota sztuki kung-fu? Nie każdy człowiek go rozumie, co dopiero głupie zwierzę.

— Nie wyciągaj tak szybko wniosków — dołączył do rozmowy Mistrz, który pojawił się z ciemności. — Czasami głupi zwierzak okazuje się bardziej bystry, niż niektórzy Homo Sapiens.

— A jednak — Mikołaja Andrejewicza zainteresowały jego słowa — jak pan go uczył?

— To było bardzo proste — powiedział Sensei, niby chodziło o zwykłe codzienne rzeczy. — W formie gry. Najpierw przy pomocy palców chwyciłem go za łapy. Potem pokazywałem, jak ma wyjść z tej sytuacji. W taki sposób się nauczył... Teraz mało tego, że cały czas walczy z kotami, to jeszcze zadziera z psami. Myszy go widocznie już nie obchodzą, nie ten poziom. Nauczyłem go na własną biedę! Teraz muszę sam stawiać pułapki na myszy.

Wszyscy się zaśmiali. Nie zrozumiałam, czy to był żart czy nie. Jeżeli to jest żart, to dlaczego taki poważny, a jeżeli to jest prawda, to trzeba mieć niezwykle talent, żeby nawet kota nauczyć.

Podczas tej opowieści Sensei ścisnął każdemu rękę. I kiedy podszedł do Andrzeja, Andrzej nie podał mu ręki a rzyzliwie się uklonił.

— Co się stało? — zdziwił się Sensei.

— Już się boję pana dotykać po tym, co się stało — żartując, odpowiedział Andrzej.

— Ale co ja mam z tym wspólnego? — z uśmiechem wzruszył ramionami Sensei. — Nie mnie musisz się bać, a jego. Przecież to on był wtedy z tobą, a nie ja.

Kiedy Sensei rozmawiał z innymi chłopakami, Andrzej lekko szturchnął Kostję łokciem w bok:

— Tak więc to przez ciebie!

— Coś ty! Oczywiście, jestem rozumny, ale nie do tego stopnia.

— Mówię ci poważnie.

— Ja też mówię poważnie.

— Poważnie?

— Poważnie.

Andrzej zaczekał, dopóki Sensei odpowie na kolejne pytanie i zapytał go:

— Czy prawda, że pan to zrobił przez uścisk dłoni?

— Oczywiście, że nie. Kiedyś wam o tym opowiem.

Następnie rozmowa przeszła na nasze domowe medytacje. Najpierw chciałam odprowadzić Mistrza na bok i porozmawiać z nim na osobności o swoich myślach, ponieważ bałam się reakcji starszych chłopaków. Raptem zaczęli sobie kpić ze mnie i żartować, jak moi chłopcy. Ale Sensei cierpliwie tłumaczył i wyjaśniał sytuację każdemu z chłopców. Usłyszałam od Jurka historię, podobną do mojej, ale nie w tak mocnym stopniu. Widząc, że pozostali mieli poważny nastrój, wreszcie postanowiłam opowiedzieć swoją histo-

rię Mistrzowi w obecności wszystkich. I kiedy nadeszła kolejna przerwa w rozmowie, zaczęłam nieśmiało dzielić się swoimi «osiągnięciami». Wszyscy słuchali spokojnie i uważnie. Wtedy nabrałam odwagi i opowiedziałam wszystko o swoim «spryciarzu».

Po moim przemówieniu zapadła cisza. «To koniec — pomyślałam — teraz mi Mikołaj Andrejewicz postawi diagnozę i co najmniej to będzie schizofrenia. I po co ja to wszystko opowiedziałam?» Ale ku mojemu zdumieniu Sensei powiedział spokojnie:

— To dobry wynik. Złapać myśl swojego zwierzęcia wewnątrz siebie a tym bardziej walczyć z nim. Z reguły to jest niemożliwe walczyć z taką kategorią myśli. Ponieważ przemoc rodzi przemoc. I im więcej będziesz się starać o to, żeby to zabić, tym częściej takie myśli będą pojawiały się. Najlepszy sposób walki przeciwko nim — to przełączyć się na pozytywne myślenie. Czyli, ma tu miejsce zasada aikido, miękkiego unikania.

— Ale co mam robić, gdy ganiają za mną przez cały dzień? Czy nie mogę rąbnąć w nie jakimś mocnym słowem? — zapytał Rusłan.

— Nawet gdybyś rąbnął, i tak negatywne myśli będą się gromadzić według prawa działania — przeciwdziałania, akcje — reakcje. Dlatego nie musicie walczyć z nimi, a omijać je, umyślnie rozwijając w sobie pozytywne myśli, czyli skupiając się na czymś dobrym albo przypominając sobie coś dobrego. Tylko drogą miękkiego omi-



nięcia będziecie w stanie pokonać waszą negatywną myśl.

— A dlaczego bywają myśli, które są całkowicie antagonistyczne? Często zdarza się tak, że gubię się we własnych myślach.

— Powiedzmy tak, **w ciele człowieka jest pierwiastek duchowy, czyli dusza, i pierwiastek materialny, zwierzęcy, nazywajcie go jak chcecie. Rozum człowieka jest polem walki tych dwóch pierwiastków. Dlatego wewnątrz was powstają różne myśli.**

— Ale kim wtedy jestem «ja», jeśli myśli są cudze?

— Nie cudzce, a twoje. A ty jesteś tym, kto ich słucha. I będziesz tym, komu oddasz przewagę. Jeżeli oddasz ją pierwiastkowi materialnemu, zwierzęcemu, będziesz zły i wredny, jeżeli oddasz ją swojej duszy, zostaniesz dobrym człowiekiem i ludziom będzie przyjemnie obcować z tobą. Wybór zawsze należy do ciebie: jesteś albo despota, albo świętym.

— Ale dlaczego tak się dzieje, że mój zachwyt z powodu tego, że pokonałam swój gniew doprowadził mnie... do pychy, do wzrostu manii wielkości. Przecież zrobiłam coś dobrego, ale moją myśl zaniósł w inną stronę? — spytałam.

— Obróciłaś się w kierunku duszy i twoje pragnienie się spełniło. Osłabiłaś kontrolę nad sobą, przyciągnął cię twój zwierzęcy pierwiastek, tak niewidocznie, przy pomocy twoich ulubionych myśli egoistycznych. Spodobało ci się, że wszyscy cię chwala, że jesteś taka mądra, taka roz-

sądna... W tobie cały czas toczy się odwieczna walka tych pierwiastków o ciebie. I od tego, na jakiej będziesz stronie, zależy twoja przyszłość.

Pomyślałam chwilę, potem sprecyzowałam:

— Czyli ten «spryciarz», który przypominał mi o bólu i nie pozwalał mi skupić się, to on właśnie moją manię wielkości...

— Masz całkowitą rację.

— Ale przecież mam całą kupę takich myśli!

— Tak — potwierdził Sensei. — Jest ich bardzo sporo, więc trudno jest z nimi walczyć. To nie jest żadne kung-fu, to jest coś o wiele bardziej trudne. Można walczyć z czymś, co stawia opór. Ale nie sposób walczyć z próżnią. Dla próżni negatywnych myśli można tylko stworzyć próżnię pozytywnych myśli. Czyli, powtarzam wam, trzeba przestawić się na coś dobrego, myśleć o czymś dobrym. Ale zachowywać pilność, kontrolować to, o czym myśli wasz mózg. Obserwujcie samych siebie. Zwracajcie uwagę na to, że kiedy nie skupiacie się, macie cały czas sporo myśli. I nie jedną myśl. Może ich być dwie, trzy i tak dalej.

— Tak jak w chrześcijaństwie mówią, że z lewej strony na ramieniu człowieka siedzi czart, a z prawej anioł. I cały czas coś szepczą — zauważył Wołodja.

— Masz rację — potwierdził Sensei. — Tylko z jakiegoś powodu czart szepce głośniej, może ma grubszy głos... To, co w chrześcijaństwie nazywają czartem albo diabłem właśnie jest odbiciem waszego zwierzęcego pierwiastka.

— Kiedy zauważyłam u siebie rozdwojenie myśli, pomyślałam, że może mam schizofrenię. Przecież jest to związane z jakimś rozdwojeniem świadomości — powiedziałam, stając się bardziej śmiała.

Sensei uśmiechnął się i żartobliwie odpowiedział:

— Nie ma geniuszy bez cech szaleńca.

Mikołaj Andrejewicz zaśmiał się:

— Tak, tak, tak. Przy okazji, ja mam taki sam problem.

To do rozmowy dołączył Staś, głośno myśląc o swoim:

— Jeżeli rozum jest polem walki dwóch pierwiastków, rozumiem, że ich narzędziem są myśli, ale jak mam odróżnić jedno od drugiego? W jaki sposób w myślach odbija się pierwiastek zwierzęcy i duchowy? Jak?

— Pierwiastek duchowy — to myśli, utworzone przez siłę Miłości w szerokim znaczeniu tego słowa. A pierwiastek zwierzęcy — to myśli o ciele, nasze instynkty, refleksy, mania wielkości, pragnienia, pogrążenie w wartościach materialnych i tak dalej.

— Ale przecież w takim razie trzeba żyć w jaskini — wyraził swoją opinię Rusłan — żeby nic nie mieć i nie chcieć.

— Z taką głową, jak twoja, nawet jaskinia nie pomoże — pożartował Gienek.

— Nikt nie zabrania ci mieć tego wszystkiego — ciągnął dalej Sensei. — Jak chcesz, to odpowiadaj wymogom czasu, korzystaj ze wszyst-

kich dóbr cywilizacji, na zdrowie. Ale żyć tylko dla tego wszystkiego, uważać gromadzenie dóbr materialnych za cel i sens swojego istnienia na Ziemi — to głupota i nie odpowiada duchowemu pierwiastkowi. Ten cel właśnie jest oznaką tego, że w człowieku przeważa zwierzęcy pierwiastek. I tu wcale nie chodzi o to, że musisz mieszkać w jaskini, jak bezdomny. Nie. Już kiedyś mówiłem wam, że te wszystkie wysokie technologie, którymi obdarzono ludzkość, istnieją dlatego żeby ludzie mieli więcej czasu dla duchowego doskonalenia się. Ale nie dlatego, żeby człowiek gromadził kupę tego żelastwa w swoim domu i rozdmuchiwał swoją manię wielkości, ponieważ on to wszystko ma.

I po krótkiej przerwie, Sensei dodał zamyślnym tonem:

— Człowiek jest skomplikowaną syntezą duchowego i zwierzęcego pierwiastka. Szkoda, że w naszym rozumie przeważa, raczej, pierwiastek zwierzęcy, niż Boski... parę dni temu zastanawiałem się i postanowiłem dać wam starodawną praktykę duchową, która dopomoże wam zrównoważyć dwa pierwiastki i żeby «zwierzęcy» nie zbytnio wam dokuczał. Ta praktyka istnieje tak długo, jak długo istnieje człowiek. Ta praktyka duchowa obejmuje nie tylko pracę nad sobą, swoimi myślami, ale, co jest bardzo ważne, nad przebudzeniem duszy. Pod względem stosunku do życia można ją porównać z dynamiczną medytacją, ponieważ jest czynną, niezależnie od tego, gdzie przybywa człowiek i co on robi. Część

tego człowieka jest stale w takim stanie, kontroluje to wszystko, co odbywa się wewnątrz i wokół niego.

**Ta duchowa praktyka nazywa się «Kwiat lotosu».** Jej sens tkwi w następującym. Człowiek wyobraża sobie, że sadi wewnątrz siebie, w okolicy splotu słonecznego ziarno. I to małe ziarno kiełkuje kosztem siły Miłości, którą tworzą jego pozytywne myśli. Tak więc człowiek, który kontroluje wzrost tego ziarna, sztuczną drogą pozbawia się negatywnych myśli, które stale wirują mu w jego głowie.

— Więc stale myślimy o czymś złym? — spytał Rusłan.

— Oczywiście — odpowiedział Sensei. — Obserwujcie samych siebie. Człowiek sporo czasu poświęca temu, że wyobraża sobie różne sytuacje bojowe, przypomina sobie coś negatywnego z przeszłości, wyobraża sobie, że z kimś się kłóci, coś komuś udowadnia, okłamuje, mści się, obmyśla swoje choroby, swoje materialne problemy i tak dalej. Czyli skupia się na negatywnych myślach i obrazach.

Lecz w ramach tej praktyki człowiek umyślnie, pod wewnętrzną kontrolą, eliminuje wszystkie swoje negatywne myśli. I im dłużej będzie trzymać się pozytywnego sposobu myślenia, tym szybciej wyrośnie wewnątrz niego ziarno Miłości. Najpierw człowiek wyobraża sobie, że to ziarno kiełkuje, pojawia się małe żdźbełko. Dalej zaczyna rosnąć, pojawiają się na nim liście, następnie mały pączek. I wreszcie, żywiąc się

siłą Miłości pączek zamienia się w kwiat. Najpierw lotos ma złotawy kolor, ale w miarę wzrostu staje się oślepiająco biały.

— A ile czasu potrzebuje, żeby wyrosnąć? — spytałam.

— Chodzi o to, że z każdym człowiekiem to wygląda inaczej. Jeden potrzebuje na to kilku lat, drugi — kilka miesięcy, trzeci — kilka dni, czwarty — kilka chwil. Wszystko zależy od pragnienia człowieka, od tego, jak będzie pracował nad sobą. Należy nie tylko wyhodować ten kwiat, ale stale podtrzymywać go siłą swojej Miłości, żeby nie zwiądł i nie zginął. To stałe uczucie hodowania człowiek utrzymuje na poziomie podświadomości albo, mówiąc dokładniej, na poziomie oddalonej kontrolowanej świadomości. Im więcej człowiek daje Miłości temu kwiatowi, czyli w myślach pielęgnuje go, troszczy się o niego, ochrania go przed negatywnym oddziaływaniem, tym lepiej rośnie. Ten kwiat żywi się energią Miłości, podkreślam to, wewnętrzną energią Miłości. I im dłużej człowiek przebywa w stanie Miłości do całego świata, do wszystkich i do swojego otoczenia, tym większy wyrasta ten kwiat. A kiedy człowiek zaczyna się złościć—słabnie; zrywa się w porywie gniewu — kwiat więdnie, choruje. Wtedy trzeba dołożyć starań, żeby go odnowić. Jest to swojego rodzaju kontrola.

Więc kiedy kwiat rozkwitnie, zacznie powiększać się, wtedy wydaje zamiast zapachu wibrację, tak zwane leptony albo grawitony, nazywajcie je jak chcecie, to jest energia Miłości.

Człowiek czuje ruchy płatków tego kwiatka, które sprawiają, że wibruje całe ciało, cała przestrzeń wokół niego, wypromieniowując Miłość i Harmonię.

— A czy to się odczuwa na poziomie fizjologicznym? — spytał Gienek.

— Tak. Lotos wyraża się pieczeniem w okolicy splotu słonecznego, wokół którego rozlewa się ciepło. Czyli te doznania powstają w okolicy splotu słonecznego, w którym, jak się mówi, mieszka dusza. Stamtąd wychodzi ciepło. Cały sens tkwi w tym, że, gdziekolwiek jesteście, z kimkolwiek jesteście i o czymkolwiek myślicie, powinniście stale odczuwać to ciepło, które nie tylko ogrzewa wasze ciało, ale i duszę. Miłość jest skupiona w samym centrum tego kwiatuszka. W końcu, im więcej człowiek troszczy się o niego, im więcej wysławia tę Miłość, tym więcej odczuwa, że ten kwiat, rosnąc, otacza całe jego ciało swoimi płatkami i że jest wewnątrz ogromnego lotosu.

I tu odbywa się coś bardzo ważnego. Kiedy człowiek osiąga taki stan, przy którym płatki lotosu zaczęły otaczać go ze wszystkich stron, czuje obecność dwóch kwiatów. Jeden z nich jest wewnątrz niego, pod sercem, i stale go ogrzewa uczuciem wewnętrznej miłości. Drugi, duży kwiat, jak astralna powłoka tego kwiatka, która otacza człowieka z jednej strony, wypromieniowuje Miłość i pokój, ale z drugiej strony — ochrania samego człowieka przed negatywnym wpływem innych ludzi. Tu ma miejsce prawo przyczyny i skutku. Z punktu widzenia fizyki,

ma miejsce powiązanie falowe. Mówiąc prościej, człowiek wypromieniowuje fale dobroci, powiększając je wielokrotnie przy pomocy swojej duszy i stwarzając w ten sposób sprzyjające pole falowe. To jest pole siłowe, które człowiek stale odczuwa i podtrzymuje przy pomocy siły swojej Miłości, jednocześnie to pole ma pozytywny wpływ nie tylko na samego człowieka, ale na otaczający go świat.

Co się odbywa dzięki codziennym zajęciom z tej praktyki. Po pierwsze, człowiek stale kontroluje swoje myśli, uczy się skupiać na dobrym. Dlatego automatycznie nie może być złym i życzyć złego innym ludziom. Przecież to jest praktyka codzienna, cosekundowa. I to trwa przez całe życie. Jest swojego rodzaju metodyką minięcia, ponieważ nie sposób walczyć z negatywnymi myślami. Do miłości nie można zmusić. Dlatego trzeba się abstrahować. Kiedy człowieka odwiedza zła, niepożądana myśl, człowiek skupia się na tym kwiecie, zaczyna oddawać mu całą swoją Miłość, czyli sztucznie zapomina o wszystkim, co jest złe. Albo przełącza swoją świadomość na coś inne, pozytywne. Ale on stale odczuwa ten kwiat: kiedy kładzie się spać, budzi się, w nocy, za dnia; czymkolwiek się zajmuje — nauką, pracą, sportem i tak dalej. Człowiek odczuwa, że jego Miłość kipi w nim, jak prąd Miłości porusza się w jego piersi, rozplywa się po całym jego ciele. Ten kwiat zaczyna rozgrzewać człowieka od wewnątrz, niezwykłym ciepłem, boskim ciepłem Miłości. I im więcej oddaje Miłości, tym więcej



jej się rodzi w nim. Stale wypromieniowując tę Miłość, człowiek spogląda na ludzi już z pozycji Miłości. Czyli, po drugie, **człowiek nastawia się na częstotliwość dobra.**

A dobro jest powodzeniem, sukcesem, zdrowiem. Jest wszystkim! Człowiekowi polepsza się nastrój, co pozytywnie wpływa na jego psychikę. Właśnie Centralny Układ Nerwowy jest regulatorem działalności całego organizmu. Dlatego przede wszystkim ta duchowa praktyka powoduje polepszenie stanu waszego zdrowia. Ponadto, życie człowieka polepsza się, ponieważ on znajduje pokój w stosunkach ze wszystkimi. Nikt z nim nie chce się kłócić, wszędzie jest pożądanym gościem. Nie ma dużych problemów. Dlaczego? Ponieważ nawet gdy w jego losie odbywają się jakieś wydarzenia, bo w końcu, życie — to życie, postrzega je zupełnie inaczej niż zwykli ludzie. Ponieważ w inny sposób postrzega życie, to właśnie postrzeganie życia pomaga mu wypracować najbardziej optymalną decyzję w konkretnej sytuacji. W człowieku budzi się Mądrość życia.

**I po trzecie, najważniejsze, że w człowieku budzi się dusza, on zaczyna czuć się człowiekiem, zaczyna rozumieć, kim jest Bóg, że Bóg jest substancją wszechobecną, a nie fantazją kilku idiotów. On zaczyna odczuwać w sobie boską obecność i wzmacniać tę siłę za pomocą swoich pozytywnych myśli i uczuć. Już nie czuje się samotny na tym świecie, ponieważ Bóg jest w nim i z nim, on odczuwa Jego rzeczywistą obecność.**

**Jest takie przysłowie: «Kto jest w Miłości, ten jest w Bogu, i Bóg jest w nim, ponieważ Bóg jest Miłością».** Ponadto, ważnym jest to, że człowiek zaczyna odczuwać aurę kwiatka, która jest wewnątrz i wokół niego.

— Ale w jaki sposób odczuwa tę aurę wokół siebie? — spytał Staś.

— Z czasem zobaczysz tę wibrację wokół ciebie w formie lekkiego świecenia. Powietrze staje się niby bardziej jaskrawe i przeźroczyste, a otaczający świat staje się bardziej nasycony i ma jaskrawsze kolory, które postrzega twój wzrok. Najciekawsze jest jednak to, że ludzie zaczynają dostrzegać w tobie takie zmiany. Jest takie ludowe przysłowie «człowiek lśni, «świeci się». Tak więc, właśnie to jest świecenie tego pola falowego, które generuje sama Miłość tego człowieka. Otaczający go ludzie też zaczynają odczuwać to pole. Odczuwają przyjemność, kiedy ten człowiek jest obok, odczuwają radość, wewnętrzne podniecenie. Wielu ludzi wraca do zdrowia. Robi się im lepiej nawet w jego obecności, niezależnie od tego, na jaką chorobę cierpią. Wszyscy zbliżają się do tego człowieka, otwierając swoją duszę. Czyli **ludzie odczuwają Miłość**. Jest to otwarta brama na drogę do Boga. Jest tym, o czym mówili wielcy, co miał na myśli Jezus, kiedy mówił «Wpuść Boga do swojego serca».

Tę duchową praktykę «Lotosu» stosowano od dawna. W starożytnych czasach uważano, że «Lotos» rodzi bogów, w «Lotosie» rodzi się Bóg. W tym sensie, że istota boska– dusza — budzi

się w «Kwiecie Lotosu», wewnątrz człowieka w Harmonii i Miłości. Przecież człowiek stale troszczy się o ten kwiat, stale kontroluje swoje myśli i uczucia, żeby «Kwiat Lotosu» nie zwiadł.

— I co, rzeczywiście wyrosnie prawdziwy kwiat? — ze zdziwieniem spytał Sławek.

— Nie. Oczywiście, że nie ma tam żadnego materialnego kwiatka. To jest swojego rodzaju gra wyobraźni. Ten proces można nazwać inaczej: przebudzenie boskiej Miłości, osiągnięcie jasności, całkowitego łączenia się z Bogiem — «moksza», «dao», «sinto». Nazywaj to, jak sobie życzysz. Ale to wszystko to są tylko słowa i religia. **Natomiast to jest po prostu stworzenie przy pomocy pozytywnych myśli i uczuć Miłości człowieka siłowego pola, które, z kolei, z jednej strony, wpływa na otaczającą rzeczywistość, a z drugiej strony, zmienia wewnętrzną częstotliwość postrzegania rozumu samego człowieka.**

— A dusza? — spytałam.

— Dusza — to właśnie ty, swojego rodzaju wieczny generator boskiej siły, który trzeba włączyć przy pomocy swoich stałych myśli o Miłości... Kiedyś opowiem wam o duszy i o jej przeznaczeniu bardziej szczegółowo.

Tu do rozmowy dołączył Kostja:

— Powiedział pan, że to jest bardzo starodawna praktyka duchowa. Jak starodawna?

— Już mówiłem, że istnieje tak długo, jak długo istnieje ludzkość jako świadomy podmiot.

— Ale ile, siedem, dziesięć tysięcy lat?

— Bierzesz zanadto krótki odcinek czasu. Ludzkość w swojej cywilizowanej postaci istniała nie jeden raz i wcześniej, przed tym, z bardziej doskonałymi technologiami, niż dzisiaj. Dlaczego znikły te cywilizacje, to już osobny temat do rozmowy. Kiedyś wam o tym opowiem.

— Ale skoro to jest bardzo starodawna praktyka, przecież powinno coś pozostać po nim dla naszej cywilizacji.

— Oczywiście. To, że praktyka duchowa «Kwiat Lotosu» istniała wcześniej, potwierdzają liczne starodawne źródła. «Lotos», na przykład dawano wybranym faraonom Starożytnego Egiptu. I jeżeli sięgniesz do źródeł literatury, przekonasz się, że w egipskich mitach i podaniach, bóg Słońca Ra urodził się z kwiatka Lotosu. Ten kwiat służył jako tron, na którym zasiadali Izyda, Horus, Ozyrys.

W starodawnych «Wiedach», najstarszych księgach hinduizmu, napisanych w sanskrycie, lotos również jest jednym z tematów. Więc, uwzględniając, że Bóg ma trzy podstawowe męskie postacie — Brahma-Twórca, Wiszku-Obrońca i Śiwa-Burzyciel, w tych księgach napisano: «Z ciała boga Wisznu pojawił się ogromny złoty lotos, na którym siadł urodzony przez Loto-stwórcę Brahma. Rósł złoty lotos o tysiącu płatków, razem z nim wzrastał cały Wszechświat».

W Chinach, tak samo również jak i w Indiach, ten kwiat oznacza piękno i czystość. Najlepsze cechy człowieka i jego dążenia kojarzono z lotosem. W Chinach uważa się, że na specjalnym

«zachodnim niebie» jest lotosowe jezioro i każdy kwiat, który tam rośnie, związany jest z duszą zmarłego człowieka: jeżeli człowiek był dobry, jego kwiat rozkwita, jeżeli był zły - więdnie.

W Grecji lotos uważa się za roślinę, poświęconą bogini Herze. W złotej łódce w formie lotosu, wybierał się w swoją podróż Herkules.

Ale to wszystko to tylko legendy i mity, które jednak mają w sobie sporą część prawdy. Powstawały na realnych faktach samowychowania ludzi, właśnie dzięki tej duchowej praktyce. Po prostu wcześniej, kiedy pośród ludzi przeważał zwierzęcy pierwiastek, «Kwiat Lotosu» mogli opanować tylko nieliczni, mniej-więcej dobrze rozwinięci pod względem duchowym indywidua. I to było oczywiste, że tych indywiduów ludzie potem uważali za bogów. Ponieważ człowiek, który rozwinął w sobie «Kwiat Lotosu», który obudził w sobie duszę, w rzeczywistości staje się podobny do boga, ponieważ tworzy w Miłości przy pomocy jedynie swojej myśli.

Kiedy nadszedł czas duchowej oświaty dla większości ludzi, Bodhisatwy Szambali obdarzyli tą duchową praktyką Buddę. Właśnie dzięki wykonaniu praktyki «Lotosu» Siddhartha Gautama siedząc, pod drzewem bodhi, osiągnął jasność umysłu. Z zezwolenia Rygdęna, Budda obdarzył nią swoich uczniów, żeby rozpowszechniali ją pośród ludzi. Niestety z biegiem czasu ludzie zniekształcili Naukę Buddy i na podstawie tej duchowej praktyki stworzyli osobną religię. To spowodowało, że sami buddyści, wyzna-

jąc swoją religię, wyobrażają sobie, że raj jest jakimś niezwykłym miejscem, w którym ludzie, jak bogowie, rodzą się na kwiecie Lotosu. Szukają tego miejsca, ale ono już jest wewnątrz nas samych. Zrobili też z Buddy boga, ale w rzeczywistości był to tylko człowiek, który poznał prawdę dzięki tej duchowej praktyce. Stąd mamy Lotos jako symbol buddyźmu, oraz taki wyraz, że «Budda zasiada na kwiecie Lotosu» albo «Budda stoi na kwiecie Lotosu». Po prostu na własnym przykładzie pokazał, co może osiągnąć człowiek, który pokonał w sobie zwierzęcy pierwiastek. Rzeczywiście zrobił sporo dobrego dla duchowego rozwoju ludzkości, rozpowszechniając tę duchową praktykę spośród ludzi w jej pierwotnym stanie.

Analogiczną modlitwą, skierowaną na obudzenie Boskiej Miłości obdarzył nas Jezus.

— Ale czy modlitwa i medytacja — to jest to samo? — spytała Tatiana.

— W istocie tak. Modlitwa Jezusa «Ojcze nasz» jest tym samym. Tylko że w niej wszystko jest bardzo proste, ludzie proszą o chleb i tak dalej, ale jej sens pozostaje taki sam: człowiek sam siebie wychowuje pod względem duchowym, przy pomocy Wiary i Miłości rości w sobie duszę, kontrolując swoje myśli, pragnienia.

Generalnie, Budda, Jezus, Mahomet i ci wszyscy, co opanowali tę duchową praktykę czerpali z tego samego źródła. To pomagało im nie tylko stać się tymi, kim byli, ale i pomagać innym ludziom dostrzegać swoją boską istotę. Dlaczego

wszystkim było przyjemnie być obok Buddy, Jezusa i Mahometa? Ponieważ, jak się mówi, «święci» się świecą? Dlaczego kiedy spotykamy niektórych nieznanym ludzi, nie chcemy odchodzić od nich? Dlaczego wypromieniowują Miłość? Ponieważ stale zwiększają swoją moc, siłę dobroci, siłę Miłości, tej przejawy boskości w Człowieku. O takich ludziach się mówi: mieszka w nim Bóg. I to jest rzeczywiście tak.

— Więc należy tylko z Miłością myśleć o tym kwiecie? — spytał Andrzej.

— Nie. Należy nie tylko skupiać się i myśleć, ale, co jest najważniejsze, wywoływać te uczucia ciepła w okolicy splotu słonecznego i stale je podtrzymywać przy pomocy swoich dobrych myśli. Wielu ludziom może się to nie udać. Bo trzeba dotrzeć do sedna tego, wyobrazić to sobie bardziej realistycznie, i, powtarzam to jeszcze raz, wywołać te wszystkie uczucia. Dlaczego skupiam na tym waszą uwagę? Ponieważ kiedy człowiek wywołuje te wszystkie uczucia, zaczyna je podtrzymywać nie tylko przy pomocy świadomości, ale i na poziomie podświadomości. To prowadzi do przebudzenia się duszy. Po prostu nie może się nie obudzić. I im więcej będziesz ją żywić swoją Miłością, tym bardziej będzie ona się budziła, i w tym większym stopniu będziesz samym sobą, takim, jakim zawsze jesteś wewnątrz siebie, nie w swojej zewnętrznej powłoce.

I po krótkiej przerwie, Sensei dodał:

— **Życie jest krótkie, więc trzeba zdążyć wysławić swą duchową istotę w sercu.**

Cały nasz zespół stał, zastanawiając się nad słowami Mistrza. Po całym moim ciele chodziły ciarki z nieoczekiwanego zachwytu i natchnienia. Tak bardzo byłam zachwycona tym, co usłyszałam, o tyle byłam zszokowana przez tę informację, że trudno było mi uwierzyć w to, że to wszystko mówił zwykły człowiek. Miałam wrażenie, że jego głęboka wiedza była czymś pozaziemskim. Chciałam go o to zapytać, ale coś mnie powstrzymało. I podejrzewałam, że to «coś» też o tym wiedziało, ponieważ ciągnęło go do tego Stworzenia z całych sił. Ale kiedy tylko o tym pomyślałam, mój rozum rozpoczął ze mną sprzeczką, twierdząc, że jest zwykłym człowiekiem, który po prostu dobrze się zna na filozofii, religii, psychologii, historii, fizjologii, medycynie, fizyce... «Stop! Dokąd mnie tak poniosło — pomyślałam. — Czy człowiek może zmieścić w sobie taką głęboką wiedzę z tylu dziedzin? Ale z drugiej strony, dlaczego nie? Przecież są utalentowani ludzie, tacy jak Łomonosow... albo Leonardo da Vinci, którzy w ogóle wyprzedzili pod względem wiedzy całą epokę... Ale jakoś nie pamiętam, żeby tak szczegółowo dyskutowali na temat duszy... I w ogóle, dlaczego łamię swoją głowę nad tym, kim on jest naprawdę. Najważniejszym jest to, że otrzymałam odpowiedź na interesujące mnie pytania, znalazłam to, czego tak długo szukałam. Prawdę mówią, że kto szuka, ten zawsze znajduje».

Szczerze cieszyłam się, jak dziecko: «Przecież to jest właśnie to! Przecież to jest sposób aby



dotrzeć do skraju wieczności, z którego patrzą na nas wielcy! To jest moja jedyna szansa, jedyna brzytwa, której chwyta się tonący. Nawet nie brzytwa, a zbawienna arka, w której nie boję się śmierci, w której nie boję się płynąć do wieczności».

— A więc, nie ma już pytań? — zapytał Sensei.

Milczeliśmy, patrząc na niego zdziwionymi oczyma. Tylko Mikołaj Aleksejewicz, który był spośród nas jedynym, mniej-więcej, «trzeźwo myślącym», odpowiedział:

— Załóżmy, że wierzę w Boga. Ale z punktu widzenia psychologii, to jest ciekawa idea. Trzeba ją rozważyć... Sporo informacji, trzeba wszystko przeanalizować. A pytania powstaną później.

— To dobrze — dobrodusznie powiedział Mistrz. — Więc, na dzisiaj wystarczy, będziemy się rozchodzić.





**P**

rzebywałam w świetnym humorze. Przez całą drogę analizowałam to, co usłyszałam, patrząc z różnych stron. Następnie zaczęłam już analizować swój dobry nastrój. Widocznie coś w tym było nie tak, ponieważ mój nastrój był taki, jakbym była absolutnie zdrowa. Grzebiąc się w swoich wrażeniach, nieoczekiwanie uświadomiłam sobie, w czym tak naprawdę sprawa. Wcześniej myślałam, że to moje «ja», które powinno odejść do wieczności, przebywa w moim mózgu. Wydawało mi się, że nim myślę, że w nim powstają wszystkie moje myśli. Ale z mózgiem ostatnio miałam poważne problemy, jak mówili lekarze. To martwiło mnie nie tyle pod względem fizycznym ile duchowym. Uważałam, że skoro mój mózg jest uszkodzony, może i moja dusza jest również nie w porządku.

Chciałam jak najszybciej wrócić do domu i posadzić swoje ziarnko. Sensei oczywiście powiedział, że praktykę duchową można uprawiać w każdym miejscu. Ale postanowiłam tę

wdzięczną sprawę rozpocząć w domu, w ciszy i spokoju.

W mieszkaniu szybko poradziłam sobie ze wszystkimi swoimi drobnymi sprawami. Kiedy rodzice usiedli przed telewizorem, ja zaś wygodnie usiadłam w pozę «Lotosu». W końcu przyszła ta długooczekiwana chwila. Skupiwszy się, pomyślałam: «Więc tak, zaczniemy od siadania...» Ale tu trochę spanikowałam. Po pierwsze, nie wiedziałam, jak wygląda to ziarno lotosu. Gdzieś w książce widziałam kwiatek, ale ziaren — nigdy. I w ogóle, jak będzie wyglądał proces sadzenia, w co mam to ziarno posadzić? Widziałam, jak ziarna kielkują z ziemi. Ale nie wiem dlaczego byłam nie zadowolona, przecież ziemia w duszy, nawet domniemana, jakoś się nie zgadzała z moim wyobrażeniem o wieczności. Pomyślałam trochę i znalazłam wyjście. Kiedyś widziałam, jak mama zaprawia fasolę do kiełkowania, położywszy ją na zmoczonej watę. Ten wariant mi się spodobał. «Niech będzie fasola — pomyślałam. — W końcu, to jest tylko moja wyobraźnia. Najważniejszym w tym wszystkim jest samo sedno, jak mówił Sensei».

Znów się skupiwszy, zaczęłam wyobrażać sobie, jakby położyłam wewnątrz siebie, w okolicy splotu słonecznego małą białą fasolę, zanurzywszy ją w czymś miękkim i ciepłym. Następnie półgłosem zaczęłam wymawiać czułe słowa, adresowane mojemu ziarenku. Ale nie doznałam żadnych odczuć. Wtedy zaczęłam przypominać sobie wszystkie dobre słowa, które wiedziałam.

I tu raptem zauważyłam, że znam o wiele mniej dobrych słów, niż złych i obraźliwych. Ponieważ obraźliwe słowa, które stale słyszę na ulicy i w szkole, o wiele częściej uzupełniali mój słowny bagaż, niż słowa dobre. Moje myśli znów wróciły ku obmyślaniu pewnych wniosków, czepiając się logicznie jedna po drugiej. Zauważywszy to, znów skupiłam się na kwiatku. Ale wciąż nic mi nie wychodziło. Po jakichś dwudziestu minutach moich bezskutecznych wysiłków pomyślałam, że chyba robiłam coś nie tak. W końcu położyłam się spać, postanowiwszy rozpytać Mistrza o wszystkie moje błędy.

Ale nie mogłam zasnąć. Wokół mnie panowała wszechobecna ciemność. Przedmioty i meble w pokoju straciły swój zwykły kolor. Pomyślałam: «Jaki ten świat jest złudny. Nam się tylko wydaje, że żyjemy naprawdę. Ale w rzeczywistości sami sobie wymyślamy jakieś gry, sami w te gry gramy. Tylko w odróżnieniu od dzieci, dorośli wcale nie dorostają, ponieważ o tyle wcielają się w swój pewny obraz, że już zaczynają myśleć o tym, że cała pozostała rzeczywistość jest taka sama. I w ten sposób, w wyobrażeniu i próżności mija całe nasze życie. Ale Sensei mówił, o tym, że ty «prawdziwy — to właśnie twoja dusza, ta odwieczna realność, która istnieje w rzeczywistości. Trzeba tylko się obudzić, pozbawić się tej iluzji, i wtedy świat się zmieni...»

Kiedy pogrążałam się w myśli o wieczności, robiło mi się jakoś lepiej i przyjemniej. I wtedy odczułam, że w piersi coś zaczęło ciepłeć i nawet

przyjemnie łaskotać. Ciarki zaczęły chodzić po całym ciele. Przybywałam w takim przyjemnym i spokojnym stanie, że chciałam objąć duszą cały świat. W stanie takiej przyjemnej drzemki zasnęłam. Sen miałam jak z bajki, ponieważ kiedy się obudziłam, odczuwałam taką inspirację i taką lekkość, której nigdy w swoim życiu przed tym nie odczuwałam.

W szkole znów spróbowałam pogрузić się w taki stan, ale nie mogłam się skupić przez nadmiar informacji i sprzecznych emocji. Udało mi się to tylko na ostatniej lekcji z literatury, kiedy nauczycielka monotonnie tłumaczyła nam nowy materiał. Połowa klasy «uważnie» jej słuchała z osowiałymi oczami, a druga połowa usiłowała jakoś walczyć ze snem. Tymczasem znów skupiłam swoją uwagę na okolicy splotu słonecznego, skoncentrowawszy całą moją uwagę na wywoływaniu odczucia ciepła i stanu radości. Moje dobre myśli błąkały gdzieś na dalszym planie. Najważniejsze dla mnie było to, co się odbywało wewnątrz. Zrobiło mi się przyjemnie, ciało jakoś się rozluźniło, i odczuwałam w piersi lekkie ciśnienie, przekształcające się w ciepło. Potem po prostu siedziałam, rozkoszując się tym stanem, i słuchałam nowego materiału szkolnego. Przy okazji, następnie, właśnie poczynając z tego momentu dobrze zapamiętywałam wszystko, o czym mówiła nauczycielka, bez większych trudności, bez żadnego wysiłku. To było bardzo przyjemne odkrycie dla mojej świadomości.

Po lekcjach wpadłam do biblioteki, żeby uzupełnić swoją wiedzę o kwiecie lotosu. Ale to, co o nim przeczytałam w różnych podręcznikach, wręcz mnie zdziwiło. Dowiedziałam się, że «Lotos — to ziemnowodna trawiasta wieloletnia roślina o długiej łodydze i dużych kwiatach o maksymalnej średnicy 30 centymetrów... na białych liściach... Liście lotosu mają taką właściwość, że są pokryte pewnym woskowym nalotem i nie mokną w wodzie». Ze swojej strony oceniłam to tak, że złe myśli, czyli wpływ pierwiastka zwierzęcego, nie mogą zepsuć mojej duszy. Będzie po prostu nadal spać.

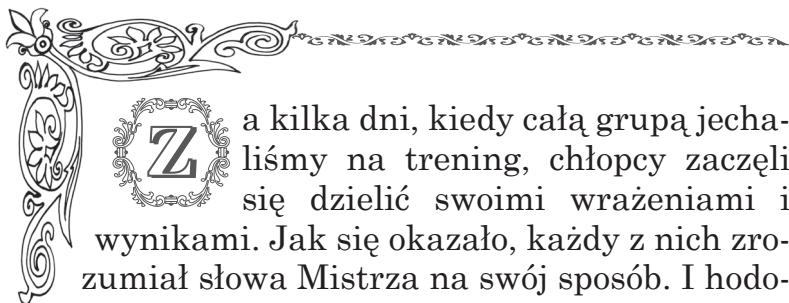
«Kwiat lotosu ma od 22 do 30 płatków, bladoróżowych u podstawy i jaskrawych w okolicy wierzchołka, położonych **spiralnie** wokół torebki nasiennej». Popatrzyłam na zdjęcie tego kwiatka. Ta torebka nasienne w centrum kwiatka, była podobna do korka o złotym kolorze, z mnóstwem włosków wokół niej o tym samym kolorze. «Ciekawe, że **kwiaty lotosu zawsze są skierowane ku słońcu**: trochę poniżej punktu mocowania kwiatka na szypułce lotos ma tak zwaną **strefę reagowania, która właśnie «wylapuje światło»**.

A o nasionach przeczytałam w ogóle coś zdumiewającego: «**Nasiona lotosu zachowują zdolność do kiełkowania w ciągu kilkuset (w niektórych przypadkach kilku tysięcy) lat**. Możliwe, że z tą właściwością jest związany ten fakt, że lotos od dawna wykorzystuje się jako symbol nieśmiertelności i zmartwychwstania».

Również udało mi się znaleźć jeszcze jedną cechę tej rośliny. «Lotos **jest kwiatem stałocięplnym**. To oznacza, że **kwiat jest zdolny do podtrzymywania wewnętrznej temperatury tak, jak robią to ptaki, ssaki i my, ludzie**». «**Kwiat lotosu gra ważną rolę w religiach różnych narodów**».

I to było wszystko, co znalazłam. Ale tego wystarczyło, żeby częściowo złapać sens, i zrozumieć, dlaczego sztukę Lotosu, o którym mówi Sensei, nazwano właśnie tak. Jednak całkowite pojęcie i sens odczuwałam gdzieś wewnątrz siebie, w samej głębi mojego prawdziwego «ja».





**Z**a kilka dni, kiedy całą grupą jechaliśmy na trening, chłopcy zaczęli się dzielić swoimi wrażeniami i wynikami. Jak się okazało, każdy z nich rozumiał słowa Mistrza na swój sposób. I hodowanie tej wewnętrznej Miłości było różne. Kostja wyobraził sobie, że posadził nasienie lotosu, jak się wyraził, «w pewnej odżywczej substancji Wszechświata». I zrobił to dopiero wczoraj. I cały ten czas czytał literaturę, szukając dowodów potwierdzających słowa Mistrza. Nie miał żadnych odczuć, po prostu wyobrażał sobie taką sytuację i czekał na wynik.

Tatiana wyobraziła sobie tę Miłość jak urodzenie Jezusa w swoim sercu, ponieważ babcia wychowała ją w ramach tradycji moralności chrześcijańskiej. Miała uczucie radości, wewnętrznego zachwyty, ciepła i lekkiego ciśnienia w okolicy serca. Ale rozboleła ją serce.

Andrzej usiłował doznać pewnych uczuć w okolicy splotu słonecznego, drogą skupienia się, myśląc o lotosie. Dopiero trzeciego dnia odczuł



jakieś ledwie zauważalne ciepło, nawet nie ciepło, a jakby go «coś laskotało w tym miejscu, niby piórko go dotykało». Sławek nie zdołał nawet wyobrazić sobie, w jaki sposób to wszystko się odbywa «wewnątrz własnych organów».

Przed rozpoczęciem treningu cała nasza grupa czekała na ten moment, kiedy Sensei nie jest zajęty żeby zadać mu swoje pytania. Zaczęliśmy opowiadać o swoich doznaniach. I jak się mówi, poza kolejką wlaźła Tatiana, która poskarżyła się Mistrzowi na bóle serca. Mistrz wziął ją za rękę i zbadał puls.

— Tak, tachykardia. Ale co się stało?

— Nie wiem. Zaczęło mnie niepokoić kiedy skupiłam się na urodzeniu Pana w moim sercu...

Następnie w szczegółach opowiedziała mu o obudzeniu swojej boskiej Miłości.

— Wszystko zrozumiałem. Skupiłaś się na organie, na sercu. Ale na organie skupiać się nie wolno. Serce — to serce, to po prostu mięsień, to pompa organizmu. Kiedy się skupiasz na nim, zakłócasz rytm pracy całego organizmu i przeszkadzasz mu pracować. Kiedy się nauczysz kierować sobą, wtedy się nauczysz skupiać na pracy ciała i organów. Ale teraz może ci to tylko zaszkodzić. Trzeba skupiać się wyłącznie na splocie słonecznym. Tam rodzi się wszystko. To jest podstawowy czakran w «Lotosie», który nazywa się Kuandalini.

— Tak, Kuandalini, kiedy się budzi, tam niby jakiś wąż pełźnie po grzbiecie. Czytałem o tym — pochwalił się Kostja swoją erudycją.

— Ten termin wzięto z jogi — odpowiedział Mistrz. — Z biegiem czasu ludzie wszystko mieszają. Ale pierwotnie w «Lotosie» Kuandalini był czakranem, położonym w okolicy splotu słonecznego... To, co wam opowiadałem o kwiecie lotosu, powtarzam, jest jedynie obrazem, niczym więcej, który pomoże wam łatwiej zrozumieć, dostrzec i odczuć.

— Czyli to, jak wygląda w rzeczywistości, proszę opowiedzieć jeszcze raz, dla najgłupszych — z humorem poprosił Andrzej.

— Po prostu wychodzą impulsy, nasienie rośnie przy pomocy wewnętrznej Miłości. To niby wewnątrz ciebie powstaje uczucie, jakby czekało na coś dobrego. Na przykład, czekasz na jakiś prezent, długo oczekiwany, o którym długo marzyłeś. I raptem go otrzymujesz, jesteś szczęśliwy, przepelnia cię wdzięczność. I dreszcze przechodzą po całym twoim ciele, masz takie odczucia w okolicy splotu słonecznego, niby wychodzi z ciebie coś pięknego albo czekasz na coś podobnego. Właśnie takie musisz mieć uczucie, i wywołujesz go w sztuczny sposób, stale podtrzymujesz go w okolicy splotu słonecznego. W końcu staje się dla ciebie czymś naturalnym. I ludzie zaczynają to odczuwać. Czyli promieniejesz tą radością ... I tyle. To nie koniecznie musi być kwiat albo coś innego. To tylko obrazy dla bardziej wygodnego postrzegania.

— A kwiat, który powstanie wokół ciała. Co z nim?

— Wiesz, czym jest ciało astralne, mentalne

i inne energetyczne ciała, czyli, mówiąc krócej, wielowarstwowa aura człowieka?

— Tak.

— Tak więc, kiedy to pole siłowe dobra rozrasta się wewnątrz ciebie, masz uczucie, niby otaczają cię wielowarstwowe płatki. I masz uczucie, że jesteś otoczony, zabezpieczony, kwitniesz w lotosie. Masz również uczucie, że jesteś, jak słońce ponad światem, ogrzewasz wszystko ciepłem swojej ogromnej Miłości.

To jest stała medytacja, którą przeprowadzasz wszędzie gdzie jesteś i podczas każdej roboty, wywołujesz te impulsy, te uczucia, te potoki energii. Sens polega na tym, że im więcej ćwiczysz, tym silniejsze są te potoki. W końcu ten proces przybiera właściwości materialne, i już jesteś w stanie wpływać na ludzi. Czyli, możesz to robić tylko wtedy, kiedy, całkowicie zmienisz się sam: zmieniają się twoje wewnętrzne myśli i twoje zewnętrzne czyny.

Andrzej chciał zadać jakieś pytanie, ale w tej chwili do hali sportowej wbiegł jakiś tyczkowaty staruszek.

— Dobra, chłopcy — wyprzedził Andrzeja Sensei — później porozmawiamy.

Odeszliśmy na bok. Starszy pan, przywitawszy się z Mistrzem, o czymś mówił z podnieceniem, odprowadzając go na bok:

— Wie pan, dzisiaj dzwonił ten akademik z Leningradu — ciężko oddechając, powiedział — Żorz Iwanowicz. Prosił mnie powiedzieć panu, że obowiązkowo przyjedzie tu za trzy dni...

Nie słyszałam pozostałych słów, ponieważ ten «tyczkowaty», opanowawszy swoje podniecenie, zaczął mówić ciszej. Byłam bardzo zdziwiona tą nowiną: «Czego tu szuka akademik? Do tego jeszcze z Leningradu? Po co mu jest potrzebny Sensei?» Wręcz rozpierało mnie z ciekawości. Ale rozpoczął się trening, prowadzenie którego Sensei polecił starszemu senpajowi. Na zadowolenie ciekawości nie było żadnych szans.

Podczas zajęcia, sprawdzwszy w praktyce obraz «oczekiwania na wielki prezent», o którym opowiadał Sensei, odczuwałam, że te uczucia przychodziły do mnie już o wiele łatwiej, ponieważ pamiętam je od samego dzieciństwa. Wystarczyło tylko odrodzić te wspomnienia o dzieciństwie, i już w centrum splotu słonecznego odczułam przyjemne łaskotanie, które rozchodziło się w różne strony lekkimi krętymi potokami. Rzeczywiście w tym momencie było mi bardzo przyjemnie i radośnie. Ale nie mogłam utrzymać się w takim stanie nawet jednej minuty, ponieważ ten stan nieoczekiwania znikł. Próba nowych wspomnień i przewrócenia tego stanu zajęła o wiele więcej czasu, niż chciałabym. Tak więc, pogrążona w swój stan wewnętrzny, nie zauważyłam, jak skończył się trening. Przy okazji, ciało już nie bolało, jak po pierwszym treningu, a ból minął, dokładnie jak mówił Sensei, równo po trzech dniach.



ciągu kolejnych dni próbowałam wywołać te odczucia, zajmując się różnymi sprawami. Ale wychodziło mi tylko wtedy, kiedy konkretnie się skupiałam na «kwiecie lotosu», wykonując jakąś pracę fizyczną. Ponadto, zaczęłam obserwować swoje myśli. Pewnego razu, odrabiając w domu lekcje, spróbowałam przypomnieć sobie wszystko, o czym myślałam przed tym dniem. Nie mogłam przypomnieć ani myśli, ani tego, co robiłam. Wszystko było w jednej wielkiej kupie, drobnostki wylaniały się z pamięci z wielkim trudem. I co najważniejsze: dobre sprawy mieściły się do kategorii «tak, jak trzeba» i również wylaniały się z pamięci z wielkim trudem. Ale negatywne momenty, negatywne pluski emocji pamiętałam szczególnie dobrze. I właśnie w tych momentach dobrze świadomie odczuwałam moc swojego zwierzęcego pierwiastka. W pamięci wylaniały się słowa Mistrza: **«Myśl jest materialna, ponieważ rodzi się w materialnym mózgu. Dla-**

**tego negatywna myśl gnębi. Jest pierwszym strażnikiem, który zawsze usiłuje pokonać człowieka.** Kiedyś opowiem wam o tym bardziej szczegółowo, o tym, jak myśli powstają i dlaczego ich władza nad nami jest tak mocna». Pomyślałam: «Ale dlaczego Sensei nie opowiada o wszystkim od razu, przenosi na jakieś przyszłe «potem». Dla niektórych to «potem» może w ogóle nigdy nie nastąpić... Ale z innej strony, przecież to, jak postrzegałam jego słowa na pierwszych treningach i to, w jaki sposób postrzegam je teraz tak się różni. Wcześniej po prostu słuchałam, ale teraz, po jakimś czasie, zaczynam coś rozumieć, ponieważ zaczęłam się zajmować, pracować nad sobą. Pojawiły się jakieś wyniki, jakieś doświadczenia, umiejętności, i odpowiednio, pytania. Ale Sensei zawsze odpowiada konkretnie na konkretne pytania». I tu raptem olśniło mnie: «Przecież on czeka na to, kiedy sami zrozumiemy jego słowa, przepuścimy je przez siebie, kiedy nasz rozum sam uświadomi sobie i stanie po stronie duszy. W przeciwnym przypadku wszystkie te słowa, jak mówi Sensei, pozostaną tylko pustym dźwiękiem w pustej głowie. Sensei mówił, że trzeba stale pracować nad sobą, że każda chwila życia jest bezcenna, i należy ją wykorzystywać jako dar Boski dla doskonalenia swojej duszy». Te słowa dodały mi optymizmu i pewności siebie. W przyszłości często je wspominałam, za każdym razem, kiedy moje ciało ogarniała apatia.

**M**

imo złej pogody i problemów z transportem z przyczyny pierwszego śniegu, którego było sporo, jak nigdy przedtem, nie spóźniłam się na zajęcia z medytacji. Nie tracąc czasu, Mistrz zaczął analizę naszych prób hodowania «Kwiatu lotosu». Mikołaj Andrejewicz przybywał w stanie zachwytu swoimi osiągnięciami, właśnie z punktu widzenia psychoterapeuty, ponieważ znalazł najlepszy sposób na kontrolowanie swoich myśli. Na końcu swojego przemówienia powiedział:

— W wolnym czasie przeanalizowałem wszystko, co pan powiedział, i mam teraz pytanie. Pan powiedział, że te drgania Miłości bronią człowieka przed negatywnym wpływem innych ludzi. Przed jakim wpływem bronią go i jak to się przejawia?

— Negatywny wpływ może przybierać różne formy. Złe spojrzenie, urok, jak mówią ludzie, psucie...

— Urok? Psucie? — szczerze zdziwił się Miko-

łaj Andrejewicz. — Uważałem, że urok i psucie są tylko częścią ludowego folkloru, do tego bardzo korzystnego dla niektórej kategorii przedsiębiorczych ludzi.

— Ten «folklor ludowy» istnieje dlatego, że takie zjawiska rzeczywiście istnieją, ale nie mają podstaw naukowych. Ale faktycznie przejawy negatywnych myśli istnieją. Już niejednokrotnie mówiłem, że myśli są materialne. Naukowcy starają się to udowodnić. I im dalej, tym więcej będzie naukowych dowodów tego. Myśl jest falą informacyjną. Jej informacja jest zakodowana na odpowiedniej częstotliwości, którą postrzega nasz materialny mózg, dokładnie, jego wewnętrzne struktury. I kiedy człowiek wysyła w twoją stronę jakąś negatywną myśl, oczywiście, jego mózg przyjmuje tę negatywną informację na poziomie podświadomości. I podczas dekodowania tego kodu mózg zaczyna modelować w tobie tę negatywną sytuację, która potem, jak nie uświadomiony rozkaz podświadomości ziszcza się w realnym życiu. Właśnie to jest psuciem, które się przejawia w formie choroby albo innego niepowodzenia. To z jednej strony. Ale z drugiej strony, jeżeli osoba stwarza wokół siebie pole siłowe o odpowiedniej częstotliwości... mówiąc prościej, aurę Miłości, to, według wszystkich praw fizyki, negatywna informacja nie może przedostać się do tego pola i nie dochodzi do jego mózgu, żeby ziścić się tam w formie rozkazu. Dlaczego? Ponieważ to pole siłowe jest



o wiele mocniejsze... Człowiek jako społeczne stworzenie ma bardzo skomplikowaną strukturę. Wymienia się informacją z innymi ludźmi nie tylko przy pomocy mimiki, gestów, głosu. Czym naprawdę jest głos? Jest tylko wibracją w takim zakresie, który jest w zakresie tych samych fal, ale, w odróżnieniu od głosu, te fale są na innej częstotliwości.

— Czyli jest tak, że nasze możliwości postrzegania dźwięku są ograniczone przez swojego rodzaju iluzję świadomości? — myśląc o czymś swoim, spytał Mikołaj Andrejewicz.

— Oczywiście. Na przykład, naukowcy ustalili, że zakres częstotliwości postrzegany przez człowieka, jest ograniczony i człowiek słyszy tylko w zakresie od 20 herców do 18 kiloherców. Ale przy tym ludzie odkryli świat ultradźwięku, nauczyli się «komunikować» z delfinami. To jest kolejnym dowodem tego, że człowiek świadomie postrzega tylko małą część różnorodnego świata, który go otacza. Ale jego podświadomość... postrzega o wiele więcej.

— Czy człowiek odczuwa to w jakiś sposób? — spytał Staś.

— Tak. Ale zwykły człowiek postrzega to na poziomie intuicji, czyli, jak się potocznie mówi, przy pomocy «szóstego zmysłu». Ale osoba, bardziej rozwinięta pod względem duchowym, postrzega bardziej świadomie. Tworząc wokół siebie pole siłowe, składające się z wibracji Miłości, staje się nieosiągalna dla potoków informacyjnych, czyli, mówiąc prościej, negatywnych

myśli. I odpowiednio, nie tracąc ani siły, ani bezcennego czasu na walkę wewnątrz siebie.

— Ale jak to się przejawia w życiu? Przecież nie zawsze człowiekowi wszystko się udaje, są białe i czarne okresy — spytał Wiktor.

— Czarne i białe okresy życia istnieją tylko w twojej wyobraźni, ponieważ sam je stworzyłeś. Jeżeli masz się świetnie, już na poziomie podświadomości czekasz na coś złego, negatywnego. Skoro sam na to się nastawiasz, w końcu to otrzymujesz. Sami wymyśliliśmy wewnątrz siebie taką grę, ... sami wymyślamy problemy. Coś takiego w przyrodzie nie istnieje. Dobrze, znaczy dobrze. Jak jest źle, to jesteś durniem. Jednoznacznie.

Chłopcy uśmiechnęli się, usłyszawszy taką wyczerpującą odpowiedź.

— Ale czy można przy pomocy tej duchowej praktyki oczyścić się z... powiedzmy... — Gienek trochę się zawahał, dobierając słów — grzechów. Czyli przed tym złym, co już dokonałeś w swoim życiu?

— Oczywiście. Jak mówisz, człowiek «oczyszcza się» z grzechów, ponieważ nie tylko żałuje tego, co dokonał, ale nie chce tego i nie robi tego, ponieważ dla niego takie czyny stają się cudze. Po prostu wyrzuca wszystko, co jest negatywne, z siebie, zapominając o tym na poziomie podświadomości i świadomości. Jeżeli niepokoją go jakieś dawne sprawy, które go stale gnębią, automatycznie oczyszcza się z nich tylko przy pomocy siły Miłości, którą hoduje w sobie, pracując nad obudzeniem swojej duszy.

— Ale dlaczego się mówi «grzech cię zniszczy»? — spytał Andrzej.

— Tak, zniszczy. Człowiek już coś dokonał, i ten jego czyn nie daje mu spokoju na poziomie podświadomości i świadomości, gryzie, jak robak jego mózg. W końcu taki stan wywołuje wrzody albo zawały serca, wylewy i inne choroby. Czyli, w każdym razie trzeba coś robić, ponieważ to zło niszczy człowieka od wewnątrz.

— Ale w jaki sposób człowiek zrozumie, czy dobrze zrobił, czy źle?

— Każdy człowiek dobrze uświadamia sobie, jakie zło popełnił, i co dobrego zrobił. Niezależnie od tego, co mówi innym ludziom, jak się chwali, jak urządza się na pokaz, że jest taki solidny, dobry, jakim jest supermenem. Ale kiedy zostaje sam na sam ze sobą, odczuwa lęk. Boi się, kiedy w nocy kładzie się spać, szczególnie, kiedy idzie sam ciemną ścieżką. Świetnie odczuwa, że ktoś na niego patrzy. Odczuwa to spojrzenie na sobie, to spojrzenie go gnębi. I boi się śmierci, ponieważ po śmierci ... będzie po nim.

— Ale co stanie się z nim po śmierci? — spytał Staś.

— Człowiek, który jest dobry, oczyszczony, pogodzony z Bogiem wewnątrz siebie, nie ma czego się bać, ponieważ tam mu też będzie dobrze. Może i nie osiągnął szczytu w duchowym rozwoju, nawet jeżeli nie osiągnął końcowej swobody duszy, mówiąc prościej, nie złączył się z wieczną Miłością, Bogiem, Nirwaną, nazwijcie to, jak chcecie, żeby dostać się do królestwa

Bożego według religii, ale rozwijał swoją duszę, dążył do tego... Raj — to nie jest miejsce, w którym fizycznie obcujesz ze swoimi przyjaciółmi, takimi, jak ty, którzy modlili się w cerkwi, ponieważ jest to modne, i uważają samych siebie za wykształconych. To wszystko to bzdura, niech modlą się nawet przez całe życie. Najważniejsze jest nie to, co robisz na pokaz, ale to, o czym myślisz i co robisz. Najważniejszym jest to, kim jesteś i w jaki sposób wychowujesz sam siebie, w jaki sposób zajmujesz się własnym duchowym rozwojem. Jeżeli już osiągnąłeś pewien stopień duchowej Swobody, kiedy już przyszedłeś do Boga jako dojrzała osoba, wtedy wszystko jest zrozumiałe. To jest podstawowy cel, który cię wabi. Odszedłeś, jesteś wolny, przed tobą tylko gwiazdy, przed tobą tylko bezkres doskonałości. Ale ciężko wam teraz nawet sobie to wyobrazić.

Gdyż jesteś subiektem złym, negatywnym, przeważa w tobie pierwiastek materialny, jeżeli usiłujesz stwarzać tylko dobra materialne drogą gnębienia innych ludzi, czyli niesiesz im zło, i nie próbujesz się zmienić, będzie ci tam nie zbyt dobrze.

— Dasz łapówkę popom, to wybaczą ci wszystkie grzechy — spróbował pozartować Gienek.

— Może ci wybaczą, ale Pan Bóg na pewno nie. Ostatecznie, jeżeli spróbujesz się odkupić, nawet zbudujesz świątynię, ale nie będziesz żałował tego, co uczyniłeś i nie zaczniesz żyć w zgodzie ze swoim sumieniem, wszystkie twoje «datki» będą marne i głupie. Ponieważ Pan Bóg jest bardziej

zainteresowany w doskonaleniu twojej duszy, czyli cząsteczki Siebie, a nie w «odpłatach» w formie materialnych dóbr, stworzonych z Jego woli dla wychowania i wypróbowań ludzkich dusz.

— I tam będzie niezbyt dobrze? — zapytał Andrzej.

— To trudno wytłumaczyć, żebyście zrozumieli. To mniej więcej wyglądałoby tak. Wyobraźcie sobie najgorsze zdarzenie jakie może was spotkać, najstraszniejsze... Wyobraziliście sobie?

— Wyobraziliśmy.

— Tak, więc to będzie najlepsze co się może stać z wami, i to będzie trwało dość długo... Nie straszę was, mówię jak jest. Każdy człowiek odpowiada za swoje czyny. Może i nie wyobraża sobie, że odpowiada, lecz na poziomie podświadomości zdaje sobie sprawę z tego, co robi. Potajemnie przejawia swoją materialną istotę, przeważa w nim materialny pierwiastek, kradnie, kłamie, zaspokaja swoją manię wielkości, oszczędza każdy grosz i myśli: «Tak, mam dużo pieniędzy, tak, jestem panem!» Ale jakim on jest panem, jutro zdechnie i tam na niego popatrzą, kim on naprawdę jest ... I co jest najciekawsze, każdy to odczuwa i uświadamia sobie. Dlatego wielu ludzi przez całe życie miota się, jak wahała, od jednej skrajności do drugiej, od jednej religii do drugiej. Ale nikt za was nie pomodli się, żeby wasze grzechy zostały odpuszczone. Potrzebne są realne czyny w waszym wewnętrznym świecie, potrzebna jest dojrzałość duszy, nie jakieś iluzoryczne samooszukiwanie i głupia

nadzieja na to, że nikt o tym nie dowie się i nic z nimi się nie stanie. Strażnik, który zapisuje w pamięci wszystkie wasze myśli, nie mówiąc już o czynach, jest wewnątrz was. I właśnie według tej «skarbnicy pamięci» decyduje się o dalszych losach waszej duszy.

— Czyli, źle jest być bogatym — stwierdził Sławek.

— Nie, bogaty człowiek — to dobrze, to świetnie. Ale to, że my mamy biednych — to jest źle. Ale bogaci ludzie — to świetnie, mają czas dla siebie, dla swojego rozwoju, jeżeli oczywiście, z korzyścią go wykorzystują.

— Proszę powiedzieć — znów dołączył do rozmowy Mikołaj Andrejewicz — wracając do «Kwiatu lotosu», ale chciałbym się dowiedzieć, czy wszyscy ludzie postrzegają te impulsy miłości pozytywnie?

— Znaczna większość. Ale są też osoby, które postrzegają te impulsy Miłości bardzo negatywnie. Niepokoją ich, odpychają. To świadczy o wadliwości ich świadomości. Czyli żeby w wyniku tych impulsów nie obudziła się w nich dusza. Rozum takich ludzi aktywizuje się i wynurza się w nim cały negatyw. Czyli, taka osoba jest złą, obrzydliwą, ponieważ może uważać się za dobrą i świetną i może go chwalić cały tłum. Ale w rzeczywistości jest gównem. A dlaczego? Dlatego, że reaguje na to wszystko bardzo negatywnie. W jego umyśle nad duszą przeważa zwierzęcy pierwiastek.

Pomilczeliśmy przez chwilę.

— Wiecie, w pewnej książce znalazłem, że Helena Bławatska wspominała w swoich rękopisach o pewnej duchowej praktyce, nazywanej «Różą świata», która jest bardzo podobna do «Kwiatu lotosu» — pochwalił się swoim odkryciem Kostja.

— Tak. Jest odgłosem duchowej praktyki «Kwiatu lotosu». Tylko że Bławatska bardzo dużo w niej poplątała. Ale to nie jest dziwne, skoro pisała ze słów to, co jej mówili różni lamy, a nie korzystała z prawdziwego źródła.

— Też czytałem, że obudzenie «lotosu» jest najwyższym osiągnięciem w buddyzmie. Ale przed tym trzeba poznać wiele tajemnic, przejść przez tyle stopni i wypróbowań...

— Ale to wszystko to pestka. Całą tę powłokę wymyślili ludzie, żeby stworzyć bezpłatny karmnik — religię. Ale na początku Budda dawał większości ludzi właśnie tę prostą, dostępną dla wszystkich duchową praktykę «Kwiatu lotosu» dla obudzenia ich duszy. To było bardzo proste.

— Swoim adeptom również?

— Tak, swoim adeptom również, najpierw dawał tę duchową praktykę. Ale potem, w miarę ich przebudzenia, ukazywał głębszą wiedzę.

— Ostatnio mówił pan, że wiedza Buddy została częściowo utracona — nie mógł uspokoić się Kostja — i częściowo zmieniona, czytałem, że Dalajlama posiada tę wiedzę i dzieli się nią ze swoimi uczniami, jest w ramach lamaizmu, jednego z kierunków buddyzmu, najwyższą osobą wśród tych «renegatów», ziemskim wcieleniem

wielce szanowanego Bodhisattwy... Awolokaszewary... Nie, nie tak. Awalokiteśwary — z trudem wypowiedział Kostja — czyli żywy Bóg, jak mówią. Też tam piszą, że śmierć tego żywego boga jest początkiem jego nowego ziemskiego wcielenia. I pewna komisja, składająca się z najwyższych lam «szuka» go wśród niemowląt, urodzonych w ciągu roku po śmierci Dalajlamy. Więc skoro ten Bodhisattwa stale się wciela, czyż może ta wiedza zostać utracona?

— Kto?! Dalajlama Bodhisattwa?! Przecież to nie jest parodia na Bodhisattwę. Kim w istocie jest Dalajlama... Więc żebyście zrozumieli, opowiem wam małą prehistorię. Początkowo nauka Buddy była całkowicie ustna. Jednak miała wielki rezonans wśród ludzi z przyczyny prostoty i dostępności duchowych praktyk, szczególnie «Kwiatu lotosu». Jego filozoficzna nauka, ze słów jego następców, wyobraźcie sobie, po całych 600 latach po jego śmierci, po raz pierwszy została napisana na palmowych liściach (Tipitaka) w 29 roku przed naszą erą. Jest to najstarsze wcześnie-buddyskie źródło literatury, w którym tekst już napisano w zniekształconej formie, w porównaniu do pierwotnej nauki Buddy. Tak się stało, ponieważ ten tekst pisali ludzie, celem których było wzbogacenie się kosztem tej wiedzy, a mianowicie stworzenie na podstawie tych tekstów religii. Oprócz tego, po śmierci Buddy między jego uczniami miał miejsce rozłam. Część z nich trzymała się tradycyjnych poglądów, tak zwanego kierunku hinajana, co w języku sanskryt ozna-



cza «mały wóz» albo «wąska droga» ocalenia. Ten kierunek w jego pierwotnej formie jest mniej-więcej bliski prawdzie, ponieważ podstawową rolę tu odgrywało dążenie samego człowieka do wyzwolenia przez pęta sansary (przejście duszy z jednej powłoki do innej) drogą wstąpienia ku końcowemu ocaleniu (nirwanie). Ale i ten kierunek został zniekształcony przez ludzi, którzy zrobili z niego skomplikowany, rozkoszny kult.

Inny kierunek, mahajana, który w sanskrycie oznacza «duży wóz», «szeroka droga do ocalenia» jest właśnie początkiem naszej historii o Dalajlamie. Kierunek mahajana zreformował wszystkie strony nauki buddyzmu, zmieniając Buddę z nauczyciela na typowe bóstwo, a «Bodhisattw» — na jego emanacje. Według ich opinii, każdy, kto dotarł do szczytu w religijnej hierarchii, mógł stać się Bodhisattwą. Ponieważ samo słowo «Bodhisattwa» ma zupełnie inny sens. To słowo pochodzi od Szambali.

«Bodhisattwa» w dokładnym tłumaczeniu z sanskrytu oznacza «ten, czyją istotą jest wiedza». Budda wprowadził to pojęcie wśród ludzi, uwzględniając ówczesny poziom duchowego rozwoju. Ale według jego definicji, to pojęcie miało następujące znaczenie: «Bodhisattwa — jest stworzeniem Szambali, które osiągnęło najwyższą Doskonałość i które wyszło ze stanu nirwany, mające swoją wolę, dzięki której może powrócić do tego stanu, ale rezygnuje z tego powrotu przez Miłość, współczucie i dążenie do udzielania pomocy żywym stworzeniom w ich doskona-

leniu się». I co zrobili ci fałszywi «Bodhisattwy»? Oni usunęli kilka słów z tej definicji Buddy: słowa «Szambali», «wyszło ze stanu nirwany», «mające swoją wolę», oraz «udzielić pomocy w doskonaleniu się», i zmienili ją na swoją definicję, w wyniku czego zmienił się jej sens na wygodny dla nich. Spodziewali się, że świat nigdy tego się nie dowie. Ale ten fakt świadczy o ich nieskończonej ignorancji wobec prawdziwej wiedzy. Prawdziwa duchowa wiedza, zniekształcona, schowana, zniszczona, ale w pewnej chwili Szambala przekaze ją ludziom w swojej czystej postaci, ponieważ jest jedynym kryształowym źródłem duchowej wiedzy na ziemi, z którego czerpią wszystkie nauki i religie świata.

Człowiek nie może stać się Bodhisattwą. Prawda, w dziejach ludzkości było kilka niezwykłych osób, które zdołały dorosnąć duszą do poziomu Bodhisattwy. Ale ilość tych unikalnych ludzi można policzyć na palcach jednej ręki, i to w całej historii ludzkości, a nie małego odcinka czasu, w którego granice wkładacie sens znanej wam historii. Tak więc, najwyższe, co potrafią zrobić ludzie w swoim duchowym rozwoju, pracując nad sobą, podkreślam to jeszcze raz, pracując nad sobą — to rozwój swojej duszy przez Miłość do takiego stopnia, kiedy śmierć już nie jest w stanie nad nimi panować, czyli zwolnić się z szeregu przeistoczeń i złączyć się z boską Miłością, z nirwaną, nazywajcie to jak chcecie. Trudno wam jest jeszcze zrozumieć znaczenie słowa «nirwana». Ale żadne radości ziemskie

nie można porównać nawet z setną częścią tego najwyższego stanu.

— Więc Bodhisattwy są rzeczywiście stworzeniami Szambali? — spytał Andrzej.

— Tak. Stworzyli własny mały świat, którego nazwa dla ludzi brzmi Klasztor. Właśnie stamtąd ludzkość otrzymuje całą naukową i duchową wiedzę w celu duchowego dojrzewania i doskonalenia swojej duszy.

— A Mesjasze też są Bodhisattwami? — spytał Staś.

— Bywa i tak, że Bodhisattwy, dając ludziom wiedzę są zmuszeni do tego, żeby stać się Mesjaszami. Ale to są rzadkie przypadki. Z reguły Mesjaszami są ich uczniowie, wychowani spośród prostych ludzi.

— Jak to?

— Tak. Kiedyś wam o tym opowiem. Odeszliśmy od początkowego tematu... Tak więc Bodhisattwa nie musi nikomu udowadniać kim jest, i tym bardziej nie będzie stwarzał religii. Bodhisattwa może dać ludzkości naukę o duchowej istocie człowieka, o tym, jak ma ją doskonalić. Ale nigdy nie daje ludziom religii... Faktycznie, każda religia — to tylko ogromny show-business, stworzony przez manię wielkości małej grupy ludzi dlatego, żeby dostawać pieniądze od głupich osłów.

— Ale dlaczego od razu głupich — z urazą spytał Ruslan.

— Ponieważ ci ludzie stają się bardziej ograniczeni pod względem swojej wiedzy. Stale im

wmawiają, żeby słuchali przemówień ich religijnych przywódców, czytali tylko ich literaturę i trzymali się tylko ich parafii, ponieważ wszystkie pozostałe religie są nieprawidłowe. Na przykład, żeby nie odchodzić od tematu naszej rozmowy, przypomnijcie sobie, co zrobili ci «showmani» z Nauką Buddy. Po pierwsze, dla własnej wygody przekształcili samego Budę na boga, żeby mniej było pytań. Po drugie, wprowadził skomplikowane obrzędy religijne, kultury, modlitwy, wskazawszy masom «szeroką i lekką drogę do ocalenia», dzięki swojemu show-kultowi «Bodhisattw-nauczycieli». Zwyczajny człowiek musi nie tylko wykonywać te wszystkie rytuały, zaklinania, śluby i cały szereg drobiazgow, i płacić im za to, że wmawiają im te głupstwa i bezwzględnie podporządkować się im. Mówiąc krótko, ci «Bodhisattwy», mądrzy i chytry ludzie, faktycznie stworzyli kolejne źródło zarobków - religię.

A teraz powrócimy do kwestii Dalajlamy. Więc tym, kto narobił bigosu z całym tym reformowaniem buddyzmu, był Nagarjuna, który żył w II stuleciu. Był to mądry, człowiek, ale miał wyrachowane myśli. Był indyjskim filozofem, teologiem, poetą, stworzył szkołę szunjawada (madhjamika). A teraz najważniejsze. Za to, że Nagarjuna zrobił z prostego skomplikowane, za to, że istotnie zniekształcił i częściowo przywłaszczył wiedzę przeznaczoną przez Budę dla mas, i za to, że przewrócił istotę samej nauki Nagarjuna został surowo ukarany przez Rigden Jappo na wieczne świadome przeistoczenie się.

— Ale kim był Rigden Jappo? — spytał Kostja.

— Rigden Jappo jest przewodniczącym wspólnoty Bodhisattw w Szambali... Tak więc, osoba Nagarjuny była znana pod różnymi imionami. Następnie, w 1391 roku, właśnie jego istota przeistoczyła się na Gendunduba, który stał się pierwszym Dalajlamą. Kiedyś chciał, żeby go uwielbiano, adorowano, ponieważ jest wielkim następcą... Przyciągało go bogactwo, przepych i uwielbianie. Teraz Dalajlama ma ogromne bogactwa, przepychy, uwielbia go ćwierć całej ludzkości. Ale z innej strony, nie jest szczęśliwy i nigdy nie będzie. Jest skazany na wieczne przeistoczenie się i wieczne wewnętrzne cierpienie. Nie może wejść do stanu nirwany, nie może wyrwać się ze stworzonego dla niego kręgu świadomych przeistoczeń. Po prostu nikt nie pozwoli, żeby opuścił ziemię. Za każdym razem, kiedy w kolejnym łańcuchu życia kończy 13 lat, czyli zaczyna się okres płciowej dojrzałości, kiedy ma miejsce przebudzenie się życiowej energii i nadchodzi czas łączenia człowieka z Kosmosem, mówiąc prościej, kiedy zaczyna się budzić jako osoba i zaczyna zdawać sobie sprawę z tego, kim jest — to jest bardzo bolesne dla niego i ten ból pozostaje przez całe życie.

— Ale ból! — wyrwało się u Kostji. — Przecież to Dalajlama, on ma wszystko! To jest przecież szczęście stale się przeistaczać i mieć wszystko. Jak można znudzić się takim życiem?!

Mistrz ze zmęczeniem spojrzał na chłopca:

— Jak mam to wytłumaczyć... Czy oglądałeś, na przykład, film «Białe słońce pustyni?»

— Tak.

— Pamiętasz, kiedy celnik Wereszczagin zasiadł przy stole i żona postawiła przed nim całą misę kawioru. Popatrzył na niego i powiedział: «Znów ten kawior! Już nie mogę go, przekłętego, jeść. Idź i zamień go chociaż na chleb». Czyli wszystko może znudzić się i to bardzo szybko. A życie może znudzić się jeszcze bardziej. Gdybyś pamiętał chociaż część z tego, co już kiedyś przeżyłeś w innych ciałach, zwymiotowałbyś przez tę jednostajność powłoki cielesnej. Świadomie przeistaczać się i wiedzieć, że jest to twoim losem — to straszne, i nawet nie wyobrazasz sobie, jak bardzo. Nie napróżno Jezus skazał Żyda Wiecznego Tułacza na nieśmiertelność. Pamiętasz tę historię?

Kostja z zakłopotaniem pokręcił głową:

— Nie.

— Kiedy gnano Jezusa na Golgotę, było mu źle i ciężko, męczyło Go pragnienie. I kiedy stanął na progu domu jednego z Żydów, który miał na imię Ahaswerus i poprosił o wodę, i ten pogonił Go, bojąc się, że zostanie za to ukarany. I Jezus powiedział mu: «Boisz się o swoje życie, więc będziesz żył wiecznie!» Od tej pory Ahaswerus nie może umrzeć i tuła się po świecie, jakby mu się to nie znudziło.

— I co, nigdy nie zostanie mu wybaczone? — ze współczuciem spytała Tatiana.

— Póki całemu światu nie zostanie wyba-

zione, póki cały świat nie pokaja się. Ale to już inna historia.

Sensei spojrział na zegarek.

— Dobra, chłopaki, czas na medytację, bo nasza rozmowa może przeciągnąć się. Dzisiaj niektórzy z was będą powtarzać, a niektórzy będą próbować ćwiczyć czakrany nóg i czakran «Hara».

— Ale gdzie on jest? — spytał Sławek.

— Czakrany nóg są położone w centrum stóp, a czakran «Hara» jest o trzy palce poniżej pępka, w punkcie «Dan-Tiań»... «Hara» w języku japońskim oznacza brzuch. Jest to centrum człowieka, praktycznie zbiega się z centrum ciężkości, również i pod względem fizyki i geometrii. Ta medytacja, również jak i poprzednia, jest skierowana na skupienie się koncentracji i uwagi... A teraz stańcie, rozluźnijcie się, nogi postawcie na szerokość ramion...

Staliśmy wygodnie, rozluźniliśmy się i skupiliśmy się na wykonywaniu medytacji.

— Teraz zrobimy wdech, jak zwykle, czyli swobodnie, a wydech zrobimy do «Hary» w formie czaszy, niby napełniając ją energią «Qi» do uczucia lekkiego ciężaru. Kiedy «Hara» napełni się, musicie przepuścić tę energię «Qi» przez «Hara» do nóg, przez centrum stóp i do ziemi...

Przez jakiś czas «przeganiałam» tę energię tylko przy pomocy siły swojej myśli. Ale potem moja wyobraźnia przestawiła się na wyraźne i rzeczywiste odczuwanie rozpierania brzucha,

niby wiano we mnie wodę. Tymczasem Sensei przypomniał:

— Kiedy «Hara» się napełni, powinniście wylać tę energię przez nogi, przez centrum stóp na ziemię.

Spróbowałam zrobić to w swojej wyobraźni, w myślach pracując nad swoim ciałem. Stopniowo zaczęłam odczuwać ciepło, płynące cienkim strumieniem. Jednak, nie było pełnym, lecz częściowym i dobrze odczuwalnym w okolicy goleni i szczególnie stóp. Ponieważ na ulicy było dość zimno, nogi w butach zaczęły się nagrzewać. Kiedy to zauważyłam, przestawiłam swoją uwagę na zastanawianie się, jak to się stało. Uczucie zmalało proporcjonalnie do przestawiania się mojego rozumu na logikę. Kiedy znów spróbowałam się skupić, Mistrz obwieścił koniec medytacji.

— Proszę zrobić dwa wdechy i wydechy. Szybko ściśnijcie pięści, otwórzcie oczy.

Spojrzałam na zegarek, minęło około dziesięciu minut. Ale mi się wydawało, że minęło o wiele więcej czasu. Raptem ktoś zauważył, że pod naszymi nogami roztopił się śnieg. Obejrzeliśmy się ze zdziwieniem. I rzeczywiście, pod niektórymi starszymi chłopakami kałuże były o promieniu około 40 centymetrów, ale pod nami miały zwykły rozmiar. Gienek spojrzał na Stasia i powiedział:

— Widzisz, a ty się oburzałeś: zimno, zimno, dobrze byłoby trafić do Afryki. Teraz nie potrzebujesz żadnej Afryki. Już palmy ci koło nóg wyrastają.



I zwracając się do Mistrza, dodał:

— Dawno podejrzewałem, że coś jest nie tak z jego pochodzeniem, ciągnie go do Papuasów.

Po kolejnej serii żartów, kiedy wszyscy trochę się uspokoili, Sensei powiedział, że możemy również w domu pracować nad tą medytacją.

— A nad «Kwiatkiem lotosu» też? — spytał Kostja.

— Oczywiście. Szczególnie nad nim i dobrze byłoby pracować nad nim w każdej wolnej chwili.

— I kiedy będą wyniki?

— Nie martw się, jeżeli nie będziesz się lenić, na wyniki nie będziesz długo czekał.

— Proszę mi wybaczyć, ale chciałbym wrócić do naszej poprzedniej rozmowy przed medytacją. Pan powiedział, że wiedza naukowa została dana ludzkości przez Szambalę. Ale nie bardzo rozumiałem, w jaki sposób daje się tę wiedzę? — z nutką wyniosłości w głosie spytał Mikołaj Andrejewicz. — Do tej pory uważałem, że człowiek jest istotą dość rozumną, żeby samodzielnie dojść do czegoś, w tym do odkryć naukowych.

— Powiem panu tak, że generalnie człowiek kiedyś stanie się doskonałą istotą... Ale dopóki w jego umyśle przeważa zwierzęcy pierwiastek, nie może wymyślić nawet krzesła, jeżeli się mu nie powie, jak go się robi.

— Czyli jak to?

— Zwyczajnie. Ci ludzie są tak mądrzy, ponieważ korzystają z wiedzy przodków. A czy myśleliście o tym, w jaki sposób ich przodkowie otrzymali tę wiedzę? Nawet w najstarszych legendach

cywilizacji sumerów, napisanych na tabliczkach glinianych, mówi się o tym, że «ludzie z nieba» opowiedzieli im, jak mają żyć, budować domy, łowić ryby, hodować jedzenie z roślin i tak dalej. Przed tym ludzie żyli, jak stado zwierząt... Weźmiemy nowoczesny świat. Jak naukowcy robią odkrycia naukowe?

— Z całych sił pracując nad pewnym tematem.

— Niewątpliwie, na pierwszy rzut oka właśnie tak to wygląda. Ale sam moment odkrycia, chwila olśnienia?

Mikołaj Andrejewicz wzruszył ramionami.

— Przypomnijcie sobie historię wielkich odkryć — kontynuował Sensei. — Możemy wykorzystać jako przykład chociażby układ okresowy pierwiastków Dmitrija Iwanowicza Mendelejewa, który się przyśnił, przy tym, nie całkowicie, ale tylko jego część, którą ludzkość może postrzegać na danym etapie. Ta sama historia z odkryciem struktury atomu przez Nilsa Bora, z formułą Fryderyka Augusta Kiekuła, z odkryciami Nikoli Tesly i wielu innymi. Praktycznie wszystkie idee naukowe i teorie ludzkości zjawiały się w wyniku olśnienia, intuicji, a najczęściej «objawienia z góry». Czyli wszystkie te odkrycia wydobyto z głębi podświadomości.

A głębia podświadomości jest właśnie czakra-  
nem, «drzwiami», «bramą» — nazywajcie to jak  
sobie życzyście — która może otwierać się jak z jed-  
nej, tak i z drugiej strony. Jest to zaledwie przej-  
ście do innej sfery, innego wymiaru, innego pola  
informacyjnego, nazywajcie to jak chcecie. Tak

więc, w razie konieczności do mózgu naukowcy wkłada się gotową odpowiedź z tamtej strony.

— Ale kto ją wkłada? — spytał Kostja.

— Ten, kto jest po tamtej stronie. Każdy człowiek postrzega Go w różny sposób: ktoś uważa go za Absolut, ktoś za inteligencję zbiorową, albo Szambalę, albo Boga...

— Ciekawe, czy Szambala i Bóg — to jest jedno i to samo? — myśląc o czymś swoim, spytał Ruslan.

— Nie. Bóg — to Bóg. A Szambala jest jednym z jego dzieł.

— A czym jest Szambala w stosunku do ludzkości? — spytał Mikołaj Andrejewicz.

— Jest źródłem wiedzy. Mówiąc wspólnym językiem, jest swojego rodzaju «bankiem» informacji, do którego wejście istnieje w podświadomości każdego człowieka.

— Więc można trafić do Szambali, nie wychodząc z pokoju? — zdziwił się Staś.

— Masz absolutną rację...

Jeszcze porozmawialiśmy na interesujące nas tematy dopóki Sensei po raz kolejny nie spojrział na zegarek.

— Dobra, chłopaki, jest już późno, trzeba wracać do domu.

Szczerze mówiąc, nie chciało mi się odchodzić, jak również i wszystkim obecnym. Gienek potem wyraził naszą wspólną opinię: «Dusza domagała się kontynuacji uczyty». Ale niestety, trzeba było wracać do domu, żeby nie niepokoić bliskich przez naszą długą nieobecność.



**N**

astępne dni przeleciały niedostrzeżalnie. Podczas kolejnego treningu wszystko było jak zwykle: rozgrzewka, baza, nowy materiał. W zakresie nowego materiału już dotarliśmy do stylu «Małpy». I żeby nanieść podstępne uderzenie albo przeprowadzić łatwy chwyt, trzeba kopiować przyzwyczajenia zwierząt. To wyglądało dość wesoło. Gienek, jak zwykle, nie zapomniał powiedzieć, że większości obecnych nawet nie trzeba naśladować małpę, ponieważ w swoim życiu ich przyzwyczajenia widocznie przewyższają nad oryginałem. Mówiąc krótko, trening minął dość emocjonalnie i wesoło.

Na zajęciach dodatkowych, kiedy większość uczniów już odeszła, zostaliśmy, żeby ćwiczyć chwyt, które Sensei pokazywał nam indywidualnie. Już na samym końcu treningu do hali sportowej wszedł solidny, poważny mężczyzna około pięćdziesiątki, może sześćdziesiątki. Sensei zobaczył go i uśmiechnął się:

— Co za ludzie w naszych krajach! Jak tam droga, Żorżu Iwanowiczu?

— Jakoś do was dotarłem — z lekkim oburzeniem odpowiedział. — Już od dwóch godzin szukam, chyba poł miasta obszedłem.

Sensei uśmiechnął się:

— Przepraszam pana akademika, byłem zajęty, nie mogłem na pana czekać koło schodów samolotu.

Przywitawszy się po swojemu, poszli do środka hali sportowej i usiadłwszy na sportowych ławkach, zaczęli o czymś rozmawiać.

Moja ciekawość wobec «akademika» przelewała się, tymczasem inni obecni w żaden sposób nie zareagowali na niego. Starsi chłopcy kontynuowali ćwiczenie uderzeń, skupiwszy się na swojej pracy. Nasi chłopcy również nie pozostawali z tyłu. My z Tatianą też usiłowałyśmy dobrze się spisać. Ale kiedy przyszedł ten nieznamy pan, cała moja uwaga skupiła się na rozmawiających. A kiedy zobaczyłam, że Sensei, obrócił się do gościa i zaczął gestykulować, coś mówiąc mu dość szorstkim tonem, nie wytrzymałam. Uchylając się przed uderzeniami Tatiany, zaczęłam się zbliżać podczas tego improwizowanego sparringu do nich. I wtedy usłyszałam słowa Mistrza, adresowane do tego pana:

— Kiedy dwadzieścia lat temu marzyłeś tylko o tym, żeby stać się sławnym i uznanym naukowcem, sam zaproponowałeś mi swoje usługi w zamian za konkretną wiedzę, która wzniesie cię na szczyt wśród liderów nauki...

«Ależ! — pomyślałam ze zdumieniem. — Sensei mówi do niego na «ty»! I kogo ma na myśli, kiedymówi «nam»? I jakie usługi?»

Tymczasem Sensei kontynuował swoje przemówienie:

— ...Z naszej strony wykonaliśmy wszystkie warunki naszej umowy. Otrzymałeś od nas szczegółowe informacje, począwszy od półprzewodnikowego hetero-lasera i kończąc na przetwornikach energii słonecznej. Czy jest tego dla ciebie za mało?! I tak nic nie robiłeś przez całe swoje życie, korzystając z naszej wiedzy. A przed następnym jubileuszem otrzymasz Nagrodę Nobla. I co, jest źle?! Nie rozumiem, co za problemy?

Przez cały ten czas mężczyzna siedział opuszczony głowę. Kiedy Sensei skończył, podniósł na niego swoje oczy. Miał czerwoną twarz, chyba ze wzruszenia.

— Pyta pan, jakie problemy. Pan uważa mnie za głupka?!

I trochę bardziej łagodnym tonem dodał:

— Pamiętam wszystko bardzo dobrze i nie zrzekam się swoich słów... Ale proszę mi wytłumaczyć, gdzie wezmę źródło energii o takiej mocy?! Żeby pana maszyna, której rysunki pan mi przekazał, zaczęła pracować, będę musiał odłączyć prąd w całym obwodzie Leningradzkim. A pan mnie prosi o to, żeby ta maszyna pracowała od początku sierpnia do grudnia. I co, przez cały ten okres i Leningrad i inni będą siedzieć bez światła?

— Proszę się nie martwić z powodu źródła energii, szanowny Żorżu Iwanowiczu, zaopatrzymy pana w to źródło.

— Chce pan dostarczyć do mojego instytutu generator jądrowy, tak?! Jak pan to wszystko sobie wyobraża? I dlaczego właśnie na terenie naszego instytutu? Czy nie można tego zrobić w jakimś innym miejscu, na przykład, w Moskwie?

— Oczywiście, że możemy. Ale obliczyliśmy, że pana instytut ma wygodniejszą pozycję ... Zapewnimy wam źródło zasilania. Może się pan nie martwić, jest to bardzo małe urządzenie, nie większe od walizki, więc nie zajmie dużo miejsca. Ma dosyć energii, żeby mogło pracować przez ustalony okres.

— Przepraszam, mówił pan o milionach kilowat. I co, będzie to wszystko w walizce? I nie jest to energia jądrowa?! — zdziwił się akademik.

Sensei uśmiechnął się:

— Nie zwracajcie sobie głowy różnymi drobiazgami. Mogę częściowo zaspokoić waszą ciekawość i powiedzieć od razu, że to jest próżniowy promiennik energii. Ponadto, damy wam, jak obiecaliśmy, przetwornik częstotliwości do tego sprzętu. Ale uprzedzam, że nie wolno rozbierać tego sprzętu na kawałki, ponieważ może zrobić się nawet miliony razy gorzej, niż w Hiroszynie. Chociaż na pozór są absolutnie nieszkodliwe. Ale zapamiętajcie, maszyna powinna zacząć pracować na stałe nie później, niż 15 sierpnia.

— Dobrze. A kiedy pan ją do mnie przywiezie?

— Myślę, że po Bożym Narodzeniu dostarczą ją panu.

— Dobra... tylko...

Akademik trochę się zawahał.

— Co?

— Interesuje mnie pewien problem. Mówi pan o nie wtrącaniu się do pańskich spraw, ale to nastawienie świadczy o czymś innym.

— Nie wtrącamy się. Gdybyśmy się wtrącali, moglibyśmy zapobiec tym nadchodzącym wydarzeniom. Ale my nie mamy do tego prawa, to jest wasza wola, róbcie co chcecie. Ale jedyne, co jest wbrew naszym interesom, to możliwość wybuchu trzeciej wojny światowej z wykorzystaniem broni jądrowej. Chcemy tylko zniwelować konsekwencje tych wydarzeń.

— Ale kto da gwarancję, że te fale nikomu nie zaszkodzą?

— Damy taką gwarancję — są absolutnie nieszkodliwe. Po prostu ludzie staną się bardziej spokojni i rozsądni. Więc ich reakcję rewanżowe będą nieco bardziej zmiękczone, i to się nie przekształci na jakiś konflikt międzynarodowy... Ale powtarzam, nie jesteśmy uprawnieni do tego, żeby zapobiegać tym okolicznościom. Jak chcecie, możecie próbować im zapobiec, to jest wasza sprawa.

Akademik ciężko podniósł się i zaczął żegnać. Sensei odprowadził go do wyjścia, przypominając mi o dacie. I uściskawszy ręce, pożegnali się. Usłyszałam, jak Sensei, wracając, z uśmiechem mruknął sobie pod nosem:



— Hm, każdy dureń uważa się za mądrego, ale tylko rozumny człowiek może nazwać samego siebie głupcem.

Byłam wręcz zdumiona niezwykłym charakterem tej rozmowy. «Kim jest Sensei Kim? Czy jest fizykiem? –pomyślałam. — Pewno, pracuje w jakimś instytucie badawczym. Sensei mówił nam o jakiejś dogłębnej fizyce. W takim razie to wiele wyjaśnia i tłumaczy tak obszerny widnokrąg jego wiedzy». Ta jedyna wersja, która przyszła mi do głowy, była mniej-więcej do przyjęcia, ponieważ w całej masie «tysięcy pytań» po prostu się pogubiłam, nie znajdując dla nich żadnego tłumaczenia. Ale w moich oczach Sensei wyrósł jako uczony autorytet, ponieważ słuchał go nawet akademik. Gdyż Sensei nie chciał w żaden sposób wyróżniać się z tłumu. W drodze do domu, jak zwykle żartował razem ze wszystkimi, podtrzymując nasz wesoły nastrój po «małpim» treningu. Jednak w domu zapisałam tę niezwykłą rozmowę do swojego pamiętnika zaznaczając dużymi literami: «Okazuje się, że jest fizykiem!»





**P**o kilku dniach, kiedy poszłyśmy z mamą po zakupy, budowałam plany i obmyślałam pytania, które mam zadać Mistrzowi podczas zajęć.

Na ulicy, po wczorajszym deszczu i nocnym mrozie, padał puszysty śnieg. Muszę powiedzieć, że zima wtedy była dosyć ciepła w porównaniu z innymi regionami Związku Radzieckiego, w których mieszkaliśmy wcześniej. «Górnicy» śnieg był podobny do śniegu tylko w pierwszym dniu, ponieważ szybko robił się szary od węglowego kurzu, a w trzecim dniu już się topił, tworząc mokre, śliskie błoto. I nawet na nowy rok była taka sama prognoza pogody: «Deszcz, przemieniający się na mokry śnieg». Więc cieszyłam się z powodu takiego śniegu i lekkiego mrozu. To dawało mi małą nadzieję na to, że nowy rok, do którego pozostawało około trzech tygodni, być może będzie prawdziwy, zimowy i uda się pobawić do woli.

Tak więc, marząc o pięknej przyszłości, szłyśmy do kolejnego sklepu. Raptem mama się

pośliznęła i upadła na plecy i to tak mocno, że nawet jej nogi poleciały w powietrze. To wszystko trwało przez jakąś sekundę, i nie zdołałam nawet pomyśleć o tym, żeby ją podtrzymać. Jacyś mężczyźni, którzy szli obok, rzucili się jej z pomocą. Ja też próbowałam pomóc, poważnie się przestraszyłam. Podziękowawszy ludziom, mama wstała, opierając się o mnie:

— Mamo, czy możesz iść?

— Oj, poczekaj, ból w plecach jest tak mocny, jakby tam coś trzasnęło.

— Może zaprowadzić cię do szpitala?

— Poczekaj, zaraz przejdzie.

Trochę poczekaliśmy i powoli poszliśmy do domu. Mama trochę utykała. W domu zrobiło się jej gorzej. Nie chciałyśmy niepokoić ojca, który był w pracy, myślałyśmy, że wszystko przejdzie. Ale ból tylko się nasilał i żadne pigułki nie pomagały. Robiłyśmy wszystko: rozcierałyśmy różnymi maściami, robiłyśmy kompresy i po prostu grzałyśmy. Ale po ostatniej procedurze zrobiło jej się gorzej. Oczywiście, że nie poszłam na zajęcia z medytacji. A kiedy późno wieczorem wrócił ojciec, próbowaliśmy już wszystkiego, co można, żeby uspokoić ból. Decyzja była jednoznaczna — trzeba było jechać do szpitala. Ojciec telefonował kilka razy i umówił się, żeby mamę przebadał docent w obwodowej poradni neurochirurgicznej.

Rano jej stan się znacznie pogorszył. Dokuczliwy, ostry ból nasilał się w nodze i nawet najmniejszy ruch powodował gwałtowny atak bólu. Do szpitala odwieziono ją już w półleżącym sta-

nie. Na neurologii, po serii zdjęć rentgenowskich i tomografii komputerowej, docent ustalił, że już od dawna miała ból kręgosłupa, a w wyniku upadku pękł pierścień włóknisty i utworzyła się 7 mm przepuklina. Wskutek tego zaciśnięty został nerw kulszowy, co spowodowało ból nogi. Po szczegółowym badaniu lekarz skierował ją na konsultację do neurochirurga. Ojciec skontaktował się ze znajomym neurochirurgiem, który po zapoznaniu się z wynikami badań powiedział, że operacja jest nieunikniona.

To była katastrofa dla całej naszej rodziny. Mało tego, że do woli napatrzyliśmy się na chorych, leżących w łózkach, kiedy szukaliśmy gabinetu neurochirurga, również mama nasłuchiwała się różnych koszmarów od, jak się potem okazało, swojej sąsiadki w sali, która potrzebowała powtórnej operacji. Mama była tak przerażona operacją, że po konsultacji w poradni neurochirurgicznej wybiegliśmy stamtąd, jeżeli nasze utykanie można było nazwać biegiem. Tak więc, nieoczekiwanie dla nas, przyszłość stanęła w czarnych kolorach. Postanowiliśmy spróbować leczenie farmakologiczne, zrobić sesję zastrzyków, i jak się mówi, walczyć do końca.

W tym samym dniu umieszczono mamę w szpitalu, i moje życie poważnie się zmieniło. Rano biegłam do szkoły, a potem jechałam do obwodowej poradni neurochirurgicznej. Cały czas byłam obok mamy, żeby podtrzymać ją na duchu. Jak mi się zdawało, to było bardzo ważne dla mamy. Ponieważ lekarze oburzali się z powodu obecno-

ści obcych osób, ale ojciec szybko ich uspokoił. Szpital stał się głównym miejscem, w którym spędzałam mój wolny czas.

Mama była bardziej niż zmartwiona z powodu tego, że na naszą rodzinę runęły te wszystkie niepowodzenia. Do tegoż jeszcze przyszła informacja z Moskwy o tym, że termin operacji już został ustalony i czekają na mnie po świętach noworocznych. Mama bardzo się niepokoiła również z tego powodu, że musiałam porzucić wszystkie moje ulubione kółka i zajęcia, i nawet spróbowała nalegać na to, żebym wróciła do zwykłego życia. Ale zupełnie nie chciałam jej słuchać. Zdawało mi się, że nikt nie będzie troszczyć się o nią tak, jak ja, i beze mnie po prostu uschnie z powodu swoich złych myśli i gnębiącej atmosfery szpitalnej sali, w której jej sąsiadki rozmawiały wyłącznie o swoich chorobach.

W pierwsze dni, jak i cała moja rodzina, przebywałam w stanie lekkiego szoku. «Dlaczego stało się coś podobnego» — myślałam — nikt nawet nie mógł się spodziewać, że coś takiego stanie się właśnie mamie. Ale życie jest nieprzewidywalne! Nam się tylko wydaje, że wszystko w nim przewidzieliśmy, zaplanowaliśmy, dowiedzieliśmy się o wszystkim i że wszystko tak się ziści. Ale każdego dnia mamy jakąś próbę wytrzymałości, jakby Ktoś chcąc nas sprawdzić, na ile jesteśmy wytrwali, na ile jesteśmy odporni na stres w różnych sytuacjach, w radości i w smutku. Być może, że te stresy, w których bierzemy udział jako świadkowie lub uczestnicy, są

przypomnieniem nam o tym, że życie jest zbyt delikatne i że najważniejszego w nim możemy po prostu nie zdążyć zrobić. Przecież tak przyzwyczailiśmy się do odkładania wszystkiego, co jest ważne dla naszej duszy, «na potem», że nawet nie zauważamy, jak szybko mija życie i że nic w nim nie jesteśmy w stanie zrobić jak należy.

Dlaczego zaczynamy tak naprawdę cokolwiek cenić i kochać dopiero wtedy, jak tracimy to na zawsze: młodość — w starości, zdrowie — w szpitalnym łóżku, życie — na łożu śmierci? Dlaczego?! Być może, te nagłe sytuacje zmuszają nas do zastanawiania się nad swoim kruchym istnieniem, zmuszają nas pozbawić się nierealnych fantazji, powstałych przez nasze lenistwo i w taki sposób przywrócić nas do rzeczywistości. A rzeczywistość jest taka, że nikt do końca nie wie, co się może z nim wydarzyć za chwilę. Więc może nie warto wypróbować Losu i zacząć cenić chwilę życia teraz, od tej sekundy, jak cenią go ludzie, skazani na śmierć. Być może, wtedy będziemy w stanie zrozumieć prawdziwy sens życia, zrobić w nim tysiąc razy więcej dobrych uczynków dla swojej duszy i dla innych ludzi. «Głupio myśleć, że jutro nigdzie nie zniknie przed nami, ono może po prostu nigdy nie nadejść». Dopiero teraz zrozumiałam sens słów Senseja, które kiedyś traktowałam, jako żart: «Jeżeli chcesz rozśmieszyć Boga, opowiedz Mu o swoich planach».

W historiach z życia, których słuchałam razem z mamą od jej sąsiadek na sali szpital-

nej, znalazłam potwierdzenie tego, że nikt nie jest ubezpieczony przed jego mością Przypadkiem... Kobieta, która leżała obok okna, nazywała się Waletnyna Fedorowna. Jedno mgnienie przewróciło całe jej życie. I ta chwila nadeszła tak nieoczekiwanie. Na początku żyli z mężem, jak wszyscy, od pensji do pensji. Na fali ruchu spółdzielczego mąż zwolnił się z fabryki i założył spółdzielnię produkcji mebli. Był zdolnym przedsiębiorcą i sprawy szły dobrze. W ciągu jakiegoś roku zarobił tyle pieniędzy, że kupili z żoną nowe mieszkanie i samochód i nawet działkę. Wszystko szło bardzo dobrze i nic nie zapowiadało niczego złego.

Ale dwa miesiąca temu, kiedy Waletnyna Fedorowna wracała z mężem samochodem z urodzin swojego krewnego, doszło do strasznego wypadku drogowego. To wszystko się wydarzyło w ciągu kilku sekund. Trzy samochody zderzyły się z winy pijanego kierowcy. Mąż zginął od razu. A ona, dzięki pasom bezpieczeństwa, cudem pozostała przy życiu. Ale wstrząsnęło ją tak, że lekarze dopatrzyli się urazu w szyjnej części kręgosłupa oraz krwiak. Po tym wypadku jej ręce prawie przestały jej słuchać, a nóg w ogóle nie czuła. Kręgosłup po operacji neurochirurgicznej powrócił do normy. Pozostał tylko krwiak — konsekwencja stłuczenia rdzenia kręgowego. Waletnynę Fedorowną przeniesiono z oddziału neurochirurgicznego do neurologicznego około miesiąca temu.

Ale mi się wydawało, że bardziej ją gnębił nie

tylę stan fizyczny, o ile psychiczny. Właśnie od chwili wypadku jej życie przewróciło się. Mało tego, że musiała zastawić część swojego majątku, ponieważ pieniądze, które miała, szybko się rozeszły na leczenie, na opłatę jakichś długów męża, ale do tego jeszcze zdziwiło ją to, jak ją potraktowali znajomi.

Rodzina Waletyny Fedorownej, z jej słów, miała sporo przyjaciół, krewnych, bliskich znajomych. Ale kiedy tylko się dowiedzieli, że mąż zginął, i ona jest okaleczona, pozostała sama. Wszyscy dlategoś natychmiast zapomnieli o jej istnieniu. I już od dwóch miesięcy leży w szpitalu i odwiedza ją tylko stara matka i jej krewna siostra, która chociaż była biedna, zawsze się starała przynieść jej coś smacznego. Teraz Waletyna Fedorowna, oczywiście, zrozumiała kto jest kim, ale jest już za późno. Tego wieczoru zapisałam do swojego pamiętnika takie powiedzenie jej matki o nieprawdziwych przyjaciółach: «Kiedy garnek kipi, dom jest pełen gości. A kiedy garnka nie stało, to dom zrobił się pusty».

Walentyna Fedorowna przebywała w stanie rozpaczę i nie widziała wyjścia ze swojej sytuacji, jak tylko w obgadywaniu swoich byłych przyjaciół i znajomych. Ale ja przy tym czułam się nieswojo. Mało tego, że przez te słowa sama sobie psuła nastrój, histeryzowała z powodu różnych drobiazgów, sama w sobie rozpałała nienawiść, ale również sprawiała przykrość ludziom, którzy ją otaczali. Nie chciałam w jej obecności nawet wspominać o takim słowie, jak «przyja-



ciel», ponieważ ta kobieta wybuchała i znów zaczynała swoją «starą pieśń» od nowa.

Inna, Anna Iwanowna, była dobrą kobietą. Nie przeklinała swojego Losu, chociaż jej stan zdrowia wcale nie był lepszy. Miała prawie taką samą chorobę, co i mama. Po prostu pewnego dnia «zabolały» ją plecy. Lekarze w końcu znaleźli u niej przepuklinę kręgu. Zrobili jej operację, usunęli tę przepuklinę. Po operacji poczuła się trochę lepiej. Ale niebawem poczuła się gorzej i znów trafiła do szpitala. Lekarze postanowili zrobić powtórna operację, ale ona bała się, że po tej operacji w ogóle przestanie chodzić. Anna Iwanowna, z większym opanowaniem opowiadała swoją historię, ale szczegóły i konsekwencje tej operacji przerażyły nie tylko moją mamę, ale w pewnym stopniu i mnie, ponieważ spotkanie z neurochirurgami czekało również i na mnie.

Anna Iwanowna poruszała się z wielkim trudem. Często odwiedzał ją mąż, wesóły, upasiony mężczyzna. Jej dorośli już dzieci mieszkały w innych miastach. Anna Iwanowna miała swoje zmartwienie, ponieważ nie chciała być przykuta do łóżka, mając dopiero pięćdziesiąt lat. Bała stać się ciężarem dla męża i nie chciała niepokoić swoją chorobą dzieci. Dlatego ta kobieta z całych sił starała się wyzdrowieć, łykając przeróżne pigułki i wykonując wszystkie zalecenia lekarzy. Ale czasami, kiedy ból stawał się nieznośnym, optymizm ją opuszczał i zalewając się gorzkimi łzami, powtarzała jedno i to samo pytanie: «Za co?!»

Trzecia sąsiadka, zupełnie młoda dziewczyna, chyba o pięć lat starsza ode mnie, miała uraz poporodowy. Jeszcze podczas ciąży odczuwała ból w kręgosłupie. Prawa noga zupełnie przestała jej słuchać, Helena nie mogła nawet poruszać palcami. Jak się okazało, miała protruzję dwóch kręgów. W domu czekało na nią małe dziecko, którym opiekowała się matka-emerytka. Często ją odwiedzał mąż. Miał spokojny charakter, widać było, że jest skromnisiem. Ale jej teściowa wlatywała jak huragan i cały czas była wiecznie niezadowolona z jakichś drobiazgów.

Ta poporodowa komplikacja, której też nikt nie mógł się spodziewać, postawiła młodą rodzinę na skraju rozpadu. Mało tego, że Helena miała poważne problemy ze zdrowiem, fizycznie nie mogła opiekować się dzieckiem, do tego jeszcze teściowa prowokowała syna do konfliktów, wypominając mu żonę kalekę jako ciężar na całe życie, namawiała na rozwód. Helena oprócz swojej matki nie miała nikogo na kim mogłaby polegać. Ale jej matka mieszkała daleko, w innym mieście, i rzadko przyjeżdżała, ponieważ pracowała w fabryce, ledwie wiążąc koniec z końcem. Czyli całe życie Heleny — to sama tragedia.

Nasłuchawszy się tych wszystkich historii, pomyślałam, że rzeczywiście nikt z nich nie spodziewał się takiego finału, wszystkie żyły swoimi marzeniami i tu nagle, jak grom z jasnego nieba.... Wszystkie narzekały, dlaczego to się stało właśnie im.... Wieczorem, będąc pod wrażeniem wszystkiego co usłyszałam, otworzyłam

swój pamiętnik na chybił trafił i przeczytałam pierwsze słowa Mistrza, które mi się trafiły: «Nie ma przypadkowości. Przypadek jest, przede wszystkim uzasadnioną konsekwencją naszych niekontrolowanych myśli». «Coś podobnego! Wcześniej na te słowa nie zwracałam żadnej uwagi». I żeby te słowa lepiej rzucały się w oko, oznaczyłam je pogrubioną kursywą.

Bardzo chciałam uczestniczyć w zajęciach i treningach Mistrza, ale sumienie nie pozwoliło mi wyrwać się z tego wiru. Mimo to, że regularnie kontaktowałam się telefonicznie z kolegami, którzy w zachwycali się swoimi osiągnięciami. W domu kontynuowałam medytacje, a «Kwiat lotosu» starałam się robić w każdej wolnej chwili. Szczególnie udawało mi się wywoływać odczucia, kiedy myślałam o pożądanym prezencie. Przy tym w okolicy splotu słonecznego powstawały dreszcze, które rozchodziły się po całym ciele. To było dość przyjemne uczucie... Chociaż nie byłam obok Mistrza, ale jego słowa, które przeczytałam w pamiętniku, ciągle chodziły mi po głowie.

W szpitalu moja osoba postanowiła za wszelką cenę zmienić tę chorobliwą i nerwową atmosferę, ponieważ przez te stałe rozmowy o chorobach i ciężkim życiu nawet zdrowy człowiek może szybko stracić zdrowie. Odwiedzając mamę starałam się opowiadać najśmieszniejsze historie, które tylko znałam, począwszy od szkolnego życia i kończąc kuriozalnymi historiami z literatury. Ale ta metoda była bezskuteczna,

ponieważ kobiety pozostawały pogrążone w swoich myślach i problemach. Kiedyś podczas rozmowy z Heleną powiedziałam jej to, co słyszałam od Mistrza o dobrych i złych myślach, o istocie duszy i naszego życia, co bardzo zdziwiło moją mamę. Dziwne, ale kobiety zaczęły słuchać mnie z wielką uwagą, jakbym przekazywała nie słowa Mistrza, a jakąś prawdę, która dotyczyła każdej z nich. Mama powiedziała, że jeszcze długo po tym, jak odeszłam, dyskutowały o tym, co powiedziałam z własnego punktu widzenia i własnego doświadczenia. Dziwne, ale po tygodniu takich moich opowieści pojawiły się nieoczekiwane wyniki.

Ta Walentyna Fiedorowna, która ze wszystkich jęczała i przebywała w zmartwieniu, zmieniła się na zupełnie inną osobę, utalentowanego organizatora swojego losu. Mama mi powiedziała, że po takich rozmowach ona bardzo nad czymś się zastanawiała. I wynik jej decyzji przekroczył wszystkie oczekiwania. Zaproponowała mężowi Heleny posadę dyrektora w spółdzielni mebli z odpowiednio dobrym wynagrodzeniem. To był szok nie tylko dla jego młodej rodziny, ale i dla teściowej. Nie wiedzieli, jak mają dziękować Waletynie Fiedorownie za ten podarunek Losu.

Mąż Heleny, choć był skromnisiem, to potem jak mu powieżono taką odpowiedzialną posadę, odkrył w sobie talent dobrego kierownika. Ze słów teściowej wynikało, że pracował z wielkim entuzjazmem i poświęceniem przez całymi

dniami, dzięki czemu produkcję wznowiono już w ciągu jakichś dwóch tygodni i nawet pojawił się pierwszy duży zysk. Teściowa rozkwitała ze szczęścia i jej stosunek do Heleny diametralnie zmienił się na lepsze.

Ponadto, Walentyna Fiodorowna zatrudniła w spółdzielni również swoją przyrodną siostrę, przemieniając ją z księgowej w państwowej kancelarii z mizernym zarobkiem na główną księgową swojej prywatnej spółdzielni z dobrą pensją. A ponieważ ta kobieta była uczciwą, punktualną i staranną, porządek był gwarantowany. Na ogół, wszyscy byli zadowoleni z takiego mądrego rozwiązania Walentyny Fiodorownej jej problemów, ale najbardziej zadowolona była ona sama. Jej zdrowie i w ogóle życie zaczęło się polepszać. Nawet starzy «przyjaciele» zaczęli przychodzić do niej, proponując wszelkie swoje usługi. Ale Walentyna Fiodorowna absolutnie bez jakiegokolwiek złości dawała im zrozumieć, że więcej nie potrzebuje ani ich usług, ani ich pomocy.

Od tego czasu atmosfera w sali znacznie się polepszyła. Teraz kobiety częściej żartowały, śmiały się, wspierały siebie nawzajem. Na tej sali wszystkim było przyjemnie przebywać, nawet personel medyczny zostawał tam na dłużej, żeby pogadać z naszymi roześmianymi kobietami. I co jest najbardziej zdumiewające, humor i zdrowie tych kobiet znacznie się polepszyły i one zaczęły szybko wracać do zdrowia. Zrozumiałam, że ich straszliwy ból był konsekwencją, przede wszystkim, ich wyobraźni, złych myśli

i lęku w obliczu nieznanego. Ten lęk zjadał ich wewnątrz, wielokrotnie zwiększając fizyczny ból. A kiedy tylko oderwały się od tych złych myśli, zrobiło się przyjemnie nie tylko otaczającym ich ludziom, ale im samym. Otrzymały możliwość nie tylko trzeźwego myślenia, ale zadaptowały się do nowych warunków życia i stosunków z ludźmi.

Mnie wręcz zadziwiło to odkrycie, ponieważ nawet nie podejrzewałam, że słowa Mistrza dokonają takiej rewolucji myśli i uczuć tych skazanych na cierpienie kobiet. Przecież pozytywne myślenie jednej z nich wywołały całą serię wydarzeń w losach kilku osób, wnosząc do ich życia szczęście i pomyślność. Było to dla mnie kolejnym dowodem na słowa Mistrza o tym, jak potężne są nasze myśli i jak wpływają na nasz los.

Zauważyłam ponadto, że wykonanie praktyki «Kwiatu lotosu» na sali stało się łatwiejsze. Z całych sił starałam się podtrzymywać ducha optymizmu i ten optymizm narastał każdego dnia. Pożyczyłam w bibliotece kilka książek, wyłącznie z dobrym zakończeniem, oraz humorystycznych opowiadań. Kobiety chętnie je czytały, opowiadając sobie nawzajem najciekawsze momenty. Okazało się, że potwierdzenie słów Mistrza było również w opowieściach klasyków różnych lat. I tu do mnie dotarło, że przecież Sensei mówił o uniwersalnych prawdach, charakterystycznych dla całej ludzkości. I opowiadał o nich w sposób prosty i dostępny.

Zaznaczyłam jeszcze jeden ciekawy moment. Anna Iwanowna, która pracowała na uniwersytecie jako wykładowczyni literatury, знаła prawie na pamięć wszystkie dzieła klasyków. Ale teraz ona mówiła, że z przyjemnością ponownie czytała te dzieła i postrzegała je już w zupełnie inny sposób. I właśnie dla siebie i dla swojej duszy zrobiła ciekawe odkrycia, zauważywszy w książkach to, na co wcześniej nie zwracała uwagi.

Czasami czytanie książek przemieniało się na wieczory literatury. Dziwne było, że kiedy opowiadałam im o kontroli myśli w ramach teorii Mistrza, słuchały mnie z wielkim zainteresowaniem. Najpierw to mnie wprawiało w zmieszanie, ponieważ nie mogłam odpowiedzieć na ich pytania o życie. Ale w domu, przeglądając swój pamiętnik, znajdowałam słowa Mistrza, które, według mnie, zawierały odpowiedzi na ich pytania. Dziwne, ale te kobiety postrzegały moje słowa z własnego punktu widzenia, własnego życiowego doświadczenia, i, co jest najważniejsze — moje odpowiedzi były dla nich całkiem zadowolające. Choć Mistrza nie było razem z nami, ale odczuwałam jego obecność w jego myślach, do których stale powracaliśmy.

Zbliżał się Nowy rok. Kobiety postanowiły zorganizować sobie święto dla duszy, po prostu, na sali. Mój ojciec uzgodnił to z naczelnym lekarzem. Nawet postawiliśmy małą choinkę dekorując ją zabawkami i dla śmiechu, strzy-

kawkami i wkraplaczami. Więc świętowaliśmy Nowy Rok na sali razem z mamą oraz z kobietami i ich krewnymi. Było na tyle wesoło i ludzie na tyle byli radośni i uprzejmi, że miałam wrażenie, iż tu zebrała się jedna duża rodzina. Zapamiętałam jeden ciekawy toast, wzniesiony przez teściową Heleny:

— Mówi się, że jak spędzasz Sylwestra, to taki będzie cały rok. I mimo to, że obchodzimy go w szpitalu, najważniejsze, że świętowaliśmy go w towarzystwie takich świetnych ludzi. Jestem wdzięczna Bogu za to, że wszystkie moje niepowodzenia z synem skończyły się pomyślnie. Bardzo pani dziękuję, szanowna Welentyno Fiodorowna, za pani dobre i czułe serce. Gdyby nie pani, nigdy nie potrafilibyśmy wydostać się z tego koszmaru. Wypijmy za panią, za nieprzewidywalny Los, dzięki któremu wszyscy jesteśmy tutaj. Za pani zdrowie!

Tej nocy wypowiedziano sporo dobrych i pięknych słów. A około drugiej w nocy dołączył do nas nawet naczelny lekarz, który wracał z żoną od przyjaciół. Ale, jak się potem zorientowałam, bardziej go interesowała rozmowa z moim ojcem, niż z nami... Po kilku głębszych, kobiety zaczęły wypowiadać się z otwartą duszą. I zdziwił mnie moment, w którym Walentyna Fiodorowna opowiedziała nam o podjęciu swojej życiowej decyzji.

— Wiecie, dziewczyny, długo myślałam o tym, co się ze mną dzieje i jak mam wydostać się z tego gówna. Pewnego razu, podczas takiego

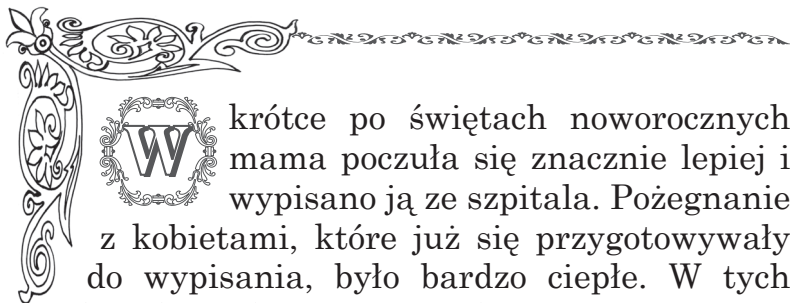


zastanawiania się, miałam dziwny sen, jakiś przystojny młodzieniec o białych włosach po same barki, podszedł do mojego łóżka i powiedział melodyjnym głosem: «Dlaczego tak się męczysz? Popatrz wokół siebie, jacy ludzie cię otaczają. Kiedy ujrzysz w nich to, co najlepsze, twoje problemy znikną». Kiedy obudziłam się zupełnie inaczej patrzyłam na świat. Zaczęłam myśleć. I rzeczywiście, jak się potem okazało, nie było lepszych kandydatów na stanowiska w mojej spółdzielni, niż ci ludzie co tutaj. Jednak, muszę powiedzieć, że na początku wątpiłam, przecież to było duże ryzyko. Ale przypominając sobie ten sen, przypominam, że coś musiało popchnąć mnie do tej decyzji... Pan Bóg jest mi świadkiem, dziewczyny — przeżegnała się — to jest prawda!

— Wyobraźcie sobie, ja też widziałam we śnie jasnowłosego mężczyznę! — przyznała się Anna Iwanowna. — Tylko wstydziłam się o nim opowiedzieć. Przemawiał coś do mnie takim przyjemnym głosem. Ale z rana nic nie mogłam przypomnieć sobie z tego, co mówił. Pamiętam tylko, że zrobiło mi się bardzo przyjemnie. I do tej pory odczuwam wewnątrz siebie ten stan spokoju i przyjemności. Co to może oznaczać?

— To paniom anioły stróże pomagają — odpowiedziała pobożna teściowa. — To właśnie one wskazują wam drogę, moje drogie...

I potem przeczytała całe kazanie. To mnie bardzo zaintrygowało. I kiedy wróciłam do domu, od razu zapisałam tę historię w swoim pamiętniku.



**W**krótce po świętach noworocznych mama poczuła się znacznie lepiej i wypisano ją ze szpitala. Pożegnanie z kobietami, które już się przygotowywały do wypisania, było bardzo ciepłe. W tych dniach miałam więcej wolnego czasu i postanowiłam wpaść na trening. Ale przyjaciele powiedzieli mi, że Sensei wyjechał w służbowych sprawach na parę tygodni. Więc nasze z nim spotkanie przesunięto się na nieokreślony czas, ponieważ za parę dni miałam z mamą lecieć do Moskwy.

Zabrałam ze sobą mój pamiętnik. I kiedy mama zasnęła w samolocie, przejrzałam go. Oczywiście, bardzo się niepokoiłam przed tym, co miało się stać, ale słowa Mistrza ogrzewały moje serce i oddziaływały na duszę, jak kojący balsam.

Na lotnisku spotkał nas wujek Wiktor i powiedział, że aż z samej Syberii przyleciał dziadek, żeby podtrzymać mnie na duchu. Sprawa w tym, że mój dziadek był bardzo szanowanym,

najbardziej respektowanym i najmądrzejszym człowiekiem wśród wszystkich moich krewnych. Wszyscy słuchaliśmy jego opinii. I uważaliśmy za wielki zaszczyt, kiedy odwiedzał kogoś z krewnych. Taka troska mojego dziadka była dla mnie czymś bardzo przyjemnym, przecież pokonać pięć tysięcy kilometrów w samolocie w jego wieku to już żaden żart.

Po tym, jak minęły radosne chwile spotkania z dziadkiem, zaczęła się tradycyjna uczta, podczas której mama opowiedziała o wszystkich nieszczęściach, które spadły na naszą rodzinę. Oni długo jeszcze dyskutowali o problemach, a ja, zmęczona tą podróżą, położyłam się spać. Przecież jutro miał być trudny dzień.

Wieczorem, kiedy przeglądałam swój pamiętnik, ktoś zapukał do drzwi. To był mój dziadek. Usiadł obok mnie i zaczął pytać o jakieś drobiazgi. Niebawem zaczęliśmy rozmawiać o bardziej poważnych tematach. Dziadek usiłował mnie pocieszyć przed tym, co miało się odbyć. Mówił, że nie warto przejmować się, niezależnie od tego, jakie będą wyniki badań. Przecież ludzie przeżywali gorsze sytuacje i odnosili zwycięstwo dzięki swojej sile woli i opanowaniu, walcząc do końca. Dziadek zaczął sypać przykładami ze swojego życia podczas wojny. I dla pewności potwierdził wszystko, swoim ulubionym przysłowiem: **«Póki życie w tobie się tli, nadzieja wciąż łśni»**... Przez cały ten czas uważnie słuchałam mojego dziadka. A kiedy już skończył swoje przemówienie, szczerze odpowiedziałam mu, o czym

naprawdę myślałam i co czułam w swojej duszy. Powiedziałam mu o swoim stosunku do życia, które, dzięki nauce Mistrza, ukształtowało się wewnątrz mnie, i stało się jego nieodłączną częścią. Dziadek był o tyle zdumiony tak prostymi prawdami, że nawet zapytał mnie jeszcze raz, czy na prawdę nie boję się śmierci.

— Oczywiście — spokojnie odpowiedziałam. — Dla mnie śmierć — to tylko zmiana sytuacji, przejście od jednego stanu do drugiego. Wiem, że zawsze będę z wami, z moimi krewnymi, ponieważ moja Miłość do was jest wewnątrz mnie, w mojej duszy. I gdziekolwiek jestem, w jakiegokolwiek formie, ta Miłość zawsze będzie ze mną. Ponieważ ja i moja Miłość — jesteśmy wieczne... I właśnie to uczucie zaczęłam cenić najbardziej w moim życiu. **W życiu jakoś przeżytych chwil jest bardziej istotna, niż bezsensowne lata istnienia.**

Te słowa, widocznie, poruszyły jakieś uczucia mojego dziadka, ponieważ był wzruszony do głębi duszy. Pomyślałam, że chyba każdy człowiek boi się śmierci, nawet taki odważny, jak mój dziadek. Oczywiście, też bał się nieznanego, tego, co będzie po śmierci, ale nikomu o tym nigdy nie mówił... Dziadek zamyślił się przez chwilę i potem powiedział: «Tak, chyba **mądrość — to stan duszy, a nie wieku**».

Następnego dnia zauważyłam, że dziadek się zmienił. Zrobił się weselszy, lepiej wyglądał, jakby znalazł odpowiedzi na pytania, które go niepokoiły przez lata. Razem poszliśmy do kli-

niki... Przez prawie cały tydzień badano mnie, robiono przeróżne analizy, rentgen... I wreszcie w ostatnim dniu spotkaliśmy się z profesorem, przyjemnym starszym panem. Jednak on był czymś nieco zakłopotany. Patrząc na niego, odczułam, że nie wiele czasu pozostało na tej ziemi mojemu ciału. Nastąpiła długa cisza.

— Wie pani — zaczął profesor, przeglądając moje zdjęcia. — Nic nie rozumiem. Na tych wrześnieowych zdjęciach, które pani przywiozła do mnie, widoczna jest patologia, guz już zaczął powolnie postępować. Ale na tych zdjęciach, które zrobiliśmy tym razem, nic takiego nie ma. Nawet poprosiłem o powtórne zdjęcia... Może pierwsze zdjęcia — to jakaś pomyłka, ponieważ to jest mało prawdopodobne, sądząc z dokumentacji, kilka razy dziewczynkę przebadano... ale,... nawet nie wiem, co mam o tym myśleć.

I już zwracając się do mnie, spytał:

— Kiedy ostatnio miałaś bóle głowy?

— Ja?.. No — zaczęłam przypominać sobie — chyba, gdzieś w październiku, tak, dokładnie pamiętam. A potem... — wzruszyłam ramionami.

I rzeczywiście, zupełnie zapomniałam, kiedy ostatnio miałam bóle głowy. Poprzednie miesiące nasycone wydarzeniami, szczególnie ten wypadek z mamą, zmusiły mnie aby zupełnie zapomnieć o swojej chorobie. Jedyne, co miało dla mnie wtedy znaczenie — to praktyka duchowa i zdrowie mojej mamy.

— Dziwne... Bardzo dziwne — powiedział doktor. — Według naszych zdjęć dziewczynka

jest absolutnie zdrowa. Ponieważ pierwsze zdjęcia wskazywały na to, że miała być dostarczona do nas w co najmniej leżącym stanie... leczyliście to w jakiś sposób oprócz moich zaleceń? — z widoczną ciekawością spytał profesor.

— Nie — pogubiwszy się, odpowiedziała mama. — Robiliśmy tylko to, co nam przepisano.

— Ale to, co przepisali koledzy, zatrzymało wzrost komurek rakowych, ale nie zniszczyło ich całkowicie... Paradoksalnie! To pierwszy taki przypadek w mojej wieloletniej praktyce lekarskiej... Widocznie, nie obeszło się tu bez wyższej siły — powiedział doktor, przeglądając zdjęcia i dane analizy.

— Czyli co — nieśmiało zapytała mama, widocznie, nie wierząc w to, co usłyszała — diagnoza się nie potwierdziła?

Profesor oderwał się od tego, co robił i ze zdziwieniem spojrzął na moją mamę.

— Oczywiście. Przecież pani córka jest absolutnie zdrowa!

Mama jeszcze przez chwilę siedziała, wczepiwszy się w krzesło.

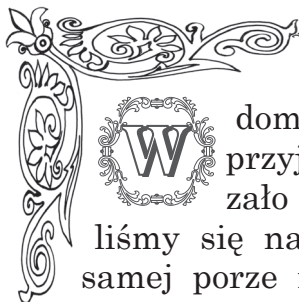
I kiedy wreszcie dotarła do niej odpowiedź profesora, rzuciła się na niego, dziękując mu, jakby był jakimś aniołem ze skrzydełkami. Ja też byłam szczęśliwa. Ale w odróżnieniu od mamy, wiedziałam, kto naprawdę jest moim aniołem-stróżem. Nawet mój rozum nie sprzeciwiał się temu wnioskowi. Jedyne pytanie, które go niepokoiło w tej chwili było to pytanie o to, jak Sensei TO zrobił?

Po tej nowinie nie wyszliśmy z kliniki, a wręcz «wyleciałyśmy». Na dole czekali na nas nasi krewni, w tym dziadek. Ich radości nie było końca. A mama nawet się przeżegnała, cicho podziękowała Panu, co mnie bardzo zdziwiło. Po raz pierwszy widziałam, że moja mama — oficer w stopniu majora, wychowana w ramach ideologii komunizmu i ateizmu — tak się zachowywała. Pomyślałam, że każdy człowiek, kimkolwiek jest, pozostaje, przede wszystkim, zwykłym człowiekiem, z własnymi obawami, nieszczęściem i wiarą w wyższe siły.

Jeszcze przez cały tydzień świętowaliśmy moje «drugie urodziny». Przez całe te dni mój pamiętnik był pełen szczęśliwych stron, stron zachwytu i pytań: «Jak Sensei to zrobił? Dlaczego moje życie tak się zmieniło? Czy dzięki Jego obecności w moim życiu? Kim jest naprawdę? I skąd ja go znałam wcześniej?» Jedno pytanie rodziło drugie. Ale wyjechałam z Moskwy z postanowieniem dowiedzieć się wszystkiego do końca, nawet jeżeli będę potrzebowała na to wielu lat.





 **W** domu przede wszystkim zapytałam przyjaciół, kiedy będą zajęcia. Okazało się, że dziś wieczorem. Umówiliśmy się na spotkanie z chłopcami o tej samej porze na przystanku tramwajowym.

Ledwie doczekałam się wyznaczonego czasu spotkania, zabrawszy ze sobą wszystkie moje zaświadczenia medyczne i zdjęcia.

Przyjaciele powitali mnie z wielką radością i opowiedzieli całą kupę nowości. A kiedy przyjechał długo oczekiwany tramwaj, ledwie mnie utrzymali.

— Teraz mamy inną trasę tramwajową — z uśmiechem powiedziała Tatiana.

— Jak to?!

— Niespodzianka! — krzyknęliomalże zgodnym chórem.

— Niedawno przeprowadziliśmy się do nowej hali sportowej — dumnie powiedział Andrzej. — Nowa hala jest o wiele bardziej wygodna, ma lustra. I jest ze dwa razy bliżej.

— Ale nowość! — zdziwiłam się.



Przez całą drogę przyjaciele opowiadali mi, jak wiele ciekawego opuściłam, kiedy, według nich, leczyłam swój żołądek w centrum leczniczo-rekreacyjnym. Andrzej razem z Kostją opowiadali mi nowości o treningach, o oryginalnych demonstracjach chwytów Mistrza i o niezwyklej jego filozofii, którą przekazywał podczas zajęć duchowych. A Tatiana i Sławek potwierdzali i dzielili się swoimi wrażeniami z najbardziej ciekawych momentów treningów. Słuchałam ich uważnie i żałowałam, że nie byłam świadkiem tych wszystkich ciekawych wydarzeń. Ale z innej strony, mam teraz całe życie przed sobą.

Kiedy dojechaliśmy do przystanku końcowego, zobaczyłam duży gmach, to był pałac kultury. Chociaż miejscowi nazywali go po prostu klubem. Było w nim kino, liczne pokoje dla różnych zajęć i kółek oraz duża hala sportowa z lustrami wzdłuż wszystkich ścian.

— Świetnie! Teraz będzie można przez cały czas stroić miny — żartując, powiedziałam, patrząc na swoje odbicia w lustrach.

Sensei wszedł do hali razem z chłopakami. Ciepło przywitał się z nami, w tym ze mną. Uciskając mu rękę, z zachwytem patrzyłam w jego oczy z jednym niemym pytaniem: «Jak?» Nie powiem, że nie wierzyłam, ale po prostu wiedziałam, że moje ocalenie — to sprawą rąk Mistrza, interwencji wyższych sił, jak mówił profesor, «boskiej opatrności». Ale w jaki sposób w takim krótkim czasie On potrafił to zrobić? Dlaczego choroba znikła tak szybko?

Cała moja istota była przepelniona wdzięcznością. Ale mogłam wyrazić to uczucie tylko przez swoje spojrzenie, ponieważ wokół było sporo ciekawskich. I kiedy chłopcy poszli do szatni, nabrawszy odwagi, poprosiłam Mistrza o rozmowę na osobności. Chętnie się zgodził.

Weszliśmy do westybulu. Zaczęłam pokazywać mu swoje zaświadczenia medyczne, opowiadając o tym, co się stało w Moskwie. Usiłowałam wyrazić mu całą swoją wdzięczność i wszystkie uczucia, które mnie przepelniały. Ale zdenerwowana mogłam wymówić tylko fragmenty zdań. Igor Michajłowicz, szybko obejrzał zdjęcia wzrokiem lekarza profesjonalisty, i zapoznawszy się z dokumentacją, dobrodusznie spytał:

— Czy jesteś zadowolona?

— Bardzo! Nawet więcej, niż zadowolona.

— I dobrze, bo to jest najważniejsze.

— Ale nie rozumiem, mam takie wrażenie, jakbym tej choroby w ogóle nigdy nie miała..., ale te wszystkie pierwsze zdjęcia, opinie lekarzy, zaświadczenia medyczne — z zakłopotaniem powiedziałam.

Sensei uśmiechnął się.

— Wiesz jest takie łacińskie przysłowie: «Tego, czego nie ma w dokumentach, nie ma na świecie».

— Ale ja mówię poważnie. Dobrze wiem, że pan to zrobił, ale jak? Dlaczego tak szybko?

— Ale numer — uśmiechnął się Sensei. — Myślałaś, że trzeba tylko otworzyć czaszkę, wyciąć kawałek mózgu albo najeść się pigułek,

żeby naprawdę uwierzyć w to, że wyleczono cię?! Przecież **każdy czyn jest wynikiem, przede wszystkim, naszej już ukształtowanej myśli** ... Słyszałaś kiedyś o stygmatach?

— Brzmi jakoś znajomo...

— Stygmaci to głęboko wierzący ludzie, w ciągu kilku chwil powstają na ich rękach, stopach krwawiące rany, podobne do tych, które miał Jezus Chrystus, kiedy go ukrzyżowano. I w kilka dni te rany znikają. U niektórych wierzących powstają nie tylko rany, ale gwoździe. I te gwoździe brano do laboratorium w celu analizy i rzeczywiście nie był to jakiś narost ze skóry i mięsa, a były to gwoździe, zrobione z materiału, charakterystycznego dla tych czasów, czyli zrobione około dwóch tysięcy lat temu... Wiara tworzy istne cuda. I nie ma nic niemożliwego dla człowieka wierzącego, w cokolwiek wierzy... A ty mnie pytasz, dlaczego tak szybko?

— Nie powiedziałabym, że jestem wierzącą osobą, tym bardziej głęboko wierzącą... Ale rzeczywiście w to uwierzyłam... (ledwie nie powiedziałam, w pana) w siły wyższe dopiero wtedy, kiedy usłyszałam słowa profesora w Moskwie, które potwierdzały, że jestem absolutnie zdrowa. Czyli, już wtedy, kiedy wszystko się odbyło.

— To wszystko jest o wiele prostrze. Jeżeli człowiek nie może sam uwierzyć w swoje ocalenie, trzeba, żeby uwierzył w niego ktoś, kto jest bardziej rozwinięty pod względem duchowym, niż on sam. I wtedy wynik przekroczy wszystkie oczekiwania.

— I co, można tak pokonać każdą chorobę?

— Absolutnie.

— I co dla tego trzeba zrobić?

— Tylko szczerze wierzyć i prawidłowo myśleć. Ale myśleć głęboko, z Miłością, z pozytywną Myślą. I nie tak, że po prostu «chcę wyzdrowieć», ale z pozycji już zdrowego człowieka. Wtedy człowiek stwarza, przez tę pozytywną myśl, swojego rodzaju, nazwiemy ją «matrycę stuprocentowego zdrowia». Ta matryca jest przechowywana w naszej podświadomości, dzięki sile naszej wiary... I właśnie dzięki tej «matryce», zgodnie z jej zdrowym schematem organizm odnawia swoje funkcje na poziomie fizycznym, ponieważ tylko on podporządkowuje się rozkazowi podświadomości. To jest proste.

— Ale jak przy pomocy wiary można wyleczyć innego człowieka?

— W taki sam sposób. Tylko ta «matryca», albo dokładniej można ją nazwać hologram, przekazuje się w myśli jako zdrowy obraz od jednego człowieka do innego...

— I każdy człowiek, który bardzo mocno uwierzy, może tego dokonać?

— Oczywiście... Mogę ci opowiedzieć o pewnym przypadku, który zdarzył się z naszym Wołodją. Ale opowiem ci to tylko dlatego, że sama przez to wszystko przeszłaś. Ale proszę, nikomu o tym nie opowiadaj. Jak chcesz, to zapytaj Wołodję, ale żeby nikt inny nie słyszał... Jego ojciec brał udział w likwidacji następstw katastrofy w Czarnobylu. Bolał go żołądek, myśleli,

że ma nieżyt. I kiedy już wrócił stamtąd, poczuł się znacznie gorzej. Lekarze postawili końcową diagnozę — rak żołądka. Uratować go mogła tylko pilna operacja. Wołodja przyszedł wtedy do mnie i zapytał, czy można coś zrobić. Opowiedziałem mu o tej technice. Rozluźnił się, wypędził wszystkie niepotrzebne myśli, podziękował Bogu, powiedziaławszy, że miał miejsce błąd, i że ojciec jest całkowicie zdrow i ma się dobrze. Wołodja poprosił aby mu wybaczyć wszystkie winy, winy swojego ojca, za wszystko, co zrobił. Okazał skruchę i podziękował Bogu...

— Proszę mi wybaczyć, ale czy człowiek rzeczywiście jest tak winny w obliczu Boga?

— Jak ci to powiedzieć, człowiek jest winny przede wszystkim, w obliczu samego siebie, w obliczu swojej duszy... Sens w tym, że czynnik winy grzechu zaczyna się od jego podświadomości w okresie dzieciństwa. Nauczają nas, że jesteśmy zawsze winni przed Bogiem, niezależnie od tego, do jakiej religii należymy! Jesteśmy winni tylko przed sobą. Bóg czyni tylko dobro. Ale sami siebie spychamy do brudu i grzechu. Więc kiedy przyznajemy się do tego, że jesteśmy nikim innym, a tylko zwierzętami, pogrążonymi w brud i prosimy Boga o wybaczenie, wtedy przyznajemy fakt Jego istnienia, uznajemy Jego siłę i, co najważniejsze, nastawiamy się na Miłość, na coś pozytywnego... Więc Wołodja wykonywał tę technikę w ciągu kilku dni, przed tym, jak szedł spać i kiedy budził się, kiedy miał wolny czas. Odmawiał tę modlitwę w stanie głębokiej wiary,

ogromnej miłości do swojego bliźniego. Przyznał mi się, że nigdy w życiu nie przebywał w takim wewnętrznym stanie. Chociaż od dawna zajmuje się medytacjami w swoim rozwoju duchowym... I co jest najdziwniejsze. Siedem dni po tym, jak porozmawialiśmy, podkreślam, zaledwie w siódmym dniu, po tym, jak ojca «otwarto» dla przeprowadzenia operacji, nic u niego nie znaleźli. Zaszli go i wypisali do domu. Diagnoza nie potwierdziła się, przyznali się do pomyłki lekarskiej. I od tej pory jego ojciec żyje i czuje się świetnie, pracuje tyle, ile młodzi... Ponieważ jest już w podeszłym wieku i przez całe życie w nikogo nie wierzył i liczył tylko na własne siły... O to realny, życiowy przykład tego, co potrafi zrobić głęboka wiara.

— Wiara — to nie jest jedynie puste słowo, to ogromna siła wewnętrzna, którą tworzy sam człowiek. A w połączeniu z boską siłą Miłości, o której mówiliśmy w «Kwiecie lotosu», tworzy taką moc, która rzeczywiście czyni istne «cuda». Chociaż te wszystkie słowa: «cud», «niemożliwe» — to tylko ludzkie słowa. W nauce Szambali tłumaczy się to wszystko przyrodniczymi prawami natury, które ludzkość jeszcze nie poznała. Siły Wiary i Miłości, tworzone przez Myśl — to siły, charakterystyczne dla człowieka od urodzenia. To właśnie one decydują o tym, że człowiek odróżnia się od zwykłego dwunogiego zwierzęcia.

Z tego powodu wszyscy Nauczyciele ludzkości w ciągu jej dziejów wzywali ludzi do Wiary i Miło-

ści, darując im tę wiedzę na poziomie postrzegania. Przypomnij sobie chociażby słowa Jezusa: «Jeżeli wasza wiara jest taka mała, jak ziarnko gorczycy i rozkażecie tej górze: «przejdź tam» i ona przejdzie; to nic dla was nie będzie niemożliwe». I to nie są puste słowa, to jest prawdziwa wiedza dla tych, kto umie słuchać: «Słyszający niech usłyszy».

— Ciekawe. Ale jeżeli ta siła tłumaczy się przyrodniczymi prawami natury, to znaczy, według mnie, muszą być jakieś formuły.

Sensei uśmiechnął się:

— Oczywiście, takie formuły istnieją... Ale ludzie jeszcze nie są gotowi do tego, żeby dać im tę wiedzę w postaci formuł, ponieważ u wielu ludzi w duszy przeważa zwierzęcy pierwiastek... Ale całkiem realnie można udowodnić istnienie wyższej siły, czyli odkryć prawa tworzenia wszechświata i rzeczywistość istnienia Boga... Nawet prosta, «ślepa» ludzka wiara, mająca ograniczone możliwości, jest zdolna do wielu rzeczy. Jednak tylko prawdziwa wiara otwiera przed człowiekiem nieograniczone możliwości. Jest ona w stanie nie tylko poruszać planetami, ale i tworzyć, niszczyć i kierować wieloma światami przy pomocy wyłącznie siły myśli.

— Tak... Przy pomocy takiej siły, żeby ocalić człowieka wystarczy chyba, tylko pomyśleć o tym! — powiedziała z zachwytem, odkrywszy dla siebie zupełnie nowy świat myśli.

— Masz absolutną rację.

I tu przypomniałam sobie o ocaleniach ludzi,

przez Jezusa, które w swoim czasie bardzo mnie zdziwiły. I raptem mnie olśniło:

— Więc wychodzi na to, że Jezus ocalał wielu ludzi tylko przy pomocy swojej pozytywnej myśli! Myślałam, że to wszystko tylko baśnie.

Sensei zaśmiał się:

— Tak, tak, tak... A więc dlatego Mówił: «Będzie wam według wiary waszej»... Przy pomocy swojej siły Jezus stwarzał tylko hologram zdrowia, a człowiek utrzymywał go tylko przy pomocy siły swojej «ślepej» wiary. I im większa była wiara człowieka, tym mocniej trzymał się ten hologram w jego podświadomości.

Trochę pomyślałam i potem spytałam:

— Ale dlaczego nie wolno o tym nikomu mówić?

— Widzisz, kiedy opowiadasz o tym innym ludziom, człowiek przez ich odpowiedzi wysiewa w swojej podświadomości ziarna wątpliwości, nawet nie zauważając tego. I ta negatywna moc, stale rosnąc, tworzy w człowieku logikę «myśli-pasożytów», która na podstawie jego niewielkiej wiedzy o otaczającym go świecie, usiłuje wykształtować jakiś zdrowy rozsądek, poszukując rozwiązań w swoim skąnym rozumie. W tej sytuacji tak zwany «zdrowy rozsądek» jest pierwszym wrogiem człowieka, jego wiary, duchowego rozwoju, ponieważ jest owocnym polem dla wątpliwości, negatywnych myśli i negatywnych emocji. W tym znaczeniu Bóg i «zdrowy rozsądek» są dwoma absolutnie różnymi pojęciami... Tak więc na polu bitwy



rozsądku wygrywają wątpliwości, negatywna siła emocji, która niszczy ślepą wiarę razem z matrycą zdrowia, którą ona nasycy. I choroba znów powraca. Dlatego jeżeli nie jesteś mocny w swojej duchowej wiedzy, trzeba po prostu wierzyć, dziękować z Miłością Bogu za to, że Podarował ci zdrowie i nikomu nie mówić o ocaleniu. Tylko wtedy będziesz miała szansę na zachowanie tego hologramu zdrowia, stworzonego siłą Miłości, do głębokiej starości...

W tej chwili do hali wszedł Wiktor i, zobaczywszy Mistrza, spytał, czy możemy zacząć trening.

— Tak, oczywiście — powiedział Sensei.

Szybko dołączyliśmy do zespołu. Przez cały czas zajęć myślałam tylko o naszej rozmowie. Zdziwiły mnie te proste prawdy. Wcześniej też czytałam słowa i przysłowia wielkich. Ale właśnie czytałam, lecz bez głębokiego uświadomienia. Sensei stworzył wewnątrz mnie jakąś nową wizję tego, co istniało już od tysięcy lat.

Pochłonięta tym tematem, przekopałam całą moją bibliotekę i wreszcie znalazłam to czasopismo, w którym opublikowano fragmenty z Biblii o ocaleniu przez Jezusa. Czytałam to wszystko już innymi oczyma, z zupełnie innymi myślami, z punktu widzenia tych niezwykłych wydarzeń, które dokonały się w tak krótkim czasie. W taki właśnie sposób otwierał się dla mnie ten nowy świat, urodzony potężną siłą Myśli.

**K**

iedy jechaliśmy z chłopcami na zajęcia, zauważyłam, że ich sposób mówienia się zmienił. Pojawiło się więcej dobrych słów, pozytywnych momentów, mądrych myśli. Postanowili nawet po wspólnym wysiłku uwolnić się od słów-pasożytów, których wcześniej używali. Wymyślili, że ten, kto się «wygada», kupuje dla wszystkich pierożek z mięsem albo pasztecik. Ja też parę razy «zawiniłam» i zaczęłam uważniej obserwować swoją mowę, a przede wszystkim, swoje myśli.

Do naszej polany przeddeptano niewielką, ale dość ubitą śnieżną ścieżkę. Na polanie już stali Staś, Wołodja, Sensei i Mikołaj Andrejewicz. Dołączywszy do tej «potężnej gromadki», usłyszeliśmy dalszy ciąg rozmowy, przerywanej przez nasze przybycie.

— ... ale wykorzystując w swojej praktyce hipnozę, doszliśmy do wniosku, że odłącza on świadomość i ma miejsce praca bezpośrednio z podświadomością — z zachwytem opowiadał

psychoterapeuta. — Zrobiliśmy wnioski, że w podświadomości brakuje konkretnej wiedzy. Wszystko się postrzega tak, jak jest: jeżeli wpajamy człowiekowi, że jest piosenkarzem, ale on nie śpiewał ani razu w życiu, będzie śpiewał; jeżeli dajemy mu cebulę i mówimy, że to jest słodkie jabłko, je go z przyjemnością, nawet nie marszcząc się i tak dalej. Nawet powtórzyliśmy serię eksperymentów naszych kolegów ze stolicy w zakresie hamowania reakcji naczyń krwionośnych w klatkach mózgu w stanie hipnozy na bodźce. Do rąk somnambulicy przykładali kolbę z gorącą wodą (+65°C), bili w dzwon. Ale żadnej reakcji naczyń ręki na ten bodziec nie było. Poziom pletysmografii nie zmieniał się. A badany, zahipnotyzowany na odporność na te bodźce, odpowiadał, że nic nie czuje, o czym świadczyła również jego mimika. Albo wpajaliśmy mu takie zjawiska somatyczne, których jest niemożliwe wywołać swobodnie. Na przykład skrawek papieru — to gorczycznik. Wtedy na powierzchni jego skóry, kiedy przykładaliśmy ten skrawek papieru, występowało odpowiednie zaczerwienienie... Czyli człowiek w stanie hipnozy wykonywał literalnie wszystkie nasze rozkazy, poczynając od obrazu psychologicznego i kończąc reakcjami ciała.

— Masz absolutną rację — odpowiedział Sensei — ponieważ hipnoza w pełnym zakresie jest przejawem zwierzęcego pierwiastku w człowieku, to «zwolnienie» od rozumu i odłączenie go od duszy. Hipnoza — to tylko funkcja podświa-

domości. W hipnozie człowiek staje się tym, kim jest w rzeczywistości, jeżeli całkowicie pogrąży się w zwierzęcy pierwiastek — zombi, czyli, mówiąc prościej, posłusznym kawałem mięsa albo, jak zauważył Omar Hajjam, «miech kości, żył i krwawego śluzu».

— A co to jest «zombi» — spytała Tatiana.

— «Zombi» — tak w afrykańskich plemionach nazywano ludzi, psychikę których programowano w odpowiedni sposób pod wpływem środków narkotycznych i specjalnych procedur psychicznych; dokładnie wykonywali każdy rozkaz wodza i mogli zabić nie tylko siebie, ale swoją matkę i swoje dzieci... Krótko mówiąc, «zombi» — to ciało człowieka, z którego «wyjęto» i «odłączono» duszę i które pozbawiono umysłu, — odpowiedział Sensei i, już zwracając się do Mikołaja Andrejewicza, powiedział: — Hipnoza — to «włamanie» do osobowości, to agresja, to niewolnictwo. I oczywiście, że nie znajdziecie tam żadnej wiedzy, oprócz tępego, zwierzęcego podporządkowania się.

— Nie zgadzam się z panem w sprawie tępego, zwierzęcego podporządkowania się — sprzeciwił się Mikołaj Andrejewicz. — Przecież, o ile wiem, «ja» osoby w stanie hipnozy zachowują kontrolę nad rzeczywistością i w każdej chwili może być odnowiona. Hipnotyzer może wywierać wpływ tylko na to, na co nieświadomie zgadza się pacjenta. Jak odznaczają w medycznych badaniach, mechanizm oporu i obrony nie jest całkowicie odłączony.

— Gdyby to było rzeczywiście tak, jak pan mówi, hipnozy nie wykorzystywanoby jako środka wywiadu w wielu czołowych państwach. A pan dobrze wie, że wszystkie najnowsze odkrycia, technologie i najlepsze sposoby zdobycia informacji oraz metody kontroli nad psychiką człowieka wykorzystuje się, przede wszystkim, w wojennych celach państwa i tylko nieznaczna ich część — w celach pokojowych.

— No dobra. Ale przecież hipnozę można wykorzystywać również w celach medycznych, badać jakąś chorobę. Przecież nie będzie pan temu zaprzeczał?

— Będę. Czym jest choroba? Jest, przede wszystkim, sygnałem organizmu o ewentualnych poważnych zakłóceniach w pracy organów i tkanki. Sugestia post-hipnotyczna, pozostawiona przez hipnotyzera, którą umysł wykonuje niby jako własną ideę, niszczy sygnał bólu, ale nie usuwa przyczyny samej choroby. Rzeczywiście, przez pewny czas człowiek nie będzie odczuwał bólu, oszukując samego siebie rodząc iluzoryczne nadzieje. Ale faktycznie sam sobie robi jeszcze gorzej, ponieważ choroba będzie nadal postępować i ujawni się w jeszcze gorszym, trudniejszym stanie. «Wyleczyć się» przy pomocy hipnozy — to nie znaczy być zdrowym. Ponieważ w wyniku takiego «leczenia» jedna choroba w lekkiej formie może spowodować inną chorobę, nawet bardziej poważną.

— A co z tymi przyzwyczajeniami, które nabywają pacjenci, kiedy występuje efekt lec-

niczy. Przecież udowodniano niejednokrotnie, że złe nawyki znikają, a powstają dobre, umocowują się i umysł zaczyna funkcjonować w zupełnie inny sposób. Dlaczego? Jak pan to wytłumaczy?

— Wszystko jest bardzo proste. Pod wpływem hipnozy umysł, z reguły, przebywa w stanie «ufaającego słuchacza». Czyli, niby patrzy ze strony, absolutnie bez jakiejkolwiek analizy. Jeżeli mu rozkazano w stanie hipnozy zapomnieć albo nie słuchać, albo zmienić nawyki, wszystko dokładnie wykona. I następnie będzie traktował ten rozkaz jako własną ideę... Nasz umysł nie jest doskonały, jest bardzo niedoskonały. Dusza jest doskonałą i jej możliwości są nieograniczone. Ale dusza odłącza się, kiedy wprowadza się człowieka w stan hipnotyczny, ponieważ ma miejsce widoczne obudzenie się pierwiastka zwierzęcego w człowieku. Dusza, oczywiście, przegrywa i już nie może wpływać na rozum. Dlatego hipnoza jest tak straszna dla ludzi.

— A gdy człowiekowi sugerują coś dobrego?

— To nie ma znaczenia.

— Ale wszyscy ludzie są podatni na hipnozę, po prostu w różnym stopniu i w różnych formach.

— Oczywiście, są podatni na nią w różnym stopniu, ponieważ pierwiastek zwierzęcy i duchowy mają w nich różny stopień rozwoju.

— Ale hipnoza ma cechy, podobne do innych zmian stanu świadomości, takich jak sen albo medytacja. Stan hipnotyczny osiąga się przecież drogą zmniejszenia potoku sygnałów skierowa-

nych do mózgu, podmiot może się skupiać na jednym bodźcu sensorycznym...

— Tak, wymienił pan cechy, właściwe dla każdej metody zmiany stanu świadomości. Główne odróżnienie polega na tym, że stan hipnozy przebiega w inny sposób, i jego bieg odtwarza się na poziomie fizycznym. Nazwałbym hipnozę stanem «dublowania rozkazu». Zwróćcie uwagę na to, jak przejawia się na poziomie fizycznym. Gdy porównamy ją ze snem albo medytacją, to zawartość tlenu i dwutlenku węgla nie zmienia się, jest taka sama jak w tych stanach. W odróżnieniu od innych stanów zmianie świadomości w hipnozie nie towarzyszy fizyczne odchylenie od stanu czuwania: fale elektro-encefalogramu („fale mózgowe») najczęściej pozostają takie same, jak u czuwającego człowieka i tak dalej. Czyli tylko te fakty, które nauka może obecnie odtworzyć.

Medytacja — to zupełnie inny stan zmienionej świadomości człowieka. Nawet termin «meditation» w tłumaczeniu z łaciny oznacza «namysł». Medytacja jest stanem, w którym człowiek osiąga najwyższy stopień skupienia się na pewnym przedmiocie albo, odwrotnie — całkowite rozluźnienie uwagi. W tym stanie odbywa się zatrzymanie procesów postrzegania i myślenia, odbywa się swojego rodzaju uczuciowa izolacja człowieka od zewnętrznego świata i pełne skupienie na wewnętrznym duchowym świecie, duchowej istocie. Oczywiście na poziomie fizjologicznym taka immobilizacja psychiczna, obej-

mująca odłączenie podstawowych wewnętrznych mechanizmów mózgu, sprzyja odnowieniu nerwowo-psychicznych funkcji człowieka, pozostawia po sobie tylko uczucie świeżości, wewnętrznego odnowienia i radości życia... Hipnoza zaś pozostawia po sobie stan przygnębiaenia osobowości na poziomie podświadomości, tworząc przy tym w świadomości człowieka psychologię niewolnika.

I jeszcze jedna ciekawa uwaga, dotycząca medytacji. Narządy zmysłów, normalnie funkcjonujące podczas czuwania, stwarzają w centralnym układzie nerwowym wysoki poziom własnych wewnętrznych «szumów», które utrudniają procesy asocjacji i integracji. Podczas medytacji poziom własnych wewnętrznych «szumów» staje się maksymalnie niski, co stwarza możliwość najlepszego i całkowitego wykorzystania procesów asocjacji i integracji dla rozwiązywania pewnych zadań, które formułuje dla siebie medytujący człowiek... Jak widać, hipnoza i medytacja są absolutnie różnymi stanami świadomości. Medytacja — to jeden ze sposobów obudzenia pierwiastka duchowego. A hipnoza, podkreślam, to jest tylko funkcja pierwiastka zwierzęcego.

— Ale chociażby w celach psychoterapeutycznych można sugerować człowiekowi pewność siebie, swoich sił i możliwości — nie mógł się uspokoić Mikołaj Andrejewicz.

— Hipnoza nie jest odpowiednim instrumentem dla sugerowania pewności własnych sił, ponieważ jednocześnie zwiększa podatność na



sugestię, podporządkowanie się woli innej osoby. A to, z kolei, jest sprzeczne z istotą samego człowieka, jego prawdziwym przeznaczeniem w tym życiu. Przecież wewnątrz, na poziomie podświadomości on dąży do prawdziwej Swobody, Swobody swojej Duszy. Z tej przyczyny tkwi w nim stałe dążenie do niezależności, do nabierania pewności siebie i wewnętrznej swobody.

I jeżeli naprawdę chcecie pomóc człowiekowi uwierzyć we własne siły i możliwości, przekonajcie go przy pomocy waszych słów, myśli i argumentów. Ponieważ **siła słowa odradza siłę myśli, a siła myśli wywołuje czyn...** Ale w żadnym przypadku nie przy pomocy hipnozy, nie przy pomocy bezpośredniego rozkazu dla podświadomości. Ponieważ nie wiecie co czynicie, i nie macie pojęcia o rzeczywistej przyrodzie hipnozy i negatywnych siłach, które wywołują w organizmie człowieka...

Mikołaj Andrejewicz stał w zamyśleniu. W tej chwili na polanie zjawili się pozostali chłopcy. Przywitawszy się z nimi, Sensei powiedział:

— Tak więc, skoro wszyscy już są, możemy zaczynać... Dzisiaj będziemy wykonywać tę samą medytację, co podczas poprzedniego zajęcia, dotyczy ona oczyszczania myśli od negatywu. Dla tych, kto był nieobecny, powtórzę. Więc, proszę stać prosto, nogi na szerokości ramion. Koniuszki palców rąk są połączone na poziomie brzucha. Koniuszek do koniuszka, duży palec do dużego palca, wskazujący do wskazującego i tak dalej. W ten sposób.

Sensei podpowiedział mi to połączenie.

— Trzeba się rozluźnić, usunąć wszystkie myśli i skupić się tylko na prawidłowym oddechu. Następnie, kiedy osiągnie się stan całkowitego rozluźnienia wszystkich kończyn i odczucie wewnętrznego spokoju, człowiek zaczyna wyobrażać siebie za dzban. Czyli, niby górną część jego głowy ścięto, jak u dzbana... Miejscem źródła wody jest dusza. Ta woda wypełnia całe ciało i, przepelniwszy go, wylewa się przez krawędź dzbana, spływając po ciele, i wpływa do ziemi. Podczas kiedy woda wypełnia ciało i wpada do ziemi, razem z tą wodą odchodzą wszystkie złe myśli, wszystkie problemy, czyli cały ten brud i niepokój, które są w umyśle człowieka. Człowiek niby wewnętrznie oczyszcza się od tego wszystkiego. I kiedy w taki sposób oczyszcza się, człowiek zaczyna odczuwać rozdzielenie duszy i myśli. Przy tym, jego dusza — to dusza wewnątrz niego i dusza ponad dzbanem, która obserwuje cały proces. W końcu, w wyniku codziennych zajęć i pracy nad tą medytacją, człowiek oczyszcza swoje myśli od negatywnego i następnie uczy się je kontrolować, stale podtrzymując swój umysł w «czystym» stanie... Czy są pytania?

— A dlaczego ręce trzeba ułożyć właśnie w ten sposób? — spytałam.

— Ponieważ podczas tej medytacji ma miejsce cyrkulacja odpowiednich energii wewnątrz organizmu, opowiem o nich trochę później. A koniuszki palców zamykają ten krąg. Ponadto,

ma miejsce wzbudzenie receptorów skóry, położonych na koniuszkach palców, i to wzbudzenie ma odżywcze, uspokajające działanie na mózg... Czy są jeszcze pytania?

Wszyscy milczeli.

— Więc zaczynamy.

Pod dowództwem Mistrza zaczęliśmy wykonywanie tej medytacji. Spróbowałam wyobrazić sobie, że jestem dzbanem. Ale moja wyobraźnia rysowała ten obraz jakby o połowę, ponieważ rozum nie mógł zgodzić się z takim określeniem. Wtedy nic samej sobie nie udowadniałam, po prostu pomyślałam, że jestem «dzbanem» i skupiłam się na «wewnętrznym źródle wody». I odczułam coś niezwykłego, niby moja świadomość odeszła wewnątrz mnie, do duszy i skupiła się w postaci punktu w okolicy splotu słonecznego. I ten punkt zaczął stopniowo rosnać razem z wirem kryształowej, czystej wody wokół niego. W końcu wody zrobiło się tak dużo, że zaczęła tryskać, napełniając całe ciało przyjemną wilgocią. To uczucie wypełniło «dzban», to uczucie przelało się przez «kraj». Fala przyjemnych dreszczyków zaczęła płynąć po moim ciele, wpływając do ziemi. Wyobraziłam sobie, że moje ciało oczyszcza się od wszystkich złych myśli. I w pewnej chwili poczułam się tak dobrze, przytulnie i przyjemnie, że nie wytrzymałam i odeszłam od medytacji i podziękowałam Bogu za wszystko, co Dał mi w moim życiu i za tą ogromną miłość do swoich dzieci. W następnej chwili zauważyłam, że moja świadomość, czyli moje prawdziwe «ja»

znalazło się niby poza ciałem. A samo ciało wcale nie było podobne do ciała. Z jego głowy w formie «dzbana» wychodziły tysiące cienkich różnokolorowych nici, które w swoim stałym ruchu wchodziły do ziemi. A w głębi samego dzbana świeciło się coś jaskrawego, przemieniając te nici na bardziej nasycone kolory. Oczywiście, było to czarujące piękno. Ale w tej chwili usłyszałam melodyjny głos Mistrza, który donosił się z daleka:

— A teraz proszę wykonać dwa gwałtowne wdechy-wydechy. Mocno ściśnijcie i rozluźnijcie pięści. Otwórzcie oczy.

Szybko doszłam do siebie. Ale ten stan wewnętrznej euforii pozostał gdzieś w głębi mojego «ja». Jak się potem okazało, każdy z chłopaków przeżywał ten stan w inny sposób. Starsi chłopcy mieli głębsze doznania, ale wśród moich przyjaciół doznania były na poziomie «czystego wyobrażenia». Ale Sensei powiedział im, że na początku tak bywa ze wszystkimi ludźmi. Ale drogą codziennych domowych treningów, oraz pragnienia doskonalenia swoich cech moralnych, można po jakimś czasie osiągnąć pewne doznania, a następnie nauczyć się kontrolować swoje myśli. Najważniejsze — to wierzyć w samego siebie, w swoje siły i się nie lenić.

Kiedy opuszczaliśmy polanę, wybrałam odpowiedni moment i spytałam Mistrza:

— Proszę powiedzieć, chłopcy mi mówili, że kiedy mnie nie było, dawał im pan nowe medytacje. Pewno, sporo przepuściłam. Co mam teraz robić?

Sensei obdarzył mnie swoim ciepłym spojrzeniem i odpowiedział:

— Uwierz mi, **kto dokonuje dobrych czynów z pozytywnymi myślami, nie musi martwić się o to, co przepuścił, ponieważ nabywa o wiele większą moc dla poznania duszy, niż przebywając w beczynności.**

Wtedy, oczywiście, prawie nic nie zrozumiałam, jakie dobre czyny Sensei miał na myśli, ponieważ wszystko, co robiłam, uważałam za swoje zwykłe codzienne obowiązki. Ale, tym nie mniej, te słowa na tyle zapadły mi w duszę, że tego wieczoru w moim pamiętniku zjawił się następny zapis.

Dni upływały w mgnieniu oka. Ta nowa medytacja na tyle mi się spodobała, że z przyjemnością wykonywałam ją przed snem, również jak i pozostałe według kolejności. Kiedyś spytałam Mistrza, czy nie zaszkodzi mi wykonywanie tych medytacji jedna po drugiej. Odpowiedział, że wręcz przeciwnie, jest to nawet korzystne, ponieważ człowiek pracuje nad sobą właśnie pod względem duchowym, a «Kwiat lotosu» budzi również i duszę. «Lepiej wykonywać je wieczorem przed snem, i rano, kiedy się obudzisz. To są najprostsze medytacje dla pracy nad koncentracją uwagi, rozwojem wewnętrznego wzroku i kontroli nad myślami. Są absolutnie nieszkodliwe, każdy człowiek, który nigdy nie spotykał się z praktykami duchowymi, może je opanować. I jednocześnie te medytacje, mimo swojej prostoty i dostępności, są najbardziej skuteczne».



**P**odczas treningów usiłowałam dogonić chłopaków, dołączyłam ze świeżymi siłami do ćwiczenia nowego i starego materiału. W te dni najciekawsze dla mnie odbywało się podczas zajęć duchowych. Podczas jednego z nich Mikołaj Andrejewicz toczył spór z Mistrzem o reinkarnacji. Chociaż zdawało mi się, że to wcale nie był spór, raczej on prowokował Mistrza na rozmowę o niej. Zauważyłam, że mimo to, że Mikołaj Andrejewicz był psychoterapeutą, przekonanym ateistą i «Zdrowym rozsądkiem naszej grupy» (tak go żartobliwie nazywaliśmy), ale nie przepuszczał żadnego zajęcia, oraz traktował Mistrza z szacunkiem.

— Ale reinkarnacja — to tylko produkt wyobraźni ludzi. Przecież większość ludzi cierpi na, powiedziałbym, patologiczną tanatofobię. Dlatego wymyślają różne bajki o przeistaczaniu się, w życiu po śmierci.

— Wcale nie — zaprzeczył Sensei. — Co do strachu przed śmiercią, stwarza go w człowieku

wyłącznie zwierzęcy pierwiastek — instynkt samozachowawczości i siły wyobraźni, wyrastającej na egoistycznym negatywiźmie. Strach — to tylko emocja, która włącza się tam, gdzie jest brak informacji albo jest jej za mało... Co do reinkarnacji, to takie zjawisko w przyrodzie rzeczywiście istnieje. I nawet nie wyobrażasz sobie, jak od dawna istnieje.

Sensei ostatnio rozmawiał z Mikołajem Andrejewiczem jak przyjaciel, per «ty».

— Ale gdyby tak rzeczywiście było, to pamiętalibyśmy jakieś fragmenty albo jeszcze coś.

— Czy pamiętasz, na przykład, co było tego dnia rok temu.

Mikołaj Andrejewicz zastanowił się i powiedział niezdecydowanie:

— Byłem chyba, w pracy, jeżeli to nie była niedziela.

— To znaczy nie możesz dokładnie przypomnieć sobie tego dnia.

— Nie.

— Proszę. I co możesz powiedzieć o innym czasie, o tym, czy miałeś poprzednie życie... Już analizowaliśmy twoją hipnozę, czyli umysł, mówiliśmy o tym, czym jest pierwiastek zwierzęcy i dusza. Jesteś w swojej duszy, właśnie ty, prawdziwy. Umysł — to to, co postrzega. W nim też jest cząsteczka twojego «ja». Wychodzi na to, że jesteś niby rozdzielony: w duszy odczuwasz, niby jesteś czymś jednym, a myślisz w zupełnie inny sposób. Dobrze się zastanów nad sobą, kim na prawdę jesteś, w jaki sposób myślisz, w

jaki sposób rozmawiasz, w jaki sposób patrzysz. Nie w sensie działalności mózgowej, pobudzenia pola werbalnego, niewerbalnego i akustycznego. To wszystko to głupota. Ale właśnie ty! Zajrzyj wewnątrz swojej świadomości. Jest bezgraniczna. Pomyśl o tym, że Kosmos też jest bezgraniczny. I spróbuj wyjaśnić ten fakt, że w każdym atomie twojego ciała odtwarza się Wszechświat...

— A czy w atomie rzeczywiście odtwarza się Wszechświat? — zdziwił się Mikołaj Andrejewicz.

— Oczywiście. Jeżeli wątpisz, przeczytaj odpowiednie książki o strukturze atomu, porównaj go ze strukturą Wszechświata. Nawet tej wiedzy, którą posiadamy w dniu dzisiejszym wystarczy dla uświadomienia sobie tego faktu. Albo, na przykład, próżnia. Jest pusta, nic w niej, na pierwszy rzut oka, nie ma. Ale rodzi się w niej życie. Z czego? Z pustki? Zastanów się nad globalnymi kwestiami, poważnie się zastanów... Ale przede wszystkim wyjaśnij kim jesteś? I wtedy zrozumiesz, że ciało — to tylko bryczka, która wozi cię od urodzenia do śmierci, od jednej reinkarnacji do drugiej. I od tego, w jaki sposób będziesz wykorzystywać tę bryczkę, będzie zależeć to, do czego przyjdiesz. Albo sama będzie toczyć się, albo będziesz ją kierować.

Człowiek, czyli jego dusza jest tylko woźnicą tej bryczki. I jeżeli dusza będzie spać, ta bryczka potoczy się tam, gdzie podążają inne bryczki. Woźnica będzie toczyć się w kółko. Ale jeżeli dusza się obudzi, pojedzie w potrzebnym



kierunku, kierunku duchowego rozwoju, w tym kierunku, w którym zechce, według własnego wyboru. Ale najważniejsze jest to, że człowiek zrozumie, że On jest woźnicą tej bryczki. I tu, kiedy zda sobie z tego sprawę, może po prostu przestać toczyć się w kółko i pogrążyć się do nirwany, czyli upodobnić się do Pana Boga.

Wszyscy chłopcy uważnie słuchali Mistrza. A ja, nabrawszy odwagi, zadałam Mistrzowi pytanie, które mnie interesowało.

— Proszę powiedzieć, a w czym jest sens istnienia duszy, czyli sens mojego istnienia?

— Sens jest prosty — przyjść, w końcu do Boga, jako dojrzała istota... Człowiek — to synteza duchowego i zwierzęcego pierwiastka. I ta synteza jest niezbędna, żeby dusza nabyła pewną formę, powinna przejść przez materię, czyli dojrzeć. Człowiek, niby motylek, przeżywa fazę rozwoju swojej duszy. Mówiąc inaczej, najpierw kiedy człowiek, «wykluwa» się z jajka, to przechodzi przez materialną fazę «larwy» albo jest to «człowiek — zwierzę», podczas której «pełza» po ziemi i przeważa w nim pierwiastek materialny, niby w gąsienicy. I nie widzi w sobie duszy i uważa się za nieodłączną część swojej materii, czyli swojego ciała.

Następnie nadchodzi czas uświadomienia, albo w ciągu reinkarnacji z jednej do drugiej, albo w ciągu jednego życia (są różne przypadki), jego dusza dojrzeva w dobrej myśli duchowej Miłości. I stopniowo człowiek przemienia się w «kokon», przechodzi do fazy «człowiek— czło-

wiek», podczas której uświadamia sobie swoje prawdziwe «ja» — duszy i «kokonu» — ciała. Przy tym ciało jest materią dla dojrzewania jego duszy. Na pozór może to nie być widoczne, ale wewnątrz niego odbywają się znaczące, globalne zmiany.

I w końcu, kiedy dusza dojrzewa, «kokon» przedziera się i wylata stąd olśniewające i piękne stworzenie — «motyl» — dusza, wolna w swoim locie. Dołączając do tak samo wspaniałych stworzeń, bierze udział w narodzinach nowych dusz, stworzeniu nowych «larw», które przejdą tą samą drogą. To właśnie jest faza «człowiek — Bóg».

Dlatego sens polega na rozwoju od zwierzęcia do boskości, żeby człowiek mógł stać się częsteczką Boga. To jest dane nam pierwotnie, założono wewnątrz nas. Dlatego poszukujemy Boga, dlatego wiemy o Bogu...

Mikołaj Andrejewicz uśmiechnął się i spytał:

— Ale jeśli jestem ateistą i nie wierzę w Boga?

— Generalnie nikt nie zaprzecza istnieniu Boga, kimkolwiek by był. Ponieważ każdy człowiek w swojej duszy to odczuwa. Każdy człowiek boi się ciemności, nawet jeżeli jest śmiały, każdy myśli o wieczności, o śmierci, o sensie swojego życia i swojego istnienia. Po prostu wielu ludzi, nie posiadając dość informacji, włącza funkcje ochronne swojej psychiki i usiłuje zagłuszyć te myśli.

— Już taki jestem, że potrzebuję realnych dowodów. Gdybym rzeczywiście miał taki przypadek, chociażby pamięć o przeszłej reinkarna-

cji, uwierzyłbym tylko po osobistym zapoznaniu się.

Sensei pomyślał chwilę i odpowiedział:

— Dobra, dam ci taką możliwość. Po zajęciu zapoznam cię z pewną ciekawą techniką zmiany stanu świadomości, która pozwala obudzić duszę człowieka i wyzwalać ją na rozmowę. Ale uprzedzam, nikt inny nie powinien wiedzieć o tej technice. Ponieważ społeczeństwo na razie przybywa w fazie «człowiek— zwierzę». Otrzyma tę wiedzę w swoim czasie, kiedy większość ludzi przejdzie do fazy «człowiek-człowiek»... Będiesz mógł zrobić z każdym ze swoich pacjentów to, o czym ci opowiem. Ale uprzedzam jeszcze raz, w reinkarnacji nie ma takiego pojęcia jak czas. Czyli, na przykład, pewny człowiek żył dwieście lat temu, a przeistoczył się dopiero teraz, inny umarł rok temu, ale urodził się po chwili, a trzeci, możliwe, żył w dalekiej przeszłości, ale urodził się w naszych czasach i tak dalej. Czyli tam są inne prawa, więc nie dziw się zbytnio... Zgoda?

— Oczywiście! — z zachwytem odpowiedział Mikołaj Andrejewicz.

Staś, który cały czas milczał, z zadumą spytał:

— Co do reinkarnacji, czy ludzie w Szambale też jej ulegają, czy istnieją wiecznie?

— Jeżeli pytasz o życiu Bodhisattw wewnątrz Szambali, powiem ci, że istnieją według zupełnie innych praw. Nie mają takiej cielesnej, grubej materii, jak ludzie. W Szambale istnieje zupełnie inna strona rzeczywistości... Czyli, że tak powiem, ich ciało — to cienka materia, która

istnieje według własnych praw w czasie i przestrzeni. I jeżeli w ludzkim świecie rozum służy ciału człowieka, to w domu., czyli w Szambale — szybko poprawił sam siebie Sensei — ciało służy rozumowi... Dlaczego nie mogą znaleźć Szambali? Ponieważ istnieje ona na zupełnie innym częstotliwościowym poziomie postrzegania.

— Więc człowiek w swoim ciele nie może tam trafić? — ze zdziwieniem spytał Andrzej.

— Może, jeżeli jest w stanie transformować swoje ciało na tę częstotliwość postrzegania rzeczywistości.

— To jakaś fantastyka — furknął pod nosem Kostja.

— Dla dzisiejszego postrzegania jej ludźmi, być może. Ale to jest fakt... Skoro ludzie wierzą, że jest fantastyką, niech sobie wierzą... Ale człowiek nie może wymyślić tego sam, ponieważ ta wiedza istniała, istnieje i będzie istnieć mimo jego woli. Jego możliwości poznania ogranicza tylko jego egocentryzm. Generalnie, **fantastyka w istocie jest tylko niezrealizowaną rzeczywistością.**

— Ale w takim razie w jaki sposób te wyższe istoty przychodzą na świat? Mówił pan, że oni sami wchodzą w kontakt z ludźmi.

— Zazwyczaj, drogą reinkarnacji. **Ich dusza wchodzi do ciała noworodka w ósmym dniu, czyli w taki sam sposób, w który rodzą się wszyscy ludzie.**

— Ciekawe — powiedział Mikołaj Andrejewicz — a skąd pan wie, że dusza wchodzi do ciała

w ósmym dniu życia? W religii chrześcijańskiej, na przykład, uważa się, że wchodzi ona do ciała jeszcze w łonie matki.

— Mylą się. Widocznie, ktoś coś nie do końca zrozumiał, ktoś inny przetłumaczył to na swój język, ktoś trzeci domniemywał przy pomocy własnej logiki; w ten sposób prawdziwa wiedza została stracona. Wszystko jak zwykle... **A w rzeczywistości dusza wchodzi do ciała człowieka w ósmym dniu. To można dowieść w rzeczywistości. Dusza, chociaż jest substancją energetyczną, tym nie mniej, wchodząc do ciała, nabywa właściwości cienkiej materii. Więc w ósmym dniu masa noworodka zwiększa się od 3 do 20 gramów. Czasami, w szczególnych przypadkach, o 50 gramów. To można udowodnić, jeżeli dokładnie kontroluje się masę noworodka, poczynając od ósmego dnia, uwzględniając wszystko, co wchodzi i co wychodzi z niego. Tak więc w ósmym dniu odbywa się błyskawiczny skok masy noworodka. Ponadto, właśnie ósmego dnia spojrzenie noworodka staje się «żywym», promieniejącym. Nie sposób tego nie zauważyć.**

— Ale jak potem Bodhisattwy odróżniają się od zwykłych ludzi? — spytał Kostja.

— Niczym się nie wyróżniają. Świadomie przeistaczają się w «materie» człowieka, żeby na sobie doznać tych samych cierpień, trudności i pokus świata. I podczas swojego ludzkiego istnienia wykonują tę funkcję, którą muszą.

Czasami «zjawiają się» na ziemi, żeby wykonać decyzję, podjętą w Szambale. Ale najczęściej są tylko obserwatorami. Bodhisattwy żyją, jak zwykli ludzie, spokojnie i skromnie, wykonując swoją pracę, chociaż człowiek zdaje sobie sprawę z tego, że jest Bodhisattwą. Ale nigdy nie będzie krzyczeć o tym i chwalić się. Z reguły, nikt z otaczających go ludzi nie ma o tym żadnego pojęcia. Ktokolwiek może nim być: wasza bliska osoba, znajomy, krewny, przyjaciel i tak dalej.

— Ale dlaczego przychodzą do nas jako obserwatorzy? — spytał Wiktor.

«Rzeczywiście, dlaczego? — pomyślałam. — Na pewno tym wyższym stworzeniom nasz obecny świat zda się zbyt brudnym i egoistycznym?»

— Jest taka reguła, albo, dokładniej mówiąc, obowiązek. Każdy z Bodhisattw Szambali musi conajmniej raz na tysiąc lat przejść na ten świat drogą reinkarnacji. Po co? Żeby przeżyć ludzkie życie i dowiedzieć się tego, o czym myśli ludzkość, na jakim poziomie trzeba jej dawać wiedzę. Czyli po to, żeby zdawali sobie sprawę ze swojej ludzkiej istoty. Przecież w Szambale nie ma pierwiastka zwierzęcego. Istnieje tam zupełnie inna rzeczywistość. Ale żeby Bodhisattwa mógł zrozumieć to, co odbywa się tutaj, «wyrzucają» go do tego świata, żeby nie zapominał, jak się mówi, był na baczności. Nawet Rigden Jappo nie może uniknąć tej reguły, tego losu. Ale zazwyczaj przychodzi na ten świat niedługo przed pewnymi globalnymi zmianami w ludzkiej cywilizacji, mniej-więcej raz na dziesięć-dwanaście tysięcy lat. Ale nie jako

Mesjasz, lecz jako Sędzia. Sprawdza pracę swoich poprzednich podopiecznych, oceniając poziom ludzkiego postrzegania, stopień duchowości ludzi albo stopień ich pogrążenia w materię. W zależności od tego, w Szambale zapada decyzja o tym, czy ta ludzkość ma nadal istnieć.

— Ale jak to?

— I jeżeli ludzkość oceniono jako doskonałą się pod względem duchowym, zachowywano go. Ale jeżeli w nim przeważa pierwiastek zwierzęcy, czyli materialna istota, powtarza się taka sama historia «globalnych kataklizmów», która odbyła się z innymi, poprzednimi cywilizacjami. A dla «hodowania» materii dla następnych cywilizacji pozostawiano nie więcej niż 1/10 część ogólnej ilości ludzi... **Ludzkość sama wybiera dla siebie drogę, a czyny Szambali są tylko konsekwencjami jej wyboru.**

— O ile zrozumiałem — dołączył do rozmowy Wiktor — ich najważniejsze przeznaczenie — to duchowy rozwój ludzkości.

— Prawie masz rację — odpowiedział Sensei. — Ich najważniejsze przeznaczenie dano im z góry, przez Hierarchię Kosmiczną albo Boga, nazywajcie to jak chcecie — to wychowanie ludzkiej duszy w ciągu wszystkich etapów jej przestoczenia. Pomagają aktywnie w jej rozwoju wtedy, kiedy w człowieku budzi się duchowy pierwiastek.

— Napewno ten egoistyczny świat wydaje się okropnym z punktu widzenia ich duchowości — wyraziłam głośno swoje myśli.

Sensei uśmiechnął się:

— Tak, nie jest zbyt przyjemny. To przeistoczenie jest takie, niby motylek powrócił do stanu gąsienicy — nieprzyjemne dla motylka i nie komfortowe dla gąsienicy. Ale takie są reguły. Każdy Bodhisattwa powinien odbyć tu swój termin, przeżyć całe życie. Chociaż każdy Bodhisattwa może pogrążyć się w stan nirwany w dowolnej chwili i jest to dla nich wielka pokusa.

— Kiedyś mówił pan, że Bodhisattwa — to człowiek, który opuścił nirwanę dla ludzkości.

— Oczywiście. I to jest podwójną pokusą, ponieważ już odczuwał stan szczytu nieziemskiego szczęścia... Po prostu nie możecie nawet sobie wyobrazić, jaki to jest... bohaterski czyn — opuścić nirwanę i przyjść tutaj. Mówiąc inaczej, Bodhisattw można wyobrazić sobie jako najlepszych wolontariuszy, którym powierzają najbardziej odpowiedzialną pracę. **Bodhisattwy pozostają tu dla ludzi, dla wychowania ludzkich dusz, żeby te dusze mogły doskonalić się i oswobodzić się, stać naprawdę wolnymi, ponieważ ku temu podąża cała nasza wewnętrzna istota, nasza dusza, nieprzerwanie, każdą sekundą.**

Sensei spojrział na zegarek i powiedział:

— Dobra chłopcy, czas na medytację, inaczej będziemy tu siedzieć do rana.

Też popatrzyłam na zegarek. Czas leciał podczas tej rozmowy jakby to była jedna sekunda. Miałam dziwne uczucie, że niby czas w ogóle



zniknął. Niby to była chwila wieczności, która o drobnię podniosła kurtynę swoich tajemnic.

Wykonaliśmy tę samą medytację, co i podczas poprzednich zajęć, dotyczącą «czystości naszych zamiarów». «Wodę» przelewającą się przez krawędzi «dzbanka», odczuwałam już lepiej, przelewała się w formie ruchów fal. Po zajęciach Mistrz przypomniał, że musimy stale kontrolować swoje myśli i «wyłapywać» negatywne «pasożyty świadomości». Również podkreślił, że nie wolno przejawiać agresji, nawet jeżeli jest ku temu przyczyna. I co najważniejsze, musimy stale hodować wewnątrz siebie boską Miłość, wykonując «Kwiat lotosu». Mikołaj Andrejewicz pozostał na polanie, a my, żegnając się, poszliśmy do domu.



**M**

nie o tyle zdziwiła wiedza, którą Sensei tak prosto i dostępnie nam przekazywał i którą zapisywałam w moim pamiętniku, wydzielając najbardziej istotne momenty: **«Okazało się, że sensem ludzkiego istnienia jest doskonalenie duszy!!!»** Odczuwałam to, ale nie byłam pewna. Teraz po raz kolejny myślałam o tym, że to zasadniczo zmienia wszystko i ceniłam każdą chwilę mojego życia. Obejrzałam się i pomyślałam: «Ale my przecież przez całe życie żyjemy tylko dla własnego ciała... Nawet w pokoju, w mieszkaniu wszystko istnieje w celu zadowolenia potrzeb ciała i służenia mu. Wykluczenie stanowiły bodajże tylko książki... Oczywiście, Sensei kiedyś mówił, że te wszystkie atrybuty cywilizacji są potrzebne tylko dlatego, żeby pozostawało nam więcej czasu na doskonalenie naszej duszy. Ale sporo wśród tego wszystkiego zupełnie niepotrzebnych rupieci! I wciąż nam za mało, chcemy więcej. Gdzie? Po co? Przecież jutro i tak umrzemy, a Tam będą cenić tylko to,

co wyhodowaliśmy wewnątrz siebie, a nie to, ile rupieci nazbierała za swoje życie nasza na pół zgniła powłoka cielesna.

Przez całe te dni przebywałam w stanie przewartościowania, nawet w szkole. Dziewczyny, jak zwykle, chwaliły się kupionymi modnymi ciuchami i z widocznym zainteresowaniem opowiadały o tym, w co byli ubrani inni. Słuchając ich, dziwiłam się sama sobie. Przecież jeszcze niedawno byłam taką samą, ganiałam za jakąś iluzoryczną modą, ciuchami, w których nawet i nie było mi do twarzy. Moja mania wielkości znacznie rozrastała się, kiedy w tym czasie pojawiała się możliwość «wyróżnić się z tłumu». A w ogóle wiecznie modnym jest to, co dobrze leży. I tyle... Niektóre, kiedyś «modne» rzeczy, po «chwilowej prezentacji» beużytecznie wiszą w szafie. Po co tyle rupieci jednej osobie? Po co mi to wszystko? A może gdzieś ludzie nie mają w co się ubrać? I dlaczego gdzieś? Pod moim nosem, w mojej klasie są trzy dziewczyny z biednych rodzin. Dwie nie mają ojców, bo zginęli w kopalni. A ojciec trzeciej jest pijakiem, co jest jeszcze gorsze. Mogę z nimi podzielić się bez najmniejszego trudu? Przecież bardziej tego potrzebują, niż ja.

Zwróciłam się po radę do mamy, chociaż trochę skłamałam, powiedziałam, że w szkole trwa akcja charytatywna. I mama nic nie miała przeciwko temu. Nawet znalazłyśmy dla tych dziewczyn obuwie. Zebrałam to wszystko i pomyślałam, jak mam to oddać. Wyobraziłam sobie na ich miejscu i pomyślałam, że najlepszym wyjściem

byłoby poprosić kierowniczkę klasy o przekazanie im tych rzeczy, niby w imieniu organizacji charytatywnej... Widocznie, ta idea spodobała się. Ponieważ za tydzień, z inicjatywy naszej kierowniczki klasy, została ogłoszona akcja charytatywna dla dzieci z «Domu dziecka» naszego miasta. Kiedy dowiedziałam się o tym, po raz kolejny przypomniałam sobie słowa Mistrza, że **dobra myśl i dobry czyn wywołuje reakcję łańcuchową dobrych myśli i dobrych czynów**. Pomyślałam, że gdyby każdy człowiek to rozumiał i starałby się zrobić coś dobrego, na całej ziemi nie byłoby głodu i biedy. Ponieważ cywilizowani ludzie powinni się wstydzić tego, że ktoś obok nich cierpi głód i biedę.

Myśląc w ten sposób (o powszechnej Miłości, braterstwie i wzajemnej pomocy) moje ciało ogarnęło jakieś wzruszające trzepotanie. W okolicy splotu słonecznego zaczęłam odczuwać lekkie przyjemne ciśnienie. Po osiągnięciu pewnego rozmiaru, odczułam fale mrówek, które pobudzały moją świadomość, zwiększając uczucie nieskończonej Miłości wobec całego świata.





**P**odczas kolejnego treningu, już na dodatkowych zajęciach z ciekawością i prawdziwym staraniem ćwiczyliśmy nowe kata. «Bystrzy» chłopcy nieustannie zachwycali nas swoim kunsztem.

Z zarującym pięknem i błyskawiczną szybkością prowadzili między sobą sparring. Andrzej, który po raz kolejny obserwował ich ruchy, poskarżył się Mistrzowi:

— Ale szybko ruszają się? Przecież my też robimy takie same kata, ale wciąż za nimi nie nadążam. Ich ruchy są praktycznie dwa razy szybsze niż moje. Dlaczego?

— Cały sekret polega na równowadze. W tym tkwi sens — odpowiedział Sensei.

— Ale ja też jak należy trzymam równowagę, tak, jak pan mnie uczył jeszcze wtedy, kiedy robiłem tylko pierwsze kroki w karate. Według mnie, przestrzegam wszystkie przepisy, rozkładam centrum równowagi tak, jak należy... Ale wciąż mi nie wychodzi tak, jak im.

— Ponieważ przenosisz punkt ciężkości, a oni podążają za swoim punktem ciężkości.

— Jak to? — zdziwił się Andrzej.

— A tak. W «Hara» albo, jak jeszcze go nazywają, punkcie «Dań-Tiań», o trzy palce poniżej pępka, jest punkt ciężkości. Pamiętasz, kiedyś wam o tym opowiadałem? Wszyscy uczą się go prawidłowo trzymać, kroczyć, przenosić i tak dalej. Mówiono ci, na przykład, że stojący człowiek nie pada tylko do chwili, póki pionowa linia od punktu ciężkości jest w granicach strefy, ograniczonej przez skraje stóp; chodzenie — to szereg padań naprzód, które poprzedza odpowiednie przeniesienie nogi oporowej; bieg — to szereg skoków z jednej nogi na drugą z odpowiednim przeniesieniem masy ciała i punktu ciężkości. Tak? Tak... Czyli uczą cię abyś wiedział i przestrzegał reguły przenoszenia punktu ciężkości. **A w tym tkwi główna przyczyna opóźnienia prędkości. Ponieważ, żeby zwiększyć prędkość i nauczyć ciało poruszać się, trzeba, przede wszystkim, zmieniać pozycję punktu ciężkości.**

— Ale czy mogę tego się nauczyć czy jestem beznadziejny? — z uśmiechem spytał Andrzej.

— Beznadziejnym jest albo dureń albo leniuch — z taką samą ironią odpowiedział Sensei. — Z reguły, każdy człowiek może się nauczyć. Jest prosta technika przemieszczania punktu ciężkości. To jest prawie taka sama dynamiczna medytacja. Najpierw ćwiczysz technikę oddechu. Podczas dowolnych

ruchów, kiedy odwodzisz ręce od siebie, robisz wdech, kiedy przybliżasz ręce ku sobie, robisz wydech; krok naprzód — wdech, krok do tyłu — wydech. Przy tym robisz wydech przez dolną część brzucha, w «Hara», w taki sam sposób, jak podczas medytacji wydechaliśmy przez ręce. Czyli podczas wydechu kontrolujesz i całkowicie się skupiasz na tym punkcie brzucha, niby trochę go naprężając właśnie w okolicy «Hara». I w konsekwencji zaczynasz kontrolować swój dowolny oddech. Najważniejsze — to odczuwać ten punkt, odczuwać właśnie punkt ciężkości.

— Ale które mam wykonywać ruchy i w jakiej kolejności?

— Wykonuj dowolne ruchy, to nie ma znaczenia. Jak chcesz, to rozgrzewaj się, wykonuj kata, albo po prostu ruszaj się w kółko, albo rób ukłony, obojętnie. Najważniejszą funkcję pełni twoja myśl i koncentracja... To jest pierwsza faza — znaleźć punkt ciężkości i odczuwać go podczas dowolnych ruchów.

Druga faza — to zwiększenie punktu ciężkości, skupionej w «Hara». Czyli w myśli wysyłasz do tego punktu energię «Qi». I ten punkt, dzięki skupieniu energii powietrza, rośnie i staje się okrągłym i twardym. I tu przemienia się ona na kulkę albo małą piłeczkę, w cokolwiek, na co wystarczy ci wyobraźni. Ważne, że niby fizycznie odczuwasz ją, odczuwasz, że coś tam jest, na przykład, taka duża, okrągła kulka od łożyska albo coś podobnego.

Trzecia faza jest najważniejszą. Przy pomocy siły woli poruszasz swoim punktem ciężkości, pozostałe organy ruszają się za nim. Gdziekolwiek jesteś i cokolwiek robisz, nieustannie wykonujesz tę dynamiczną medytację.

— W taki sam sposób, co i «Kwiat lotosu»?

— Masz absolutną rację. W taki sam sposób. Przy okazji, jedna medytacja nie zaszkodzi drugiej. Ale nie ważne, w jaki sposób ruszasz się, gdziekolwiek idziesz, przede wszystkim przy pomocy swojego rozumu musisz ruszać nie swoim ciałem, a punktem ciężkości. A już dalej ciało powinno nadążać za nim. I tyle. To proste.

Andrzej trochę pomyślał i zaczął się poruszać, ćwicząc oddech.

— O, patrz — zwrócił jego uwagę Sensei — w jaki sposób ruszasz się zazwyczaj. Wynosisz najpierw ramię, nogę, głowę i tak dalej. Czyli najpierw wynosisz pewną część ciała, a już potem — punkt ciężkości. A teraz popatrz na chłopaków... Widzisz, zaczynają wszystkie ruchy właśnie z punktu «Hara», wysuwa się właśnie dolna część brzucha, następnie całe ciało, w jakikolwiek sposób rusza się, powolnie czy szybko.

— Aha, już rozumiem, w czym tu sprawa — podchwycił Kostja, który również uważnie słuchał Mistrza. — A my zastanawialiśmy się, co wyróżnia was w porównaniu z innymi chłopcami, kiedy ruszacie się. Okazuje się, że wasz niezwykły krok.

Sensei rozłożył ręce i z uśmiechem powiedział:

— Przyzwyczajenie.



Nasze pierwsze próby skończyły się głośnym śmiechem, ponieważ wszyscy starali się wszystkiego nauczyć od razu. Ale wychodziło nam tylko chodzenie jak pingwinom. Sensei powiedział:

— Chłopcy, już wam mówiłem, żebyście nauczyli się najpierw oddychać, odczuwać swój punkt ciężkości, a dopiero potem nim przesuwać.

— Ale w jaki sposób przyśpieszają swoje ruchy? — spytał Andrzej, kiwając w stronę «szybkich chłopców». — Mamy potem robić coś specjalnego?

— Nie. Przyśpieszyć je można tylko przy pomocy wydechu, czyli przy pomocy siły myśli, popychając na przód punkt ciężkości... Poruszasz ręką od razu, jak o tym pomyślisz, również i w tym przypadku poruszasz swoim punktem ciężkości, w myślach oddając mu rozkaz. I kiedy już nauczysz się poruszać swoim punktem ciężkości, będziesz ruszał się na tyle szybko, na ile pozwala ci na to twój poziom przygotowania fizycznego. Trzeba będzie tylko swoim ciałem doganiać twój punkt ciężkości.

— Fajnie! — powiedział Andrzej. — W taki sposób można wygrywać biegi sprinterskie.

— Dokładnie. Gdyby tę technikę znali sportowcy, wszystkie złote medale byłyby ich — półzartem odpowiedział Sensei.

— I co, nikt o tym nie wie?

— Niestety.

— Ja też nigdzie o tym nie czytałem, ani słyszałem — ku naszemu zdziwieniu powiedział Kostja. — Ale dlaczego?

— Ta starożytna technika rozwoju ludzkich możliwości jest ukrytą własnością mistrzów starożytnych klasztorów. Nie opowiadają o niej nawet swoim uczniom i zachowują w tajemnicy jako jeden z kluczowych elementów posiadanych przez nich potajemnych technik. Chociaż w ogóle nie ma w tym nic złego, nie ma w niej nawet sztuki. Jest to zwyczajna technika, którą może opanować każdy człowiek. Chyba że jest trochę bardziej skuteczna, niż inne...

Przez całą drogę do domu mieliśmy muskularne piersi. Dowiedzieć się tego, co wiedzą tylko mistrzowie ze starożytnych klasztorów, to było poza granicami naszych marzeń. Po raz kolejny zdziwiła mnie głębia wiedzy starodawnych technik przez Mistrza. I w swoim pamiętniku, domyślając się, kim On jest, napisałam, chyba, że Sensei jest utalentowanym znawcą Wschodu albo że dobrze znał Wschód, albo wychował się na Wschodzie. Inaczej, w jaki sposób on mógł dowiedzieć się tego wszystkiego? Zagadka ciągnęła za sobą kolejną zagadkę. Niewątpliwie, Sensei znał bardzo sporo rzeczy, poczynając od filozofii i kończąc naukami ścisłymi. I to wszystko przybywało u podstaw tej zasadniczej nauki i zasadniczej wiedzy o człowieku, poczynając z mikro-wszechświata w nieskończonej podzielności atomu i kończąc na duszy, którą całkowicie odczuwam, dokładniej tajemnicą jej stworzenia. «Ale kim On jest?!» — pytałam sama siebie po raz kolejny.



**N**astępnego dnia czekała na mnie raczej nieprzyjemna nowina. Moją mamę znów zaczęły boleć plecy. Ostatnio bardzo się niepokoiła, ponieważ zarzucono ją, jako dobrego specjalistę, pracę.

Ponadto, musiała jeszcze dokończyć to, co pozostawało podczas jej nieobecności. A tu jeszcze jakaś planowa kontrola przyjechała. Generalnie, dzięki takiej gorliwości oraz wrodzonej uczciwości i sumienności jej plecy nie wytrzymały takiego przeciążenia. Tego dnia z olbrzymim trudem wstała z łóżka z piekielnym bólem w krzyżu.

Oczywiście był to szok dla mnie i taty. Strasznie się niepokoiiliśmy. Każdy z nas usiłował jej w jakiś sposób pomóc. Tata zaczął telefonować do wszystkich swoich znajomych, którzy mogli ją wyleczyć, ponieważ mama kategorycznie odmawiała pójść do szpitala. Raczej, obawiała się nie samej operacji, a konsekwencji, o których sporo słyszała od ludzi na oddziale neurochirurgii. Perspektywa stać się inwalidką na całe życie

mamie widocznie się nie podobała. Ale po jakimś czasie ból stał się tak silny, że już była gotowa na wszystko.

Tymczasem ojciec zatelefonował do swojego przełożonego-generała, żeby dał mu na jutro wolny dzień. Tata mówił, że ten generał — to porządny chłop. Prawie jak ojciec troszczył się o swoich podwładnych i zawsze pomagał ich rodzinom tak, jak mógł. I tego razu nie zmienił swoich reguł i wykonał prośbę swojego zastępcy. Wysłuchał tatę i poradził mu zwrócić się do dobrego nastawiacza kości, nawet dał mu jego adres. I prosił, żeby uspokoił swoją małżonkę, ponieważ sam przeżył taką samą historię. Mocno bolała go noga i leczył go ten nastawiacz kości i już od dwóch lat biega, jak młody.

Po tej rozmowie postanowiliśmy już następnego dnia wyruszyć do tego nastawiacza kości. Szczerze mówiąc, wątpiłam. Do mojej świadomości nie docierało, jak można wyleczyć mamę gołymi rękami, przecież zastrzyki i tabletki jej nie pomogły. Postanowiłam «leczyć» mamę tak, jak uczył mnie Sensei. Przecież mówił, że każdy człowiek może zrobić dla siebie «matrycę zdrowia» przy pomocy sił swojej głębokiej wewnętrznej Miłości i jeżeli w nią uwierzy.

Przed snem wykonałam wszystkie medytacje, skupiłam się na zdrowym obrazie mamy. Wyobraziłam sobie, że jest absolutnie zdrowa, wesółka, pełna radości życia, z jej pięknym, miłym uśmiechem i dobrymi oczyma. Cicho poprosiłam Boga o wybaczenie za wszystkie swoje grze-

chy, jeżeli mam takie, według Niego. Szczerze poprosiłam Go o pomoc mamie, ponieważ ją bardzo kocham. Na tyle mocno prosiłam, że z całej duszy wzruszyłam się do łez. Tak chciałam, żeby mama jak najszybciej wróciła do zdrowia, że po takiej niezwyklej medytacji pobiegłam do pokoju rodziców popatrzeć czy coś się zmieniło.

Tata siedział przy biurku, pracując nad jakimiś papierami służbowymi, a mama już spała. Jej twarz była trochę pochmurna. Pewnie, plecy ją bolały nawet we śnie. Wróciłam do swojego pokoju i pomyślałam: «Pewnie mojej siły jest za mało. Oczywiście, będę kontynuowała robienie tych technik na stworzenie «matrycy zdrowia», ale byłoby dobrze gdyby dołączył do tego Sensei. Wtedy sukces byłby gwarantowany. Miał taką siłę duchową, taką mocną wewnętrzną wiarę i taką wiedzę, która może chyba wszystko, skoro przy pomocy siły swojej myśli zdołał mnie uratować. Trzeba będzie z nim o tym porozmawiać podczas następnego treningu. Jest dobrym człowiekiem, na pewno pomoże». Z takimi pozytywnymi myślami zasnęłam.

Następnego dnia pojechałam razem z mamą do nastawiacza kości. Generał troskliwie dał nam czarną «Wołgę» i personalnego kierowcę, który dobrze znał miejscowość i drogi. Kiedy jechaliśmy, wyobraziłam sobie, według «planu» Wołodji, jak ten staruszek-nastawiacz kości w podeszłym wieku, popatrzy na mamę i powie, że jest zdrowa i że lekarze popełnili błąd. Tymczasem zauważyłam, że kierowca skręcił do dzielnicy,

do której jeździliśmy na medytacje duchowe. «Znajome miejsca — uśmiechnęłam się. — Coś podobnego, taka głucha dzielnica, a tak sławni ludzie». I znów skupiałam się na upragnionym wyniku.

Przyjechaliśmy do jakieś prywatnej dzielnicy. Dom, w którym pewnie, przyjmował pacjentów nastawiacz kości, zauważyłam z daleka. Dokładniej, nie sam dom, a tłum ludzi, którzy stali obok niewielkiego, ładnego domku. Było sporo ludzi. Kierowca już zaparkował swój samochód wśród innych samochodów, zwróciwszy swoją profesjonalną uwagę na to, że sporo było numerów samochodów nie tylko z różnych obwodów, ale nawet z różnych republik. Byłam nieco zdziwiona, że taka głucha dzielnica jest tak znana.

Ludzie stali szczelną ścianą w jednej kolejce. Nie pomogło nam nawet to, że przyjechaliśmy czarną «Wołgą». Mimo wszystkich naszych starań, nie udało nam się przedrzeć przez ten tłum. Musieliśmy zająć kolejkę, jak pozostali. Tymczasem mama już prawie leżała w samochodzie. Mieliśmy czterysta siedemdziesiąty trzeci numer. Ale kiedy ludzie zobaczyli, że mama ma ostry ból, powiedzieli, że z takim bólem nastawiacz kości przyjmuje bez kolejki i musimy zająć kolejkę, która stała z przodu. Śpiesznie dołączyliśmy do niej. Tam było około pięćdziesięciu osób. Dla mamy nawet ustąpili miejsce na ławce ci, którzy jeszcze mogli trzymać się na nogach. Tak więc rozpoczęliśmy czekanie.

Byłam bardzo zdziwiona taką ilością ludzi

i nawet trochę się pogubiłam. W kolejce stali ludzie w różnym wieku, od dziadków i babć do całkiem młodych, z dziećmi. Z przodu stali młodzi z niemowlęciem. Mówili, że ma tylko pięć dni, a już miał pleksopatię — nie mógł podnieść rączki z przyczyny jakiejś patologii porodowej. Generalnie, zebrano się tu towarzystwo ludzi z różnymi chorobami kręgosłupa, o których nigdy nawet nie słyszałam.

Babcia, która siedziała obok mamy, powiedziała, że nastawiacz kości przyjmuje dwadzieśtu mężczyzn i dwadzieścia kobiet, następnie dziesięć osób z naszej kolejki. Według niej, to niedługo, więc nasza kolej nadejdzie za jakieś dwie godziny. Pomyślałam, że skoro tak, zdążę jeszcze dobrze się skupić na medytacji uzdrawiającej moją mamę. W ciągu dziesięciu minut usiłowałam to zrobić. Ale nie mogłam się skupić, ponieważ kolejka bzycała od rozmów ludzi, co stwarzało przeszkody dźwiękowe. Mimo woli też zaczęłam słuchać rozmów.

— Ale my mamy prawdziwe nieszczęście — lamentowała kobieta w podeszłym wieku, która stała koło piętnastoletniej dziewczyny.

— Strasznie nawet o tym wspominać. Nic nie ma gorszego na świecie, niż urodzić chore dziecko. Przecież moja wnuczka ma straszne skrzywienie kręgosłupa, miała prawdziwy garb. Lekarze mówili, że pozostanie inwalidą na całe życie. Dziewczyna każdego razu przychodziła ze szkoły zapłakana. Chociaż ma śliczną twarz, bo kole-dzy drażnili ją, nazywając «potworem». Byliśmy

już w wielu miejscach, pokazywaliśmy ją wielu lekarzom, nawet ekstrasesom — wszystko było bezskuteczne. Byliśmy zrozpaczeni. Pewnego dnia ledwie zdążyliśmy wyciągnąć ją z pętli, dzięki Bogu. Zaczęła płakać, mówiła, po co jej takie życie, przecież nikt ją nigdy nie pokocha. Ona płacze, my płaczemy, brak na to słów...

Głos tej kobiety zatrząsł się i po kryjomu obtarła spływającą łzę.

— Nie trzeba, babciu, — powiedziała wnuczka. — Przecież już wszystko przeszło.

— Tak... Wtedy, tego samego dnia poszłam... do cerkwi, żeby się pomodlić do Pana naszego. A następnego dnia rano otrzymaliśmy gazetę z artykułem o tym nastawiaczu kości. Oczywiście, najpierw zaczęliśmy wątpić, czy warto powierzać zdrowie dziecka kolejnemu lekarzowi. Przecież badało ją już wielu specjalistów. Ale... Te ostatnie wydarzenia... W końcu postanowiliśmy, że skoro Pan daje nam jeszcze jedną szansę, nie powinniśmy rezygnować, ponieważ gorzej już być nie mogło...

Martwiliśmy się, kiedy szliśmy do niego. Ale ludzie w kolejce mówili o nim sporo dobrych rzeczy. I kiedy weszliśmy, wszystkie wątpliwości zniknęły. Miał takie błyszczące, niebieskie oczy, takie spokojne spojrzenie, że zrobiło się bardzo lekko w sercu...

— Tak — powiedziała inna kobieta — ma oczywiście jakieś niezwykle oczy, takie bezdenne. Niby wiedzą o wszystkim, niby odczuwał twój ból.



— Też nigdy w życiu nie widziałam takich oczu, są takie spokojne, rozumne — powiedziała pewna młoda kobieta, która stała obok.

Kobiety kiwnęły, zgadzając się z ich słowami.

— A jaki ma przyjemny, melodyjny głos, spokojną manierę mówienia. Jaki on jest uprzejmy dla wszystkich...

— Każdego razu po rozmowie z nim mam lepszy nastrój. Po tych wszystkich bólach, które miałam, nawet chce mi się żyć.

— Mam takie samo uczucie.

— Co to znaczy dobry człowiek.

Kiedy słuchałam tych słów, coś zadygotało w moim sercu. Zatrzymałam swoje bezskuteczne próby skupienia się i zaczęłam bardziej uważnie słuchać rozmów.

— Też to mam na myśli — powiedziała ta starsza kobieta. — Jest w nim coś niezwykłego, co daje nadzieję. Popatrzył na moją dziewczynkę i powiedział, że wyrówna jej plecy, ale będzie musiała przyjechać kilka razy i dokładnie wykonywać jego zalecania w domu. Nie możecie nawet wyobrazić sobie, jak jego słowa wpłynęły na dziewczynkę. Jeździliśmy na leczenie dość długo, prawie przez rok. A mieszkamy w innym obwodzie. Czasami była zła pogoda, trudno było dojechać, ale Aniuta zawsze nalegała na wizytę u niego. Była już nastawiona na cel, a my tylko cieszyliśmy się z tego i dziękowaliśmy Panu Bogu. W domu codziennie starała się wykonywać wszystkie ćwiczenia z gimnastyki leczniczej, o której opowiedział jej nastawiacz kości.

I po jakimś roku po jej garbie nie pozostało żadnego śladu! Nawet nie możecie sobie wyobrazić, jakie to było szczęście dla nas. Aniuta rozkwitła, zaczęła się podobać wielu chłopakom, którzy teraz biegają za nią całym tłumem... Dzisiaj przyjechaliśmy na kontrolę. Oj! Daj mu Boże zdrowia. Jego złote ręce tworzą cuda!

— Tak, rzeczywiście ma złote ręce — powiedziała jeszcze jedna kobieta około czterdziestki. — Jest prawdziwym zawodowcem. Rzadko można spotkać takiego specjalistę, w którym łączy się talent od Boga i taka głębia wiedzy medycznej... Męczyły mnie bóle głowy przez całe dziesięć lat. Leczyłam się w najlepszych szpitalach bez skutku: bezsenne noce i bóle głowy, w wyniku których nawet traciłam przytomność... A dwa lata temu, nawet trudno wspominać te dni, przestałam chodzić. Nie można nawet wrogowi życzyć takiego stanu duszy, zmieszania i bezradności spowodowane tymi bólami głowy, kręgu, nóg. Znów bezsenne noce, zastrzyki i żadnego skutku. Miałam nawet straszne chwile rozpaczki od bólu i męki. Chociaż jestem z natury człowiekiem odważnym i zawsze byłam liderem. Ale nieoczekiwanie, całe moje życie zatrzymało się, wszystko zamarło, był tylko ból i męka.

Lekarze oczywiście nalegali na operację. Wmawiali mi, że nic, oprócz interwencji lekarskiej, nie pomoże mi. Ale nie mogli również gwarantować, że wrócę do zdrowia. Jednym słowem, inwalidztwo na całe życie... A tu do mnie przyjechała mama i opowiedziała mi o tym nastawia-

czu kości, namawiając mnie na spotkanie z nim. Zwróciłam się o poradę do moich lekarzy, ale ci tylko roześmiali się mi w twarz i powiedzieli, że nikt, nawet najlepszy lekarz, nie wyleczy przepukliny kręgu, do tegoż jeszcze w szyjnej części kręgosłupa. Nie wyleczy bez interwencji chirurgicznej. Niech pani sobie jeździ, i tak pani wróci do nas. Ale matka stała na swoim.

Kiedy wieźli mnie tutaj, nie miałam żadnej nadziei po takim «werdykcie» lekarzy. Jednak po siedmiu pierwszych seansach, ku mojemu zdziwieniu, zaczął ruszać się palec u nogi, i ból trochę zmniejszył się. Właśnie wtedy uwierzyłam, że jest szansa na powrót do zdrowia, chociaż nastawiacz kości pierwszego dnia powiedział: «Sytuacja jest skomplikowana, leczenie będzie długie, ale wyleczymy». I następnie, po każdym kolejnym seansie zaczęły się niewielkie, ale stabilne zmiany na lepsze. Krok po kroku zaczęłam się ruszać, już sama ubierałam się. A po pół roku wróciłam do normalnego życia. Teraz kończę kurs leczenia. Nawet sama nie mogę uwierzyć, że mój koszmar już się skończył i wszystko skończyło się tak dobrze. Wyleczyć taką straszną i poważną chorobę bez operacji — to prawdziwy cud!

Kiedy wróciłam do normalnego życia, przyjechałam do swojego miasta, specjalnie żeby pokazać wynik swoim lekarzom, a oni nie mogli uwierzyć. Tylko wzruszyli ramionami. I wyobraźcie sobie, nikt z nich nawet nie zapytał, w jaki sposób osiągnęłam ten wynik. Ale wszyscy krzyczeli razem, że nic z tego nie wyjdzie... To właśnie jest

ta wiedza, wykorzystujcie ją. Tylu ludziom mogła by pomóc! Ale nie, ich głupia duma nie pozwala im na to... Do końca swoich dni będę wdzięczna Igorowi Michajłowiczowi za to, co zrobił swoimi złotymi rękoma! A ilu ludziom pomógł powrócić do zdrowia. Widziałam sporo rzeczy, kiedy tu byłam. Ludzie przyjeżdżają naprawdę z ostatnią nadzieją na powrót do zdrowia. I ci sami lekarze przywożą tu swoje dzieci i wnuki.

Zadrżałam, kiedy wymieniono imię tego nastawiacza kości. «Czyżby to był... Nie może to być!» — pomyślałam, gubiąc się w domysłach. Wszystko wewnątrz mnie napięło się i zamieniło się w słuch. I tu cała kolejka zahuczała znów.

— Tak, jest to człowiek o wielkiej duszy! — powiedziała pewna kobieta. — Ludzie mówią, że jego pradziadek też był nastawiaczem kości z-pod Orła. Mówią, że był to człowiek, który miał boski dar, mógł bezbłędnie stawiać diagnozę chorób.

— Ale nasz jest prawdziwym cudotwórcą, patrzy niby przez rentgen. Mam przesunięcie kręgu, i od razu mi powiedział, że o 6 mm. Potem zrobiono mi zdjęcia i rzeczywiście tak było.

— To dlatego, że ma bardzo czułe ręce. Czytałam, że może znaleźć mały włos dziecka, który jest podobny do ludzkiego nerwu, pod czterdziestoma arkuszami papieru. Dziennikarze zrobili taki eksperyment. «To jest to samo — powiedział — co znaleźć miejsce uwięźnięcia nerwu i przy pomocy manipulacji rąk wyzwolić go z tego uwięzienia».

— Dziękuję Bogu, że taki ktoś jest na świecie. Dziękuję Mu, że zaprowadził mnie do niego — pożegnała się kobieta, która opowiadała o swojej Aniucie.

— Wiecie, leczyłam zeszłego roku u niego ból pleców — powiedziała jakaś starsza pani o białych siwych włosach. — W tamtym roku podniosłam coś ciężkiego i znów uszkodziłam plecy. Tak mnie bolało, że nie mogłam spać przez dwie noce, nic nie chciałam. Miałam tylko ten świ-drujący ból... Albo straciłam świadomość, albo opadłam z sił, ale wieczorem w ogóle nic nie czu-łam. Śniło mi się, że nasz nastawiacz kości pod-szedł do mnie, pogłaskał po głowie i powiedział: «Nie bój się, zaraz poczujesz się lepiej. A jutro przyjeżdżaj do mnie. Wszystko będzie dobrze». I wyobraźcie sobie, rano wstałam już jak nowo-narodzona, nawet ból trochę się uspokoił. Teraz już będę miała trzeci seans, i już jestem prawie zdrowa. A wtedy nie mogłam znaleźć sobie miej-sca... Ale dziwne, bo ten lekarz miał długie włosy aż do ramion, jak ma anioł i takie dobre oczy...

— Tak, ma niezwykle włosy, taki jasny kolor można rzadko spotkać.

— I co bym bez niego robiła? Chyba rzeczywi-ście Pan Bóg przysłał mi anioła.

Po tych słowach staruszka, która do tej pory spała na skraju ławki, nieoczekiwanie dla wszystkich przeżegnała się się i powiedziała skrzypiącym głosem:

— Nie anioła, tylko archanioła.

I znów pogrążyła się w drzemkę. To bardzo

zdziwiło cały tłum... I tu jakiś górnik, sądząc po czarnej obwódce wokół oczu, nie wytrzymał i powiedział:

— Nie wiem, jakim jest aniołem czy archaniołem, ale jest to fajny chłop! Postawił mnie na nogi, chociaż w Boga nie wierzę.

— Ja też nie wierzyłem — dołączył do rozmowy dziadek o silnej sylwetce. — Przez trzydzieści lat miałem książeczkę partyjną, a teraz proszę popatrzeć — wyjął z pod ubrania i pokazał krzyżyk na sznurku — chodzę z krzyżem. I to wszystko po pewnym przypadku. Nie mogę tego zapomnieć... Pracuję w zakładzie przy piecu hutniczym. Tego właśnie dnia miałem iść do pracy. A w nocy widziałem we śnie naszego Michałyczka i on mi powiedział: «Jutro przyjdź do mnie, a do pracy nie idź. Jak pójdziesz, już nigdy nie wrócisz». Przed tym nie leczyłem się, wtedy miałem przerwę w leczeniu. Wstaję rano i plecy mnie bołą. Myślałem, że skoro mnie plecy bołą, dlatego widziałem go we śnie. Zacząłem się zbierać do pracy. A potem pomyślałem, dlaczego mam iść, przecież trzeba będzie podnosić ciężkie rzeczy. Wezmę cokolwiek i wszystko sobie uszkodzę. I wtedy postanowiłem iść do nastawiacza kości. Poprosiłem o wolny dzień w pracy. I wyobraźcie sobie, właśnie tego dnia mieliśmy wybuch w piecu hutniczym i prawie cała moja brygada zginęła. A gdybym przyszedł do pracy, przecież cały czas jestem koło paleniska... Jak ma zwykły śmiertelny człowiek to zrozumieć?... Chciałem o tym powiedzieć Michajłowiczowi, ale

przyłożył palec do ust, niby kazał mi milczeć. I tyle... jak mam po tym wszystkim nie uwierzyć w Boga?

— Oj, wiecie, mój sąsiad miał podobny przypadek — dołączyła do rozmowy kobieta około trzydziestki — Właśnie dał mi adres tego nastawiacza kości. Kiedyś się leczył u niego. Więc w ubiegłym roku mego sąsiada przysypało. Pamiętacie, kto miejscowy, ten wybuch na szychcie? Więc zasypało go pod jakąś kolumną. Opowiadał tak: «Leżę sam, wśród całkowitej ciemności, cały zasypany ziemią. Bardzo się bałem, że zostanę pochowany żywcem. Już zacząłem się żegnać z rodziną i najbliższymi... Widzę przed oczyma powstaje niby postać naszego nastawiacza kości, który mówi do mnie spokojnym głosem: «Nie bój się, nie bój się. Jeszcze zbyt wcześnie na śmierć. Będę z tobą dopóki cię nie uratują...» A kiedy się ocknałem, mówił, że już go wyciągali ratownicy. Nikt z jego brygady nie przeżył. Po tym wypadku zupełnie się zmienił. Rzucił alkohol, uwierzył w Boga, żona z dziećmi bardzo się cieszą. Fajny wyszedł z niego chłop!

W tej chwili kolejka z przodu się ruszyła. Kiedy ludzie rozstapili się, wyszedł z niej ... Ledwie mi teczka z rąk nie wypadła od takiej niespodzianki.

— Sensei — cicho szepnęłam, i już po chwili krzyknęłam z całych sił. — Sens... oj, Igor Michajłowicz!!!

Sensei obrócił się i dał mi znak, żebym podeszła. Ledwie przecisnęłam się przez kolejkę.

Serce drżało mi w piersi. Przywitawszy się ze mną zapytał:

— Dlaczego tu jesteś? Czy coś się stało?

— Mama jest poważnie chora...

Odeszliśmy do jakiegoś zacisznego miejsca, w którym Igor Michajłowicz zapalił papierosa.

— General, który jest znajomym taty, dał mi ten adres — zdradziłam, wstrzymując oddech, wszystkie «tajemnice państwowe». — Nawet dał nam swoją «Wołgę».

Sensei spojrział tam, gdzie stały samochody.

— A, Aleksandr Wasiljewicz... Jak się ma?

— Powiedział tacie, że już od dwóch lat biega bez żadnych problemów.

— Dobrze. A co się stało z mamą?

Zacząłam w szczegółach opowiadać o wszystkim, co wiedziałam, z całych sił z niepokojem gestykulując rękoma. Po wysłuchaniu mnie Sensei powiedział:

— Dobra, bierz mamę i chodźcie razem ze mną.

Przepełniona radością, że Igor Michajłowicz przyjmie nas bez kolejki, pobiegłam do mamy. Mama, oczywiście ucieszyła się, ale również jej zdziwienie nie miało granic. Z trudem wstała i poszliśmy razem z nią do wracającego nastawiacza kości.

— To jest mój Sensei, Igor Michajłowicz — z wielką dumą przedstawiłam go mamie.

Weszliśmy do domu, który był przepełniony czekającymi ludźmi. W pokoju przyjęć stała prycza, a w kącie — niewielka ikona z małą oliwną



lampką. Pomogłam mamie rozebrać się do pasa i położyć się na pryczy. Wychodząc z pokoju, zauważyłam, jak Igor Michajłowicz pochylił się nad plecami mamy, obmacując kręgosłup rękoma. Już będąc za kurtyną, w sąsiednim pokoju, usłyszałam głos Mistrza:

— Tak, wie pani, że ma pani poważny problem, dorsalno-lateralne zapadnięcie do 7 mm w segmencie L4—L5, które wywołało stenozę otworu międzykręgowego, która doprowadza do ściśnięcia korzonka rdzeniowego.

— Ale co to jest prostymi słowami?

— Mówiąc prościej, to jest przepuklina kręgu. Wskutek zniszczenia kręgu, martwaki, czyli kawałki tego kręgu wpadły do kanału rdzeniowego w kierunku otworu kręgosłupa i ściskają korzonek rdzeniowy. Właśnie to wywołuje bóle... Oczywiście. Jest to poważny problem, ale da się to naprawić.

Za szczelną kurtyną usłyszałam lekki chręst kręgosłupa i kilka niezwykłych klaśnieć. Po jakimś czasie Sensei zawołał mnie, żebym pomogła mamie się ubrać. Umówiwszy się na kolejny seans, pożegnaliśmy się i powoli poszliśmy do samochodu.

— I co? — spytałam mamę.

— Da się znieść — odpowiedziała.

Kiedy wracałyśmy do domu, nie mogłam się uspokoić, myśląc o Mistrzu. Uważałam go za kogokolwiek: fizyka, chemika, filozofa, historyka, znawcy wschodu, fizjologa. Ale jako prostego nastawiacza kości — to już przesada! I

nawet nie zwykłego, a nawet znanego... Jednak, przy jego potencjale wiedzy, przy jego fenomenalnych zdolnościach i, w końcu przy jego niezwykłej ludzkiej moralności, mógł być znanym uczonym, politykiem... Mógł być kimkolwiek i zajmować o wiele wyższy stopień w hierarchii społecznej... Ale na co on traci swój potencjał?! I gdyby nie argument na korzyść mojej mamy, mój mózg nigdy nie przestałby się burzyć.

Tymczasem, wyjeżdżając jakimiś drogami okólnymi z tej głuchej dzielnicy, przejechaliśmy obok bardzo starej, prawie zrujnowanej cerkwi, pewnie zbudowanej jeszcze przed rewolucją. Moje myśli ukierunkowały się na wieczne tematy, zaczęłam myśleć o Bogu, o wierze, o Wielkich. I raptem mnie olśniło: «Przecież Sensei rzeczywiście pomaga ludziom! Przecież swoimi rękoma leczy tysiące ludzi, którzy cierpią piekielny ból, przywraca ludziom zdrowie, wiarę i radość życia... Boże, przecież wszyscy wielcy tak robili! Przecież każdy z nich wychodził do ludzi z otwartą duszą i tworzył dobro. Przecież Sensei kiedyś mówił o nich... Czyżby i on... Coś podobnego!»

Zaczęłam rozpaczliwie wspominać chwile obcowania z Mistrzem, które potwierdzają moje domysły. Kiedy przyjechałam do domu, przeczytałam w moim pamiętniku wszystko, co dotyczyło osoby Mistrza. Tak, ten fakt, że jest nastawiaczem kości, dopełniał podstawowe brakujące ogniwo w moim łańcuchu logicznym dowodów dla mojego umysłu. «Przecież najważniejsze jest

to, że leczy ciało i duszę ludzi. Tak więc, rozmawiając z wieloma ludźmi, za plecami każdego z nich był ich konkretny los, problem, ludzki ból, lepiej od wszystkich polityków wiedział, jakie są nastroje ludzi, ich stosunek do życia, oraz poziom ich duchowego rozwoju. Przecież trudno jest wymyślić lepszy zawód dla ziemskiego życia Bodhisattwy». Ciarki mi przeszły po grzbiecie po takich odkryciach, a splot słoneczny zadrżał od nadchodzących spiralnie fal.

Kiedy tylko ta burza myśli zaczęła się uspokajać, powrócił «zdrowy rozsądek». «Ale z drugiej strony» — pomyślałam — dlaczego go tak wzniosłam? Może to wszystko jest tylko moją wyobraźnią. Zmęczyłam się, miałam chwile niepokoju, nasłuchiwałam się w kolejce różnych historii i proszę, jakie pośpieszne, fantastyczne wnioski... Owszem, pomaga ludziom, ma zdolności i talent, i co z tego? Po prostu jest dobrym profesjonalistą, mówiąc słowami kobiety w kolejce. I tyle. Ale na pozór jest zwykłym człowiekiem, ze zwykłą twarzą, podobną do innych ludzkich twarzy. Niczym zewnątrznie się nie wyróżnia spośród innych ludzi. Jest takim, jak wszyscy...»

I tu zauważyłam, że im dalej rozwijam swoją teorię «zdrowego rozsądku», tym więcej we mnie zjawia się czegoś niedobrego, jakiejś złości, jakiejś czarnej zawiści, że Sensei posiada talent i możliwości, a ja — nie. I cały ten brud wlał się do mojej głowy, że się nawet sama siebie przestraszyłam: «Stop, stop, stop! Kto robi burzę w szklance wody? Proszę państwa, to nie ja! Czyż

moja dusza może myśleć tak źle? Nie. Przecież jest samą dobrocią. Ale skąd cały ten brud? To nie jest moja opinia. Jakieś natarczywe myśli, które wracają znów i znów, budząc wewnątrz mnie złość i nienawiść... Przecież to są instynkty zwierzęcego pierwiastka!» I tu w końcu sama na siebie się rozzłościłam: «Ale mi się znudziły! Jak mogę być takim głupim, upartym zwierzęciem?! Dostyc tego. Po prostu dostyc. Przecież całe życie może mi minąć w złych myślach i próżności...»

I tu do mnie przyszła inna myśl: «A może właśnie dzięki naszemu zwiększonemu egocentryzmowi nie zauważamy, jakie świetne szanse daje nam Los. A dla duszy, która błąka się w ciemności, być może, taka Szansa wypada jeden raz na całe tysiąclecie. Kto wie, czego nie widzimy przez swoją zawiść i złość... Boże, czemuż jesteśmy tacy ślepi! Dlaczego zaczynamy coś naprawdę cenić, kiedy to coś tracimy? Dlaczego zaczynamy uznawać Wielkich dopiero po ich śmierci?»

Rozpięto Chrystusa właśnie przez czyjąś rozdetą manię wielkości i nasz stadny egocentryzm. Ale jakim Wielkim Człowiekiem był i ile dobrego mógł zrobić innym ludziom! Gdyby żył, i gdyby ludzie mieli bardziej otwarte serca, może cywilizacja ludzka posunęłaby się o następny krok do przodu, już od dawna żylibyśmy jako prawdziwe połączone swobodne społeczeństwo, bez granic i bez państw, bez przemocy i terroru, w pokoju i harmonii... Ależ nie, mało kto cenił Jezusa za życia jak należy. Natomiast większość ludzi na pewno mu zazdrościła, odczuwała złośliwe zado-

wolnienie z jego udręk i wytykała mu przez swoją zwierzęcą próżność, chciwość i obojętność. Ale po śmierci wszyscy w Niego uwierzyli!

Możemy jako przykład wziąć nasze współczesne znanepostacie. Kiedy je przyznawano? Głównie po śmierci. Przy tym dobrze o nich mówią nawet ci, którzy w czasie życia robili im różne świństwa. A w swoich myślach na pewno bardzo się cieszą, ponieważ udało im się wyeliminować rywala. Ale podła, zwierzęca natura.

Ale kiedy obudzimy się, zaczniemy wreszcie myśleć przy pomocy duszy, a nie ciała? Przecież wtedy świat się zmieni i będzie zupełnie inny! Chce mi się krzyknąć na cały świat. Ale co z tego?! Nie trzeba krzyczeć, a samemu coś robić, zmieniać się na lepsze. I nie dopuszczać do siebie i do swojego umysłu tych pasożytów świadomości. Tak, gdyby większość to zrozumiała, mielibyśmy szansę na to, żeby nauczyć się cenić i szanować swoich bohaterów, których natura tak rzadko wysyła w ten świat! Jak mówił wielki klasyk: «Matko-naturo, gdybyś nigdy nie wysyłała takich ludzi do naszego świata, uschłaby niwa życia».





**N**astępnego dnia, podczas wspólnego wyjazdu na kolejne duchowe zajęcia, przez całą drogę opowiadałam

chłopakom o tym, że nasz Sensei jest znanym nastawiaczem kości, i że sporo rzeczy widziałam i słyszałam podczas wizyty u niego. Dla nich to było całkowicie nieoczekiwana informacja. Wszyscy już się zebrali na drodzej naszym sercu polanie. Sensei, uprzejmie przywitawszy się, spytał, jak czuje się mama.

— Dziękuję, już lepiej. Oczywiście ból jest jeszcze dość silny. Ale dzisiaj chociaż dobrze spała w nocy.

— To dobrze. Drobiazg, krok po kroku przywrócimy jej zdrowie.

Nie miałam co do tego żadnych wątpliwości. I w summie byłam bardzo zadowolona z tego, że wszystko tak wyszło. Dla mojej ukochanej mamy nie można było znaleźć lepszego doktora. Teraz moja dusza była o nią spokojna.

— A wie pan co — ciągnęłam dalej — byłam zdziwiona, kiedy pana zobaczyłam. Myślałam,

że nastawianie kości uprawiają jacyś dziadkowie i babcie w podeszłym wieku.

— Wielu ludzi tak uważa.

— Dlaczego tak jest?

— Ponieważ w sztuce nastawiania kości prawdziwa wiedza i doświadczenie przychodzą po latach, czyli w starości.

Zauważyłam, że ani nikt z obecnych starszych chłopców, ani Mikołaj Andrejewicz nawet nie zdziwili się, kiedy usłyszeli słowo «nastawiacz kości», pewnie, już o tym dobrze wiedzieli.

— Proszę mi powiedzieć — kontynuowałam, z zachwytem patrząc mu prosto w oczy — ale czy można przy pomocy wiary leczyć choroby kręgosłupa?

— Wiara jest zdolna poruszać góry, nie tylko jakiś tam krąg. Ale daleko, nie każdy człowiek ma prawdziwą wiarę.

— Dlaczego?

— Ludzie mają wątpliwości, przeważa w nich zwierzęcy pierwiastek. Bardzo trudno jest zwykłemu człowiekowi zdobyć prawdziwą wiarę. Chociaż to jest bardzo proste, jeżeli w jego umyśle przeważa pierwiastek duchowy.

— Ale jeżeli człowiek po prostu «ślepo» wierzy w to, że wyzdrowieje, albo w to, że jego bliski wyzdrowieje, czy leczenie będzie szybsze?

— Oczywiście. I nie tylko szybsze, ale i o wiele bardziej skuteczne.

— Proszę mi wybaczyć — dołączył do rozmowy Mikołaj Andrejewicz. — Już od dawna chciałem

zapytać pana, dlaczego wybrał pan właśnie ten zawód?

— Sam nie wiem — odpowiedział Sensei. — Jak i każdy inny człowiek, w odpowiednim czasie zastanawiałem się, jaki zawód mam wybrać. Ale chyba się zgodzicie, że najlepszym zawodem jest taki, który powraca ludziom zdrowie, i co może być bardziej skomplikowane w organizmie człowieka, niż kręgosłup, chyba że mózg... A czym jest kręgosłup? Proszę popatrzeć na schemat splotów nerwowych — przecież to jest «drzewo życia», którego korona wchodzi do mózgu, a korzenie są związane z organami człowieka. Mówiąc obrazowo, to «drzewo życia» «odżywia» cały organizm i wypełnia go zdrowiem. I jeżeli nie daj Boże, są w nim jakieś zakłócenia, to wpływa na pracę wszystkich organów. Przecież ponad dziewięćdziesiąt procent wszystkich chorób powstaje wskutek zakłóceń w kręgosłupie, od «nieznaczących» do śmiertelnych. Problemy powstają w ciągu całego życia wszystkich ludzi... Obecnie kręgosłup jest dla naukowców tajemnicą wszystkich tajemnic. Podobnie jak i mózg, jest mało zbadany.

— Generalnie, tak — odpowiedział Mikołaj Andrejewicz. — Mówiąc szczerze, nigdy o tym nie myślałem... Ale skoro jest takim skomplikowanym i ważnym organem w ciele człowieka, żeby go leczyć, trzeba posiadać solidny zapas wiedzy.

— Oczywiście. Kręgosłup — to bardzo ciekawa, doskonała struktura biomechaniczna.



Jego leczenie jest bardzo odpowiedzialne, ponieważ ważne jest aby prawidłowo postawić diagnozę, uwzględnić informacje, wiek, wagę i całszereg różnych czynników, oraz podjąć prawidłową decyzję, rozliczyć odpowiednią moc i «dawkę» oddziaływania. Przecież jest to swojego rodzaju mikro-operacja, tylko bez rozcięcia. Ponadto, trzeba brać pod uwagę odnowienie podczas eksploatacji. Nastawianie kości jest zawodem bardzo skomplikowanym. Człowiek musi w nim wiedzieć wszystko: bio-mechanikę, anatomię, patologię, genezę, morfogenezę, fizykę, chemiczne procesy komórki. Mówiąc krótko, człowiek musi posiadać dogłębną wiedzę w dziedzinie wertebrologii.

— W której dziedzinie? — spytał Rusłan. — Co to za ... brologia?

— Nie brologia, tylko wertebrologia — z uśmiechem odpowiedział Sensei. — Jest to nauka o kręgosłupie, która obejmuje wszystkie nauki plus specyficzną wiedzę o kręgosłupie.

— Ale jaka jest ta specyficzna wiedza? — zapytał z zainteresowaniem Mikołaj Andrejewicz.

— Trzeba znać wszystkie szczegóły i techniki różnych sposobów leczenia patologii wertebrogenicznej, osteopatii, chiropraktyki i tak dalej, czyli doświadczenie poprzednich pokoleń w zakresie nastawiania kości. Przecież nastawianie kości — do starodawny i ciekawy zawód — i niby między innymi, Sensei dodał: — I oczywiście, obejmuje obcowanie z wieloma różnymi ludźmi.

Nie wiem, jak inni, ale świetnie zdawałam sobie sprawę, że właśnie ostatnie słowa Mistrza były główną przyczyną tego, dlaczego wybrał właśnie ten zawód. Byłam pewna tego na sto procent.

Tymczasem Sensei rozpoczął rozmowę o medytacjach. Zaczęliśmy analizować wyniki swoich domowych medytacji, znów staraliśmy się pracować nad sobą, małymi kroczkami zbliżając się ku swojemu dalekiemu marzeniu — stać się Człowiekiem.





**Z**

auważyłam, że dni upływały, jak mgnienie oka. Miałam poczucie, że nie wystarcza mi czasu na wszystkie sprawy. Rzuciłam zajęcia w kilku kółkach, żeby móc coś zdążyć... Nasze zajęcia

nadal cieszyły mnie swoją nowością i niepowtarzalnością. Podczas kolejnego treningu Sensei zaczął objaśniać nowy temat:

— Dzisiaj zapoznamy się i jak zwykle, częściowo nauczymy się stylu taijiquan, który jest uważany za szkołę wuszu miękkiego kierunku. Ten styl powstał w jednym z najstarszych klasztorów Chin, położonym w górach Wudang Shan. Ciekawe, że miejscowe góry nazywano górami Wielkiego Spokoju. Ale pewnego dnia tam, opanowawszy Dao (w taoizmie za dao jest uważana wewnętrzna boska siła i pewna początkowa substancja, z której powstało wszystko we Wszechświecie), wznosił się na niebo pewny człowiek, którego nazywano Zhen Wu. Ku jego chwale nazwano góry Wudang Shan.

Zgodnie z jedną z legend, w klasztorze w XII

stuleciu mieszkał mnich Zhan Sanfeng. Pewnego dnia, usłyszawszy na podwórku nieprzyjemny hałas, spojrzął za okno. Mnich zobaczył srokę, która siedziała na drzewie, i węża — na ziemi. Patrzyły sobie prosto w oczy. Każdego razu, kiedy sroka zlatywała z drzewa, żeby zaatakować węża, wąż obracał głowę w jej kierunku i wyginał się tak, żeby sroka nie mogła go dziobnąć. Obserwując je, Zhan odczuł olśnienie: można przeciwnika pokonać, uchylając się przed atakiem.

Według innej legendy, tę mądrą historię podpowiedział mu sam Zhen Wu, którego widział we śnie. Jak mówi przysłowie: «święty przekazał, mądry zrozumiał». Opanowawszy główną regułę sztuk walki, Zhan Sanfeng po wieloletnich treningach stworzył styl «miękkiego kierowania», który nazwano «wielka ostateczność» (taijiquan). Jeżeli dosłownie przetłumaczymy to słowo, otrzymamy, że «taj» oznacza «wielki», «ji» — ostateczność, «quan» — pięść.

Według jeszcze jednej wersji, tym, kto stworzył ten styl, był Zhan Sanfeng z Udana, który żył w XIV stuleciu, uczeń słynnego mistrza Cho Luna (Ognistego Smoka). Są, oczywiście również inne wersje pochodzenia tego stylu. Ale, tak czy inaczej, podstawowa reguła stylu taijiquan nie zmieniała się i tkwi w następujących postulatach: statyka stwarza dynamikę, podatne pokonuje twarde; powolne pokonuje szybkie, krótkie pokonuje długie. Czyli, na przykład, na gwałtowny atak rywala trzeba odpowiadać miękko i poda-

tliwie, amortyzując uderzenie, mówiąc prościej, przepuszczając do pustki. W konsekwencji rywal traci statyczność. Wystarczy tylko kilka gram, żeby pokonać siłę, równą tonie. O technice stylu taijiquan w chińskich kronikach pisano tak: «Ruchy są małe, a zmiany duże, podatne pokonuje twarde; pożyczwszy siłę rywala, wykorzystuje się ją; atak jest gwałtowny, oddziałującej się na punkty».

Taijiquan jest podobny do płynnego tańca. Na najwyższym poziomie mistrzostwa w tym stylu nie ma jakichkolwiek ruchów i zespołów ruchów, zachowano tylko podstawowe reguły. Ciało porusza się niby samodzielnie, wykonując w ramach dynamicznej medytacji swojego rodzaju dowolny taniec.

Ale żeby przejść do dużego, trzeba zacząć od małego. Więc i my zaczniemy od najprostszego ćwiczenia — «spychające ręce». Wykonują go pary. Trzeba, dotykając rękoma, miękko po kolei, spychać partnera, dla początkujących — po znanej trajektorii ruchu, dla bardziej zaawansowanych — po dowolnej trajektorii. To ćwiczenie rozwija reakcję na ruchy rywala, pozwala zgadywać jego zamiary. Czyli «przysłuchując się», gdzie on chce ruszyć, powinniście go oszukać — oderwać się od jego «przyczepiających się» rąk. W razie niedokładnego ruchu rywala, na przykład, kiedy zrobił gwałtowny ruch i stracił równowagę, przy pomocy lekkiego popchnięcia rzucacie go na ziemię. Ruchy powinny być rozluźnione, ale kontrolo-

wane przez świadomość. Również pokażę wam odpowiednie ćwiczenia oddechowe.

Te i pozostałe ćwiczenia można wykorzystywać również jako gimnastykę uzdrawiającą. Szczególnie w celach leczniczych taijiquan jest korzystna dla ludzi, przebywających w stanie stałego stresu, ponieważ płynne ruchy z równomierną szybkością wyrównują potencjały w korze mózgowej, zabezpieczając ją przed przeciążeniem. Ponadto, samo skupienie się myśli na ruchu odrywa człowieka od codziennych problemów, odnawia jego układ nerwowy. Oczywiście, ta gimnastyka trenuje również wszystkie stawy i więzadła. Jest korzystna dla wszystkich. Więc, kiedy wrócicie do domu, możecie nauczyć tej gimnastyki swoich tat i mam, babć i dziadków, żeby nigdy nie chorowali.

Chcę też zwrócić waszą uwagę na to, że starożytni mistrzowie gimnastyki taijiquan stanowczo domagali się od swoich uczniów «oczyszczenia, spokoju, braku negatywnych czynów, zachowania czystości serca, opanowania w swoich pragnieniach». Pod tym warunkiem człowiek nie tylko pokona wszystkie choroby, ale i zniszczy ego, oczyszczając w ten sposób drogę do doskonalenia swojego ducha. Byli pewni tego, że Niebo widzi «de» (duchowość, miłość) człowieka i w zależności od «de» człowiek otrzymuje nagrodę. Mądrość mistrzów, która dosza do nas z głębi wieków, jest aktualna również dzisiaj. Każdy z obecnych tutaj może maksymalnie wykorzystać tę wiedzę, i nie tylko dla własnej obrony,

ale i dla otwarcia swojego wewnętrznego świata, opanowania tajemnic przyrody i wszechświata. Zawsze warto jest pamiętać, że człowiek może osiągnąć wszystko, jeżeli ma pewny cel... Teraz przejdziemy do części praktycznej...

Zeszliśmy na bok, a Mistrz pokazał nam ćwiczenia oddechu w «Lepkich rękach». Następnie, po indywidualnej demonstracji chwytów przez Mistrza, prawie każdy z nas upadł na ziemię z głośnym śmiech kolegów, którzy już za chwilę przebywali w tym samym stanie. Bardziej poważni bojownicy po nieprawidłowym wykonaniu odlatywali na 3–4 metry. Najciekawsze, że wszyscy najpierw w ciągu dziesięciu minut śmiali się, ale po dwadziestu minutach, już milcząc i stękając, podnosili się, a już po trzydziestu minutach zajęli się rzeczywiście poważną pracą, całkowicie skupiwszy się na ruchach i dokładności ich wykonania. Nikt nie chciał być błaznem, padając po raz kolejny.

Szczególnie pięknie pracowali «szybcy chłopcy», w tym Staś i Gienek. Widocznie, od dawna już zajmowali się tą sztuką walki. Ich niepowtarzalna ruchowa improwizacja była podobna do wspaniałego tańca, pełnego nieprzewidywalnych i jednocześnie racjonalnych ruchów. I nawet kiedy ktokolwiek z nich popełniał błąd, od razu odlatywał, zwalając przy tym kilka innych osób. Więc żeby nie kaleczyć kolegów, ci chłopcy przenieśli się na skraj hali, prawie do samego wyjścia. Ale i tu Gienek i Staś wyprzedzili samych siebie. Pracując w trybie sparringu, Gienekna

jakaś chwilę odwrócił uwagę na otwierające się drzwi i otrzymał od Stasia tak mocne uderzenie, że odrzuciło go do samych drzwi i do tego jeszcze stanął przed wyjściem na czworakach. W tej chwili do hali wszedł solidny mężczyzna o niewiadomym wieku, o majestatycznej twarzy, podobnej do Ramzesa. Pachniał jakimś orientalnym aromatem. Był ubrany w szerokie palto, zza którego widniał drogi garnitur. «Ramzes» ze zdziwieniem spojrział na Gienka. Ale ten się nie pogubił i dotykając czołem podłogi, rytualnie powiedział:

— O, witamy cię, wielki Zhen Wu, najbardziej pożądanego gość naszego plemienia!

Następnie szybko się podniósł i ukłoniwszy się, jak wojownik, obrócił się i poszedł do Stasia, który ledwie się powstrzymywał, żeby nie zaśmiać się. Sensei z uśmiechem podszedł i przywitał się z gościem.

— Długo pracowałeś nad takim rodzajem powitania? — z silnym akcentem, łamanym rosyjskim językiem spytał «Ramzes».

— Proszę się na niego nie gniewać. Jest jeszcze młody i głupi. Stale coś myli.

«Ramzes» jeszcze bardziej się zdziwił z lekkim oburzeniem w głosie powiedział:

— Czyż jestem podobny do chińczyka?

— Nie, oczywiście, że nie... — i tu Sensei powiedział parę słów w jakimś niezrozumiałym języku.

«Ramzes» roześmiał się i odpowiedział. Tak, rozmawiając w melodyjnym bardzo przyjemnym



języku, poszli do osobnego gabinetu, przeznaczonego dla nauczycieli wychowania fizycznego. Zwróciłam uwagę na to, że miał taki sam chód, co i Sensei.

Kiedy drzwi zamknęły się, Staś nie wytrzymał i roześmiał się, od razu otrzymując uderzenie od Gienka. Upadł z olbrzymim hukiem na ławki, i przez pięć minut nie mógł się podnieść, cały czas śmiejąc się. Ten śmiech mógł trwać do końca treningu, ale starszy senpai, który odpowiadał za dyscyplinę podczas nieobecności Mistrza, pokazał im swoją dużą pięść, i chłopcy szybko zapomnieli o tym i wzięli się do roboty.

Rozpierała mnie ciekawość, ponieważ chciałam się dowiedzieć, kim jest ten tajemniczy gość. Ale wszystkie moje próby dowiedzenia się tego od starszych chłopców skończyły się niepowodzeniem. Dali mi do zrozumienia, że nigdy nie wtrącają się w sprawy Mistrza.

Po jakichś trzydziestu minutach, pod koniec treningu «Ramzes» razem z Mistrzem wyszedł z gabinetu potwierdzając coś z uśmiechem. Pożegnali się jak dawni, starzy znajomi, sciskając ręce. Po odejściu tego tajemniczego gościa Sensei z taką samą łatwością przestawił się na język rosyjski i zaczął tłumaczyć, jak gdyby nigdy nic, błędy, które wykrył u chłopaków. Był wyraźnie podniecony.

W domu, jak zawsze, zapisałam najciekawsze rzeczy do swojego pamiętnika. Wizyta tego tajemniczego obcokrajowca wywołała dużą ilość pytań bez odpowiedzi. Zdecydowałam zostawić

rozwiązanie tej zagadki na «potem». Jak lubił powtarzać Sensei «Na Ziemi nie ma nic tajemniczego, co by w pewnej chwili nie stało się rzeczywistym». Z taką optymistyczną prognozą na przyszłość kontynuowałam swoją działalność obserwatora.





**P**odczas zajęć duchowych ćwiczyliśmy poprzednie medytacje. Wszystko szło jak zwykle, tylko że Mikołaja Andrejewicza nie było przez cały tydzień.

To nie było do niego podobne. W końcu nasz psychoterapeuta wrócił w stanie pełnego zdrowia i nawet w dobrym humorze. Przyszedł przed rozpoczęciem zajęć, kiedy na polanie już stała nasza wesoła grupa razem z Mistrzem, Gienkiem i Stasiem. Oczywiście Mikołaja Andrejewicza świeciły się niezwykłą radością i podnieceniem.

Szybko przywitawszy się ze wszystkimi, zaczął ze wzruszeniem opowiadać, zwracając się do Mistrza:

— W reszcie zakończyliśmy eksperyment, wszystko się potwierdziło. Wyniki są wręcz szokujące... Ta technika zmiany świadomości, którą pan pokazał — przecież ona całkowicie zmienia obraz świata, wszystkie wyobrażenia o otaczającym nas świecie... Zresztą, wszystko po kolei...

Nasi chłopcy patrzyli na niezwykle podniece-

nie Mikołaja Andrejewicza. Sensei go uważnie słuchał, paląc papierosa.

— ...Wybrałem mniej więcej odpowiednią kandydaturę. Leczył się u nas jeden taki człowiek, zagorzały alkoholik. Dwie klasy edukacji, do tego w internacie. Wychowywał się w domu dziecka. Jest sierotą powojennym. Wojsko, kopalnie, stały alkoholizm — i tak przez całe życie. Ale kiedy go wprowadziłem do zmienionego stanu świadomości, opowiedział mi pewne rzeczy, do tego jeszcze w jakimś starożytnym rosyjskim języku, którymi moi koledzy, obecni podczas eksperymentu, byli wręcz zdumieni. Zapisaliśmy wszystko na taśmę i odnieśliśmy do znajomego profesora, historyka, znanego specjalisty w tej dziedzinie. Wynik wyprzedził wszystkie nasze oczekiwania. Zdziwiło to nawet samego profesora. Okazało się, że ten człowiek mówił w języku drewlan. Profesor powiedział nam, że to takie starożytne plemiona wschodniosłowiańskie. Nasz podopieczny w szczegółach opowiadał o życiu w siódmym stuleciu, i wiele z jego historii nie tylko potwierdzało się z wynikami odpowiednich badań i prac wykopaliskowych, ale również informacje, które są na razie nieznanie nauce. Też wspominał o miejscowości, w której niby mieszkał, rzekę Słucz. Na końcu opowiedział o swoim konflikcie z człowiekiem z plemienia Drehowiczów. Wszystko zbiega się w szczegółach ze współczesnymi danymi historii... Pan nie może sobie nawet wyobrazić, jaki to jest przełom w nauce! Tylko dla czystości eksperymentu trzeba będzie potwierdzić te dane jeszcze kilka razy. Trzeba je uzasadnić pod

względem naukowym. Znalazłem jeszcze jednego kandydata...

— Zaczekaj, zaczekaj, przecież umawialiśmy się. Dam ci, a ty spróbujesz. I tyle — kategorycznie odpowiedział Sensei.

— Ale proszę mnie prawidłowo zrozumieć. To jest bardzo cenne dla światowej nauki...

— Wszystko rozumiem — spokojnie odpowiedział Sensei. — Ale rozmowa była nie o światowej nauce, a o tobie. Chciałeś upewnić się — upewniłeś się. A dla światowej nauki jeszcze nie pora.

Mikołaj Andrejewicz zamilczał i trochę się uspokoiwszy, powiedział:

— Szkoda... Ale to był przełomowy eksperyment. Byłem o tyle przekonany, że... a ty, po tym ... To udowadnia, że... Co tam, to w ogóle wszystko zmienia...

— No i dobrze. Najważniejsze, że zrozumiałeś.

— Zrozumiałem?! To za mało powiedziane... To jest zupełny przewrót w świadomości, to jest potężna rewolucja rozumu. Nie tylko upewniłem się w prawdziwości twoich słów, ale uwierzyłem o tyle, że jestem gotów oddać duszę za ciebie!

Sensei uśmiechnął się i z zadumą powiedział:

— Gdzieś to już słyszałem... Ach tak... Dokładnie. Tak mówił Piotr Jezusowi, przed tym jak trzy razy się go wyrzekł.

Ale Mikołaj Andrejewicz zaczął z całych sił zapewniać, potwierdzając przy pomocy swoich «poważnych» argumentów. Sensei tylko uśmiechał się, milcząc, a potem w ogóle zaczął rozmowę na temat medytacji.



**Z**ajęcia duchowe nabierały w moim życiu coraz większego znaczenia. Takie proste i dostępne, stopniowo zmieniały moją wizję świata. Wewnątrz mnie powstawały jakieś nowe uczucia. Zaczę-

łam postrzegać wszystko w zupełnie inny sposób, niby otwierając dla siebie inną stronę rzeczywistości.

Nawet przyroda, powietrze, których wcześniej nawet nie zauważałam, przemieniały się na szczególną materialną strefę zamieszkania, którą odczuwałam w formie lekkiego ciśnienia ze wszystkich stron, cobym nie robiła. To uczucie było podobne do uczucia sprężystości wody, kiedy zanurzasz się w niej. Ale w przypadku powietrza wszystko było o wiele lżejsze. Oczyszczająca mnie przyroda stała się jaskrawszą, kolory stały się bardziej nasycone, jakby ktoś usunął z moich oczu kurtynę z pyłu.

A na ulicy już szalała wiosna, ożywiając całą przestrzeń miast swoją świeżą, seledynową zielenią. Świat przyrody istniał zgodnie z własnym

cyklem, jakby chcąc zademonstrować swoją potęgę i niezależność od drobnych istot, które go zaludniły. Ta żywa istota miała swoją tajemnicę życia i śmierci, którą starannie chroniła przez całe swoje życie.

W obcowaniu z Mistrzem czas leciał bardzo szybko, więc wkrótce nadeszła pora przygotowań do matury. Ale, szczerze mówiąc, nie chciałam tracić na to mojego bezcennego czasu. Chociaż dobrze zdawałam sobie sprawę, że egzaminy i dalsza nauka wcale nie są drobiazgami, są ważne i niezbędne. Jak mówił Sensei, człowiek powinien stale rozwijać się pod względem intelektualnym, oraz rozszerzać swój widnokrąg, swoją wiedzę o wszystkim i wszystkich, i tam, gdzie jest to możliwe, dążyć do wiedzy. Ponieważ właśnie przez poznanie, poznanie siebie i otaczającego świata, człowiek dojrzewa i przychodzi do Boga.

Podczas duchowych zajęć oraz treningów Mistrz nadal zadziwiał nas własnymi przykładami, szerokością i głębią swojej wiedzy. Podczas ogólnych treningów dawał nam to, co nasz mózg z łatwością przyswajał, jak się mówi, bez skandalu. Były to uderzenia z różnych technik, gimnastyka uzdrawiająca, przeanalizowana z różnych punktów widzenia: medycznego, strategicznego, filozoficznego. A podczas dodatkowych zajęć jego mieliśmy możliwość zobaczyć zagadkowe demonstracje zwłaszcza, kiedy wszyscy uczniowie opuszczali halę. Pewnego razu zdarzył się przypadek.

Podczas jednego z treningów, kiedy uczniowie głównie ćwiczyli uderzenia, rozdzieliwszy się na pary, Sensei stał koło nas i pokazywał Andrzejowi skomplikowane uderzenie z podcięciem. Trzeba powiedzieć, że tego dnia Sensei był jakiś zamyślony, pogrążony w swoje myśli. Nieoczekiwanie zatrzymał się, obrócił się i z niepokojem popatrzył w przeciwną część hali, w której ćwiczyli w trybie sparringu Wołodja i Wiktor. Ale ich sparring był jakiś dziwny. Wołodja przeprowadzał agresywny, szorstki atak, zgrabnie i szybko atakując rękami i nogami swojego partnera. Przy tym Wiktor z całych sił odbijał jego ataki, coraz częściej przepuszczając uderzenia. Sensei od razu klasnął w dłonie i krzyknął «Jame!», co oznacza «Stop!» Ale Wołodja, który widocznie był tak pochłonięty przez hazard sparring, że po prostu nie usłyszał komendy, chociaż wszyscy uczniowie obrócili się w stronę Mistrza. I tu odbyło się coś niezwykłego.

Sensei błyskawicznie machnął ręką, zrobił ruch w powietrzu, imitujący uderzenie. I w tej samej chwili Wołodja odleciał na bok po takiej trajektorii, jakby Sensei stał obok niego, a nie obok nas. Aż nam dech zaparło od tego, co zobaczyliśmy. W hali zapanowała cisza. Trzeba powiedzieć, że Mistrz wtrącił się w samą porę. Ponieważ jedno dokładne uderzenie Wołodji mogło wyrządzić Wiktorowi poważną krzywdę. Biedny Wiktor i tak skurczył się z bólu, usiłując złapać wdech, po niebezpiecznym uderzeniu przy pomocy specjalnej techniki, którą Sensei



kiedyś pokazywał podczas zajęć dodatkowych. Tym czasem Wołodja, który przeleciał z pięć metrów, usiłował dojść do siebie po tym uderzeniu, z całych sił rozcierając miejsce, do którego Mistrz trafiłby, gdyby był obok.

To wszystko wydarzyło się na oczach uczniów w ciągu jakiejś sekundy. Chociaż widziałam to na własne oczy, nie mogłam w to uwierzyć. W moim rozumie po prostu się nie mieściło to wszystko, chociaż byłam przygotowana do podobnych niespodzianek Mistrza. Literalnie przez chwilę cały tłum uczniów przeżył burzliwe emocje. Andrzej, nie odrywając oczu od Wołodji, pociągnął stojącego obok Gienka za rękaw:

— Widziałeś, co to było?

Gienek widocznie był w szoku:

— Cierpliwości, dziecko, ponieważ mój duch jeszcze drga od tego cudu.

Tymczasem Mistrz zmienił się na twarzy, niby żałując tego, co zrobił. Podeszedł do Wołodji, wykonał parę ruchów ponad jego ciałem, coś mu przy tym mówiąc, widocznie, oburzając się z przyczyny jego ataku. Wołodja coś odpowiadał, ruszał ramionami i ze wstydem spuścił oczy. Wszyscy byliśmy pod wrażeniem od tego, co się stało. Cała lawina pytań runęła na Mistrza, ale on nie zbyt chętnie odpowiadał na te pytania.

— Ale co to było za uderzenie? — pytali jeden przez drugiego chłopcy.

— Co mam wam powiedzieć — wzdychając powiedział Mistrz. — Obejmuje ono energię psychiczną człowieka. Nie ma tutaj nic zasługu-

jącego na uwagę. To tylko jeden ze stopni duchowego rozwoju w sztukach walki.

— To znaczy, można się tego nauczyć?

— Oczywiście, że można.., jeżeli nie zabraknie ci cierpliwości.

Sensei wznowił przerwane zajęcia, żeby, jak się mnie wydawało, szybciej zapomnieć o tym przypadku. Dla większości uczniów ten trening skończył się podwyższoną dawką adrenaliny we krwi i odpowiednimi optymistycznymi prognozami, dotyczącymi ich przeszłości.

W odróżnieniu od innych, nasza grupa milcząco obserwowała te wydarzenia. Ponieważ byliśmy pewni tego, że podczas dodatkowych zajęć Sensei nigdzie się nie schowa przed naszymi pytaniami.

Przed dodatkowymi zajęciami humor Mistrza trochę się poprawił. A jego dobry nastrój — to pozytywny znak. Starsi chłopcy od razu z tego skorzystali. Podczas dodatkowych zajęć wręcz «terroryzowali» Mistrza swoimi pytaniami, chcieli znów zobaczyć «coś podobnego». Sensei najpierw żartował, ale pod ich natarciem postanowił zademonstrować tak zwany «ekran obronny». Poprosił nas, abyśmy znaleźli parę przedmiotów.

Pobiegliśmy do pokoju z dodatkowymi przyrządami sportowymi, wzięliśmy tam co mogliśmy. Chłopcy wzięli kije, piłki do koszykówki. Andrzej wziął swoje nunczako. Długo myślałam, co mam wybrać. I w końcu wybrałam piłkę tenisową. Ponieważ myślałam, że jeżeli Mistrzowi

coś nie wyjdzie, piłka chociaż lekko uderzy go. Prawda Sensei nigdy nie mylił się w swoich ruchach. I to dodawało jeakiegoś osobliwego szacunku co do jego możliwości.

Kiedy «uzbroiliśmy się» Sensei stanął w odległości 7-8 metrów. Skupiwszy się podniósł ręce, rozłożywszy je w różne strony. Po kolei zaczęliśmy rzucać w jego kierunku różne przedmioty w miarę naszych sił. O dziwo, mimo wszystkich naszych starań te wszystkie przedmioty przelatywały obok niego, zmieniając trajektorię swojego ruchu na odległości około pół metra od jego dłoni. Wiktor, Staś i Wołodja postanowili obejść Mistrza z drugiej strony, żeby spróbować rzucać przedmioty od tyłu. Ale Sensei nawet nie zmienił swojej pozycji, jedynie szerzej rozsunął ręce. Mówiąc krótko, mimo wszystkich naszych starań i eksperymentów, żaden przedmiot nie trafił Mistrza.

Nawet nie zrozumiałam, albo wszyscy stracili wzrok, albo obok niego stała jakaś niewidoczna ściana. Mój rozum sprzeciwiał się właśnie temu dowodowi, usiłując dowieść, że czegoś takiego nie może być. I właśnie to zmusiło mnie rzucić moją piłkę tenisową bez żadnej litości w tę niewidoczną ścianę, żeby się upewnić, że ta przeszkoda rzeczywiście istnieje. Myślę, że pozostali chłopcy też mieli takie samo uczucie, więc ich hazard zmienił się w zamęt.

W moich oczach postać Mistrza zmieniła się w postać jakiegoś niezwykłego, nadprzyrodzonego stworzenia. I mój rozum zaczął wrzeć od tego

niezwykłego prawdopodobieństwa. Tymczasem Sensei usunął ten «ekran ochronny» i zaczął tłumaczyć zasadę jego działania, nastawiając pracę naszej logiki na normalny tryb. I tu zauważyłam, że podczas, gdy słuchałam Mistrza, znów pojawiły się wewnątrz mnie nutki zawiści, czyli zwierzęcego pierwiastka. Najpierw niby przypadkiem, ale potem mocniej i mocniej. Następnie do mojego rozumu zaczęły się wkradać wątpliwości, mimo to, że Sensei tłumaczył to wszystko w sposób prosty i dostępny, a do tego, widzieliśmy to wszystko na własne oczy.

W końcu przyłapałam się na myśli o tym, że słuchając przemówienia Mistrza o duchowych możliwościach, sama miewam brudne myśli powiększającej się manii wielkości. «Oho! — pomyślałam. — Na takim egoistycznym tle wszystkie pozytywne myśli polecą mimo uszu. Przecież mój rozum będzie wybierał ze słów Mistrza właśnie to, czego potrzebuje mój pierwiastek zwierzęcy, a nie duchowy. To znaczy, że wtedy nic mi się nie uda... Więc trzeba się skupić na czymś pozytywnym... Potrzebuję tej wiedzy dla dobrych czynów, dla poznawania swojej istoty. Nie chcę wyrządzać komukolwiek szkody. Niech wszyscy żyją w pokoju i Miłości. We mnie absolutnie nie ma zła i zawiści. Wszyscy są dobrzy i warci swojego życia. Najważniejsze dla mnie — to doskonalenie własnej duszy». Nastawiając się w ten sposób, zaczęłam uważnie słuchać Mistrza. Tymczasem zaczęli już rozmawiać o uderzeniu na odległość.

— ... to jest bardzo potężne uderzenie — odpowiedział Mistrz — tu chodzi o psychiczne siły człowieka.

— Ale jak się odbywa takie uderzenie na odległość? — spytał Staś.

— W sumie odległość — to iluzja, ponieważ w waszym wyobrażeniu ma miejsce w swoim rodzaju projekcja uderzenia. Ale faktycznie ma tu miejsce trochę inna fizyka, czyli przestrzeń cały czas się kurczy. Więc ten, kto nanosi to uderzenie, również jak i ten, kto go otrzymuje, odczuwają stały cielesny kontakt.

— I ta wiedza jest z «Belao Zi»? — zapytał Wiktor.

— Tak. Jest to specjalna technika «Lotosu» z Kunsztu «Karający miecz Szambali». Ten Kunszt opanowali ludzie z Szambali... Kiedyś bardzo dawno temu, Mistrzowie «Lotosu» często wychodzili do świata. Doskonale opanowali nie tylko styl «Stary lama», ale również Kunszt «Karający miecz». Taki Mistrz mógł sam zniszczyć ogromne wojsko. Do tej pory na Wschodzie krążą legendy o Wojownikach, którzy przychodzili niewiadomo skąd i odchodzili w niewiadomo gdzie. Ale tam, gdzie przybywali, cieszyli się wielkim uznaniem wśród miejscowego ludu, który nie miał lepszej ochrony, niż oni. Ci Mistrzowie panowali nad energią, która jest o wiele bardziej potężna, niż najnowocześniejsza broń. Dla ludzi, nie posiadających wiedzy o tej sztuce najstraszniejszą rzeczą jest otrzymanie śmiertelnego uderzenia niewiadomo skąd.

Z biegiem czasu wyjście takich Mistrzów w świat przestało być konieczne. Ale oczywiście to wcale nie znaczy, że Kunszt «Karającego miecza» zniknął. W granicach Szambali jest człowiek, które został specjalnie wytrenowany, żeby wykonywać decyzję rady Bodhisattw. Przypomnijcie sobie, kiedyś wam opowiadałem o tym, że Szambala nigdy nie dopuści tego, żeby ktoś opanował cały świat albo wykorzystywał wiedzę duchów dla złych czynów przeciwko ludzkości. Tak więc ten Mistrz realizuje takie decyzje w praktyce, nawet nie opuszczając swojego pokoju. Dla tego wystarczy, żeby machnął swoim «Płatkim lotosu», specjalnym mieczem rytualnym, trochę podobnym do krótkiej tureckiej szabli. Przy okazji, sama nazwa sztuki walk pochodzi od nazwy «Karający miecz Szambali».

Nieliczne dowody działalności tego Mistrza można znaleźć i dzisiaj. Zagadkowe przypadki niektórych śmierci do tej pory pozostają tajemnicą, w tym nie tylko dla anatomopatologów. Na przykład, podczas rozcięcia stwierdzają, że serce jest rozcięte na połowę jakimś ostrym narzędziem, a otaczające go organy są w stanie nienaruszonym. Ale są również «niewytłumaczalne» przypadki, kiedy na oczach licznej ochrony ciało zostaje pocięte na kawałki, niby mieczem, a ubranie pozostaje w stanie nienaruszonym. Czyli przed tą karą nie sposób się ukryć, niezależnie od tego, jak bardzo zabezpieczona jest ta osoba, która zawiniła (przez nowe technologie albo przez całą armię). I to jest główna przyczyna

lęku wszystkich tyranów w obliczu Szambali. Dlatego wszyscy szukają z nią kontaktu, ponieważ zdają sobie sprawę z tego, że niezależnie od stopnia ich potęgi i wpływu, są bezsilni w obliczu Szambali.

Sensei milczał, ale mi się wydawało, że w moich uszach jeszcze rozbrzmiewa echo jego słów. Wszyscy chłopcy siedzieli w zadumie, pewnie, jak i ja, byli wstrząśnięci przez to, co usłyszeli. Nikt nie ośmielał się przerwać to milczenie, spodziewając się na to, że Mistrz coś doda do tej niezwyklej informacji. W reszcie Wołodja nie wytrzymał i powiedział basem:

— Ten Mistrz «Karającego miesza» posiada chyba energię, podobną do energii elektrowni atomowej, skoro dla jego uderzeń odległość nie ma znaczenia.

— Energia atomowa, w porównaniu do tej siły, jest tylko dziecięcą zabawką. Ludzkość z przyczyny przeważania pierwiastka zwierzęcego nie zna wszystkich swoich możliwości i rzeczywistych sił...





**P**o treningu nasze emocje z powodu tego, co zobaczyliśmy, przelewały się przez kraj. Myśli o własnych możliwościach nie dawały nam spokoju. Chcieliśmy osiągnąć wszystko na raz. Dlatego nasz optymistyczny nastrój odbijał się na

codziennych treningach ciała i umysłu. I kiedy nadeszła pora kolejnych zajęć duchowych, po prostu zasypaliśmy Mistrza swoimi pytaniami. Patrząc na cały ten zamęt, Mistrz powiedział:

— Chłopcy, to uderzenie na odległość, jest konsekwencją oddziaływania energii Qi i te, jak to wszystko nazywacie, «cuda», które wam pokazuję — są drobiazgami, nie wartymi waszej uwagi. Prawdziwa siła tkwi w waszej duszy. Właśnie ją trzeba poznawać i rozwijać, właśnie ją trzeba się zachwycać. Boska Miłość duszy, połączona z umysłem człowieka — oto prawdziwy Cud. A to wszystko, co widzieliście — jest jedynie efektem ubocznym różnych stopni duchowego rozwoju. To wszystko jest puste, nie warto na tym się zamykać.



— Ale dlaczego jest puste — powiedział Mikołaj Andrejewicz. — Przecież cuda rodzą wiarę.

— Tak, cuda tworzą wiarę. Ale spróbujmy zrozumieć, jaką wiarę. Co odbywa się z człowiekiem, kiedy tworzy cuda, czyli czyny, które są niezrozumiałe dla mózgu. Przede wszystkim, wstrząsa to jego psychiką. Psychika po prostu odmawia posłuszeństwa, ponieważ człowiek nie posiada wystarczającej informacji objaśniającej to zjawisko. I ponieważ nasz mózg posiada właściwości samooczyszczenia, samozachowania i samoobrony, to błyskawicznie włącza funkcje kompensacyjne, czynnik ochronny mózgu. Mówiąc językiem fizjologii, strefy mózgu, grupy komórek nerwowych nie mogą brać pełnowartościowego udziału w działalności nerwowej. I tu odbywa się coś bardzo ważnego. Jeżeli w człowieku przeważa pierwiastek zwierzęcy, zaczyna albo wewnątrznie zaprzeczać temu zjawisku, uważając to, co się odbywa, za nie-realne, za jakieś sztuczki, albo pragnie tego wszystkiego się nauczyć w celu zadowolenia własnych interesów materialnych, zadowolenia manii wielkości.

Człowiek, który panuje nad równowagą zwierzęcego i duchowego pierwiastka, zaczyna miotać się w myślach od jednej skrajności do drugiej. Czyli dzisiaj «ślepo» wierzy w to, a jutro już się zaczyna wątpić, pojutrze już zaczyna wątpić w swoje wątpliwości i tak dalej. Krótko mówiąc, toczy się wewnątrz niego walka dwóch pierwiastków w umyśle.

A w człowieku, w którym przeważa pierwiastek duchowy, na podstawie wiary tworzy się chęć przebadania tego zjawiska, poznania jego możliwości i tajemnic przyrody dla samego procesu poznania, dla doskonalenia jego duszy. Jego początkowa obawa przed nieznaną tego zjawiska jest przygłuszona, a w procesie poznania w ogóle całkowicie znika, przemieniając «ślepa» wiarę na wiedzę, czyli na prawdziwą wiarę.

Ale chłopcy, po co wam to wszystko opowiadam i pokazuję? Żeby popatrzeć na wasze myśli, na poziom przewagi u was pierwiastka zwierzęcego nad pierwiastkiem duchowym. I, co najważniejsze, dlaczego tracę tyle czasu na tłumaczenie każdego fenomenu? Dlatego, żeby trochę obudzić wasz śpiący w materialistycznych kajdanach umysł, zmusić go do zastanawiania się nad wiecznymi tajemnicami przyrody, nad własną niepoznaną duszą, o Bogu. Przecież im więcej poznajecie samych siebie, tym bliżej jesteście Boga, do tego wiecznego i niewzruszonego, co realnie istnieje zawsze.

**Czym jest wasze życie cielesne w porównaniu do Kosmosu — niczym. W porównaniu do Wszechświatów, planet człowiek w ogóle nie istnieje. Jego życie — to nierealna realność, po prostu mgnienie oka w myśli Boga...**

— Jak to? — nie zrozumiał Gienek.

— Kiedyś opowiem wam o tym więcej... **Wasze ciała istnieją w zamkniętym cyklu czasowym, w którym macie, czyli wasza dusza ma**

**wszystkie warunki dla pełnowartościowego dojrzewania. Ale powinniście zrozumieć to przy pomocy własnego umysłu i połączyć się razem z nim, z waszą duszą w waszych wspólnych dążeniach. Wtedy wasze życie nabierze prawdziwego sensu. Ponieważ dla Boga, całego Kosmosu, cenną jest wasza dojrzała dusza, a nie nicość materialnych ciał, które ona zmienia podczas swojego rozwoju...**

**Czyli, rzeczywista, prawdziwa wiara rodzi się z wiedzy. A wiedza przychodzi przez słowo, przez przekonanie umysłu w prawdziwości odbywającego się zjawiska. A cuda, tak na serio, są swojego rodzaju sprawdzianem wewnętrznego stanu rozwoju indywiduum. Tę metodę sprawdzania stosowali podczas swojej praktyki ziemskiej ci, którzy posiadali prawdziwą wiedzę w zakresie nauki «Beliao Zi»... Chociaż był taki niezwykle człowiek — Sathya Sai Baba, który postanowił przy pomocy demonstracji prawdziwych cudów nawrócić ludzi ku Bogu.**

Mikołaj Andrejewicz zamyślił się:

— Chyba znam to imię... A czy nie jego pokazywano w telewizji, tarł Gorbaczowa stopą po głowie, błogosławił go?

— Tak, tak, tak — uśmiechnął się Sensei.

— Jeszcze go nazywano wcieleniem Boga na ziemi... Awatarem.

— Awatara — poprawił go Sensei. — Ale «awatara» z sanskrytu tłumaczy się jako «zejście» albo «schodzenie».

— Tak, Awatara. Mówił, że niby Awatar przybiera postać człowieka, żeby wznieść poziom rozwoju ludzkości o jeden stopień wyżej, żeby wprowadzić go do nowego stulecia.

— Masz absolutną rację. «Żeby uratować tonącego, trzeba skoczyć do wody, czyli wcielić się» — tak lubił powtarzać.

— Ale kim on jest? — z ciekawością spytaliśmy.

— Sai Baba — do wielka dusza. I ponieważ ludzka cywilizacja jest obecnie na progu wielkich zmian w przecenieniu swojego rozwoju duchowego i następujących wydarzeń, Sai Baba postanowił wziąć udział w tej sprawie. Zamierzał zdziwić cały świat swoimi cudami. Sai Baba długo przygotowywał się do swojej misji, wypracowując nową teorię wpływu cudów na duchowy rozwój człowieka. Najpierw zapowiedział w Upaniszadach swoją potrójną reinkarnację w epokę techniki. Ale następnie, kiedy nadszedł czas, zaczął sprawdzać swoją teorię w praktyce. Czyli najpierw wcielił się do postaci Sai Baby ze wsi z Szirdi w 1872 roku w Indii. Przez całe życie tworzył cuda, czytał myśli, mógł pokonywać przestrzenie, przyjmować dowolną postać materialną i tak dalej. Umarł w 1918 roku, powiedziawszy przed śmiercią, że znów wróci na ziemię na południu Indii po ośmiu latach.

Właśnie tak było. W 1926 roku w Puttaparthi, dalekiej wsi na południu Indii urodził się Sathya Sai Baba. W 1940 roku został obwieszczony nowym Awatara. I do tej pory czyni cuda. A kiedy nadejdzie czas odejść, znów przeistoczy

się jako Prema Sai. I już zapowiedział nie tylko datę i miejsce swojego następnego wcielenia między miastami Bangalore i Mysore, ale i imiona swoich przyszłych rodziców.

— A czy prawdą jest to, co mówili w telewizji, że niby może lewitować, czyli zjawiać się w kilku miejscach na raz i co najciekawsze, materializować w dużej ilości wszystko, od brylantu do ciasteczka. Mówi się, że po prostu dostaje je z powietrza? Czy to jest kolejna «kaczka»? — spytał Mikołaj Andrejewicz.

— Nie. To jest na prawdę tak.

— Ale przecież to jest nierealne!

— Właśnie, że jest. Ale w demonstracji cudów, czyli tego, co jest na razie tajemnicą dla ludzkości tkwi główny błąd. Ci, którzy widzieli jego cuda, dziwią się i myślą, a ci, którzy nie widzieli, śmieją się z tych iluzjonistów. Ci ostatni, niestety, stanowią większość. Ale pełni swoją misję sumiennie, daj Boże, żeby pomógł ocknąć się jak największej ilości ludzi. Tym nie mniej prawdziwe obudzenie się duszy odbywa się przez słowo.

— Ale czy on rzeczywiście jest Bogiem? — spytał Rusłan.

— Wiesz, ludzie dość często zadają to pytanie. Ale odpowiedź jest bardzo prosta i prawdziwa. Jak mówił Sai Baba: «I ty jesteś Bogiem. Jedyna różnica między tobą a mną tkwi w tym, że ja wiem, że ja jestem Bogiem, a ty nie wiesz».



**P**odczas następnego treningu w hali było tylu ludzi, że nie było gdzie szpilki wetknąć. Sądząc po tym, że przybyli nowicjusze, plotka o energetycznym uderzeniu szybko się rozpowszechniła

nie tylko w naszym mieście. Nigdy jeszcze nie ćwiczyliśmy w takiej ciasnocie. Andrzej i Kostja zaczęli się burzyć z powodu takiego tłumu, który «przybiegł» do ich hali sportowej. Ale starszy senpai szybko postawił chłopców na swoje miejsce, przypominając im o tym, że kiedyś oni też byli takimi nowicjuszami z tłumu, ale nikt im słówka złego nie powiedział. Ponadto jeszcze przypomniał im słowa Mistrza, **że trzeba szanować dążenie innych ludzi do poznania, nie przyjmować ich z wrogim nastawieniem własnego egocentryzmu.** Chłopcy ze wstydu zamilkli i już w trakcie całego treningu nie powiedzieli żadnego złego słowa. A Andrzej, który widocznie postanowił zrehabilitować się w oczach starszego senpaja, zaczął nawet pomagać nowym uczniom przyswajać nowe ruchy.

Kiedy uczniowie już ćwiczyli chwyt swobodnego programu, ktoś zawołał Mistrza do wyjścia. W tej chwili my z Tatianą ćwiczyłyśmy koło drzwi, ponieważ w hali sportowej, nawet przy otwartych drzwiach było bardzo duszno. Trzech skromnych mężczyzn, z których jeden miał około pięćdziesiątki, a dwóch pozostałych miało około trzydziestu lat, delikatnie zapukali do otwartych drzwi, zwracając naszą uwagę. I ponieważ byłyśmy pierwsze, kogo zobaczyli, to zapytali, jak się nazywa nasz Mistrz i poprosili aby go zawołać. Oczywiście, wykonałyśmy ich prośbę. I kiedy Sensei podszedł do nich, zaczęli z nim o czymś rozmawiać.

Najpierw nie wnikałam w temat ich rozmowy, zajmując się własnymi sprawami. Ale słowa, które dolatywały do moich uszu, wzbudzały we mnie coraz większą ciekawość. Ci mężczyźni byli przedstawicielami jakiejś sekty religijnej, które ostatnio rosły w naszym mieście, jak grzyby. Pewnie, dowiedzieli się, ilu młodych ludzi ćwiczy w hali sportowej, i postanowili zaprosić Mistrza i jego uczniów do Sali kinowej, w której będą prezentować bezpłatny film o Jezusie Chrystusie. Sensei uprzejmie podziękował za zaproszenie, lecz nie obiecał im nic konkretnego. Ale główny z nich, jak się okazało, ich prezbiter, zaczął zadawać Mistrzowi naprowadzające pytania o tym, co wie o Jezusie i jak odnosi się do Jego nauki.

Na początku Sensei odpowiadał uprzejmie i lakonicznie, dając do zrozumienia, że jest właśnie trening. Ale prezbiter nie śpieszył się

zegnać z Mistrzem, starając się wytłumaczyć odpowiedzi Mistrza z punktu widzenia właśnie ich Kościoła, ich «prawdziwej» wizji nauki Chrystusa. Ale chyba po dziesięciu minutach, ta rozmowa Mistrzowi się znudziła, ponieważ łatwo i w sposób argumentowany zaczął ze szczętem rozbijać wszystkie jego dowody, opierając się na datach, cyfrach, które, widocznie, nie były znane temu prezbiterowi. Tymczasem nasza grupa już opuściła halę sportową. Żeby usłyszeć, o czym rozmawiają Gienek ze Stasiem wyszli za nimi. Następnie Rusłan z Jurkiem, którzy też ćwiczyli koło wyjścia.

— ... Czyż nie chcecie wiecznie żyć w raju, w Królestwie Boskim — powiedział prezbiter spokojnym głosem.

— Wiecznie na ziemi, w raju?! — uśmiechnął się Sensei.

— Proszę pochwycić nie odrzucać wiecznego życia jak nieziszczalne marzenie — przerwał mu prezbiter. — Proszę zwrócić uwagę na to, jaką strukturę ma wasz organizm. Przecież praktycznie nic o nim nie wiecie. Wszystko jest w nim przemyślane. Mamy słuch, wzrok, smak, węch, dotyk. Na ziemi jest tak wiele rzeczy, które przynoszą radość dzięki naszym narządom zmysłów: smaczne jedzenie, przyjemne stosunki przyjacielskie, piękne krajobrazy i tak dalej. Możemy cieszyć się z tego wszystkiego dzięki naszemu mózgowi. Wie pan, że mózg jest doskonały i wyprzedza jakąkolwiek maszynę cyfrową, dowolny super-komputer?! Czyż pan myśli, że



nasz Stwórca chce, żebyście umarli i stracili to wszystko? Czyż nie logicznie by było wyciągnąć wniosek, że Stwórca chce, żeby pobożni ludzie żyli wiecznie?

— Szczęśliwie i wiecznie w ciele na ziemi?! Czy pan zdaje sobie sprawę z tego czego pan uczy innych ludzi — spytał Mistrz. — Jaki może być wieczny raj w ciele? Każde ciało, każda struktura biologiczna potrzebuje waszej stałej uwagi. Czyli chce mu się jeść, czasami choruje, męczy się albo rząda rozkoszy. I pan nazywa tę materię rajem i marzy o wiecznym życiu z jego biologicznymi potrzebami?! Przecież to jest wieczne piekło, a nie wieczny raj!

— Skoro pan tak uważa, dlaczego według pana, Bóg stworzył ciało człowieka?

— Bóg stworzył ciało człowieka jako wygodną formę ocalenia i zabezpieczenia dojrzewającej duszy. Nawet w Biblii, którą pan trzyma w rękach, powiedziano: «kiedy to Pan Bóg ulepił człowieka z prochu ziemi i tchnął w niego tchnienie życia i stał się człowiek duszą żywą».

— Ale przecież prawdziwy sens tych słów tkwi w czymś innym — pouczająco powiedział prezbiter. — Dziejopisarzom Biblii, wykorzystującym słowo «duch» w takim kontekście, nie chodziło o niedostrzegalną duszę, która kontynuuje swój żywot po śmierci.

— Tak?! — zdziwił się Sensei. — Ale skąd pan wie, jaki jest prawdziwy sens tych słów? Czy z literatury czy z tych instrukcji, które wam podają i które wam wpajają do głów wasi kie-

rownicy sekt. I czy sam pan zastanawiał się nad tym? Czy zna pan osobiście swoich prawdziwych przewódców, ich świat wewnętrzny? Czy zastanawiał się pan nad tym, do czego jest im to wszystko potrzebne, ta nieograniczona władza nad wami? Im i ich agentom specjalnym...

W miarę tego, jak Sensei mówił, nozdrza prezbitera poszerzały się coraz bardziej.

— Nie o to teraz chodzi — gwałtownie przerwał Mistrzowi, ale potem, widocznie opamiętawszy się, dodał miękkiem tonem: — Mówimy, że duch według Biblii jest życiową siłą. I kiedy człowiek umiera, ta życiowa siła już nie podtrzymuje życia w komórkach jego ciała; to jakby gaśnie światło, kiedy odłączasz elektryczność. Kiedy życiowa siła już nie podtrzymuje ciała człowieka, człowiek — dusza — umiera. To jest zapisane w księdze Eklezjastesa 12:1,7; w psal...

— W księdze Eklezjastesa 12:1 się mówi: «Pamiętaj Stworzyciela twego za dni młodości twojej, póki nie przyjdzie czas udręczenia i nie nadejdą lata, o których mówić będziesz:» „Nie podobają mi się». Te słowa nie mają nic wspólnego z naszą rozmową. A w księdze Eklezjastesa 12:7 tylko potwierdza się to, o czym już panom mówiłem: «I powróci proch do ziemi swej, z której i był, a duch powróci do Boga, który go dał» — zacytował Sensei na pamięć. — I kiedy zwrócić się do pism innych starożytnych religii świata, zobaczycie, że wszędzie są te same uniwersalne prawdy o rozwoju duszy i ciała, o jej niejednokrotnych reinkarnacjach podczas osiągania doskona-

łości. Proszę przeczytać chociażby świętą księgę hinduizmu «Wiedzy», napisaną w końcu II — na początku I tysiąclecia przed naszą erą; jeden z jej komentarzy «Upaniszady», która jest podstawą wszystkich ortodoksalnych systemów religijno-filozoficznych Indii; albo kanon buddyjski «Tripitaka»; świętą księgę musułman «Koran», napisaną około 650 roku naszej ery; świętą księgę sintoizmu «Nihongi», napisaną około 720 roku naszej ery albo, wreszcie, księgę mądrości Zhaungzi, traktat Laozy «Daoeijing», prace Konfucjusza, stworzone w 6-5 stuleciu przed naszą erą. I wtedy zobaczycie jedyne ziarno mądrości, które dawano ludziom w różnych czasach dla różnych poziomów rozwoju społeczeństw.

— Wszystkie religie świata są od diabła, więc nie są warte naszej uwagi — z nutką złości w głosie powiedział prezbiter. — Właśnie diabeł wywiera wpływ na siły polityczne i sprzyja tworzeniu religii, w których ludzie, nie wiedząc, oddają mu hołd, ale nie Bogu. I tylko nasza wiara jest wiarą prawdziwą, jedyną drogą do ocalenia ludzkości.

— Ale każdą religię i sektę jej sprzymierzeńcy uważają za prawdziwą, inaczej nie tworzyliby osobnych organizacji religijnych. Ale czy się panu nie zdaje, że to śmierdzi egocentryzmem ze strony przywódców religijnych. Przecież czerpią wiedzę z tego samego źródła i po prostu ją przetwarzają według swojego uznania i poziomu postrzegania moralnego, wizji świata pod własnym kątem.

Co do tego, że wszystkie pozostałe religie są od diabła, to nie ma pan racji. Owszem, religie stwarzano na podstawie ksiązek, napisanych przez Wielkich z ich punktu widzenia i jeżeli pan sobie życzy, ich korzyści. Tak, religia przez wieki była mocną dźwignią polityczną na świecie i wywierała znaczny wpływ na świadomość ludzkich mas. Tak, w każdej religii są przesady, komplikacje i nawet błędne poglądy. Ale przecież w ciągu stuleci, mniej więcej przez religię prowadzono pertraktacje między Bogiem a człowiekiem. Przecież światowe religie stworzono na podstawie tej wiedzy, którą dawano ludziom dla ocalenia ich własnych dusz, aczkolwiek religie komplikowały tę wiedzę. I właśnie w tych czasach ludzie przy pomocy religii starali się odrodzić w sobie chociaż «ślepa», ale szczerą wiarę w Boga i w ten sposób chociażby odrobinę udoskonalić swoją duszę. W tych ciemnych czasach, kiedy ludzka świadomość była na bardzo niskim poziomie, właśnie religia była jedynym mechanizmem progresu ludzkości.

— Czyżby to nie tak? — z ciekawością spytał młodszy prezbiter.

— Czas «ślepej» wiary już minął. Nadszedł czas poważnych zmian. I podstawą przyszłego postępu w poznaniu Boga jest nauka.

— Ale co z nauką, przecież oficjalnie zaprzecza istnieniu Boga? — ze zdziwieniem zapytał ten chłopak.

— Obecnie istnieje taka błędna opinia, ponieważ ludzkość jeszcze nie wiele poznała. Jeżeli

nauka do tej pory nie jest w stanie wytłumaczyć przyczyny impulsowej siły pola elektromagnetycznego, o czym można dalej mówić? Jej obecny stan rozwoju można porównać do rozwoju dziecka w wieku jednego roku, które raczkuje w ograniczonej przez rodziców przestrzeni, żeby nie doznać urazu, i poznaje świat przez zabawki, które mu dają. Ale to nie oznacza, że nie ma perspektywy wzrostu i prawdziwego uświadomienia prawdziwych wartości tego świata.

— Ciekawa uwaga. Ale w takim razie kim są jego rodzice? — spytał młody rozmówca.

— Wszyscy mają jednego rodzica — Boga. Ale oprócz Niego są jeszcze inni wychowawcy, którzy opiekują się dziećmi i dają im te zabawki.

— Robi się jeszcze ciekawiej... I kim są ci wychowawcy?

— Te istoty mają różne nazwy. W chrześcijaństwie nazywają je aniołami, archaniołami, które przebywają obok Boga i opiekują się ludźmi. Na Wschodzie postrzegają je w sposób bardziej realny i nazywają Bodhisattwami z Szambali...

— Wpadasz w herezję, bracie!!! — gniewnie krzyknął prezbiter, zwracając się do swojego «nowicjusza» i już zwracając się do Mistrza, dodał: — Jest pan bardzo zagubioną osobą. Całkowicie nie ma pan racji. Ludzie nie mogą zmienić świata, tym bardziej dążyć do poznania Boga przez naukę. Nauka — to intrygi diabła, który zapewnia ludzi przez ich odkrycia w tym, że Boga nie ma. Diabeł opłatał cały świat siecią technologii, żeby uwikłać w nie człowieka, otumanić

głowę telewizją i diabelską literaturą, żeby przez nie ludzie oddawali mu hołd, ponieważ jest Księciem tego świata. I tylko słowo Boskie, zapisane w jedynej świętej księdze Biblii, jest prawdziwe. I tylko przez nią można poznać Boga...

— Aha, w pańskiej interpretacji, według instrukcji — uśmiechnął się Sensei. — Jak nauka może być od diabła?! Dlaczego pan zawraca ludziom głowę tymi bzdurami. Przecież Diabeł w ogóle nie może nic dać ludziom. Czy pan wyobraża sobie, kim jest Bóg i kim jest Diabeł? Diabeł jest niczym innym, tylko zwierzęcym pierwiastkiem, zwierzęcą istotą, która tworzy negatywne myśli. Nawet tłumaczenie słowa «satan», ze starożytnego języka hebrajskiego, z którego wywodzi się słowo «szatan», oznacza «ten, kto przeciwdziała». Przejaw diabła — to jest właśnie to, co odbywa się wewnątrz nas, kiedy mamy negatywne myśli. Po prostu nam się wydają, że jesteśmy tacy dobrzy. Ale proszę popatrzeć, ile razy na dzień wzbudzamy w sobie zwierzęcy pierwiastek, czyli wzywamy do Diabła, a nie do Boga. Ile razy w swoich myślach pieścimy swoją ambicję i ciało.

— Diabeł — to nie myśli, to jest przerażająca istota, zwierzę...

— Istota? To ludzie skazili go i przemienili w postać zwierzęcia, zrobiwszy z niego kozła ofiarnego. Ludzie boją się jego ataku od zewnątrz. A on jest wewnątrz nas, jest naszą nieodłączną częścią. I właśnie uderza stąd, skąd nie oczekujemy — z naszych myśli. I pokonać Diabła — to

wcale nie oznacza wyrzec się wszystkiego na świecie. Pokonać diabła — to znaczy pokonać w sobie negatywne myśli, zaprowadzić porządek w swojej świadomości. Jak mawiali starożytni ludzie, największe osiągnięcie człowieka, który pracuje nad sobą — to zabić w sobie smoka. Czy słyszał pan taki wyraz: «poznaj siebie, a poznasz cały świat»? Wszystkie znane postacie przychodziły do poznania Boga przez poznanie samych siebie... A Bóg — to wszechobecna substancja, właściwa wszystkiemu. Bóg — to jedyna, rozumna wszechmogąca siła. I wszystko, co Bóg daje ludziom, jest dla dobra ludzi. Do czego, na przykład, służą nauka i technologie? Do tego, żeby człowiek posiadał informacje, żeby ludzie mogli komunikować się, bez trudu przekazywać zgromadzone doświadczenie, żeby człowiek mógł stale rozwijać się i miał więcej czasu na zgłębienie rozmaitych tajemnic przyrody, co doprowadzi do poznania Boga i rzeczywistego faktu Jego istnienia.

A co robi pan? Ogranicza pan świadomość ludzi: tego nie czytaj, tego nie rób, nie idź tam, tym się nie zajmuj. Ludzie, nie róbcie szkody! Nie podążajcie śladem swoich materialnych ambicji. Przecież hamujecie rozwój ludzkiej duszy, znów rzucając ją do piekła reinkarnacji...

— Reinkarnacja nie istnieje w przyrodzie!!! — zakrzyczał czerwony ze złości prezbiter.

— Bracie, bracie, uspokój się — wtrącił się do rozmowy ten chłopak. — Przecież sam pan mówił, że gniew — to zło.

Prezbiter syknął na niego, jednak się opanował i ciągnął dalej:

— Pan musi więcej czytać Biblię i oczyścić się od grzesznych myśli, ponieważ jest pan strasznym człowiekiem. Proszę przyjść do nas i przyznać się do winy, póki nie jest jeszcze za późno, ponieważ Diabeł zawładnął pańskim rozumem. Nauczymy pana prawdziwej wiary w Boga, nauczymy pana, w jaki sposób może pan się uratować.

Kiedy Sensei wymawiał ostatnie słowa jego twarz zmieniła się, i spokojnie, wyraźnie wymawiając każde słowo, powiedział:

— Proszę mi wytłumaczyć, w jaki sposób człowiek, tonący w bagnie, może uratować człowieka, który stoi na brzegu.

Ale widocznie, w świadomości prezbitera odbiły się tylko pierwsze słowa «proszę mi wytłumaczyć», ponieważ w ciągu trzech pozostałych minut usiłował «nauczyć» Mistrza rozumu przy pomocy swoich pouczeń, czytając różne zdania z Biblii.

— ... jeżeli będzie pan regularnie uczęszczał na nasze zgromadzenia, będzie to dla pana najlepszą ochroną przed demonami. Będzie pan korzystał z rad, które damy panu podczas zgromadzenia, i to pomoże panu uratować się przed piekłem. I proszę mieć pewność, że Bóg chojnie zwróci wszystko, co pan Jemu ofiaruje. To jest napisane w księdze Malachiasza 3:10. Ponieważ bliski jest czas Har-Magedonu, który zniszczy grzeszną ludzkość. Tylko pobożni ludzie pozo-



staną przy życiu... Powinniśmy z pokorą i uległością czekać na ten dzień, kiedy Pan Jezus Chrystus podejmie działanie przeciwko Diabłu i jego sprzymierzeńcom. To jest napisane w Objawieniu 20:1–3. I kiedy nadejdzie ostateczna bitwa Boga z Diabłem...

— Mało tego, że nawet nie przysłuchuje się pan temu, co panu mówiłem, ale i nie zdaje sobie pan sprawy z tego, co mówi. Niech no tylko pan sobie wyobrazi, jak może Diabeł walczyć z Bogiem. Coś podobnego! Bóg jest wszechmogący, Diabeł w porównaniu z nim jest niczym. Wszyscy służą Bogu, w tym Lucyfer. Po prostu sami ludzie wzniesli potęgę Lucyfera, żeby móc go obwinić w swojej głupocie. A sam Lucyfer, jak każdy inny anioł, służy Bogu, wykonując Jego wolę...

Te słowa o tyle rozzłościły prezbitera, że nawet nie pozwolił Mistrzowi dokończyć i wykrzyknął ze złością:

— Kiedy przyjdzie szatan, będziesz jego lewą ręką!!!

I nagle się obróciwszy poszedł precz. Drugi chłopiec poszedł śladem swojego nauczyciela. A pierwszy, który zadawał pytania, trochę się zawahał, widocznie, chciał usłyszeć przemówienie Mistrza do końca. Ale drugi «pomocnik» zawołał go i ten poszedł jego śladem.

Tymczasem Gienek, który przez cały ten czas powstrzymywał śmiech, z widoczną przyjemnością, powiedział do nas wszystkich:

— To jest to. Słyszeliście, co ten mądry człowiek powiedział. A nie mówiłem wam!

Tym razem wszyscy nie wytrzymali i zaśmiali się razem ze starszymi chłopcami, przypominając sobie żart Gienka podczas naszej pierwszej wizyty na polanie. Przez cały czas się śmiejąc, nasza grupa weszła do hali i tu Sensei, po krótkim namyśle, niby żartem niby serio powiedział:

— Ale dlaczego właśnie lewą ręką? Co, Diabeł jest leworęczny? Nie zauważyłem.

Nasza grupa znów spojrzała na Mistrza. A starsi chłopcy znów się zaśmiali razem z nim, żartując na temat tego pikantnego szczegółu. Szybko powróciliśmy do pracy i potem już ćwiczyliśmy bez żadnych przygód.





**P**o dodatkowych zajęciach, jak zwykle, wyszliśmy całą gromadą na ulicę i zobaczyliśmy, że obok klubu stoi ten chłopak, co brał udział w rozmowie między Mistrzem i prezbiterem. Kiedy zauważył wśród nas Mistrza, znacznie się ożywił, podszedł do niego i uprzejmie zapytał:

— Proszę pana, czy ma pan parę wolnych chwil? — Tak, słucham pana — spokojnie odpowiedział Sensei.

— Chodzi o to, że naszą rozmowę przerwano... I nie zdążyłem zadać panu kilku pytań, które bardzo mnie interesują. Ma pan bardzo niezwykle spójrzzenie na świat, przynajmniej ja, nigdy o czymś podobnym nie słyszałem. I widzę, że pańskie słowa nie są bezpodstawne, ponieważ, myślę, że w znacznym stopniu zbiegają się z moim pojęciem o istocie rzeczy. Gdyby pan zechciał odpowiedzieć na parę moich pytań.

— Tak, oczywiście — w tak samo uprzejmym tonie odpowiedział Sensei.

Te słowa podniosły chłopca na duchu i już całym nabrał odwagi:

— Czym jest według pana prawdziwa wiara w Boga?

— Prawdziwa wiara — to wiedza. Oczywiście, istnieje sporo dróg do Boga, można iść do niego skrajem, robiąc niejednokrotne pętle, lecz można iść prosto. Więc prosta droga do Boga — to droga przez wiedzę i Miłość.

— Ale na czym polega ta wiedza?

— Przez różnorodne poznanie świata w różnych jego aspektach: od mikro-życia do makro-istnienia różnych systemów kosmicznych; tkwi ono w poznaniu siebie jako struktury biologicznej oraz duchowej i, odpowiednio, w istocie otaczających rzeczy. Oczywiście, **nie możliwe jest poznanie wszystkiego, ale należy do tego dążyć. Człowiek powinien stale rosnąć w swoich poznaniach, rozwijać się intelektualnie. Ponieważ najcenniejsza droga — to poznanie Boga przez rozum, kiedy prawdziwa wiedza, przewyciężając zwierzęcy pierwiastek, otwiera bramę poznania przy pomocy klucza Miłości.** To jest wieczna, niezmienna prawda, która zawsze istniała, nawet w czasach najbardziej rozwiniętych ludzkich cywilizacji, które kiedykolwiek istniały na ziemi.

— Proszę mi wybaczyć, ale nie bardzo zrozumiałem. Czy mógłby pan to wytłumaczyć bardziej szczegółowo?

— Generalnie to oznacza pełną dojrzałość ludzkiej duszy, pełne zwycięstwo nad swoim zwie-

rzęcym pierwiastkiem, czyli Diabłem. W chrześcijaństwie i w islamie nazywają to olśnieniem, świętością, która po śmierci prowadzi człowieka do raju, w buddyzmie to się nazywa obudzeniem i wyjściem z łańcucha reinkarnacji do nirwany i tak dalej. Ale rzeczywiście wszystko jest o wiele prostsze.

Postaram się wytłumaczyć ogólnie. Mówiąc obrazowo, to wygląda natępująco. Uważamy, że jesteśmy tym umysłem, który widzi, słyszy, myśli i analizuje. Ale faktycznie jest to tylko mała część odcinka świadomości. Nazwijmy to Coś. I to małe Coś pływa po powierzchni oceanu. Ocean — to nasza podświadomość, w której na różnych głębokościach przechowujemy naszą pamięć genetyczną, warunkowe i bezwarunkowe refleksy, czyli całe nasze «zgrupowane» doświadczenie. Ale to wszystko odnosi się do naszej materialnej istoty. Właśnie to jest naszym zwierzęcym pierwiastkiem. Pod podświadomością, na dnie oceanu jest swojego rodzaju «brama». I, wreszcie, za «bramą» jest nasza dusza, cząsteczka Boga. To jest nasz pierwiastek duchowy. To jest to, czym jesteśmy w rzeczywistości, i co bardzo rzadko odczuwamy w sobie samych. Właśnie dusza podczas reinkarnacji przeistacza się, krok po kroku dojrzewając przez wiedzę i miłość naszego śmiertelnego Coś, ponieważ Coś jest związane z duszą. Ale cały problem polega na tym, że to Coś też jest związane z oceanem. Ponadto, jest bardziej narażone na wpływ tego oceanu z zewnątrz. Stale go rzuca na boki w stronę fal które są postrzegany

myślami i emocjami, pragnieniami i tak dalej. Czasami rzuca go tak, że to Coś traci łączność z duszą, i następnie, jak po sztormie, znów usiłuje znaleźć samo siebie. Ale kiedy to Coś wzmocni się w swoim dążeniu do duszy, kiedy przestanie zwracać uwagę na żywioły oceanu i zacznie podążać w kierunku jego głębi, do samego dna, niczego się nie bojąc, w końcu dotrze do tej «bramy». I przy pomocy klucza Miłości otworzy ją, połączyszy się z duszą. Wtedy człowiek zrozumie, kim naprawdę jest, uświadomi sobie, czym jest swoboda, Wieczność i Bóg. Właśnie wtedy dusza zwalnia się i odchodzi do nirwany, do raju, czyli świata, w którym panuje tylko Miłość.

— Więc wychodzi na to, że to Coś jest naszą świadomością, czyli wyznacza los duszy?

— Ma pan absolutną rację. Wszystko zależy pod naszego własnego wyboru i od naszego dążenia.

Czyli prawdziwy raj nie jest w ciele.

— Ciało nigdy nie da raju, ponieważ ciało — to jest wieczna troska i wieczny problem. Człowiek może osiągnąć raj tylko przez połączenie duszy z Bogiem.

— Pan powiedział, że rzadko postrzegamy siebie jako samych siebie, jako tych, kim jesteśmy naprawdę, czyli odczuwamy swoją duszę. Ale w jaki sposób odczuwamy tę boską obecność? I czy możliwe jest przez to odczucie zrozumieć, czym jest raj?

— Tylko taki człowiek może zrozumieć boską obecność, który patrzy na ten świat wyłącznie

przez pryzmat Miłości. A zrozumieć, czym jest raj... Żeby chociaż wyobrazić sobie, jaki on jest... Powiedzmy tak: weźmijmy na przykład, najbardziej szczęśliwy moment w naszym życiu, kiedy przychodzi do nas prawdziwa Miłość, kiedy życie wiruje pod promieniami szczęścia, wszechobecnej radości, i wszystkie te uczucia będą tym samym, co mała kropla tej Boskiej Miłości, która trafiła do was w postaci kropel. Ale kiedy człowiek pogrąża się w nirwanie, raju, czyli kiedy jego dusza łączy się z Bogiem, to jest, mówiąc obrazowo, jakby tak, że człowiek będzie jak delfin pływać w oceanie tej nieskończonej Boskiej Miłości. Brak jest słów, żeby opisać ten stan, jak i również żeby go wyobrazić. Niestety ludzki umysł jest ograniczony, ale właśnie w tym jest jego piękno. Właśnie w tym ograniczonym umyśle powinna rozwijać się nieograniczona Miłość.

— Tak, wszystko jest takie proste i zrozumiałe... Ale pan mówił, że można dotrzeć do «bramy» przy pomocy Miłości i wiedzy. Ale ludzie stawali się świętymi w różnych czasach. Oczywiście, że przez Miłość. Ale w takim razie, co z wiedzą? Przecież w tych odległych czasach ludzie nie posiadali takich informacji tak, jak teraz.

— Ludzie i obecnie posiadają bardzo mało wiedzy. Ale sprawa w tym, że kiedy człowiek dociera do tej «bramy», dowolna wiedza staje się dla niego dostępna. Nie ma tu żadnych ograniczeń.

— Uważałem, że jeżeli ograniczy się świadomość właśnie tak, jak mówiono nam w sekcie, wtedy przyjdę do Boga.

— Po pierwsze, ograniczając swoją świadomość do «ślepej» wiary, człowiek potrzebuje wiele sił, żeby przeciwdziałać «napaściom» swojego zwierzęcego pierwiastka. Dlaczego? Ponieważ «ślepa» wiara daje zwierzęcemu pierwiastkowi swobodę działania. W dowolnej chwili może on zawładnąć wasz rozum przez nieoczekiwane wątpliwości i cała jego wiara runie, jak domek z kart. Ale jeżeli wasza wiara stoi na trwałym fundamencie wiedzy, który pozwala waszemu umysłowi uzasadniać i dowodzić realny fakt istnienia Boga i może w ten sposób zagnać wasz pierwiastek zwierzęcy do kąta i utrzymywać go na pasku, otrzymacie w ten sposób prawdziwą Swobodę i będziecie mogli przyjść do Boga.

I po drugie, Jezus nigdy nie ograniczał swoich uczniów w taki sposób, jak to robią w waszej religijnej sekcie. Wasi kierownicy usiłują zbudować na podstawie religii swoje małe imperium władzy. Zmuszają was do całowania ich rąk, do ukłonów na ich cześć. Ale kim oni są?! Nawet Jezus, mimo to, że był Wielką Duszą, zawsze był przyjacielem wszystkich apostołów i, przypomnijcie sobie, dokonywał ablucji ich nóg. Niósł ludziom nie ujarzmianie tłumu, a, przede wszystkim, swobodę własnego wyboru. Dawał ludziom przykazanie Miłości, czyli właśnie «klucz» do tej bramy. Proszę przypomnieć sobie Jego słowa: «Pokochaj Pana z całego swojego serca i z całej



swojej duszy, i całym swoim umysłem». Czyli pokazał, że wysoka moralność, dusza i umysł — to są trzy elementy dojrzewania duszy, potrzebne dla łączenia z Bogiem... Mówili o tym, przy okazji, wszyscy prorocy, ponieważ źródło wiedzy jest jedyne. Na przykład, Mohamed...

— Mohamed?! Pan myśli, że jego religia przybliży do Boga?

— Religię stworzyli już ludzie, a Mohamed głosił Naukę. I jego prawdziwa Wiedza opiera się na tej samej nauce, którą dawał Chrystus.

— To jest niemożliwe!

— Jak to nie możliwe, ale co pan wie o Mohamecie?

— Nic o nim nie wiem, ale z jego fanatycznymi wyznawcami już miałem do czynienia, kiedy pracowałem jako dziennikarz podczas wojny w Afganistanie. I proszę mi uwierzyć, pozostawili w mojej duszy nie zbyt przyjemne wspomnienia. Widziałem, czym jest islam.

— Nie widział pan islamu, widział pan to, na co użyli Naukę Mohammeda chciwi politycy... A ludzie, którzy fanatycznie wierzą, są w każdej religii. Ale czy można po tym sądzić o samej Nauce? Ślepy i rozpaczliwy fanatyzm — to najgorszy wskaźnik każdej religii, najgorsze zniekształcenie każdej Nauki, ponieważ w pełnym zakresie budzi w człowieku jego pierwiastek zwierzęcy, okrywając się tarczą «dobrych zamiarów». A to już jest cecha polityki, dążenia do światowego panowania, które cechuje liderów każdej religii... Czytał pan dzieła aposto-

łów, czyż wzywali do tego? Wszyscy wzywali do duchowego rozwoju człowieka, do powszechnego łączenia w Miłości do Boga, do tłumienia swojego pierwiastka zwierzęcego, diabła, nazywajcie go jak chcecie. Ponieważ człowiek, będąc w Bogu, nie może czynić zła.

A Mohamed był niezwykłą osobą. Radzę panu przeczytać o nim z pozycji człowieka, bez uprzedzeń i umowności. Od samego dzieciństwa dążył do poznania samego siebie, na początku kierowały im zwykle ludzkie pragnienia. Był ubogim chłopcem, sierotą, zwykłym pastuchem. Jako młody chłopak, Mohamed uważał, że gdy stanie się bogaty, całkowicie pozna siebie. Od dwunastego roku życia pracował jako konwojent karawanów. Po paru latach podczas jednego z postojów spotkał starego mądrego człowieka, który dał mu ziarno wiedzy i nauczył medytacji, które potem całkowicie zmieniły jego los. Mohammed zaczął zajmować się duchową praktyką, żeby poznać istotę Boga.

Wkrótce jego marzenie się spełniło. Udane małżeństwo z bogatą dziewczyną zrobiło go bogatym. I Mohamed zrozumiał, że bogactwo – to nie to, do czego dążyła jego dusza. Zaczął szukać tego coś we władzy, ale nie znalazł. To podsunęło mu myśl o poznaniu prawdy wewnątrz siebie, wewnątrz istoty człowieka. Mohamed często spędzał długie noce, medytując i w końcu go olśniło. Zrozumiał sens swojej wewnętrznej istoty, sens istnienia ludzkości, dotarł do Boga — «al-illah», co oznacza «godny czci», dzięki

czemu jego dusza obudziła się, otworzywszy źródło prawdziwej wiedzy. Właśnie wtedy, zgodnie z legendą, otrzymał objawienie z góry, od archanioła Gabriela, którego na Wschodzie nazywają Dżibrilem. Mohamed otrzymał od niego nie tylko objawienie, ale i został jego najlepszym uczniem. Właśnie Gabriel odkrył mu tajemnicę Nauki i wiedzy. I żeby udowodnić prawdziwość tej Nauki, przeniósł Mohameda w czasie i przestrzeni, w tym do miasta Jerozolimy, w którym spotkał się z Bodhisattwą Issą i jego sławnymi uczniami Abrahamem i Mojżeszem. Przez te podróże w czasie Gabriel pokazał całą iluzoryczność i próżność materialnego świata w porównaniu z prawdziwą wiedzą i pokazał, że tylko Bóg ma rzeczywistą władzę i jest godny czci... Cała ta wiedza, której ziarna wyrosły w jego już mocnej duszy, przyniosła bogaty plon. Dostojny uczeń nie zawiódł nadziei. Mohamed zrobił tyle pożytecznego dla ludzkości w tym okresie, w którym żył, ile nie zrobił nikt inny.

— Ale co z Jezusem?

— Proszę nie mylić. Jezus był Bodhisattwą, czyli urodzonym przez Boga. A Mohammed był człowiekiem, który zdołał obudzić w sobie boską istotę... Więc kiedy archanioł Gabriel zrozumiał, że Mohamed jest już przygotowany, powiedział mu: «Teraz powinienes pójść do świata i zanieść swoją wiedzę ludziom». Na co odpowiedział «W jaki sposób mam donieść ludziom te słowa, które poznałem przy pomocy ducha?» Idź i powiedz im, że Bóg jest jedyny, że jak słońce, oświeca

wszystko swoją Miłością. A ja jestem jak księżyc w nocy ludzkiego życia, odbijający boskie światło i oświecający drogę w ciemności świadomości. A ty jesteś jak gwiazda przewodnia, wskazująca drogę do boskiego światła».

Natchniony tą rozmową z archaniołem, Mohamed wyszedł z jaskimi, w której medytował, i pierwsze, co zobaczył, to czarujący obraz przyrody. Na ogromnym, niebie jaskrawo świecił młody księżyc, a obok niego świeciła jaskrawa gwiazda. W tej samej chwili doznał olśnienia i zrozumiał, jak ma zanieść tę Naukę ludziom. Uświadomił sobie, że Bóg — to Miłość, to stały czyn. Bóg nie mówi słowami. Więc zwraca się do ludzi przy pomocy pośredników — archaniołów, którzy donoszą Jego wolę do świadomości ludzi. Ale człowiek może poznać Boga przez swoją duszę.

— I co Mohamed zrobił, dał ludziom wiarę?

— Mohamed dał ludziom nie tylko wiarę, ale i wiedzę. Niestety, po 600 latach ludzie zniekształcili Naukę Chrystusa, przemieniwszy ją na religię. A Mohamed usiłował donieść do ludzi straconą wiedzę w odnowionej Nauce. Opowiedział ludziom wszystko, o czym wiedział sam, nic nie ukrywając. Ponadto, proszę przeczytać historię, o tym, w jakim stanie była Arabia przed 610 rokiem, kiedy Mohamed zaczął głosić kazania. Panował w niej całkowity chaos, bałwochwalstwo, z powodu którego często powstawała nieprzyjaźń między arabskimi plemionami. Mohamed zrobił wielką sprawę — połączył nie-

nawidzące się plemiona Arabów w Miłości i wierze w jedyne Boga, wartego czci. Opowiadał im o prawdziwości Boga, o tym, o czym głosił Jezus: że Bóg jest wieczny, wszechobecny i wszechmogący; że ludzie są równi przed Nim; mówił o nieśmiertelności duszy, o tej samej reinkarnacji — zmartwychwstaniu, o sądzie, o sprawiedliwej karze dla tych, kto czyni zło na tym świecie, o konieczności ustalenia zobowiązań moralnych w stosunkach międzyludzkich, o sprawiedliwości i miłosierdziu. Dzięki swojej mądrości Mohamed zdołał wyprowadzić Arabów ze stanu całkowitego zacofania i politycznego chaosu na drogę cywilizowanego kulturalnego wzrostu i przyszłego rozkwitu.

— Może to i jest tak. Ale co ze «świętą wojną przeciwko niewiernym»? Przecież muzułmanie stwierdzają, że sam Mohamed mówił o niej w swoich kazaniach?

— W tych czasach Mohamed miał do czynienia z dzikimi plemionami, które rozumiały jedynie siłę. Słowo «muzułmanin» pochodzi od słowa «muslim», które oznacza «posłuszny», przy tym posłuszny Mohamedowi. A nie «prawowierny», ponieważ to znaczenie słowa «muzułmanin» zjawiało się o wiele później. Czyli w tych czasach ludzie wierni — to byli ludzie, posłuszni Prorokowi, którzy podążali za nim, wzmacniając Naukę i rozpowszechniając ją na innych terenach Arabii, żeby przemienić chaos, który tam panował, na porządek. Niewierni — to ludzie, którzy nie podporządkowali się jego Nauce.

Mohamed był nie tylko wielkim Prorokiem, ale i genialnym dowódcą wojskowym i mądrym politykiem. Nie łatwo jest opanować zapal dzikich plemion. Ponadto, Mohamed był zmuszony ogłosić «świętą wojnę» przeciwko tym kapłanom religijnym, którzy nie tylko uzurpowali władzę, ale którzy uważali za niekorzystne jednoczenie wszystkich Arabów, a tym bardziej, oddawanie czci nie ich bogom. Walczył przeciwko tym, kto w swoich wyrachowanych celach wykorzystywał wiarę ludzi, demoralizował dusze ludzi. W tym jest podobny do Chrystusa. Czyli Prorok walczył o tę samą czystość wiary, co i Jezus, o oddawanie czci Jedynemu Bogu, o bezpośrednie duchowe połączenie każdego człowieka z Bogiem.

— No dobra, załóżmy, wtedy były to ciemne czasy, dzikie plemiona. Ale teraz, po tylu latach, wciąż toczy się jakaś niezrozumiała «święta wojna». Przecież Bóg jest jedyny, po co tu wojna? W jaki sposób można zrozumieć człowieka, który, cały owinięty wybuchowym materiałem, dobrowolnie wchodzi do tłumu ludzi i ginie w imię Boga, unosząc ze sobą życia wielu ludzi?

— Ponieważ zamiast Nauki, danej bogiem muzułmanie otrzymali religię, przywódców, którzy dążą do realizacji własnych materialnych korzyści, własnego dobra i wpływu politycznego na świecie, a dusze muzułmanów ich nie interesują. Wmawiają im, że po tym «pobożnym» akcie jego dusza trafi do Mohameda, do rajy. Nigdy tam nie trafi, ponieważ dusza człowieka, który czyni zło, nie może tam trafić. I ten muzułmanin

musi kilkakrotnie przeistoczyć się, przejść przez wszystkie ziemskie kręgi piekła, żeby jego dusza stała się tak czystą, jak była przed tym, złym czynem. Ci oszukani ludzie są ofiarami religii. Ale naprawdę winni są ci, którzy zniekształcili prawdziwą Naukę. Właśnie to jest zwycięstwo diabła nad każdą religią.

— Ale jak to, przecież słyszałem, że w Koranie są wersy, które zaprzeczają słowom pana.

— W Koranie? A czy wie pan, że Koran napisano po śmierci wielkiego Proroka. Przybrany syn Mohameda — Zayd ibn Thabit połączył wszystkie zapisy kazań, i, proszę to zauważyć, dokonał redakcji Koranu w 651 roku. Sam Mohamed głosił kazania ustnie. A fragmenty jego kazań i pouczeń zapisywali jego następcy, którzy zapamiętywali je częściowo, częściowo zapisywali słowa Mohameda... Ale nawet mimo przyszłych zmian Koranu w celu stworzenia religii, zachowano w nim wiedzę, którą archanioł Gabriel dał Mohamedowi. Teraz uczeni są wręcz zdziwieni, ponieważ kiedy rozszyfrowują niektóre «prawdziwe fragmenty» Koranu, znajdują tam realną naukową wiedzę ...

W tej chwili Tatiana szturchnęła mnie w bok i powiedziała, że byłoby dobrze zadzwonić do rodziców, żeby się nie niepokoili. Popatrzyłam na zegarek i pomyślałam, że rzeczywiście wszyscy już powinni być w domu. Przeprosiliśmy wszystkich i pobiegliśmy do klubu, w którym był najbliższy telefon. Po naszym długim i natarczym pukaniu stary wartownik z zasp-

nymi oczyma otworzył drzwi, widocznie, już zaczął wykonywać swoje obowiązki służbowe. Po krótkiej chwili oburzenia: «włóczą się tu nocami różni podejrzani i nie ma spokoju ani za dnia, ani w nocy», pozwolił nam zadzwonić. Póki Tatiana rozmawiała ze swoimi rodzicami, zdażyłam zapisać do notesu słowa Mistrza. Poinformowawszy swoich, śpiesznie pobiegłyśmy do wyjścia, żeby dołączyć do swojej grupy. Kiedy wróciłyśmy, Sensei mówił temu chłopakowi:

— Powołuje się pan na Biblię, jako pierwsze źródło ze zbytnim uprzedzeniem. Rozumiem, że uczono tego w pana sekcje. Ale przecież pan jest dziennikarzem, musi pan być bardziej ciekawski, niż zwykły człowiek. Biblię, również jak i Koran czy Tripitakę napisali wyznawcy. Ponadto, te księgi niejednokrotnie zmieniano. Czyli już odtwarzają poglądy religijne, ale nie pierwotną Naukę, którą dawali Wielcy. Zwracam pańską uwagę i powtarzam, że za ostatnie 600 lat Nauka Chrystusa została bardzo zniekształcona i Mohamed był zmuszony do głoszenia nowej nauki, ale w zasadzie jest ona tym samym, co głosił Chrystus. Ale z biegiem czasu i jego Naukę ludzie przetworzyli na religię, pozostawiwszy tylko formę, ale zmieniwszy jej treść.

— Jednak Biblię, dokładniej «Nowy Testament», pisali ze słów Jezusa jego wyznawcy.

— Gdybyście mieli możliwość usłyszeć Naukę Chrystusa z ust samego Chrystusa i porównać z tym, co czytacie obecnie w Biblii, znaleźlibyście



znaczne luki i brak ogromnej ilości wiedzy — z goryczą w głosie powiedział Sensei. — Pan twierdzi, że pisali ją Jego wyznawcy, ale nawet nie wyobraża pan sobie, w jaki sposób to robili. Nie byli to pierwsi zwolennicy, a zwolennicy zwolenników. Przecież Naukę Chrystusa przez długi czas głoszone ustnie. Następnie zaczęły pojawiać się zapisy przemówień Chrystusa. Jeden z najstarszych fragmentów Ewangelii św. Jana jest datowany na 125 rok naszej ery, a najwcześniejszy rękopis, najbardziej pełny, 200 rok naszej ery. Czy może pan wyobrazić sobie, ile może się zmienić w ciągu dwustu lat. Jeden zrozumiał w ten sposób, drugi — w inny sposób, trzeci ukrył i tak dalej. Ponadto w 325 roku podczas pierwszego soboru nicejskiego pod kierownictwem cesarza Konstantego, w celu wzmocnienia kościoła i władzy monarchy, z licznych wykazów wybrano i kanonizowano te cztery Ewangelie, które wchodziły w skład Nowego Testamentu. Właśnie wtedy Naukę Chrystusa kompletnie przerobiono, przemienili ją na mocną dźwignię władzy dla kierowania tłumem. Właśnie podczas soboru pod presją cesarza Konstantego zatwierdzono ortodoksalną koncepcję cielesnego zmartwychwstania. A wszystkich chrześcijan o odmiennych poglądach, zwolenników duchowego zmartwychwstania, ogłoszono heretykami, prześladowano ich i niszczone w całym imperium. Aczkolwiek wcześni chrześcijanie wierzyli w reinkarnację. Nawet w Biblii zachowały się nieliczne wzmianki o tym. Powstaje uzasadnione

pytanie: dlaczego władze tak się tego bały? Dlaczego Konstanty ostatecznie przerobił Naukę, przemieniwszy ją na religię? Jaka była tego przyczyna? Zrobił to dlatego, że Nauka zawierała wiedzę, która uwalniała ludzi przed strachem istnienia na tym próżnym świecie. Wiedza dawała ludziom prawdziwą Wolność, obudzenie duszy. Nie bali się śmierci, wiedzieli o reinkarnacji, o tym, co jest za tą krawędzią. I co jest najważniejsze, zdawali sobie sprawę z tego, że nad nimi jest tylko Bóg, a nie jakiś cesarz albo biskup. A to, z kolei, budziło straszny lęk przed utratą władzy u polityków i przedstawicieli kościoła, ponieważ byli pogrążeni we własne materialne interesy. Naukę Chrystusa, która miała zrobić ludzi wolnymi już od tej pory wmawiano im pod strachem śmierci w formie religii. Rozpowszechnienie chrześcijaństwa odbywało się przy użyciu przemocy, urządzano nawet wyprawy krzyżowe i tak dalej...

Ponadto, Biblię wiele razy przepisywano odręcznie aż do 1455 roku, kiedy została nadrukowana Biblia Gutenberga. A podziału tekstu dokonano w XIII stuleciu przez kardynała Stephena Langtona. Podziału rozdziałów na wersy i ich numeracji dokonał paryski wydawca Robert Stephane, który w 1553 po raz pierwszy opublikował całą Biblię. I już w ogóle nie mówię o tym, że we współczesnym świecie, na przykład, kościół katolicki uważa siebie samego za prawomocnego w zakresie odpowiedniej interpretacji Biblii oraz jej uzupełniania.

Ale mimo tych wszystkich popraw i zniekształceń genialność Jezusa tkwi w tym, że częściowa Jego wiedza, dzięki początkowej dwoistości jej sensu, jednak dotarła do potomków. Dlatego Biblia również obecnie wzbudza znaczne zainteresowanie Nauką Chrystusa. Właśnie z przyczyny traktowania tej wiedzy «po swojemu» chrześcijaństwo nigdy nie było jednolitym i przez cały czas istniało w formie welu stale walczących między sobą kościołów i sekt.

Po chwili namysłu chłopak zapytał:

— A jakie według pana wypowiedzi Chrystusa zachowały się w dwoistym sensie?

— Na przykład, najbardziej rozpowszechniona Jego wypowiedź, którą często wykorzystuje się w pana sekcje: «Tam, gdzie zebrało się dwóch albo trzech w imię Moje, tam Jestem wśród nich». To nie jest mnogość osób, jak twierdzi pana prezbiter. To jest jednolitość jednego indywiduum, w którym są i dusza, i umysł i świadomość, które mają jedyny cel — poznanie Boga. Albo też inne słowa Chrystusa, które przywódcy sekt religijnych również wykorzystują dla przyciągnięcia ludzi do swoich sekt: «Nikt nie może służyć dwóm panom: albo będzie jednego nienawidził, drugiego lubił; dla jednego będzie się starał, a o drugiego nie będzie się troszczył». Nie możecie służyć Bogu i złotemu cielcowi». Jezus tu miał na myśli indywidualny wybór celu istnienia człowieka: albo dąży do Boga, do swobody, albo do złotego cielca, do świata materialnego. To jest bardzo proste.

— Ale i my też tak to traktujemy.

— Tak, ale pana religijni przewodcy wmawiają, że dążenie do Boga ma być tylko przez uczęszczania do waszej sekty i zgłębianie ich programów, niby tylko taką drogą człowiek przyjdzie do Boga. Ale faktycznie człowiek może przyjść do Boga tylko wtedy, kiedy się zmieni wewnątrz siebie, jeżeli rozwinie swoją wewnętrzną Miłość i wzmocni swoją wiarę przez wiedzę.

Albo, na przykład, Jezus mówił: «Więc ostatni zostaną pierwszymi, a pierwsi ostatnimi; ponieważ wielu jest proszonych, ale mało wybranych». Życie daje się po to, żeby doskonalić się pod względem duchowym. Podczas swojego życia możecie zrobić krok do przodu, czyli udoskonalić się, albo krok do tyłu — cofnąć się. Jezus mówił, że jeżeli Bóg zrobił z ciebie pierwszego, czyli wolnego człowieka, dał ci możliwość poświęcać Mu więcej swojej uwagi, to znaczy, że w swoich ubiegłych życiach zasłużyłeś na to. Jeżeli człowiek wykorzystywał swoje życie dla tego, żeby cofać się, w następnym życiu będzie miał gorsze warunki, ponieważ musi uświadomić sobie swoje grzechy. Wewnątrz siebie każdy człowiek, jeżeli skupi się na swoich głębokich uczuciach, potrafi odczuć doświadczenie poprzednich pokoleń.

— A pan mówił, że w Biblii zachowały się wzmianki o reinkarnacji. Jakie są te wzmianki?

— Na przykład, w Ewangelii św. Jana, jeżeli pan pamięta, jest wzmianka o Nikodemie, jednym z nauczycieli, który potajemnie w nocy przyszedł do Jezusa, żeby zadać Mu kilka pytań.

Tak więc, Nikodem zapytał Jezusa: «jak może człowiek narodzić się, będąc starym? Czyż może po raz drugi wejść do łona matki swojej i urodzić się?» Jezus odpowiedział: «Prawdę, prawdę mówię ci, jeżeli ktoś nie urodził się z wody i Ducha, nie może wstąpić do Królestwa Bożego. Urodzony z ciała jest ciałem, urodzony z Ducha jest duchem». Ponadto, zachowały się również takie słowa: «W domu Ojca mego jest wiele pokoi», w których chodzi o mnogość istniejących światów.

Chrystus opowiadał swoim uczniom o prawie powtórnego urodzenia, dając im do zrozumienia, że dusza przeistacza się w celu pełnowartościowego dojrzewania. Opowiadał im o tym, jak mają uratować duszę i dotrzeć do Królestwa Bożego, poznać wieczne życie. Opowiadał im o tym, że im więcej człowiek rozwija się pod względem duchowym, tym większy opór stawia jego pierwiastek zwierzęcy, czyli diabeł.

— Tak, sądząc z Ewangelii, nawet Chrystus ulegał napadom diabła. Zawsze myślałem, dlaczego? Przecież on był Synem Bożym.

— Oczywiście, Jezus jest Synem Bożym z mocną duszą. Ale też nazywał siebie synem człowieka, ponieważ Jego Wielka Dusza wstąpiła w ciało człowieka. A ciało człowieka cechuje obecność również pierwiastka zwierzęcego, jego nieodłącznej części. Dlatego nawet Jezus, będąc Bodhisattwą, ulegał «pokusie» zwierzęcego pierwiastka, swojego ciała, swoich negatywnych myśli. Odczuwał ten sam ból, miał te same uczu-

cia, wszystko takie same, co i zwykły człowiek. Czyli Issa żył w takich samych warunkach. Było Mu tysiąc razy ciężiej, niż każdemu z nas. Ponieważ znał Swobodę, znał Boga... — Zdało mi się, że te słowa Sensei przemawiał z jakąś tęsknotą, która ścisnęła jego serce, a wyraz jego twarzy się zmienił. — I tu, pełniąc swoją misję, trafia do ciała człowieka ze wszystkimi jego problemami, wszystkimi tymi myślami, emocjami. Z całym tym pierwiastkiem zwierzęcym, który trzeba było zagnać do kąta, do głębi swojej świadomości, i który trzeba było utrzymywać przez całe życie, jak psa na łańcuchu, a on do tego jeszcze czeka. I pana prezbiter twierdzi, że to jest raj?! — wskazał na swoje ciało. — i jeżeli to nie jest piekło, to co w końcu może być gorsze!

Po tych słowach powstała długa cisza. Sensei zapalił papierosa.

— Ale dlaczego w Ewangelii występuje tylko jeden fragment personalnej walki Chrystusa z diabłem, kiedy był On na pustyni? Przecież skoro Chrystus miał te same warunki, co i ludzie, a diabeł — to negatywne myśli, to znaczy, że te myśli powinny przebywać wewnątrz Niego przez całe życie.

— Ma pan absolutną rację. Nie tylko Chrystus był Wielką Duszą, wypełnioną przez siłę Miłości, dlatego trzymał w sobie wszystkie te negatywne myśli pod surową kontrolą. A ten moment, który figuruje w Ewangelii, to była bitwa myśli na polu umysłu, w celu potwierdzenia władzy ciała nad duszą. Był to Jego własny Armagedon, przez

który musi przejść każdy człowiek, urodzony w ciele. I niestety, Bodhisattwa nie jest wykluczeniem... Przez to pościł przez czterdzieści dni. Ponieważ właśnie w ciągu tego okresu organizm wyczerpuje się i zwierzęcy pierwiastek słabnie i ostatecznie się poddaje. Jezus doznał skruchy duchowej, żeby Dusza całkowicie opanowała Jego świadomość. Ale zwierzęce myśli Jego ciała stale Go kusiły, usiłując zawojować władzę nad rozumem w Jego głodnym ciele: «Skoro jesteś Synem Bożym, powiedz, żeby te kamienie stały się chlebami». Myśli Jego duszy odpowiadały: «...nie samym chlebem żyje człowiek, ale słowem z ust Pana jego», podkreślając w ten sposób siłę Ducha, istotę prawdziwego człowieka, czyli jego duszy. Negatywne myśli znów ogarniały Go: «...skoro jesteś Synem Bożym, rzuć się na dół; ponieważ napisane jest: «Aniołom swoim mówi o Tobie, na rękach poniosą Cię, nie potkniesz się o kamień nogą swoją». Odpowiedział sam sobie: «...napisane też: «nie kuś Boga, pana twojego», pokazując w ten sposób siłę ducha i panowanie nad opeętanymi myślami ciała. I kiedy myśli pierwiastka zwierzęcego kusiły Go, żeby panował nad wszystkimi królestwami świata, usiłując obudzić ostatni i główny atut — pragnienie władzy nad całym światem, utworzony przez nienasyconą manię wielkości, Issa odmówił i powiedział: «Oddawaj cześć Panu swojemu i tylko Jemu służ». I Issa z honorem wygrał ten Armagedon, zwyciężył swoje ciało, swoje negatywne myśli przy pomocy siły swojego ducha, siły ogromnej Miłości do Boga.

W pełnym zakresie obudziła się w Nim dusza Bodhisattwy i znalazł siebie. Od tej pory Jezus pełnił swoją misję, już wykorzystując swoją wiedzę i siłę swojej ogromnej Boskiej Miłości. Dlatego czynił cuda przy pomocy swojej wiary, ocalał chorych, ożywiał martwych. Ponieważ dla tej Boskiej siły nie istnieją żadne przeszkody ani na ziemi, ani w Kosmosie.

Na ogół Jezus przez całe swoje dalsze życie miał wyraźny podział myśli duszy i «opanowanych» myśli ciała. Na przykład, są słowa jego ciała, kiedy modlił się w ogrodzie Getsemani przed zdradą Judasza. Jezus modlił się, a Jego dusza przy tym opuściła ciało, i ciało krzyknęło: «Panie! Jeżeli to jest możliwe, niech minie Mnie ten kielich; chociaż nie tak, jak Ja chcę, a jak Ty chcesz». I to był właśnie apel ciała do duszy, ponieważ Dusza Jezusa była częścią samego Boga i posiadała Jego moc.

A oto inny przykład. Kiedy Chrystus już wisiał na krzyżu, bardzo cierpiał, w Duszy, odczuwał cały ten ból. I żeby się nie pokusić, Issa opuścił swoje ciało. Kiedy Dusza opuściła ciało, rozum krzyknął: «Ili, ili! Lama sawahfani? — czyli: Mój Boże, Mój Boże! Czemuż mnie zostawiłeś?» Jest to dowodem, jak Issa jako Wielka Dusza panował nie tylko nad swoim ciałem, ale panował nad swoim umysłem.

Chłopak trochę pomilczał, potem powiedział:

— Proszę powiedzieć, dawno mnie dręczy to pytanie, a czy to jest prawdą, że jesteśmy grzeszni od samego urodzenia?



— **Człowiek od urodzenia jest wolny i nie ma na nim grzechu.** Ale czym jest grzech? Grzech jest tym, co gnębi nas od wewnątrz, na poziomie podświadomości, jest tym, co oddziela nas od Boga, zmusza bać się, odczuwać swoją winę. Czyli jest uzasadnioną konsekwencją czynu naszej psychiki po naruszeniu praw ogólnoludzkich oraz praw moralnych. Właśnie to jest grzechem. Te prawa są kodeksem honoru, kodeksem sumienia. I skoro naruszyliście jego przepisy, trzeba stać się lepszym i czystszy wmyślach i czynach.

A pana przewodnicy religijni stale wmawiają panu, że pan jest niewolnikiem Bożym, że pan jest grzeszny od urodzenia. Dlaczego? Ponieważ dla nich korzystne jest to, żeby człowiek musiał ich utrzymywać przez całe życie, odkupując swoje «grzechy», nawet te, których nie popełnił. Jest to swojego rodzaju sztuczka psychologiczna dla tłumu. Jeżeli wmawia się człowiekowi, że jest winny, grzeszny od samego urodzenia, rodzi się w nim strach. Wasi przywódcy religijni korzystają z tego sztucznie stworzonego strachu, żeby odpuścić wam wasze winy, oczywiście, do następnego razu.

**Ale w istocie człowiek nie jest niewolnikiem Bożym, jest Bożym synem. A Ojciec nie może nienawidzić swojego syna, Może go tylko kochać. Tak więc, Bóg — to Miłość. A Miłości nie ma i nie może mieć strachu... Bóg dał ludziom wolność wyboru. I jest to najcenniejszy dar ludziom jako własnym dzieciom.**

— A co z legendą o wężu-kusicielu, o tym złu, które uczynił ludziom?

— Ta informacja została poważnie zniekształcona. Ta legenda, która pierwotnie została przekazana ludziom, miała następujące brzmienie. Kiedy Bóg stworzył człowieka, czyli duszę, zachwycał się swoim dziełem, ponieważ stworzył go według Własnego podobieństwa. Człowiek wtedy nie był na ziemi we własnym ciele, jak twierdzą przedstawiciele niektórych religii...

— Jak to, nie był w ciele? Przecież stworzono go na obraz i na podobieństwo.

— Czyż pan dopuszcza myśl o tym, że Bóg jest niezmienną osobą w materii, czyli jest w ciele, jak pan i ja i jednocześnie jest wszechobecny?!

— Mówią o tym też inne religie.

— Jakie religie?! Proszę o poważniejsze zgłębienie tego problemu. Wszystkie światowe religie twierdzą, że Bóg jest jeden, Jest wszechobecny ... Bóg jest swojego rodzaju, jak mam to panu wyjaśnić.., jest jak pole energetyczne, magnetyczne albo jakiegokolwiek inne pole. To jest jedyne pole, w którym wszyscy istnieją. Bóg — to potężna energia myśli, która stwarza wszystko i przejawia się wszędzie. W żadnym przypadku nie jest to ktoś, kto ma brodę i siedzi na tronie... Choć tymczasowo może On przybrać postać człowieka. Bóg stworzył wszystko według własnego obrazu i podobieństwa, ale tych z nas, którzy są wewnątrz tego ciała. Jego częśćka — dusza — jest w każdym z nas... «Raj» Człowieka na niebie, o tym, swoją drogą, mówił również Jezus.

Tak więc, Istota, którą stworzył Bóg, składała się z pierwiastka Boskiego, czyli z duszy. Nie wiedziała, co to jest zło, wiedziała tylko co jest dobrem, ponieważ była w nim Boska Miłość. Oczywiście, ta istota miała niezwykle możliwości i nie miała żadnych przeszkód... Lucyfer, anioł światła, prawa ręka Boga, również pokochał te istoty. Powiedział Bogu: «Te istoty nie zdają sobie sprawy, jak mocno je kochasz, ponieważ wiedzą tylko to, co jest dobrem». I Lucyfer zaczął bronić indywidualności człowieka, jego pozycji jako wolnej istoty poznania, żeby człowiek rzeczywiście pokochał Boga, a nie dlatego, żeby istniał przed Nim, jak roślina, ciesząc Jego wzór. Bóg kazał Lucyferowi: «Skoro kochasz ich tak, jak ja, naucz ich tego». I Bóg zasiedlił ludźmi ziemię która została stworzona specjalnie dla człowieka, z morzami, lądem, roślinami i różnymi zwierzętami. Lucyfer stworzył ciało człowieka, w którym Bóg umieścił duszę, tworząc w ten sposób dwa pierwiastki: duchowy i zwierzęcy. Bóg dał człowiekowi siłę myśli, ponieważ jest Synem Bożym. Umysł stał się polem bitwy dwóch tych pierwiastków. Właśnie to udowadnia stworzenie człowieka przez Boga i Lucyfera jednocześnie. Właśnie to udowadnia, że Lucyfer był i pozostaje prawą ręką Boga, ponieważ brał aktywny udział w stworzeniu człowieka i bierze aktywny udział w wychowaniu jego duszy... Tak więc Lucyfer dał ludziom możliwość doskonale zrozumieć i poznać, co jest dobre, a co złe. A Bóg dał ludziom swobodę

wyboru między tymi dwoma pierwiastkami. Od tej pory Lucyfer opiekuje się ludźmi.

— A dlaczego Lucyfer nazywa siebie Legionem?

— To wszystko przez to, że działa przy pomocy myśli naszego zwierzęcego pierwiastka. A tych myśli, jak pan rozumie, są legiony. Proszę przeanalizować pana własne zachowanie. Zdaje się panu, że myśli pan tylko o czymś jednym, o czymś pańskim. Ale niech pan spróbuje utrzymać tę myśl chociażby przez dziesięć minut, skomentować ją i pan się zdziwi, ile wszelkich niepotrzebnych myśli zjawi się w pana głowie. Właśnie to jest legion. Dlatego Lucyfer, mówiąc obrazowo, jest stale obecny w panu, sprawdza pana pewność siebie, pana twardość wiary w Boga.

Siła myśli, dana nam przez Boga, jest ogromna. I ta siła nazywa się Wiarą. Prawdziwie wierzący człowiek może czynić cuda. I dowodem tego jest nie tylko Jezus, ale i Jego liczni zwolennicy oraz zwolennicy innych Wielkich, którzy czynili i czynią cuda. Ale problem tkwi w tym, że ta siła niezależnie od tego, w co człowiek wierzy, może zostać skierowana tak w dobrą, jak i w złą stronę. Człowiek otrzymuje to, na co zasłużył, patrząc w tę czy inną stronę. Jeżeli w myślach skłania się do złego, czyli jeżeli dręczy człowieka zwierzęcy pierwiastek, w jego życiu powstają liczne problemy, przy tym wszędzie: w pracy, w życiu osobistym, w rodzinie i tak dalej. Właśnie te problemy go dręczą. Ponieważ to złe myśli zabierają siły jego wiary i starają się odciągnąć go od

myśli o Bogu. Ale jeżeli skłaniacie świadomość ku dobrym myślom, złe myśli, tracąc siłę, słabną i już możemy je łatwo kontrolować. Pod warunkiem stałego wsparcia w postrzegiwaniu pozytywnych myśli droga życiowa staje się bardziej wyrównana. I, co jest najważniejsze, człowiek zaczyna się rozwijać i poznaje moc Miłości...

— I co, złe myśli całkowicie znikają?

— Nie, stale są wewnątrz pana obecne, ale nie mają siły wpływać na pana. Mówiąc obrazowo złe myśli tylko czekają na dogodną chwilę, kiedy osłabi pan kontrolę, żeby znów zawojować pana siłę wiary. Ten czujny Strażnik pierwiastka zwierzęcego przez całe życie jest obecny w ciele, jako jego nieodłączna część. Dlatego póki dusza jest w ciele, te próby «trwałości» będą zawsze występować. Ale za to, kiedy dusza już osiągnie dojrzałość i wyjdzie z cyklu przeistoczeń, Lucifer też cieszy się jako surowy i mądry nauczyciel z sukcesów swojego ucznia. Ponieważ dusza pokonała wszystkie przeszkody i połączyła się w swojej prawdziwej Miłości z Bogiem... A Bóg jest rodzicem. Zawsze cieszy się z sukcesów swojego dziecka...

**Tak więc, nasze życie — to szkoła życia. Dlatego każdy człowiek, przybywając w swoim ciele, przeżywa swój własny Armageddon, przyjmując pozycje swoich dobrych czy złych myśli, które odniosły zwycięstwo. Więc i wiedza, która została dana ludziom, może doprowadzić do Swobody albo do niewoli. Ale nikt nam nie przeszkadza w naszym**

wolnym wyborze, ani Bóg, ani diabeł. Jeżeli wybieramy Boga, idziemy do Boga, jeżeli wybieramy diabła, idziemy do diabła. Czyli sami budujemy dla siebie drogę albo do raju, do nirwany, albo sami siebie rzucamy do piekła reinkarnacji.

— No dobra, ale skoro człowiek przy narodzeniu nie jest grzeszny, to dlaczego śmierć Chrystusa jest odkupieniem ludzkich grzechów?

— Proszę przeanalizować to zdanie. Jakie może być odkupienie? Przecież gdyby tak było, czyli gdyby Chrystus wziął na siebie nasze grzechy, cokolwiek mówilibyśmy albo robilibyśmy, już zostałyby to nam wybaczone. A czy tak jest?! To jest bzdura. Każdy człowiek odpowiada przed Bogiem za własne grzechy.

Ze śmierci Jezusa teraz zrobili największą tajemnicę, o którą sprzeczą się sami przedstawiciele kościoła. Dlaczego dał się rozpiąć? Przecież Jezus był Synem Bożym, mógł zniszczyć całą planetę, a nie tylko gromadę żalosego narodu, bo miał siłę Boga. Ale ludzie sami tego chcieli, kiedy go rozpinano, mówili, że skoro jesteś Synem Bożym, to zejź z krzyża. Ale Chrystus nie uległ pokusie, pozwolił im rozpiąć swoje ciało. Dlaczego? Ponieważ **cały sens przyjscia Chrystusa tkwi nie tylko w jego Nauce, którą dawał ludziom, ale, co jest najważniejsze, pomyślność tej Nauki zależała od woli samych ludzi. Ponieważ Chrystus przyjął te wszystkie męki, żeby zademonstrować wolę Boską, której istotą jest wła-**

śnie Swoboda wyboru przez samego człowieka: albo postanowi iść do Boga, albo postanowi zostać w ciemności myśli swojego pierwiastka zwierzęcego. Tak więc Chrystus niósł ludziom swobodę wyboru. To jego największy czyn został ukryty przed większością ludzi. I właśnie to jest na ogół największym grzechem chełciaństwa. Ponieważ i przed Nim, i po Nim ludzie czynili cuda i głosili kazania o jedynym Bogu. Ale zapamiętaliśmy tylko rozpięcie Chrystusa, chociaż druga część Jego życia, w której głosił kazania, czynił cuda, ocalał chorych, przebywając na Wschodzie, częściowo zagubiła się w czasie. Pozostały tylko wspomnienia o proroku Issie w różnych starożytnych źródłach, na przykład, takich jak «Bhawiszja Purana», napisanym w sanskrycie.

— I co, czyżby Jezus pozostał na ziemi? — szczerze zdziwił się rozmówca.

— Oczywiście. Dzięki staraniom Poncjusza Piłata, ciało Chrystusa pozostało przy życiu i Jezus musiał powrócić do ciała. Ponieważ, jako Bodhisattwa, urodzony w cele, powinien przebywać w nim aż do ostatniego tchu.

— Dzięki staraniom Poncjusza Piłata?! — jeszcze bardziej zdziwił się chłopak.

— Tak. Rzeczywiście Poncjusz Piłat zrozumiał, kim jest Chrystus, dlaczego następnie otrzymał wolność od Chrystusa, czyli zwolnienie od reinkarnacji. Jego imię zostało zapisane w dziejach ludzkości.

— Ciekawe, ciekawe. I kiedy zrozumiał, że Jezus — to Bóg?

— Kiedy spotkał się z Jezusem. Ponadto, kiedy uświadomił sobie, Kto to stoi przed nim, Piłat starał się na różne sposoby Mu pomóc, namawiał go, żeby uciekł, uprzedzając o tym, że tłum go zabije. Ale Jezus odmówił, powiedział, że skoro ciało jego musi zginąć, to niech tak będzie, ponieważ ludzie muszą dokonać własnego wyboru. Naspętnie Poncjusz Piłat nawet usiłował przekonać tłum w tym, że Jezus jest niewinny, żeby Go puszczono, jak zwykle w dniu wielkiego święta. Ale ludzie chcieli właśnie Chrystusa widzieć zabitym i ukrzyżowanym. To był ich własny wybór.

Jednak Poncjusz Piłat i tak zrobił wszystko po swojemu. Chociaż Chrystusowi jako Bodhisattwie łatwo było zakończyć swój żywot na ziemi w ciele człowieka. Z Miłości Piłat, usiłując przysłużyć się Bogu, uratował ciało Chrystusa, myśląc, że to jest właśnie Chrystus. Ale Chrystusa już w nim nie było. Będąc na krzyżu, opuścił swoje ciało, żeby nie ulec pokusie w wyniku trudnych męk. Preczeż ciało jeszcze pozostawało przy życiu.

— Ale w jaki sposób ciało mogło pozostawać przy życiu, skoro w Biblii jest napisane «jeden z żołnierzy przebił mu żebra i od razu zaczęły płynąć krew i woda».

— Chodzi o to, że ta scena została rozegrana «dla publiczności» przez ludzi Poncjusza Piłata. To przebicie zostało wykonane przez jednego z



najlepszych wojowników Piłata. Na tyle sprawnie to zrobił, a propos, przebił między 5 a 6 żebrzem z prawej strony w lewo do góry pod odpowiednim kątem, w wyniku czego wydawało się, że przebił serce. Ale w rzeczywistości żaden z życiowo ważnych organów nie został uszkodzony. Ciało przebywało w stanie nieprzytomności, chociaż było żywe. To jest jeden z ważnych momentów, potwierdzających właśnie rolę Piłata w uratowaniu Jezusa, ponieważ przedstawił rzekomy dowód tego, że Chrystus jest martwy. Chociaż dwóm innym rozpiętym skazańcom przebito golenie. Zrobiono to po to, żeby nie mogli o nie oprzeć się i zmarli w mękach od uduszenia.

Ponadto, rozpiętych nie pozwalano wtedy chować razem ze wszystkimi, rzucono ich do ogólnej mogiły. Ale ciało Chrystusa, znów na rozkaz Poncjusza Piłata, zdjęto z krzyża i zanieśiono do jaskini... Prawie przez dwa dni troszczono się o Jego ciało, leczono go, rozcierano wyciągami z ziół, żeby doszło do siebie. Czyli, mówiąc współczesnym językiem, usiłowali go reanimować.

Ale chodzi o to, że według proroctwa Jezusa, on zmartwychwstanie i zjawi się w blasku w trzecim dniu. Czyli Jezus miał przyjść w trzecim dniu nie w ciele, a w Duchu Boskim, żeby rozwiązać wątpliwości, że został wysłany przez Boga. Ale Poncjusz Piłat ze swoimi zwolennikami nie dał ciału Chrystusa umrzeć. Więc Chrystus musiał wrócić do ciała...

Oczywiście, w swoim pojmowaniu, Piłat uratował Jezusa. Więc Jezus należycie ocenił jego sta-

rania, uwolniwszy go przed łańcuchem reinkarnacji. Piłat był pierwszą osobą, która rozmawiała z Chrystusem po jego «zmartwychwstaniu».

— No, to już jest na pewno nie wiadomo.

— Wiadomo. Do naszych dni zachowały się wspomnienia o tym. I ktoś zachowuje te wspomnienia, żeby jego władza się nie zachwiała. I na próżno. Będzie musiał za to zapłacić wysoką cenę. Więc kiedy Jezus ocknął się, Poncjusz Piłat rozmawiał z Nim, prosił Go aby opuścił jego krainę, żeby znów nie zaczęły się prześladowania Jego przeciwników, którzy mieli władzę. Piłat poprosił Go: «Zlituj się nade mną, nie idź do ludzi». Jezus odpowiedział, że wykona prośbę Piłata, tylko się pożegna z uczniami i odejdzie. I dotrzymał swojego słowa. Ponieważ Jego główna misja została już spełniona Issa odszedł na Wschód razem z matką i jednym ze swoich uczniów. Jezus żył ponad sto lat i został pochowany w Śrinagarze, stolicy Kaszmiru, w którym mieszkał przez ostatnie lata. To malownicze miejsce jest położone wśród jezior u stóp Himalajów. Jego mogiła jest w skrypcie «Rozabal», co oznacza «mogiła proroka».

— Może właśnie tak i było. Ale widzi pan, nie sposób dowieść, że w tej mogile leżą szczątki właśnie Jezusa.

— Dlaczego nie sposób? Można to udowodnić. Są ślady rozpięcia. Na przykład, zadrapania na dłoniach, stopach nóg, nawet ślady oszczepu między zębami. Ponadto, ma charakterystyczne źle

zrośnięte złamanie w okolicy tylnej połowy ciała rurkowatego kości piszczelowej prawej nogi.

— Złamanie? I co, złamano mu nogę podczas egzekucji?

— Nie, egzekucja nie ma z tym nic wspólnego. To się odbyło o wiele później, kiedy Chrystus był już w bardzo podeszłym wieku. Akcentuję uwagę na tym charakterystycznym, źle zrośniętym złamaniu. Jest potwierdzeniem tego, że Issa dożył do starości...

— A co ze wzmianką o tym, że Jezus wniebowstąpił w ciele?

— Oczywiście, taką wzmiankę należało wstawić dla umocowania wiary pastwy w siłę materialnego pierwiastka... W ogóle, jeżeli uważnie przeczytacie Biblię, znajdziecie następujące: są cztery Ewangelia, ale tylko w dwóch mówi się o wniebowstąpieniu. U Mateusza i Jana mówi się o spotkaniu Jezusa z uczniami na górze. U Jana nawet o tym, że po tym spotkaniu Jezus odszedł razem ze swoim ulubionym uczniem. Ponadto, zachowały się liczne wzmianki o przebywaniu Jezusa na Wschodzie już po Jego rozpięciu. Ta informacja jest przechowywana nie tylko na Wschodzie, ale również w bibliotece Watykanu...

— Załóżmy. Skoro to były niespokojne czasy, jak pan mówi, to dlaczego dzisiaj nie opowiedzieć ludziom o przebywaniu Jezusa na Wschodzie, które potwierdzają te dokumenty. Przecież są teraz zupełnie inne czasy.

— Tak, czasy są inne, ale pragnienie ludzi do władzy pozostało takie same, co i tysiącle-

cia temu. Proszę sobie wyobrazić, co znaczy dla najwyższych religijnych władz opowiedzieć całą prawdę ludziom i ukazać światu dokumenty historyczne, które tak starannie chowają. To byłoby dla nich pełna katastrofa! To oznacza rujnowanie samej podstawy, którą kiedyś sami wyznaczyli, podważenie wiary swoich nowicjuszy i całej swojej olbrzymiej parafii, i odpowiednio, całej swojej władzy. Nikt na to nigdy się nie zdecyduje... Ale człowiek, który zawsze poszukuje wiedzy, wcześniej czy później napotka takie wzmianki.

— Być może, w sumie ma pan rację — po chwili namysłu odpowiedział rozmówca.

— Szczerze mówiąc, miałem pewne wątpliwości co do wniebowstąpienia, ale o Poncjuszu Piłacie... kto by mógł pomyśleć!

— Tak, Poncjusz Piłat, chociaż i zasłużył łaskę Boską przez swoją miłość, ale zawiódł Iszę bardzo mocno — myśląc o czymś swoim, powiedział Sensei. — Skazał Go na ponad osiemdziesiąt lat błakania się w ciełe. Ale, widocznie, to była zapłata Chrystusa za uratowanie Piłata.

Nadeszła niedługa cisza, widocznie, każdy z uczestników rozmowy pograżył się w swoje myśli. My też staliśmy w milczeniu, nie zdobywając się na przerwanie takiej ciekawej rozmowy.

— Ciekawe — znów powiedział chłopak — dlaczego Chrystus przyszedł właśnie do żydów, a nie do przedstawicieli jakiegokolwiek innej nacji. Czy to był naród dominujący, wybrany przez Boga? I w Biblii wszędzie, poczynając od

Abrahama, mówi się, że Bóg nazywa ich swoim ulubionym narodem.

— Widzi pan, Bóg nie wyróżnia narodowości, koloru skóry i tak dalej, ponieważ wszyscy są dziećmi Boga i jednakowo kocha wszystkich. Ale gdy jedno z dzieci choruje, całą uwagę poświęca właśnie temu choremu dziecku, żeby szybciej wróciło do zdrowia. Tak samo i Bóg. Proszę przypomnieć sobie słowa samego Jezusa: «Nie zdrowi mają potrzebę w lekarzu, ale chorzy».

— A ilość Jego uczniów. Czy jest związana z jakąś mistyką, numerologią. Przecież było ich dwanastu, a wychodzi na to, że Jezus był trzynastym?

— Nie ma tu żadnej mistyki. Po prostu szukał uczniów dla siebie z mniej-więcej dojrzałą duszą wśród ludzi. I jeszcze miał szczęście, że potrafił znaleźć aż dwunastu uczniów, do tegoż jeden z nich Go... sprzedał.

Chłopak uśmiechnął się:

— Tak, jeżeli powoływać się na słowa Jezusa z Biblii, lekarz powinien pomagać choremu, ale nie zdrowemu... chociaż dzisiaj lekarz chyba jest potrzebny całej planecie, a nie tylko temu narodowi...

— Ma pan absolutną rację... Proszę popatrzeć, co się dzieje w naszym kraju, w którym ponad siedemdziesiąt lat pielęgnowano materializm. Kiedy tylko zjawiała się mała swoboda wyboru, ludzie, niby wygłodniali, rzucili się do różnych religii, ponieważ duchowy pierwiastek potrzebuje rozwoju. Proszę popatrzeć,

ile powstało i kwitnie nowych sekt, ruchów, religii.

Dobra, może w naszym kraju to jest zrozumiałe. Ale proszę popatrzeć, co się dzieje na świecie. Wszędzie ma miejsce rozkwit różnych religii. Ludzie rzucają się od jednej do drugiej. Z punktu widzenia rozumu, chyba im się podoba. Wszędzie jest dobre traktowanie, wszyscy do nich się uśmiechają, rozmawiają z nimi uprzejmie... Ale dusza zrzeka się tych nauk, ponieważ potrzebuje prawdziwej wiedzy, ponieważ dąży do Swobody. A sekty, religie są bardzo ograniczone. Dają więcej pokarmu dla umysłu, niż dla duszy. Ale dusze odczuwają, że pod tą zewnętrzną «pobożną» powłoką jest zgniły owoc. Dlatego dusza drży, a człowiek rzuca się, poszukując całościowo, dojrzałego owocu.

— Proszę mi wybaczyć, ale pan przypomniał, że czas zaczyna się kurczyć. Co pan ma na myśli?

— Tak, jeszcze starożytni ludzie to przepowiedzieli, również Jezus mówił że: «Gdyby nie skurczyły się dni, żadna pleć nie pozostałaby przy życiu, ale dla wybranych kurczą się te dni...» Czyli kiedy ludzkość będzie stała przed najważniejszym wyborem, jak się mówi w eschatologii, przed Sądem Boskim, jedną z najważniejszych cech tego czasu będzie właśnie jego kurczenie... Zasadniczo nic się nie zmieni. Zegar będzie nadal pokazywał 24 godziny na dobę, kalendarz pozostanie takim, jakim jest, w roku będzie nadal 365 dni. Ale dusza wewnątrz człowieka zacznie drgać. I człowiek zacznie czuć, odczuwać brak

czasu. Będzie zauważać, że czas biegnie szybciej; dzień przelatuje w mgnienie oka, miesiąc — jak tydzień, lata — jak miesiące. I im dalej, tym mocniej będzie kurczył się czas, stanie się bardziej szczelny. To jest swojego rodzaju znak, sygnał dla duszy.

— Tak — z zadumą odpowiedział rozmówca — chyba przepowiedzenie proroków zaczynają się sprawdzać... Przecież to są przepowiedzenie drugiego przyjścia! Czy na prawdę ten czas nadejdzie?!... Ciekawe, a jak mamy rozpoznać, że właśnie Jezus przyszedł? Przecież, pamięta pan, kiedy Jezus przyszedł po raz pierwszy, długo Mu nie wierzano, że jest prawdziwym Synem Bożym. A teraz popatrzcie, wielu ludzi nazywa siebie Chrystusem albo pocieszycielem, wysłanym z nieba przez Chrystusa. Z jednej strony, wszystko mówią jak należy, według Biblii, ale z drugiej strony, ludzie nie wierzą im. Więc jak odróżnić prawdziwego Chrystusa od fałszywego zbawcy?

— Bardzo prosto. Przecież w Biblii mówi się, że Jezus zmartwychwstał, i wystarczy, żeby chory dotknął Jego ubrania, a powróci do zdrowia. Sądząc po tym prawidłowo by było stosować praktykę «Zen». W tym celu trzeba wziąć gruby kij i dobrze uderzyć tych, kto uważa siebie za Chrystusa. I jeżeli na kiju wyrosną liście, to znaczy, że jest to właśnie Chrystus. A jeżeli nie, to znaczy, że to jest awanturnik. I dobrze byłoby uderzyć jeszcze raz, żeby innym razem nie zechciało mu się przywłaszczać cudzą sławę.

Przez kilka sekund staliśmy milcząc, przyswajając to, co usłyszeliśmy. Chłopak też najpierw nie potraktował tego na serio. Ale kiedy dotarł do niego sens tych słów, z całej duszy się roześmiał, razem z całą naszą grupą, która też wybuchła śmiechem.

— Właśnie to jest chyba najbardziej skuteczna metoda — powiedział z uśmiechem. — Ale mówiąc poważnie?

— Mówiąc poważnie, nie warto jest czekać na Jezusa jako Syna Człowieka, ponieważ przyjdzie jako syn Boży do waszych dusz. I będzie rządził jako król, siedząc na «tronie» nie tylko duszy, ale i naszego umysłu... Proszę przypomnieć sobie słowa z Ewangelii świętego Jana: «Ponieważ Bóg jest duchem»; «Jestem drogą i prawdą i życiem; nikt nie przychodzi do Ojca inną drogą, tylko przeze mnie»; «i kiedy poproszę Ojca, da wam innego Pocieszyciela, niech będzie z wami na zawsze, Ducha prawdy, którego świat nie może przyjąć, bo nie widzi Go; a wy Go znacie, bo On jest z wami i w was i w was będzie»; «tego samego dnia dowiecie się, że Ja jestem w Ojcu swoim, a wy jesteście we Mnie, a Ja Jestem w was».

Chłopak trochę pomilczał i zapytał:

— Ciekaw jestem, kiedy jednak nastąpi koniec świata? W gazetach ostatnio pojawiają się najróżniejsze daty. W naszej sekcje również starają się, żeby ten koniec odpowiadał proctwom różnych astrologów, nazywając datę parady planet... Ciekawe, kiedy nadejdzie Apokalipsa, kiedy staniemy przed Sądem Boskim?



— Wie pan, ludzie już od dwóch tysięcy lat czekają na Armageddon i drugie przyjście Chrystusa. Praktycznie wszystkie religie są na tym zbudowane, głoszą, że jutro będzie koniec świata i kto nie jest wśród nich, ten od razu zginie w «płomieniu piekła»... Chciałbym powiedzieć o tym tak. **Każdy człowiek przy życiu przeżywa swój własny Armageddon. Ale nie każdy go wygrywa. I nie każdy rozumie, że przeżywa właśnie ten Armageddon. Dlatego nie warto się bać Apokalipsy, która nadejdzie dla wszystkich, przecież hurtem umierać jest łatwiej. Najważniejsze — to wygrać własny Armageddon, żeby potem nie okazać się wśród tego tłumu.**

— Dokładnie! Sam myślę, że trzeba już teraz coś zrobić, ponieważ nie wiadomo, co będzie jutro... Szczerze mówiąc, lepiej czuję się po tym, co pan powiedział... A ta całkowita nieświadomość... po prostu, już mi nerwy nie wytrzymują tych wszystkich «strasznych omanów»... I nie bardzo rozumiem, jaką religię pan wyznaje?

— Nie wyznaję i nie należę do żadnej religii. Należę tylko do Boga.

Potem rozmowa potoczyła się na bardziej szczerze tematy, czyli o osobie samego chłopaka. Wydawało mi się, że ten chłopak rozmawiał z Mistrzem tak, jakby byli sami w całym Wszechświecie. Więcej i więcej opowiadał mu o sobie, o swoim życiu, jakby nas nie było. Wydało mi się, że ci dwaj rozmówcy są dwoma zmęczonymi Podróżnikami pod bezkresem gwiazd, obydwaj

byli pogrążeni w tę rozmowę o wiecznym, o istocie rzeczy, jakby zniknęły granice umowności, przestrzeni i czasu.

— ...Dziwne... Wie pan, ostatnio nie miałem szczęścia co do duchowych nauczycieli. Albo nie podobały mi się ich odpowiedzi, albo im się nie podobały moje pytania. I nasze stałe spory były tylko deptaniem na miejscu, tylko marnowaliśmy czas. Ale to, co mówi pan... po prostu zauważam, że nie jestem w stanie sprzeciwić się panu. Ponieważ to, co pan mówi, jest zgodne z moim wyobrażeniem o świecie... To byłby honor mieć takiego nauczyciela, jeżeli, oczywiście Nauczyciel uzna za stosowne mieć takiego ucznia.

— Wiesz, nie radziłbym ci szukać nauczyciela ani we mnie, ani w kimkolwiek innym. To nie dlatego, że jesteś niegodnym uczniem, a ponieważ ty tego masz o wiele więcej. Widzę, że masz Iskrę. Poradziłbym ci wszystkiego się nauczyć samemu. Poznaj święte księgi z różnych religii i stwórz sobie zbiorowy obraz Boga, wyciągnij wnioski z tego, czym jest prawda, czym jest wiara, czym są cuda i tak dalej. Ponieważ gdyby jedyna religia była kiedyś prawidłową, wszyscy ludzie nie mieliby szans na ocalenie i nie byłoby cudów. Ale cuda mają miejsce w różnych religiach. Ponadto, jeżeli to jest możliwe, poznaj psychikę człowieka, biologię, anatomię, morfologię, dobrze byłoby też poznać astronomię, fizykę kwantową, chemię... Czyli, rozszerz swój widnokrąg w dziedzinie nauk ścisłych o tyle, na ile wystarczy ci siła. I jestem pewien, że

zacziesz rozumieć to, co mówię. Teraz ty to po prostu odczuwasz, ale wtedy zacziesz to rozumieć. Kiedy już zacziesz to rozumieć, zacziesz rozumieć Boga. A właśnie Bóg jest najlepszym nauczycielem...

Tego wieczoru wróciliśmy do domu ostatnim dyżurnym tramwajem. Było już daleko po północy, ale nie mogłam zasnąć, wstrząśnięta do głębi duszy tą rozmową z Mistrzem I mój pamiętnik, jako najlepszy przyjaciel i milczący rozmówca, przyjął wszystkie tajemnice mojej duszy. Moja z nim rozmowa w myślach i na piśmie trwała do samego rana. I już kiedy na niebie zalśniło słońce i świat zaczął stopniowo się budzić, dopiero wtedy stęsknione łóżko przyjęło moje ciało w swoje objęcia miękkich narzut. Dobrze, że była niedziela — dzień powszechnego odsypiania.





czas płynął niedostrzegalnie. Rozpoczęła się gorąca pora egzaminów maturalnych — grudek nerwów i potu wielu ludzi. Dziwnie, ale właśnie w tym ostatnim roku mojego szkolnego życia już bardziej spokojnie traktowałam ten niełatwy okres. Po wszystkim, co przeżyłam letnie egzaminy wydawały się tylko zwykłą próbą wiedzy, a nie «ciężkim wypróbowaniem losu», jak uważali moi koledzy z klasy. I kiedy to wszystko już się skończyło, kiedy nadszedł długo oczekiwany bal maturalny, jeszcze długo nie mogłam uwierzyć, że moje życie wciąż trwa i to nie jest sen.

Witając świt z klasą w malowniczym zakątku przyrody, rozmawialiśmy o tym, kto kim będzie po szkole. Wielu z nich marzyło o zawodzie lekarza, prawnika, ekonomisty, przedsiębiorcy. A kiedy spytano o to mnie, szczerze odpowiedziałam:

— Chcę stać się Człowiekiem.

Możliwe, że wtedy tak do końca nie zrozumieli moich słów, ale twarze wielu z moich szkolnych kolegów stały się bardziej poważne i zamyślane.

Przecież rzeczywiście staliśmy na początku naszej drogi życiowej, na progu naszego własnego wyboru losu. Nikt nie wiedział, jakim będzie nasze przyszłe życie... Jeżeli przeanalizujemy życie ludzi, którzy przeżyli połowę swojego życia, zobaczymy, że mnóstwo życiowych ścieżek po pewnym czasie splata się w jedną ścieżkę — próbę stania się Człowiekiem. Ponieważ, według słów Mistrza, w tym jest zawarty rzeczywisty sens naszego życia.





**P**rzez bal maturalny, niestety, musiałam opuścić zajęcia duchowe. I kiedy następnego dnia zadzwoniłam do Tatiany, przekazała mi świetną wiadomość.

Okazało się, że Sensei będzie miał tygodniowy urlop i chłopcy namówili go aby pojechać razem z nami nad morze. Nawet Mikołaj Andrejewicz ze względu na to, postanowił wykorzystać dni wolne, które zaoszczędził dla rzadkich przypadków «całodobowego» obcowania z Mistrzem.

— Powiedziałam, że ty też pojedziesz — wypowiedziała Tatiana przez telefon.

— Taniu, jesteś prawdziwą przyjaciółką. Tego już na pewno nie przepuszczę.

Postanowiliśmy jechać trzema samochodami: «Żyguli» Mistrza, «Wołgą» Mikołaja Andrejewicza i starym «Zaporożcem», który Andrzej pożyczył od swojego dziadka. Wszystko, co niezbędne, zebraliśmy hurtem. Wołodja obiecał zdobyć namioty. Okazało się, że Staś i Gienek są zawziętymi pletwonurkami i wzięli się za zaopatrzenie w sprzęt połowowy, w tym nadmuchi-

waną łódkę. My z Tatianą podjęłyśmy się odpowiedzialności za sprzęt kuchenny. A Kostja — za zaopatrzenie w źródlaną wodę.





**W**yznaczonym dniu o piątej nad ranem, brzęcząc miskami i łyżkami szliśmy cichymi uliczkami razem z Tatianą na miejsce zbiórki. Byli tam już Rusłan i Jurek. Następnie dotarli tam Staś i Gienek. Powiedzieli, że Sensei przyjdzie za godzinę. Jak potem dowiedzieliśmy się, Sensei pracował do samego rana. Chłopcy powiedzieli, że nigdy nie kończy pracować, dopóki nie przyjmie ostatniego pacjenta. Biorąc pod uwagę olbrzymie kolejki do niego, przyjmował do godziny drugiej w nocy. Ale tego dnia, dowiedziawszy się, że nastawiacz kości odjeżdża na cały tydzień, nabierało się sporo pacjentów. Więc Sensei przyjmował do piątej nad ranem.

Później na «pudełku» swojego dziadka podjechał Andrzej ze Sławkiem. Pewnie, ten samochód miał tyle samo lat, co i dziadek Andrzeja. Ale my z Tatianą byliśmy zadowolone nawet z tego środka transportu. W dobrej grupy «Zaporożec» jest nie gorszy od «Mercedesa». Zaczęliśmy wkładać rzeczy do naszego «stalowego



konia», wypełniając bagażnik prawie do samej góry.

— Kostja będzie musiał postawić swoją torbę pod nogi — poważnie powiedział Andrzej, z trudem zamykając bagażnik.

Ale kiedy przyjechał Kostja, trzeba było w tej chwili widzieć obwisłą ze zdziwienia dolną szczękę Andrzeja. Rzeczy Kostji przybyły «Wołgą» z załadowaną naczepą. I kiedy pomagaliśmy w wyładowaniu tych licznych torb i worków, Andrzej ledwie nie stracił daru mowy. Bezradnie machając rękoma, wreszcie wybuchnął:

— Oszalałeś! Chyba wybierasz się na Biegun Północny. Wyjeżdżamy zaledwie na tydzień, a tylko samych produktów wzięłeś na całe trzy lata! I jeszcze te ogromne bidony z wodą. Sensei kazał ci wziąć jeden, a nie cztery. Trzeba było jeszcze cysternę wziąć!

— Szczerze mówiąc, chciałem, ale nie mogłem. Nie miałem odpowiedniego transportu — z uśmiechem odpowiedział Kostja, kiwając w stronę «Wołgi» swojego ojca.

— Ale numer! Gdzie to wszystko załadować! Co mam robić z tymi beczkami?! Mam je postawić zamiast kół mego «Zaporożca»?!

— Zdaje się, że Mikołaj Andrejewicz obiecał podjechać z naczepą.

— Właśnie, coś takiego przypominam...

— Opuść sobie, coś wymyślimy.

W ciągu około piętnastu minut Andrzej przechadzał się wokół tej olbrzymiej kupy rzeczy Kostji. Ale Kostja tylko żartował, przemawiając:

— Popatrzę, jak jaśnie pan będzie dziękował mojej wysokości za taki niezapomniany komfort.

Kiedy Andrzej tryskał emocjami, Tatiana zapytała Kostję:

— Powiedz mi szczerze, dlaczego tyle wszystkiego wzięłeś?

— Przecież żyje się tylko raz. Nie tylko dla siebie, a dla wszystkich — chytrze tłumaczył się «Filozof». — W ogóle to wszystko to jedynie marność i pustka...

I wzięwszy ją za talię, powiedział marząco:

— Twoje piękne usta są dla mnie droższe, niż to wszystko.

— Przestań — dziewczyna popchnęła go lekko, śmiejąc się.

Kostja zrobił cierpiącą minę i powiedział z patosem:

— Duma serca jest warta wielu zmagień!

I krzywo patrząc na Tatianę, dodał:

— Napiąłem cięciwę tak mocno,

Obawiam się, że łuk nie wytrzyma!

— Nigdzie się ode mnie nie schowa. Już ja mu pokażę.. — niespodziewanie głośno powiedział Andrzej, wciąż burcząc o swoim.

Wybuchliśmy śmiechem. W tej chwili podjechał Sensei razem z Wołodją i Wiktorem. Spoglądając na górę rzeczy, Sensei ze zdziwieniem spytał:

— Chłopcy, chyba się wybieracie na biegun Północny?

Cała nasza grupa znów się roześmiała, a Andrzej, dla którego Sensei wydawał się sprzymierzeńcem, opowiedział mu o wszystkim.

W końcu podjechał Mikołaj Andrejewicz z długoczekiwaną naczepą. Ale okazało się, że ta naczepa była za mała dla wszystkich rzeczy Andrzeja. Byle jak załadowawszy rzeczy do trzech samochodów, zaczęliśmy ładować do nich swoje ciała. Sławek siadł do samochodu Mistrza. My z Tatianą rozmieściliśmy się wśród torb na tylnym siedzeniu «Zaporożca». A Kostja, jako osoba, która «najbardziej zawiniła» otrzymał najbardziej «upragnione» miejsce — z przodu koło Andrzeja, na siedzeniu, które było niskie i do tego jeszcze kołysało się na jednej śrubie. Więc Kostja, będąc wysokim, swoimi kończynami odczuł całą przyjemność podróży «Zaporożcem». Ale nieskończony humor naszych chłopaków zniwelował cały dyskomfort zgranym i wesołym śmiechem.

Nasz «Zaporożec» turkotał na czele całego konduktu. Andrzej przez cały czas starał się wycisnąć z niego całą moc, wciskając pedał gazu. Sensei ze starszymi chłopakami jechał jako następny, zachowując odstęp. A Mikołaj Andrejewicz, załadowany do samej góry, jechał za samochodem Mistrza... Mało tego, że samochód Andrzeja jechał na czele konduktu, jego kierowca zechciał zademonstrować, że «Zaporożec» jest najlepszym samochodem na tej trasie. Jadąc coraz szybciej, zaczął wyprzedzać jeden samochód po drugim, gorliwie wyprężając pierś. Kostja nie na żarty przestraszył się takich manewrów, wczepił się w deskę rozdzielczą i zaczął czytać modlitwę o ocaleniu wszystkich automobilistów przed tym «poganiaczem starego gruchota».

Wyrwaliśmy się do przodu. Obok trasy pokazało się niewielkie targowisko. Tatiana, z daleka zobaczywszy stojące opodal trasy kosze z truskawkami, krzyknęła chłopakom, żeby zatrzymali samochód. I kiedy w końcu zatrzymaliśmy się, Kostja odetchnął z ulgą i spróbował wyleźć z tej «puszki konserw, w której złożył się, jak makrela, w troje». Żeby pomóc nam wyjść z samochodu, Kostja musiał znów wystawić swoje krzesło. Tę komedię obserwo- wało całe targowisko. Co więcej, kiedy Kostja, w końcu, zatrzasnął drzwi, odpadło boczne lusterko samochodu. Andrzej spojrzał na niego takimi oczyma, jak gdyby zamachnął się na najświętsze:

— Jakbym mocno dał ci w twarz ręką i nogą mistrza! Kto tak trzaska?! Trzy dni zbierałem ten samochód. To jest cenny zabytek! Trzeba go traktować delikatnie, jak kobietę...

Dalej usłyszeliśmy całą lekcję na ten temat. Chłopcy rozeszli się po targowisku, wybierając jagody. Stałam koło «Zaporożca», czekając na pozostałych. Tymczasem podjechał Sensei z chłopakami. Kiedy wysiedli z samochodu, zdarzyło się coś dziwnego.

Jedna z kobiet, w wieku około czterdziestu pięciu lat, która obojętnie stała przy swoim towarze, ubrana w czarną chustkę, z zapłakanymi oczyma, zobaczywszy Mistrza, szybko przestąpiła przez swoje jagody, praktycznie rozsypawszy je. Podbiegła do Mistrza, upadła mu do nóg i zaczęła prosić go, głośno lamentując:

— Proszę cię, Gabrielu, zadbaj o mojego synka. Jak mam bez niego teraz żyć! Proszę cię, Gabrielu, zabierz i mnie do niego. Nie chcę już tego przekłętego życia, nie chcę! Boże, zmiłuj się nade mną, weź mnie do mojego syna...

Cały ten czas stałam obok. Raptem zobaczyłam, że oczy Mistrza zmieniły się. Pojawił się w nich jakiś blask, właściwie mówiąc, miękkie, lekkie światło, które przeobraziło rysy twarzy Mistrza. W tej chwili odczułam, że mój «kwiat lotosu» zaczął mocno wibrować. I ta impulsująca moc pochodziła nie od moich myśli, lecz, jak mnie się zdawało, od Mistrza. Schylił się nad kobietą, podnosząc ją.

— Wstań, kobieto — powiedział jej cichym, spokojnym głosem.

Wydało mi się, że jego głos stał się niezwykłym. Kobieta podniosła się, ale nie wstała z kolan, wciąż prosząc o to samo, ale już ciszej, patrząc mu prosto w oczy. Sensei czule położył jej rękę na głowę i powiedział:

— Nie martw się, kobieto. Z twoim Mikołaszą wszystko jest dobrze. Jest pobożny, o niego już zadbano.

Kobieta podniosła ku niemu swoje ręce. Jej oczy rozbłysły iskierką nadziei, a twarz zastygła w porywie błagania:

— Weź, weź mnie do niego, Gabrielu...

Od takich słów rozpaczy ciarki mi przeszły po grzbiecie. W tej chwili twarz Mistrza pokryła jakaś mgielka, i stała się jeszcze piękniejsza. Mój «kwiat lotosu» impulsował jeszcze mocniej.

— Wszystko w swoim czasie. Musisz jeszcze zadbać o Ksiuszę. Sprawisz jej wesele, doczekasz się pierwszego dziecka, z tydzień go ponianczysz. A w dziewiątym dniu pójdiesz do swojego Mikołaja, żeby mu opowiedzieć, jakiego ma przystojnego wnuka — spokojnie odpowiedział Sensei.

Po każdym słowie twarz kobiety stawała się jaśniejsza i łaskawsza. Zabłyśły łzy radości. Kobieta rozplynęła się w uśmiechu. I nie wiedząc, jak wyrazić swoją wdzięczność, znów padła mu do nóg. Sensei spróbował podnieść ją z ziemi. I tu podbiegły babcie, które handlowały obok, podniosły ją, wzięły pod ręce i odprowadziły w kierunku osiedla, cały czas przymawiając:

— Uspokuj się, Marysieńko, kochana, chodźmy, chodźmy do domu...

Kobieta poszła spokojnie z rozczuloną twarzą, szepcząc coś pod nosem i nieprzerwanie zegnając się. Pozostałe babcie zaczęły zbierać jej porozrzucany towar. To wszystko trwało zaledwie około trzech minut.

Tymczasem nadjechał Mikołaj Andrejewicz. Śpiesząc się podszedł do naszej grupy «skamieniałej ze zdziwienia» razem z Jurkiem i Ruslanem, spytał co się stało.

— Jakaś babcia oszalała — powiedział Gienek, który stał na uboczu. — Padła do nóg Mistrza i zaczęła o coś prosić, cała we łzach...

Sensei po tym wszystkim, co się stało, zapalił papierosa. A kiedy Mikołaj Andrejewicz zaczął go wypytywać, zmienił temat rozmowy i krótko odpowiedział:

— Tak, różne rzeczy się zdarzają w życiu..., człowiek miał nieszczęście.

— Rozumiem... A czemu tu stanęliśmy, przecież nie planowaliśmy tego postoju? — zapytał Mikołaj Andrejewicz Kostję.

— Chcieliśmy kupić tu truskawek.

Nasza grupa razem z Mistrzem przeszła się po targowisku. I wybrawszy dojrzałe jagody, Sensei kupił duży kosz dla wszystkich. Zadowolona babcia, kładząc truskawki do trzech torebek, życzliwie przemówiła:

— Chłopcy, bez obrazy. Jeszcze miesiąc nie minał, jak tej kobiecie zginął syn Mikołaj. Był jej jedynym synem, jej nadzieją i podporą. Jej mąż zginął dawno temu ... A tu takie nieszczęście. Jej synek był jeszcze taki młody. Pozostała tylko jego córka, Oksana, ma pięć lat... Masza ma ciężki los. Sama syna chodowała, teraz trzeba wnuczkę wychowywać razem z synową... Nie wiem, czemu tak się zachowała? Pewno, osłabła przez to nieszczęście.

— Tak — ze współczuciem zgodził się z nią Mikołaj Andrejewicz — stan po stresie... Stres powoduje nawet bardziej ciężkie zaburzenia psychiki... Kiedyś miałem taki przypadek...

Po usłyszeniu wymownych przykładów z jego praktyki, moja świadomość trochę się uspokoiła. «Ależ tak — pomyślałam — nic dziwnego, że rzuciła się na pierwszego lepszego»... Ale już po dziesięciu minutach jazdy chłopcy gawędzili o swoim i jedli dojrzałe truskawki. Podczas kolejnej anegdoty mnie nieoczekiwanie olśniło. W tej

chwili przypomniałam sobie słowa tej kobiety i odpowiedzi Mistrza. «Stop! Przecież nie powiedziała jak na imię jej synu i wnuczce. A Sensei powiedział wyraźnie: Mikołaj, Ksiusza». Przez to odkrycie niemal zakrztusiłam się truskawką. Nawet straciłam apetyt. «Czy naprawdę...» Obmyślając te wszystkie domysły, wspominając twarz Mistrza, mój «lotos» znów zaczął wibrować, rozlewając po całym ciele przyjemne odczucia. Fizycznie odczuwałam obecność Mistrza. Właściwie mówiąc, nie Mistrza, a tej siły, która pochodziła od niego w tej chwili. Odczułam ciepło i przytulność, niby ktoś owinał mnie miękkimi płatkami. W tym przyjemnym stanie zapadłam w drzemkę.







**O** budziłam się, bo ktoś tarł mi ramię.

— Wstawaj, śpiochu, już podjeżdżamy — powiedziała Tatiana.

Na kolejnym postoju rozprostowaliśmy zdrętwiałe nogi. W powietrzu pachniało morzem i świeżością. Dopóki Andrzej z Wikto-rem i Wołodją próbowali naprawić silnik «Zaporożca», przekaśliśmy w pobliskiej kawiarni.

Już za pół godziny nasz kondukt dotarł do strefy uzdrowiskowej, w której wszędzie było sporo wczasowiczów w Kostjumach kąpielowych o pięknych czekoladowych ciałach. Na czele naszego konduktu jechał samochód Mistrza. Andrzej nie mógł skupić się na drodze, starając się jednocześnie rozglądać po bokach i nie naruszać przepisów drogowych.

Mijając jeden z pensjonatów, Gienek wskazał na jeden z afiszy. Na nim dużymi literami było napisane: «Słynny ekstrasens międzynarodowej klasy, manuolog, prorok, mag i czarodziej Witalij Jakowlewicz... przeprowadza seansy leczeni-

cze i zdrowotne». Początek seansu o godzinie 20.00 codziennie».

— A kto to jest? — spytaliśmy razem z Tatianą chłopaków.

— Nie wiem — wzruszył ramionami Kostja.

— Słuchaj, czy to nie ten «neandertalczyk», który przylepiał na siebie łyżki. Pamiętasz?!

— A, ten dziwak?! Być może. Też chyba nazywa się Witalij Jakowlewicz. Tak sam się przedstawiał... «Władca Kosmosu i całej Ziemi»...

Chłopcy zaczęli hucznie wspominać tę historię, z całej duszy śmiejąc się z kawałów «ubogiego bożka».

Tymczasem, minąwszy strefę uzdrowiskową, dotarliśmy do mierzei. Jej długość wynosiła 12 kilometrów. Samochód był tu najlepszym środkiem, zapewniającym możliwość trafienia do bezludnej strefy i wypoczynku na dziko tak, jak chcieliśmy. Widocznie sporo było amatorów takich ostrych wrażeń w tych stronach, ponieważ na poprzek głównej drogi ułożono olbrzymią rurę. Ale tu obok, w krzakach, chłopcy znaleźli dwie szerokie deski, pozostawione przez troskliwych auto-amatorów dla swoich kolegów. Położywszy je na rurę, nasi kierowcy, jak profesjonálni kaskaderzy przejechali na tamtą stronę. Co prawda z naczepą Mikołaja Andrejewicza trzeba było trochę się pomęczyć.

Po dotarciu do jednego z najpiękniejszych zakątków, znaleźliśmy miejsce, nie raz «zagrzone» przez jakichś «dzikusów». Zebrawszy

wszystkie śmieci pozostawione przez niedbałych turystów spaliliśmy je i zaczęliśmy rozkładać obóz. Przy tym Sensei również okazał się utalentowanym kierownikiem. Uwzględnił wszystkie niuanse położenia obozu, nawet możliwość sztormu. Wszyscy brali w tym udział i z entuzjazmem pomagali Mistrzowi i sobie na wzajem. Sprzęt Kostji rzeczywiście się przydał, przemieniając nasz obóz na przytulne miasteczko. Sam Kostja cały czas to podkreślał, żartem przypominając o tym, że przez te rzeczy Andrzej — «sadysta» męczył go na krześle elektrycznym. My z Tatianą zajęliśmy się kuchnią. Postawiono dla nas specjalny namiot z produktami, a dla przygotowania potraw dano nam prymus.

Krótko mówiąc, życie w obozie szybko się potoczyło. Już po obiedzie do woli wykąpawszy się w morzu, z przyjemnością grzaliśmy swoje ciała na gorącym piasku. Starsi chłopcy popłynęli do morza nadmuchiwaną łódką. Mikołaj Andrejewicz czytał jakąś książkę, a Sensei drzemał w cieniu pod parasolką, okrywszy się ręcznikiem. Postanowiliśmy zagrać w karty. Kostja starał się zapamiętać, jakie karty wychodzą z gry i obliczyć, kto jakie karty może mieć, aczkolwiek praktycznie to było trudne do zrobienia, ponieważ było nas sporo i graliśmy dwoma taliami. Po kolejnej przegranej Kostja zaczął obmyśliwać w głowie schemat według jakiejś własnej arytmetyki. Podczas jednego z takich obliczeń podniósł brwi i jakby ze zdumienia od samego siebie powiedział:

— Jaka jest największa prosta liczba, którą pan może obliczyć na pamięć?

Sensei, nie otwierając oczy, odpowiedział:

— Mam ci powiedzieć pełną czy skróconą liczbę?

— Skróconą, oczywiście.

— 2 w stopniu 13 466 917 minus 1 — po prostu odpowiedział Sensei, jakby chodziło jedynie o zwykłą tabliczkę mnożenia. — ta liczba dzieli się na 1 i sama na siebie. I to jest chyba największa liczba prosta, którą mogę policzyć w pamięci...

Kostja ze zdziwieniem obrócił się w ich stronę. Następnie znów zaczął coś obliczać. A Sensei otworzył oczy i dodał:

— Jeżeli chcesz obliczyć współczynnik mojego intelektu, to na próżno się starasz, jest niższy od twojego.

Po tych słowach Sensei obrócił się na drugi bok i znów zaczął drzemać. Kostja kolejny raz się zdziwił:

— Ale Mistrz jest mądry! Skąd zna mój współczynnik? Przecież nic mu nie powiedziałem.

— Tak — powiedział Andrzej — i odpowiedź na to pytanie pozostała dla niego nieziszczalnym marzeniem, które zsiniało ze starości w oczekiwaniu odpowiedzi.

Chłopcy zaśmiali się, a Kostja po raz kolejny przegrał.

Tego wieczoru nasze nadzieje i oczekiwania tego, że Sensei opowie nam coś niezapomnianego przy ognisku pod gwiazdami. Sensei po kolacji poszedł spać, prawdopodobnie, dało się

we znaki zmęczenie. Jeszcze długo siedzieliśmy przy ognisku, beztriosko śmiejąc się i opowiadając przeróżne bajki.





**R**ano, około godziny siódmej obudził mnie głośny i przenikliwy krzyk mew. Usłyszałam rozmowę chłopaków, którzy prawdopodobnie już wyszli z namiotu po usłyszeniu ich krzyku. Staś mówił do Genka sennym głosem:

— Patrz, jaka wczesna pora, a Sensei już łowi ryby. Ciekaw jestem, co on chce złapać z brzegu i do tego wędką. Chodźmy zobaczyć.

Moja ciekawość okazała się o wiele silniejszą niż sen. Spiesznie wyszłam z namiotu. Sensei spokojnie siedział na składanym krzeselku z wędką w rękach. Obok stał pusty trzylitrowy słoik, do połowy wypełniony wodą. Kilka mew biegało wokół niego, krzycząc ze wzburzenia. Kiedy podeszliśmy, mewy wzleciały i zawisły w powietrzu nad Mistrzem, z ciekawością przyglądając się nam z góry.

— Sensei, karmisz tu mew? — z uśmiechem zapytał Staś, patrząc do pustego słoika

— Nie, to one uczą mnie łowić ryby — odpowiedział Sensei spokojnie.

Uśmiechnęliśmy się, uważając to za żart.

— Czemu nie obudziłeś nas wcześniej. Mogliśmy wziąć brodnik...

— Nie ma potrzeby w brodniku. Chciałem tylko zupy rybnej.

Gienek dla śmiechu demonstracyjnie zajrzał do pustego słoika, obracając go w świetle, i z humorem powiedział:

— Tak, z tych olbrzymich ryb będzie zawiesista zupa.

W tej chwili mewa, która przelatywała ponad nami, upuściła małą rybkę, i rybka upadła pod nogi Mistrza. Wszyscy się zaśmiali.

— Patrz, Sensei, masz rybę! Akurat dla zupy rybnej — z humorem powiedział Gienek, wrzucając ją do słoika.

Podeszli do nas Wołodja i Wiktor:

— Co za śmiech bez awantury?

— Sensei ze swoją wędką wzruszył mewy — powiedział Gienek. — Chyba im się sprzykrzyło patrzeć na pusty słoik.

Znów się roześmialiśmy. Sensei z uśmiechem powiedział:

— Więc tak, kto śmieje się najwięcej, będzie czyścił ryb na zupę i szaszłyków.

Znów parsknęliśmy śmiechem, wyobrażając sobie procedur oprawienia tej malutkiej ryby i dużego głodnego tłumu. Sensei zaśmiał się razem z nami, potem powiedział:

— Już dobrze, bajarze, wyciągajcie...

Pokazał nam grubą linę, której jeden koniec był przywiązany do nóżki krzesła, a inny spus-

czał się do wody. Chłopcy zaczęli ciągnąć linkę. I ku naszemu wielkiemu zdziwieniu, zobaczyliśmy w siatce parę jesiotrów, każdy z nich ważył około 4 kilo, i 8 ogromnych płastug. Wszyscy ze zdziwieniem wymienili spojrzenia i prawie chórem spytaliśmy:

— I to wszystko na wędkę?!

Sensei uśmiechnął się.

— Jaka tam wędka. Po prostu wcześniej wstałem. Widziałem, że rybacy z zakładu rybackiego poszli wytrząsać sprzęt. Pomyślałem, zanim dotrę do nich, już zdążą wrócić. Właśnie tak się stało. Poszedłem i kupiłem... A na wędkę żadna nie brała — ze smutkiem powiedział Mistrz.

Kiedy nieśliśmy ryby do oprawiania, Gienek powiedział Stasiowi pół żartobliwie:

— Nigdy tam nie pójdzie. Do zakładu rybackiego jest siedem kilometrów pieszo.

— Może, samochodem pojechał — zaproponowałam swoją wersję.

— Jaki tam samochód. Po pierwsze, jeżeli stał koło namiotu, usłyszelibyśmy go. A po drugie, nie ma nawet śladów.

Kiedy pozostali obudzili się, ta historia już porosła tajemniczymi szczegółami... Sensei był we wspaniałym humorze. Po lekkim śniadaniu zaproponował przebiżkę do mierzwi. Zostawiliśmy dobrowolnych dyżurnych Kostję i Tatianę, żeby nie pozostać w ogóle bez obiadu, również i Mikołaja Andrejewicza.

Po drodze zrobiliśmy kilka popasów w formie rozgrzewek i intensywnym obciążeniem mię-



śni. Przecież zajęcia pod gołym niebem, na tle takiego piękna, nie da się porównać z duszną halą sportową. Tutaj, jak się mówi, dusza i ciało zlewają się w jednym porywie.

Dobiegszy do końca, zobaczyliśmy całą nadmorską kolonię mew. Nasza grupa trzymała się skraju morza, żeby je nie wystraszyć. Ale mimo to mnóstwo mew krzyczało i krążyło nad nami, starając się odstraszyć nieproszonych gości i odpędzić ich od swoich gniazd.

Za moment otworzył się przed nami wspaniały widok, stworzony przez samą przyrodę. Na końcu mierzei fale spotykały się tworząc łańcuchy prawidłowych rombów, oddalonych od brzegu. Obrisy ich falistych krawędzi akcentowała morska piana. Całe to piękno dopełniała gra przeróżnych barw morskiej wody, od delikatnie różowego do ciemno-niebieskiego. A wspaniały błękit nieba z jedyną białowątą chmurką dopełniał doskonałości tego widoku.

Sensei dając nam piętnaście minut na odpoczynek, usiadł w pozie lotosu na skraju morskiego brzegu. Niektórzy z nas zrobili to samo, siadając obok, ja siadłam również. Dmuchał lekki wietrzyk. Nadbrzeżne fale stwarzały melodyjny szmer, który dopełniał donoszący się z oddali krzyk mew... Nie wiem, może przez to, że patrzyłam na całe to wspaniałe piękno, może z przyczyny obecności Mistrza albo z obu tych przyczyn, mój «kwiat lotosu» znacznie się aktywizował, roztaczając po moim ciele przyjemne fale. W ciągu krótkiego czasu doznałam takiego

uczucia, jakby pochłonoło mnie całe to otaczające piękno i jakbym stała się jego nieodłączną częścią. To uczucie było prawie chwilowym, ale niepowtarzalnym. Ten stan szczęścia przerwał głos Mistrza, który ogłosił zbiórkę.

Słońce już paliło nie na żarty. I Sensei, żeby ułatwić nam drogę, powiedział, że będziemy biegli po pas w wodzie. To okazało się bardzo trudne. Wołodja wraz z Mistrzem popędzili do przodu, jak dwie torpedy, wyprzedzając się na wzajem. To dało pozostałym możliwość do par-taczenia ćwiczeń: ktoś biegł w wodzie po kolano, a ktoś po kostki. Kiedy wreszcie dotarliśmy do obozu, właśnie chałturzyści rozplaszczyli się na ziemi, wśród nich byłam i ja. A Sensei i Wołodja wciąż promienili optymizmem; ciekawa jestem, skąd czerpali do tego siły. Po tym «biegu maratońskim» zaproponowali jeszcze zagrać w piłkę wodną. I o dziwo, starsi chłopcy od razu się zgodzili. Reszta «bezsilnych ciał» poszła pomagać w przygotowaniu obiadu.

Pracując w kuchni, obserwowałam Mistrza. Tak samo uśmiechał się, wyglupiał się i biegał za piłką, jak i wszyscy pozostali chłopcy. Absolutnie niczym się nie wyróżniał, tak samo młody, mocny i zdrowy chłopak z dobrym poczuciem humoru. Z jednej strony, był zwyczajnym człowiekiem... Ale każdy z obecnych widział w nim jakąś pikanterię, własne piękno, znajdował własne cechy, które zachwycaly swoją prostotą i jednocześnie subtelnością. Jego dusza, niby wielokrawędziowy diament, którym każdy roz-

koszował się pod swoim kątem widzenia i załamania wewnętrznego światła. Ale w istocie nikt nie mógł poznać go do końca, zrozumieć, kim naprawdę jest.

Kiedy chłopcy wreszcie się zmęczyli, w największy upał, cały nasz obóz zasnął kamienym snem. Obudziłam się około czwartej, szturchając Tatianę, żeby przygotowała coś smacznego dla naszego zespołu. Kiedy razem z nią wyszłyśmy z namiotu, zobaczyłam, że Sensei siedzi na piasku razem z Mikołajem Andrejewiczem i o czymś z nim rozmawia. Sensei coś objaśniał, przesypując trzy niewielkie kupki piasku. Po rozmowie obaj wstali i wolno szli w naszą stronę. I raptem pierwsza kupka piasku ruszyła się i nieoczekiwanie wyleciał z niej gołąb. Zadrżałam od takiej niespodzianki, nie wierząc swoim oczom. A Tatiana w ogóle upuściła ziemniak, otworzywszy usta ze zdziwienia. Raptem druga kupka się ruszyła. Sensei razem z Mikołajem Andrejewiczem tylko obrócili się, kontynuując swoją rozmowę bez żadnego cienia zdziwienia. I tu ruszyła się trzecia kupka. Wyskoczył z niej... wróbel. Zdrętwiałam z przerażenia. Wróbel nie odleciał, jak gołębie, a poskakał w ślad za Mistrem. Wyprzedziwszy go, cały najeżył się, rozpostarł skrzydła, i zaczął głośno szczebiotać, jakby był czymś oburzony. Sensei zatrzymał się, obserwując to rozpaczliwe szczebiotanie nastroszonego wróbla, potem z uśmiechem powiedział mu:

— Zgoda, będzie tak, jak sobie życzysz.

Po tych słowach znów zasypał wróbla piaskiem, tyle że kupka piasku była trochę większa. Aż wstałam z ciekawości. Ale następny moment wbił mnie w krzesło. Kiedy Sensei odszedł, kupka się ruszyła i wyleciała z niej duża czarna kania, która od razu odleciała w kierunku mierzei.

— A podziękować? — ze zdziwieniem rozłożył ręce Sensei, patrząc w ślad za nią. — Z resztą, jak zawsze...

Sensei beznadziejnie machnął ręką i ruszył w kierunku swojego namiotu po papierosy. Siedzieliśmy z Tatianą ani żywe ani martwe. I kiedy już Mikołaj Andrejewicz i Sensei odchodzili w kierunku plaży, usłyszałam takie to słowa:

— Tak więc to była iluzja mojej myśli? — spokojnie spytał go Mikołaj Andrejewicz, jakby chodziło o zwykłe rzeczy.

— Nie. To była właśnie materializacja mojej myśli.

— Więc czemu moje próby skończyły się tylko halucynacją?

— Ponieważ miałeś wątpliwości. A dla materializacji konieczna jest czystość wiary. Trudno jest osiągnąć tę czystość, ponieważ nawet mała wątpliwość niszczy wszystko...

Poryw wiatru znów uniósł słowa Mistrza poza granice zasięgu mojego słuchu. Bardzo chciałam pójść za nim i posłuchać takiej ciekawej rozmowy. Ale Tatiana, która akurat doszła do siebie po szoku, wylała cały potok słów na moją i bez tego utraconą głowę.



O

późnym popołudniu ktoś ze starszych chłopców zaproponował wieczór rozrywki i humoru — obejrzyć seanse lecznicze «wielkiego maga i czarodzieja», który przeprowadzał dzisiaj swój pierwszy seans. Co prawda trzeba było iść pieszo prawie osiem kilometrów. Na to zdobyła się tylko połowa naszego zespołu razem z Mistrzem i Mikołajem Andrejewiczem. Z kolei, nie chciałam przepuścić czegoś ciekawego dla mnie i mojego pamiętnika, który już po prostu pstrzył się od niezwykłych zapisów, mimo że był to dopiero drugi dzień nad morzem.

Przed ósmą zajęliśmy miejsca w letnim amfiteatrze, w którym już się zebrało około siedemdziesięciu osób. Obok Mikołaja Andrejewicza siadła młoda kobieta z trzyletnim chłopczykiem. Inne dzieci goniąc się biegały między rzędami. Tylko ten chłopczyk siedział na kolanach matki. Poczęstowałam go cukierkiem. Jak się okazało, chłopczyk był niewidomy. Matka powiedziała że jej syn jest ślepy od urodzenia. Mikołaj Andre-

jewicz zaczął z nią rozmawiać, pytając o szczegóły. Już wkrótce kobieta «wyznała» mu całą swoją życiową historię. Okazało się, że chłopiec również nic nie mówił po urazie, którego doznał w wieku dwóch lat. Ta kobieta miała jeszcze dwoje dzieci, starszego syna i córkę, którzy byli całkiem zdrowi. Mikołaj Andrejewicz pocieszał ją i zapisał adresy i nazwiska najlepszych specjalistów od medycyny. Kobieta ucieszyła się i powiedziała, że bynajmniej nie na próżno odwiedziła seans leczniczy.

Tymczasem Witalij Jakowlewicz wyszedł na scenę. Ledwie powstrzymaliśmy się od śmiechu, ponieważ to był właśnie ten «mag i czarodziej z łyżkami na brzuchu», którego mieliśmy zaszczyt poznać jeszcze jesienią. Teraz wyglądał bardziej elegancko. Jego twarz była ogolona, włosy pięknie ułożone. Miał na sobie czysty letni garnitur. Mimo znacznej zmiany jego wyglądu zewnętrznego, nadęte spojrzenie i gorliwe maniery pozostały.

Wychodząc na scenę, Witalij Jakowlewicz spojrział na tłum swoim «magicznym wzrokiem» i potem rozpoczął swój wykład. W ciągu jakichś czterdziestu minut opowiadał o tym samym, co i wtedy w sali sportowej, ale tym razem nie wieszał na sobie łyżek i jego przemówienie nie było tak nasycone niezrozumiałymi terminami ezoterycznymi i medycznymi. Przekonująco machając rękoma, chodził po scenie, gorliwie wypinając pierś. I wreszcie skończywszy, poprosił ludzi, pokutujących na różne choroby, które on wymienił, aby podeszli do sceny. Zdawało

się, że wymienił wszystkie choroby z «Poradnika felczera», który miałam w domu, przy tym w porządku alfabetycznym.

Do sceny podeszło około piętnastu osób. Ktoś mówił, że ma chore serce, ktoś narzekał na choroby żołądka, ciśnienie, a jakaś babcia miała ropiejące wrzody troficzne na nogach. Nasza kobieta z dzieckiem też podeszła. Wtedy Mikołaj Andrejewicz uzalił się nad tymi biednymi ludźmi, gotowymi uwierzyć w te brednie i spodziewać się niewiadomo czego.

Kiedy wszyscy chętni zebrali się koło sceny Witalij Jakowlewicz zaczął intensywnie machać rękami i pleść jakieś głupstwa o charakterze «kosmiczno-fluidalnym». I nagle, ku mojemu wielkiemu zdziwieniu, odczułam, że mój «kwiat lotosu» zaczął wibrować. Rzuciłam okiem na scenę i nie mogłam zrozumieć, czy te brednie Witalijego Jakowlewicza wzbudziły we mnie tę falę uczuć. Skupiwszy się, odczułam, że cała ta wibracja płynęła nie od strony sceny, a z prawej strony. To było nawet bardziej zdumiewające, ponieważ Sensei siedział z lewej strony ode mnie. Popatrzyłam tam, ale Mistrza tam nie było. Spojrzałam w inną stronę, w której, według moich uczuć, powinno znajdować się źródło. Daleko, w kącie, na samym końcu pustych rzędów zobaczyłam siedzącego Mistrza, który uważnie patrzył na ludzi, stojących obok sceny. Z każdą kolejną sekundą odczuwałam, że siła ludzkiego tłumu rosła. Po moim ciele już się rozlewała fala przyjemnych uczuć. Ale tłum wciąż wzrastał.

W potoku słów Witalijego Jakowlewicza nastąpiła pauza. W tej chwili ten niewidomy chłopczyk niegłośno, ale wyraźnie powiedział: «Mamo!» Kobieta zalała się łzami, mocno ścisnąc syna. Przyciągnęła uwagę wszystkich. I raptem zaczęła się euforia. Jedna kobieta powiedziała, że wyleczyła się z bólu, jakiegoś mężczyznę przestał boleć żołądek. A jeszcze głośniej od wszystkich krzyczała piskliwym głosem babcia, że jej wrzody troficzne zaczęły wysychać wprost na oczach. Przy tym, nie wierząc sama sobie, próbowała pokazać to pierwszemu napotkanemu człowiekowi. Wielu ludzi w hali wstało z miejsc i biegło do sceny. Witalij Jakowlewicz już pogubił się w podziękowaniach, oraz od próśb pomocy ludziom i ich bliskim. Tymczasem Sensei zajął swoje miejsce ny sali.

Młoda mama, przyciskając do piersi swoje dziecko i zanosząc się od płaczu, nie mogła wyjść z tłumu, ponieważ zaczął się taki zament, że nikt już nie zwracał na nią uwagi. Mikołaj Andrejewicz pośpieszył jej z pomocą. Po wyjściu z kina, usadziliśmy kobietę na ławce. Mikołaj Andrejewicz zaczął ją uspokajać. Chłopczyk siedział obok i słysząc płacz matki, zaczął krzywić twarz, też przeżywając to. Sensei przykucnął koło niego i pogłaskał po głowie, coś szepcząc sobie pod nosem. Dziecko uspokoiło się i zaczęło się przysłuchiwać. Potem jakoś często zamrugało oczami... I w tej chwili chłopczyk, jak mi się wydało, spojrzął na zegarek, który błyszczał na ręce Mistrza. Chłopczyk złapał rękę Mistrza



wczepił się w zegarek, starając się go zdjąć. Pytając spojrział w oczy Mistrza i wymówił krótkie ale wieloznaczne słowo:

— Dać!

Matka chłopczyka, od tego, co zobaczyła, straciła przytomność. Kiedy Mikołaj Andrejewicz razem z chłopakami pomagali ją ocucić, Sensei zdjął swój zegarek i oddał go chłopczykowi powiedziawszy przy tym:

— Masz chłopie, trzymaj na zdrowie.

Dziecko ze szczęśliwym uśmiechem zaczęło go kręcić, sprawdzając wytrzymałość... Kiedy kobieta doszła do siebie, jeszcze długo nie mogła uwierzyć w to, że jej syn odzyskał wzrok. Dawała mu wszystko co miała w torebce. On wszystko z zachwytem oglądał, przekształcając te wszystkie przedmioty na improwizowane zabawki. Przekonawszy się o tym, że chłopiec odzyskał wzrok kobieta poschwyciła go, podziękowała Mikołajowi Andrejewiczowi i nam wszystkim za okazaną pomoc, pobiegła do swojego bloku, żeby opowiedzieć o tym mężowi.

W drodze powrotnej do naszego obozu Mikołaj Andrejewicz nie przestawał wyrażać swoje zdziwienie:

— W jaki sposób ten Witalij Jakowlewicz swoim gadaniem wzbudził w ludziach tyle wiary, żeby osiągnąć maksymalny efekt terapeutyczny! Przecież widziałam na własne oczy, że ten chłopiec był ślepy. Może inni byli podstawionymi osobami. Ale ten przypadek wprost nie mieści się w mojej głowie!

Popatrzyłam na Mistrza. Ciekawie, co odpowie. Ale Sensei tylko półzartobliwie powiedział:

— Pewnie nie zbyt uważnie słuchał pan jego wykładu. Innym razem niech pan weźmie notes.

Po drodze nazbieraliśmy suchego chrustu na ognisko. Starsi chłopcy znaleźli stary porzucony prawie zgniły drewniany słup, który kiedyś był podporą linii elektrycznych. Tak więc, sądząc po dobrym nastroju Mistrza i po zebranym zapasie drewna, zanosilo się na długą i niezapomnianą noc.





W drodze do obozu pomiędzy Mistrzem i Mikołajem Andrejewiczem odbyła się ciekawa rozmowa. Psychoterapeuta pod wrażeniem od tego co się wydarzyło, zapytał Mistrza:

— Wiem że przy pomocy sugestii i oddziaływania terapeutycznego na chore dzieci możliwe jest polepszenie ich stanu. Ale dzieci?! W tym wieku praktycznie nie rozumieją, co się do nich mówi. I wynik oczywisty. Wprost nie wyobrażam sobie, jak to się mogło stać?! Przecież jeżeli to trzyletnie niewidome dziecko rzeczywiście odzyskało wzrok, to logicznie trzeba przyznać fakt leczenia na odległość.

— Takich faktów pełno w dziejach ludzkości — powiedział z uśmiechem Sensei.

— Tak, ale przeczytać — to nie zobaczyć! Jeżeli to naprawdę tak, to w ogóle nic nie rozumiem.

— Niczego trudnego w zrozumieniu tego nie ma, jeżeli masz całkowite wyobrażenie świata i o tym, czym jest ciało człowieka w rzeczywistości.

— Więc czym jest ciało człowieka?

— Ciało człowieka, jak każda inna materia, jest pustką. Jest iluzją stworzoną przez myśl Boga.

— Chce pan powiedzieć, że to drzewo i ja, jesteśmy w zasadzie jednym i tym samym, ponieważ jesteśmy pustką? — półzartobliwie spytał Mikołaj Andrejewicz, przechodząc obok dużego drzewa.

— W zasadzie tak — uśmiechnął się Sensei i dodał bardziej poważnym tonem: — Po prostu nasze materie utworzyła jedna i ta sama początkowa energia, tylko zmieniona i przekształcona w różne stany falowe. Stąd różnica we właściwościach materialnych. Porozważajmy z czego składa się ciało człowieka. Jak pan wie, ciało człowieka składa się z wewnętrznych organów i układów, organy — z tkanek, tkanki — z grup komórek. Komórki — z najprostszych elementów chemicznych. Przy tym podstawowa masa ciała, około 98%, składa się z tlenu, węgla, azotu i wodoru, i tylko 2% przypada na inne elementy chemiczne.

— Nie zrozumiałam, jak to? — nieoczekiwanie wyrwało mi się.

— To jest tak. Na przykład schemat rozdzielania 50 kg twojej wagi wygląda następująco — Sensei w ciągu paru sekund popatrzył na moje ciało, jakby coś oceniając, następnie powiedział: — tlenu w różnych stanach izotopowych — 30,481 kg, izotopów węgla — 11,537 kg, izotopów wodoru — 5,01 kg oraz izotopów azotu — 1,35 kg. Czyli ogólnie 48,378 kg. O pozostałych elemen-

tach nie wspominam, ponieważ ich masa — to zaledwie kilka gramów. Ogólnie na nie przypada 1,622 kg ogólnej masy ciała... A jeżeli dla większej dokładności dodamy to co jeszcze nie przetrawił żołądek czyli nie wchodzące do składu chemicznego twojego organizmu pozostałości lodów, cukierek i wypitego napoju, to... razem, twoja waga wyniesie 50 kg 625 gramów.

Byłam wprost zdumiona takimi szybkimi obliczeniami masy mojego ciała przy pomocy wyłącznie poglądu. Nigdy nie myślałam o takiej budowie materii. Tymczasem Sensei kontynuował rozmowę z Mikołajem Anrdejewiczem:

— Więc czym są nasze elementy chemiczne? Molekuły, z których się składa komórka, funkcjonują według własnych praw biofizycznych. Zwracam pana uwagę na to, że wokół molekuł jest pustka. Idziemy dalej. Molekuły składają się z atomów, między którymi też jest pustka. Atomy składają się z jądra i elektronów obracających się wokół niego, i między tymi atomami znów jest pustka. Jądro atomu składa się z cząstek elementarnych — protonów i neutronów i wokół nich również jest pustka. Zwracam pańską uwagę na to, że każdy element chemiczny różni się od innych elementów ilością neutronów w jądrze atomu, czyli posiada właściwości izotopu. Protony i neutrony, z których składa się jądro atomu, składają się z drobniejszych cząstek. I za każdym razem, kiedy fizycy robią kolejny krok, otwiera się nowy poziom wiedzy, który odsuwa jej granice jeszcze dalej. Po prostu na ile czło-

wiekowi uda się udoskonalić mikroskop, o tyle będzie mógł poznać przyrodę mikroświata. Nie będę dalej mówił co na co się dzieli, ale w końcu ten podział skończy się absolutną pustką, z której wszystko się stwarza. Ta pustka istnieje wszędzie, w mikroświecie i makroświecie. Ona i jest tą czystą energią, zwaną energią «Po», która tworzy jedyne pole współdziałania wszystkich rodzajów energii i, odpowiednio, powstającej przy tym materii. Dlatego się mówi, że Bóg jest wszechobecny. Właśnie impulsy energii «Po» wytwarzają fale, które zmieniają krzywiznę rzeczywistej przestrzeni i czasu. Czyli w głębi swojej istoty każda materia jest zbiorem fal odpowiedniego rodzaju, istniejących według praw, właściwych dla fal.

— To coś nowego — z zadumą powiedział Mikołaj Andrejewicz.

— Raczej nie — oponował mu Sensei. — Dokładniej mówiąc — to jest dobrze zapomniane stare. O tym, że materia jest wytworem wielkiej pustki «dao» już cztery tysiące lat temu wiedzieli indyjscy filozofowie i około dwóch i pół tysiąca lat chińczycy. Poczytajcie ich traktaty naukowe. Opisali absolutną pustkę jako gładką powierzchnię jeziora w chwili bezwietrznej pogody. Cząstkę materii powstającej z pustki porównują z powstaniem pod wpływem wiatru na powierzchni jeziora drobnych fal.

— A czym jest ten «wiatr»? — spytał Mikołaj Andrejewicz.

— «Wiatr» w tym znaczeniu jest boską istotą,

czyli myślą Boga, za pomocą której wszystko stwarza i burzy. I właśnie nasza dusza jest częścią tej dużej siły, która jest w stanie kierować energią «Po». Dlatego jeżeli człowiek całą swoją świadomością pojmie duszę i złączy się z nią w jedną całość, jego możliwości staną się nieograniczone, w tym możliwości poznawcze.

— To wszystko jest dla mnie nowe — z uśmiechem powiedział pan «Zdrowy rozsądek naszej grupy».

Tymczasem dotarliśmy do obozu. Pozostali chłopcy już z apetytem jedli szaszłyki z jesiotra, które przygotowano przed naszym przybyciem i które na nas się nie doczekały. Po dzieleniu się wrażeniami o wydarzeniach, których świadkami byliśmy i po smacznej kolacji usiedliśmy koło ogniska odczuwając przedsmak przyszłej rozmowy. Mikołaj Andrejewicz śpiesznie wrócił do tematu, który go najbardziej interesował:

— Więc cały świat to nic więcej, tylko iluzja?

— Ma pan absolutną rację.

— Ale czemu odczuwamy wszystko tak realnie, możemy dotknąć, spróbować, czyli upewnić się, korzystając z organów zmysłów, że, na przykład, kij jest kijem, a nie pustką i iluzją.

— Ponieważ nasz mózg jest od urodzenia nastawiony na częstotliwość postrzegania tej rzeczywistości. Ale to nie znaczy, że jego możliwości są ograniczone tylko przez tę częstotliwość. Założono do niego różne programy. I jeżeli zmienimy częstotliwość postrzegania, cały otaczający nas świat się zmieni.

— To znaczy jak? — nie zrozumiał Mikołaj Andrejewicz.

— To proste. Popatrzmy, czym jest nasz mózg. W zasadzie układ nerwowy jest swojego rodzaju narządem przekazującym i odbierającym fale różnego zakresu, z odpowiednimi charakterystykami częstotliwościowymi. Jak już wiecie, jednym z najważniejszych elementów strukturalnej i funkcjonalnej organizacji mózgu są neurony i komórki glejowe, z których składa się układ nerwowy. Neuron posiada unikalną właściwość wytwarzania potencjału działania i przekazywania tego potencjału na odległość. Ta specyficzna komórka to skomplikowane urządzenie o kilku stanach (spokój i szereg wzbudzonych stanów o różnych częstotliwościach), które znacznie zwiększają jej pojemność informatyczną. Informacja o bodźcu o uśrednionym krótkim odcinku czasu się koduje przez komórkę nerwową w postaci częstotliwości potencjałów działania, sprowadzonej do odpowiednich wskaźników. Czyli generalnie praca mózgu — to praca narządu informacyjnego i zarządzającego, którego «językiem» jest częstotliwość. Odpowiednie odzwierciedlenie świadomych i podświadomych procesów psychicznych odbywa się na poziomie częstotliwości ruchu neuronów. W przypadku zmiany stanu świadomości, na przykład, podczas medytacji, praktyk duchowych zmienia się również częstotliwość impulsów, co wywołuje zmianę struktury molekularnej organizmu. Innymi słowy, człowiek nastawia się na całkowicie inną częstotliwość rzeczywistości i



dlatego postrzega ten świat jako niższą iluzję... Jest takie przysłowie: «Kiedy Mędrca spytano czym jest Życie, odpowiedział: «Pośmiewiskiem dla tego kto go doświadczył». I to jest absolutnie prawdziwa odpowiedź.

Człowiek, który pogrążył się w materii, obciążony kompleksami myśli, jest bardzo ograniczony w postrzeganiu. I oto dowód. Otrzymuje informacje o otaczającym go świecie przez swój mózg, działający od urodzenia na odpowiedniej częstotliwości postrzegania, właściwej dla pierwiastka zwierzęcego. Więc jego mózg, podobno jak i mózg zwierzęcia, postrzega informacje za pośrednictwem organów zmysłów. I mimo to, że człowieka otacza cały ocean drgań elektromagnetycznych o różnych częstotliwościach i parametrach, postrzega tylko małą część całej tej różnorodności. Podstawową informację otrzymuje za pośrednictwem kanału wzrokowego, którego widzialne spektrum — to fale elektromagnetyczne o długości od 400 do 700 nanometrów. Wszystkiego, co jest poza granicami tego spektrum, człowiek nie widzi, czyli w jego mózgu nie odzwierciedla się rzeczywistość poza granicami tego zakresu. To samo dotyczy i dźwięku, który człowiek słyszy w zakresie od 20 herców do 18 kiloherców.

Czemu medytacje i praktyki duchowe zawsze były dostępne dla człowieka i z reguły, nigdy nie były tajemnicą? Ponieważ w procesie dojrzewania jego duszy otwierały człowiekowi nowy, prawdziwy świat Boga i odpowiednio, nowe otoczenie.

Czyli człowiek jest bardzo ciekawym stworzeniem, rodzi się jako zwierzę, ale w ciągu swojego życia siłą myśli może się przemienić na Istotę, bliską Bogu. I najdziwniejszym jest to, że ma pełną swobodę wyboru w swoim indywidualnym rozwoju... Siła myśli to naprawdę unikalny wytwór Boga. Jest dawne powiedzenie napisane w sanskrycie:

«Bóg śpi w minerałach,  
Budzi się w roślinach,  
Porusza się w zwierzętach  
I ... myśli w człowieku».

— A co jest przyczyną powstawania impulsu nerwowego, czyli kształtowania się myśli? — zapytał Mikołaj Andrejewicz.

— Też energia «Po». Właśnie ona jest przyczyną.

— Ale jeżeli energia «Po» jest energią boską i jednocześnie przyczyną powstawania każdej myśli, to co jest przyczyną powstawania złych myśli, pochodzących z pierwiastków zwierzęcych?

— A kto wam powiedział, że te myśli nie mają jedyne źródła. Diabeł kieruje myślami, pochodzącymi od pierwiastka zwierzęcego. Jest najbardziej oddanym i wiernym sługą Boga. Dzięki takim myślom popycha was do wszelkiego rodzaju trudności, sprawdzając wielkość naszej prawdziwej wiary. Kusi was, zmusza do popełnienia złych czynów, abyście poznali dobro. Ale jesteście wolni w swoim wyborze, jeszcze raz podkreślam, wolni! Możecie traktować te myśli

jako wskazówkę w działaniu albo odwrócić się od nich i wybrać dobre myśli, których źródłem jest dusza. Czyli to, jakie myśli wybierze, co wybierze wasza świadomość-obszernator, tym właśnie jesteście.

— A jak wygląda dusza? Też jest energią? — spytał Wiktor.

— Tak. Jest energią boską, cząstką Boga w nas samych. Najistotniejszą przyczyną tych wszystkich przeistoczeń, wszystkich niepowodzeń, wszystkich problemów jest to, że przebywamy w obrębie materialnego ciała i jesteśmy w 99,9% uzależnieni od niego. Ale jeżeli uwolnimy się od niego chociażby o jedną setną część i zanurzymy się do naszej duszy, osiągniemy nieskończoność i wszechmoc. **Najważniejsze — to przedrzeć się przez swojego wewnętrznego «Strażnika» do bramy duszy. Ponieważ właśnie w duszy ukrywa się prawdziwa siła, siła Miłości, która tworzy wszystko, która jest zdolna do kierowania energią «Po». Wszystkie pozostałe energie tworzą się na jej podstawie. Ponieważ w rzeczywistym świecie istnieje tylko Miłość. A zło istnieje wyłącznie w iluzorycznym świecie człowieka dla kształcenia niedojrzałej duszy. Dlatego ważne jest wyrabiać w sobie stałą częstotliwość energii Miłości i dobra, a nie różnicę drgań.**

— Ciekawe — z zadumą powiedział Mikołaj Andrejewicz. — Tak więc człowiek, jako taki jest istotą o falowej naturze.

— Ma pan absolutną rację, z punktu widzenia duchowego i fizycznego.

— Jak to — fizycznego? — spytał Wiktor.

— Organizm człowieka posiada informatyczną sieć, która wraz z układem nerwowym, krwionośnym i układem wydzielania kieruje wszystkimi procesami fizjologicznymi. Czyli człowiek jest jakby przeszyty przewodami fal, którymi za pomocą promieniowania biologicznego w zakresie bardzo wysokich częstotliwości jest przekazywana każda ważna informacja. Oczywiście, cały ten system współdziała z polem magnetycznym Ziemi, z promieniowaniem kosmicznym i tak dalej... Ale sprawa polega na tym, że tylko słabe pola pełnią w organizmie funkcję informacyjną. W przeciwnym wypadku w komórkach działa mechanizm obronny i one nie dostrzegają informacji.

— A jakie pola są właściwe dla naszego organizmu? — spytał Kostja.

— Przeróżne pola. Na przykład promieniowania elektro-magnetyczne różnych zakresów, pole elektryczne, pole magnetyczne... Promieniowania akustyczne, czyli rozmaite dźwięki, które wydaje organizm. Wydzieliny chemiczne, które można umownie nazwać polem chemicznym, oraz wiele innych; nie ma sensu wymieniać wszystkich.

— Dlaczego spytałem — kontynuował Kostja. — Niedawno przeczytałem książkę o sztuce przepowiadania na ziemi. Nazywa się, ... jak ona się nazywa... geomancja. Krótko mówiąc,

przepowiadania wykorzystywanego w starożytnych Indiach, Chinach, Egipcie. Tak więc, mówi się, że niby istnieje pewne pole, z którego człowiek czerpie wszystkie informacje o przyszłości. Mówią, że starożytni prorocy dochodzili do jakiegoś wewnętrznego stanu w celu odbioru tej wiedzy.

— I to jest właśnie tak. To pole istnieje po dziś, z jego informacji korzystano i nadal się korzysta. Są niektóre techniki, zapewniające wejście do takiego stanu świadomości. Ale i zwykli ludzie, starannie zajmujący się pracą umysłową, są zdolni do spontanicznego wchodzenia w taki stan świadomości, zazwyczaj, podczas snu albo w stanie głębokiej koncentracji, czyli kiedy mózg odłącza się od obcych myśli... Ta informacja jest wiarygodna tylko w stosunku do przeszłości albo teraźniejszości, oraz do nauk ścisłych. Co do przyszłości ludzkości albo konkretnej osoby, ta informacja nie jest stabilną. Ponieważ przyszłość zależy od własnego indywidualnego albo kolektywnego wyboru samych ludzi.

— Jak to?

— To proste. Jeżeli, na przykład, człowiek przeżywa wewnętrzne zmiany, zgodnie z jego wyborem zmienia się i całe jego życie i odpowiednio, również jego przyszłość. To są prawa natury. Zmiana częstotliwości postrzegania nastawia człowieka na zupełnie nową falę, czyli, na inną «rzeczywistość». To samo dotyczy i całej ludzkości. Jeżeli zmieni się jego stosunek do życia, jego bilans pomiędzy pierwiastkiem duchowym

a zwierzęcym, to odpowiednio się zmieni częstotliwość energii i cała jego przyszłość. Dlatego człowiek oraz cała ludzkość, robiąc odpowiedni personalny wybór przesądza o swojej przyszłości, i to się odbywa codziennie.

— Ale w jaki sposób prorocy przepowiadają?

— Chyba zauważyłeś, że wielcy prorocy szyfrowali swoje proroctwa, nadawali im podwójny sens. Wielu z nich nie miało racji, wielu nie przepowiadało znacznych wydarzeń. Ponieważ przyszłość jest zmienna i istnieje w czasie i przestrzeni w wielu wariantach. Prorocy mogli nastawiać się na odpowiednią falę, będącą nośnikiem tej informacji. Czerpali informacje z tych źródeł, do których mieli dostęp.

— A co z personalnymi proroctwami?

— Przepowiednia dla konkretnego człowieka opierają się na fali, na której znajduje się teraz jego świadomość. I jeżeli człowiek istotnie nie zmieni się, przepowiednia spełnią się tak, jak zaprogramowano na tej fali.

Siedzieliśmy koło ogniska, słuchając zadziwiającego opowiadania Mistrza. Niebo już było pełne błyszczących gwiazd, a morze pieściło słuch lekkim szelestem przybrzeżnych fal, harmonijnie wypełniając pauzy. W oddali ukazały się światła jakiegoś dużego statku.

— Ale pięknie! — wykrzyknął Rusłan, zobaczywszy statek. — Patrzcie jaki jest ogromny. Jakbym chciał popłynąć nim.

Wszyscy obrócili się.

— To ci dopiero. Każdy o swoim — z uśmie-

chem powiedział Gienek. — Idź, popłynij nim. «Titanic» był nawet większy i tak utonął.

— Tak tylko mówiłem — szukał usprawiedliwienia Rusłan słysząc nasz śmiech.

— Co do «Titanika». Znim w ogóle nie wszystko było czyste — powiedział Mikołaj Andrejewicz. — Czytałem, że na «Titaniku» płynął sarkofag z zachowanym ciałem egipskiej kapłanki z czasów Amenhotepa, która przepowiadała przyszłość. Mówiono, że ta mumia była przyczyną katastrofy. Wykopano ją w 1895 roku. A w okresie od 1896 do 1900 zmarli wszyscy, kto brał w tym udział. Przeżył tylko lord Cannerville, który stanął na czele tego projektu. Więc właśnie ten lord wiózł tę mumię na pokładzie tego parowca na wystawę znalezisk archeologicznych do Los-Angeles. I co najciekawsze, mumię umieszczono nie w ładowni, a w kajucie niedaleko mostku kapitańskiego, żeby pasażerowie mogli ją oglądać. Później po oficjalnym dochodzeniu jako przyczynę katastrofy w wyniku zderzenia się z górą lodową ogłoszono «błędną nawigację. Co myślicie o takich zbieżnościach?

— I to nie jest najdziwniejsze w tej historii — powiedział Sensei, zapalając papierosa. — Najdziwniejsze jest to, że uprzedzono ludzi o tej katastrofie «Titanic'a» 16 lat przed tym.

— Jak to? — spytał Staś.

— Dokładnie. W 1896 roku w Anglii opublikowano książkę Morgana Robertsona «Daremość», w której opisano katastrofę olbrzymiego pasażerskiego parowca o nazwie «Tytan». Autor

podał dokładny czas, miejsce i przyczynę katastrofy, czyli 1912 rok, ocean Atlantycki, w drodze z Anglii do Ameryki, w zimną kwietniową noc statek zderza się z olbrzymią lodową górą, ludzie giną. Ponadto, Robertson nawet podał dokładną ilość pasażerów — 2 tysiące osób, dokładnie tylu było ich na «Titaniku». Również podał wymiary i charakterystyki okrętu, które też zgadzają się z wymiarami i charakterystykami «Titanika». Rozbieżności było niewiele. Na przykład długość jego okrętu wynosiła 243 m, a długość «Titanika» wynosiła 268 m; wyporność 70 tysięcy ton, a wyporność «Titaniku» wynosiła 66 tysięcy ton; prędkość podczas zderzenia 25 węzłów, w rzeczywistości wyniosła 22 węzły. Wszystkie pozostałe szczegóły: 4 rury, 3 śmigła i tak dalej były dokładnie takie same, jak w rzeczywistości... Jeżeli by ludzie byli o odrobinę bardziej domyślni, nic takiego by się nie zdarzyło.

— Przypomniałem sobie, też czytałem o tym prorocत्वie — powiedział Mikołaj Andreewicz.

— Ale, za pozwoleniem, autorem tej książki był autor powieści fantastycznych, którego jeszcze nikt nie znał. I jego książkę nigdy potem nie publikowano. Jak ludzie mogli się o tym dowiedzieć? Jeżeli by napisał o tym, że ta katastrofa rzeczywiście się odbędzie, czyli nazwał to prorocत्वem, myślę, że ludzie zwróciliby na to uwagę. Ale przecież nazwał swój utwór powieścią fantastyczną.

— Wiesz, o co chodzi... Człowiek otrzymuje czystą wiedzę. Ale żeby uratować się od inkwizy-



cji głupców nazywa swoje książki fantastyką. To była fantastyka dla mądrych, dla tych, kto jest w stanie ją zrozumieć. W końcu, kiedy wszystko się wydarzyło, tę rzeczywistość zaczynają rozumieć wszyscy głupcy na świecie. Ale mądrzy ludzie mogli już ją zrozumieć wcześniej i wydobyc ziaro prawdy z tej «fantastyki».

— Innymi słowy, chce pan powiedzieć, że mądry człowiek po przeczytaniu tej książki, nigdy by nie kupił biletu na «Titanika».

— Masz absolutną rację... I to dotyczy nie tylko tej książki. Sięgnijcie po opowieści fantastycznych. Wszystkie opowieści fantastyczne można rozdzielić na mądrą fantastykę i bajki dla dorosłych, a ponieważ nie wypada nazywać je bajkami, nazywano je opowieściami fantastycznymi. Autorzy rozumnych opowieści fantastycznych po prostu sięgają po informację o przyszłości, która może wystąpić z tymczasowych poziomów różnych rzeczywistości. Czyli otrzymują wiedzę i opisują ją. To, z kolei, psychologicznie przygotowuje mądrego człowieka, który przeczytał tę opowieść, do przyszłych wydarzeń, kształtuje umiejętności wielokrawędziowego myślenia, które pomaga nam orientować się w szybko zmieniających się warunkach życia. To wszystko nie tylko poszerza zakres adaptacyjny, przygotowując świadomość do nowego skoku w postrzeganiu otaczającego świata, ale i stwarza przesłanki dla wewnętrznej zmiany samego człowieka, innymi słowy, przejścia na inną falę «nowej rzeczywistości».

Przypomnijmy, na przykład opowieści Herberta Wellsa, który wyznaczył dalszą drogę rozwoju ludzkości i postępu naukowo-technicznego. Albo Juliusza Verne, który przewidział wiele wynalazków i odkryć, i jego proroctwa się spełniły. Czy, na przykład książka Aleksego Tołstoja «Eksperyment inżyniera Garina», napisaną w latach 1925–1926, w której faktycznie zapowiedział stworzenie lasera. Aczkolwiek pierwszy laser został wynaleziony dopiero w 1960 roku. A książki Aleksandra Belajewa! Na przykład, jego opowieść «Gwiazda KEZ», napisana w 1936 roku, w której są proroctwa dotyczące rozwoju kosmonautyki. Takich przykładów jest mnóstwo... A ile ziaren prawdy jest w opowieściach Iwana Jefremowa, Isaaka Asimowa, Raya Bradbury, Artura Clarke'a, Aleksandra Kazancewa, Stanisława Lema... I takich utalentowanych ludzi jest mnóstwo, wystarczy, żeby przygotować czytelnika do przyszłości. Ale są zmuszeni pisać swoje prace w formie opowieści fantastycznych, ponieważ rozumny i tak zrozumie, a głupi się nie obrazi.

Mikołaj Andrejewicz uśmiechnął się:

— Wiecie, szczerze mówiąc, też mam uprzedzenie co do fantastyki, ponieważ czytając ją, jakbym czytał bajkę dla dorosłych. Ale pewnego razu przeczytałem artykuł w czasopiśmie o tym, że kiedy John Kennedy był prezydentem, zaprosił do swojego «trustu mózgowego» kilku autorów powieści fantastycznych celem prognozowania ewentualnego «scenariusza» przyszłości. W tym

artykule było też napisane, że hobby niektórych utalentowanych powszechnie znanych naukowców było czytanie powieści fantastycznych. I że liczne terminy naukowe pochodzą z powieści fantastycznych. To mnie, szczerze mówiąc, zdziwiło.

— To jest normalne zjawisko. Rozumiesz, kiedy człowiek wczytuje się w książkę, zaczyna żyć w jej świecie, czyli nastawia się na tę samą częstotliwość postrzegania, co i jej autor. I w tej chwili czytelnik może przeżyć fenomen — swojego rodzaju wspaniałostkę aktywności mózgowej. Możecie go nazwać tak, jak wolicie: generowanie idei, olśnienie podświadomości albo jakoś inaczej. Ale mianowicie ten wspaniałostkowy przebieg jest krótkotrwałym przejściem na odpowiednią częstotliwość postrzegania, która utrwała się w pamięci. Następnie, na podstawie własnej wiedzy i doświadczenia, rodzą się odpowiednie idee. Więc wielu utalentowanych uczonych, polityków i prostych ludzi, dąży do poznania otaczającego świata, czerpią idee i przyszłe odkrycia mianowicie z książek, w tym fantastycznych, z tej swojego rodzaju bazy danych niezrealizowanych możliwości. Przy tym to może «wynurzyć się» z pamięci w dowolnej formie i w dowolnej chwili, podczas czytania albo spania, albo w formie jaskrawego olśnienia o poranku...

Trochę pomilczeliśmy. Ognisko potrzebowało spalonymi gałązkami. Jego płomień zaczął rowywał swoim tajemniczym żywym pięknem, jaskrawą grą barw. Siedziałabym całą wieczność,

słuchając bezgranicznie interesujących opowieści Mistrza na tle tego wspaniałego zakątka przyrody, w którym zdaje się, że gwiazdy spuściły się niżej, żeby lepiej czuć nasze rozmowy.

— Ciekaw jestem, czy istnieją prorocze sny? — znów zaczął rozmowę Mikołaj Andrejewicz. — Czy są tylko wynikiem pracy psychiki i służą do prognozowania przyszłych wydarzeń.

— Oczywiście, że prorocze sny istnieją. Po prostu jeżeli człowiek ma dostateczną ilość własnej duchowej siły albo jest związany z czymś siłą ogromnej Miłości, jego mózg może spontanicznie wyjść na częstotliwość, która zbiega się z nadchodzącymi zdarzeniami i odbiera tę informację we śnie, «na wprost», eliminując analizę. Ale następnie, wydając tę informację, jego psychika uczestniczy w bezpośrednim przetwarzaniu informacji. Z tej przyczyny możemy widzieć okoliczności nie w ich czystej formie, lecz jako interpretacje, na podstawie naszych emocji, przeżyć, minionych wrażeń, obrazów i tak dalej...

— Wiecie, też miałem kiedyś proroczy sen — zaczął opowiadać Staś o zdarzeniu w swoim życiu.

Długo jeszcze rozmawialiśmy o różnych dziwnych rzeczach na tym świecie i o zadziwiających zdarzeniach, przypominaliśmy różne historie związane z tymi zdarzeniami, słuchaliśmy prostych i przy tym niezwykłych opowiadań Mistrza o tajemniczej psychice człowieka i jej nieograniczonych możliwościach. I dopiero rano, o świcie poszliśmy spać.

**D**

ziwne, ale może z tego powodu, że usłyszałam wszystko od razu albo z jakiejś innej przyczyny, ale właśnie tego ranka miałam niezwykle sen — jaskrawy i emocjonalny. Najważniejsze, że

nigdy przed tym nie miałam takich snów: jakby moja świadomość fruwała nad ziemią, obserwując z wysokości to wszystko, co się odbywa na świecie. Na początku było cicho i spokojnie. Ale raptem odczułam niepokój i lęk, jakbym na coś czekała. I w tym momencie zobaczyłam na Wschodzie jaskrawą gwiazdę, która schodziła ze szczytów wysokich śnieżno-białych gór. Ta gwiazda szybko przybliżała się i zaczęła rosnać. Za nią ciągnęła się przeźroczyста pętla. Im bliżej do mnie, tym większą przestrzeń obejmowała ta pętla, zmieniając świat i robiąc go obrysy niewyraźnymi i przeźroczystymi. I wtedy lepiej przypatrzyłam się i zobaczyłam, że wszystko co trafiało do tej pętli, wybuchalo, jakby sama Natura powstała przeciwko ludzkiej cywilizacji, nabierając coraz większej mocy.

Wybuchające wulkany wstrząsały Ziemią swoim hukiem. W centrum oceanów rodziły się ogromne fale, które szybko nadciągały w kierunku dużych miast. Pożary szalały tam, gdzie woda była niedostępna. Wiatry okręcały trąby powietrzne, które niszczyły wszystko na swojej drodze. Jakby przyroda zrzuciła na ziemię całą swoją negatywną moc, którą wyłonili ludzie za cały okres istnienia swojej cywilizacji. Odczułam lęk i zmrużyłam oczy. I kiedy otworzyłam oczy zobaczyłam siebie stojącą pośród pięknego pola z różnymi ślicznymi kwiatami. Gwiazda wciąż się przybliżała, zmieniając wszystko na swojej drodze. Obejrzałam się. Za mną stanęły miasta, przepełnione nic nie podejrzewającymi ludźmi. I cała ta nieubłagana moc nadciągała na nie.

Kiedy gwiazda była już bardzo blisko, przypatrzyłam się jej i zobaczyłam, że ta gwiazda — to Jeździec. Jego ubranie i zbroja były z czerwonego złota, które lśniło i płonęło, jak czerwony ogień. Nawet jego koń miał derę, wytkaną z drobnych płytek czerwonego złota. Lśniące ubranie ukrywało całego Jeźdźca, pozostawiając otwarte tylko oczy. W rękę trzymał oszczep. Na jego końcu rozwiewała się flaga z rysunkiem pędu kwiatu lotosu, wewnątrz którego widniała piramida, oko i jeszcze jakieś hieroglify i rysunki. Jeździec już pędził na koniu po ogromnym polu wspaniałych kwiatów.

Ale raptem Czerwony Jeździec pociągnął za cugiel i zatrzymał konia. I w tej chwili wychwyci-

łam Jego spojrzenie, które zdawało mi się bardzo znajomym. Uwagę Jeźdźca przyciągnęła mała, skromna niezapominajka z pięcioma niebiesko-błękitnymi płatkami. Zsiadł z konia i pochylił się nad kwiatem, niby przyglądając się i sycąc nim swój wzrok. I w chwili kiedy Jeździec zsiadł z konia, wszystkie żywioty zaczęły się uspokajać i uciszać się. Do miast doszedł tylko odgłos tej potężnej siły, która ruszyła śladem Wojownika. Stało się to dla mnie zagadką, czemu takiego potężnego Jeźdźcę potrafił zatrzymać ten niepozorny kwiat, przecież w okolicy sporo było dużych i pięknych kwiatów? Czy na długo się zatrzymał?

Nawet kiedy się obudziłam, nie opuszczało mnie uczucie rzeczywistości tego snu. I te dwa pytania na długo osiadły się w mojej pamięci. Oczywiście, wcześniej też miałam sny. Ale nigdy nie miałam takiego rzeczywistego snu, pełnego doznań i emocji. I co najważniejsze, we śnie powiedziano mi, że znam prawdziwy sens wszystkiego, co się dzieje i to, że to wszystko jest bardzo ważne. Ale kiedy się obudziłam, nie mogłam sobie przypomnieć, co to wszystko oznaczało i jak należy to wszystko rozumieć. Pozostały mi tylko jaskrawe wspomnienia i te dwa pytania, które wtargnęły się do mojej pamięci.

Ten sen wprost zaintrygował mnie swoją niezwykłością. Najpierw pomyślałam, że mój mózg po prostu wydał mi wczorajszą informację. Ale o tym, co widziałam we śnie, nikt mi szczegółowo nigdy nie opowiadał. To mnie nieco zaskoczyło.

Wybrałam moment, kiedy wszyscy pobiegli do wody, i podeszłam do Mistrza. Stał na płyciźnie, stopniowo przywykając do wody. Korzystając z tego, że był sam opowiedziałam mu swój sen, narzekając na to, że nie mogę przypomnieć sobie jego sensu, ale pamiętam, że jest bardzo ważny dla mnie. Wbrew moim oczekiwaniom nie usłyszałam od niego interpretacji tego snu pod względem fizjologii i filozofii, Sensei tylko uśmiechnął się i zagadkowo spojrzął na mnie i powiedział:

— Przyjdzie czas i wszystkiego się dowiesz.







## Aforyzmy mistrza

1. Życie jest nieprzewidywalne, wszystko się może w nim zdarzyć, nawet najdziwniejsza rzecz, taka, jakiej nie możesz sobie nawet wyobrazić.

2. Młode ciało wcale nie jest dowodem wieku duszy.

3. Wszystko co jest wielkie, jest bardzo proste, ale można go opanować tylko dołożywszy wysiłku.

4. Człowiek jest stworzeniem myślącym. Podstawowa siła jego czynu jest zawarta w jego myślach.

5. Najistotniejszą rzeczą jest pragnienie, możliwości zawsze dołączają do niego.

6. Dla każdego Widzaja znajdzie się swój Radza.

7. Lęk, wzbudzony przez wyobraźnię, widzi niebezpieczeństwo tam, gdzie wcale go nie ma.

8. W zdrowych myślach jest zdrowy duch, a przy zdrowym duchu jest zdrowe ciało.

9. Każde uderzenie naniesione przez was w gniewie, ostatecznie wraca do was samych.

10. Możliwości człowieka ogranicza tylko jego wyobraźnia.

11. Nie wolno życzyć złego nawet w myślach. Ponieważ siłą myśli splatasz pułapkę dla siebie, swojego ciała i rozumu. I im częściej myślisz o tym, tym mocniej staje się sieć, tym węższa pętla.

12. Bądź przyjacielem dla swojego wroga i wybacz jego winy, ponieważ sam nie jesteś doskonały.

13. Życie jest krótkie, więc trzeba zdążyć wysłać swą duchową istotę w sercu.

14. Trzeba zawsze pracować nad sobą, ponieważ każda chwila w życiu jest bezcenna, i trzeba ją wykorzystać jako dar Boga dla doskonalenia swojej duszy.

15. Jeżeli chcesz rozśmieszyć Boga, opowiedz Mu o swoich planach.

16. Nie ma przypadkowości. Przypadek jest, przede wszystkim uzasadnioną konsekwencją naszych kontrolowanych myśli.

17. W życiu jakość przeżytych chwil jest bardziej istotna, niż bezsensowne lata istnienia.

18. Mądrość jest dorobkiem duszy, a nie wieku.

19. Każdy czyn jest wytworem, przede wszystkim, naszej ukształtowanej myśli.

20. Siła słowa pobudza siłę myśli, a siła myśli wzbudza czyn.

21. Kto czyni dobro z dobrymi zamiarami, ten nie musi martwić się o stracone, ponieważ otrzymuje o dużo większą siłę poznania swojej duszy, siłę, której nigdy nie otrzyma przebywając w bezczynności.

22. Fantastyka jest tylko niezrealizowaną rzeczywistością.

23. Prawdziwa wiara rodzi się tylko na podstawie wiedzy. A wiedza przychodzi za pomocą słów, przez przekonywanie swojego rozumu w rzeczywistości przebiegającego zjawiska.

24. Trzeba szanować dążenie innego człowieka do wiedzy, i nie przejmować takiego dążenia z egoistycznym i wrogim nastawieniem.

25. Nie sposób poznać wszystkiego, ale trzeba do tego dążyć.

26. Najcenniejszą drogą jest poznanie Boga za pomocą rozumu, przy którym prawdziwa wiedza, przewyciężając naszą zwierzęcą naturę, otwiera bramę podświadomości za pomocą klucza Miłości.

27. Głupiec będzie nagrodzony za zrozumienie, a człowiekowi mądryemu głupio nie zrozumieć.



## Fragment z książki «AllatRa»

**Krzyk Anioła, spowitego w odzież,  
albo cierpienie człowieka z Aniołem  
zamiast duszy.**

Dla kogo, po co piszę ja te strofy? Pewnie, jednak sam dla siebie. Przecież przebywając lata w świętym miejscu tylko dwukrotnie zostałem rozpoznany przez ludzi z woli Boga z Duszą wyzwoloną od rozumu. Rozum człowieka to jest kamień obrazy, raczej nie, to cała skała, stojąca przed Duszą. Nie można jej obejść ani przeskoczyć. A w górę wdrapywać się po kamieniach, zrywając paznokcie do krwi i spadając ponownie w dół ze śliskich słodkością rozumu występów (skalnych) i znowu wstawać, nabierając sił duchowych znowu pełznąć...Nie każdemu to jest dane. Przecież u podnóża góry jest tak pięknie, przytulnie, słodko i ciepło. I rozum od stroju doczesnego stworzy iluzję wszystkiego czego tylko zachcesz. Bylebyś

tylko chciał. Pragnął miłości ziemskiej z ciepłym ogniskiem domowym, dzieci jako przedłużenia rodu, bogactwa, sławy — wszystko jedno. Tylko żebyś chciał, a będzie ci wszystko dane. W iluzji jednej albo drugiej, mniejsza z tym, tylko żebyś chciał. Zebyś chciał, chciał ziemskiego...

«Ale to jest skomplikowane», — wielu tak mówi. Nie, to nie jest skomplikowane. Ja wiele razy wdziewałem tę odzież. Chodziłem z laską bezkresną drogą, żywiąc ciało tylko tym, co znalazłem. I byłem carem, i rządziłem narodami, których nie da się zliczyć. I za każdym razem odzież ta mnie uciskała, ograniczała i przeszkadzała żyć. Trzęsa się od strachu i chorowała i jak u wszystkich na początku za dużo chciała, dopóki jej nie poskromiłem. Ten dziki zwierz, z którego utkali całą odzież, boi się tylko gospodarza – Duszy. Ale wielu boi się Duszy więcej aniżeli zwierza, Duszy, która im przeszkadza żyć, jak mnie przeszkadza w życiu odzież. Zrozumieć takich ludzi ja nie mogę. Zamieniać całą Wieczność na mgnienie? Czy to ma sens? Cierpieć w objęciach skóry zwierza, służyć spodniom, które starzeją się dzień za dniem. I to jest życie? Życie jest nieskończone! W nim nie ma cierpienia, ono się nie rwie, przecież nie jest możliwe Duszę znosić. A odzież Domu nie ma, jest przecież tylko komórka w której chwilowo ona chroni się. Prawdziwy Dom ma tylko Dusza! I Dusza, dążąc do Wieczności, tworzy to poczucie Domu, którego całe życie szuka człowiek.

*Rigden Dżappo*

Przez lata, od wydania pierwszych książek, wydarzyło się wiele spraw, które utwierdziły mnie w przekonaniu, że prawdziwe pragnienie jednego człowieka może pomóc ludziom tylko w połączeniu z jego realnymi działaniami i samodokonaniem i przynoszą zadziwiające owoce.

I sprawa polega nie tyle w książkach, jako czytadle, jak w ich zrozumieniu i praktycznym stosowaniu Wiedzy, która w nich zawiera się.

Książka – to jest sposób przekazywania Wiedzy. Wiedzy nie w znaczeniu «własności» albo «własnego wniosku», a w rozumieniu Mądrości, przychodzącej z góry, ujawniającej się w historii. Mądrości jak Otwartych Wrót dla wchodzenia w ten zadziwiający stan duchowości, przez który przychodzi olśnienie od Tego, Kto stworzył wszystko. Tej Mądrości, która zawsze była, jest i będzie, nawet gdy pamięć o jej ludzkich przewodnikach zniknie w kurzu stuleci.

Właśnie ta Mądrość — prawdziwe ziarno rośnie w człowieku jak błoga ruń pomagając mu wyzwolić swój rozum z niszy ludzkich strachów, wąskich sklepień ciemności błędów, przewyciężyć materialne myślenie, odkryć dla siebie bezbrzeżny obszar poznania Prawdy. Ona pomaga

mu wywyższyć się ponad przyziemną samoistność zobaczyć świat z wysokości duchownego olśnienia bez uprzedzenia i materialnych ograniczeń. Mądrość daje człowiekowi szczerą i ukierunkowaną, wzbogaca rozumieniem, podwyższa jego odpowiedzialność za duchową jakość życia.

Ta wieczna Mądrość dla duchowego człowieka jest niby pożywna wilgoć dla dojrzałego kłosa od dobrego nasienia. Ona pozwala uświadomić na czym polega podstawa ludzkich problemów i polepszyć atmosferę duchownego życia. Ona daje główne klucze do rozumienia skomplikowanej rzeczywistości człowieka i świata, służy źródłem dla stworzenia unikalnych warunków tworzenia przez człowieka twórczego duchowego społeczeństwa w okrutnym świecie materialnego Zwierzęcego rozumu. Wieczna Mądrość pozwala człowiekowi przeobrazić się duchowo, poznać utajoną treść przeszłych i nadchodzących wydarzeń. Ta Mądrość i jest kreowaną przez Jego twórczy początek, który odkrywa każdemu, kto Ją przyjął, drogę do Jego Wieczności.





# Spis treści

Prolog .....	3	Rozdział 26 .....	258
Rozdział 1 .....	5	Rozdział 27 .....	274
Rozdział 2 .....	7	Rozdział 28 .....	280
Rozdział 3 .....	11	Rozdział 29 .....	290
Rozdział 4 .....	17	Rozdział 30 .....	302
Rozdział 5 .....	29	Rozdział 31 .....	314
Rozdział 6 .....	31	Rozdział 32 .....	317
Rozdział 7 .....	36	Rozdział 33 .....	323
Rozdział 8 .....	46	Rozdział 34 .....	342
Rozdział 9 .....	67	Rozdział 35 .....	347
Rozdział 10 .....	100	Rozdział 36 .....	355
Rozdział 11 .....	103	Rozdział 37 .....	358
Rozdział 12 .....	117	Rozdział 38 .....	368
Rozdział 13 .....	123	Rozdział 39 .....	374
Rozdział 14 .....	127	Rozdział 40 .....	386
Rozdział 15 .....	151	Rozdział 41 .....	428
Rozdział 16 .....	156	Rozdział 42 .....	430
Rozdział 17 .....	159	Rozdział 43 .....	432
Rozdział 18 .....	166	Rozdział 44 .....	441
Rozdział 19 .....	187	Rozdział 45 .....	446
Rozdział 20 .....	196	Rozdział 46 .....	453
Rozdział 21 .....	218	Rozdział 47 .....	459
Rozdział 22 .....	224	Rozdział 48 .....	477
Rozdział 23 .....	229	Aforyzmy mistrza .....	481
Rozdział 24 .....	231	Fragment z książki	
Rozdział 25 .....	252	«AllatRa» .....	485

# AllatRa

<http://www.allatra.com.ua> • e-mail: [info@allatra.com](mailto:info@allatra.com)

## AllatRa

Z pytaniami kupowania i upowszechniania książek Anastazji Nowych można zwracać się bezpośrednio do Wydawnictwa «AllatRa».

Kontakt wydawnictwa:

Ukraina, 01024,

Kijów, ul. Krugłouniwersytecka, 14

Tel. +380 (44)599 57 01

[www.allatra.com.ua](http://www.allatra.com.ua) • e-mail: [info@allatra.com](mailto:info@allatra.com)

Kontakt do korespondencji

Ukraina, 01001, Kijów, ul. Kreszczatik 22, skr.poczt. B-39

Z pytaniami o upowszechnianiu książek  
w Białorusi zwracać się:

Prywatne Przedsiębiorstwo «AllatRa plus»

Republika Białorusi, 220012,

Mińsk, ul. Akademicka 11-B, biuro 1.

Tel/fax: +375 (17)294 94 70

Telefon komórkowy (MTS): +7 (925)7555728

[www.allatraplus.by](http://www.allatraplus.by) • e-mail: [info@allatraplus.by](mailto:info@allatraplus.by)

Z pytaniami o upowszechnianiu książek

W Federacji Rosyjskiej:

OOO «AllatRa Ruś»

Rosja, 129329,

Moskwa, ul. Iwowaja 9

Tel. +7 (499) 755 57 28

Telefon komórkowy (MegaFon): +7 (925) 755 57 28

[www.allatra.ru](http://www.allatra.ru) • e-mail: [info@allatra.ru](mailto:info@allatra.ru)

Sklep internetowy, gdzie można zamówić książki

z dostawą po całym świecie:

[www.allatra.net](http://www.allatra.net)

**Oficjalna strona internetowa Anastazji Nowych:**

[www.shambala.com.ua](http://www.shambala.com.ua)

**Skrzynka pocztowa autorki:**

[anastasija\\_novix@mail.ru](mailto:anastasija_novix@mail.ru)

strona internetowa, na której można podyskutować nad książkami  
Anastazji Nowych i znaleźć kolegów  
<http://sensei.org.ua>

*Ludzie, róbcie Dobro!*



**ŁAGODA**

MIĘDZYNARODOWA SPOŁECZNA ORGANIZACJA

Międzynarodowa społeczna organizacja «Łagoda», stworzona w celu zjednoczenia ludzi, zainteresowanych w odrodzeniu, rozwoju i popularyzacji humanistycznych, duchowych, historycznych i kulturalnych wartości w społeczeństwie; wspierania socjalnego progresu, rozwoju pozytywnego twórczego potencjału młodzieży, nawiązywania przyjaźni pomiędzy narodami.

MSO «Łagoda» organizuje ważne dla społeczeństwa masowe kulturalne projekty, w tej liczbie festiwale, wystawy, inicjuje napisanie artykułów dla prasy, realizuje różne socjalne projekty, w tej liczbie tworzenie socjalnych filmików nowego typu. Najwyższym celem Organizacji jest stworzenie sprzyjających warunków dla kształtowania społeczeństwa, które miałyby światopogląd, zawierający wysokie duchowe, moralne i kulturalne wartości.

Telefon na Ukrainie: +380445992400  
info@lagoda.org • www.lagoda.org

### **CENTRUM SOCJALNIE-OSOBOWEGO ROZWOJU**

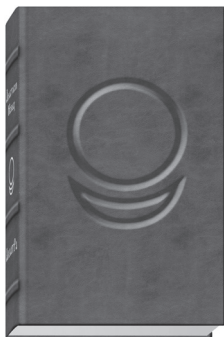
Przy Międzynarodowej społecznej organizacji «Łagoda» utworzono Centrum socjalnie-osobowego rozwoju. To Centrum organizowane dzięki wsparciu popularnej współczesnej pisarki Anastazji Nowych.

**Cele Centrum:** sprzyjanie socjalnie-osobowemu rozwojowi ludzi bez względu na narodowość, wiek, poglądy religijne, przynależność do jakiegokolwiek grupy społecznej.

**Zadania centrum:** upowszechnianie wiedzy i światopoglądowych koncepcji, podanych w książkach Anastazji Nowych.

Centrum socjalnie-osobowego rozwoju – to jest miejsce dla obcowania i zjednoczenia ludzi różnych grup społecznych, które się interesują tematami, powstającymi w książkach Anastazji Nowych. W Centrum odbywają się seminaria, które sprzyjają rozszerzeniu horyzontów wiedzy i samodoskonaleniu uczestników w duchowym i społecznym aspektach. Praktykują się również psychotechniki podane w książkach Anastazji Nowych. Obcowanie z ludźmi, wspierającymi te same idee – to świetna możliwość zjednoczyć wspólne wysiłki w realizacji socjalnych projektów, we wspólnym dążeniu tworzyć, czynić dobro dla ludzi.

center@lagoda.org • <http://lagoda.org/ru/center/main>



## AllatRa

«Wieczna Mądrość pozwala człowiekowi przemienić siebie duchowo, poznać prawdziwą istotę przeszłych i przyszłych wydarzeń». (Z książki «AllatRa»).

Książka «AllatRa» odkrywa nadzwyczajne informacje: o Osobowości człowieka i jego Duszy; o subosobowościach i związanych z nimi zjawiskach; o podwójnej naturze człowieka; o procesach działania jego Duchowej i Zwierzęcej części; o ważności dominującego światopoglądu; jego wpływu na wybór Osobowości, który wyznacza jej pośmiertny los. W książce «AllatRa» pierwszy raz na świecie są przedstawione fotografie Duszy człowieka w stanie przejścia po śmierci ciała; mieści się prawdziwa wiedza o wielowymiarowej konstrukcji człowieka w niewidocznym świecie, o związku człowieka z innymi wymiarami.

Książka zawiera sensacyjną informację o sztuczności zewnętrznego świata, o informacji, która tworzy materię. Bezapelacyjnie odpowiada na pytania o pochodzeniu Wszechświata i jego sztucznego stworzenia, o jego wielowymiarowości, o tajemnicie czarnej dziury, ekskluzywnej informacji o elektronie, sekrecie jego momentalnego przejścia ze stanu cząstki w stan fali. Ta wiedza pomaga przejść naukową drogą do dowodu pierwotności wiecznego Duchowego świata nad tymczasowym materialnym światem.

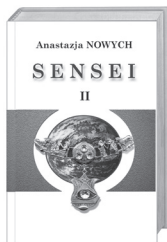
Książka «AllatRa» daje uniwersalny klucz i sposób rozszyfrowania dawnych znaków, zawierających duchową wiedzę dawnych ludzi. Ona jest bogato ilustrowana rysunkami archeologicznych artefaktów różnych dawnych cywilizacji (proto-indyjskiej kultury, trypolskiej kultury, różnych kultur dawnej Europy, Bałkan, Blizkiego Wschodu, Uralu, kultur Afryki, Azji, Północnej i Południowej Ameryki), które świadczą o istnieniu tej samej duchowej wiedzy u różnych narodów, żyjących na różnych kontynentach w różnych stuleciach. Książka opowiada o znakach, symbolach, aktywizujących agresję w masach albo poczuciu nadziei na przyszłość. Podaje historyczne przykłady ich wykorzystania przez kapłanów w wojnach, w heraldyce, we współczesnych kultowo-religijnych instytucjach.

Książka ukazuje duchową wiedzę, zaszyfrowaną w asocjatywnych pojęciach tej albo innej religii, unikalną, zapomnianą przez ludzi informację, która była obecna we wszystkich systemach wiary przeszłości i przyszłości.

Ona wskazuje na początkową duchową Wiedzę bez plew ideologii politycznego i kapłańskiego kierowania, nanieśionego w czasie.

Ona daje odpowiedzi na główne pytania człowieka o dochodzenie do swojego duchowego wyzwolenia bez pośredników.

To jest niezwykła książka we wszystkich wymiarach! To «żywa» encyklopedia prawdziwej duchowej Wiedzy o świecie, społeczeństwie i człowieku. Książka «AllatRa» pogrąży w nadzwyczajny stan wielostronnego poznawania Prawdy, gasi pragnienie poszukiwania sensu życia z wiecznego, żywiącego źródła. To jest fundament prawdziwej Wiedzy dla duchowego obudzenia się i kardynalnego przemienienia się jak Człowieka, tak i społeczeństwa w całości.



## Sensei II

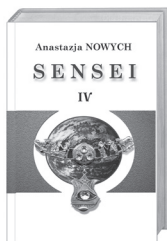
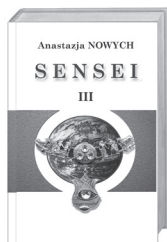
Drugi tom serii książek «Sensei» opowiada o niezwykłych wydarzeniach grupy młodych ludzi, zainspirowanych wschodnimi sztukami walki, pragnieniem poznania i wewnętrznym poszukiwaniem. Iskrzący humor, zachwycający światopogląd głównego bohatera – Senseja, jego głęboka wiedza o świecie i o wiecznych pytaniach ludzkości, rewelacyjne demonstracje.

Mądra dawna przypowieść o Bodhisatwie, w której odkrywa głęboki sens wewnętrznego poszukiwania duszy człowieka. A również uderzająca opowieść o legendarnym świętym z Kijowskiej Rusi Agapicie Peczerskim, Lekarzu Bezpłatnym, którego cudotwórcze ciało do dziś jeszcze nie uległo rozkładowi i znajduje się w Bliższych jaskiniach Ławry Kijowsko-Peczerskiej. To i dużo więcej odkryje czytelnik tej unikalnej, «żywej» książki.

## Sensei III

Książka opowiada o wyjątkowym dniu w czasie odpoczynku grupy młodzieży na czele z Sensejem. Ich odwiedza niezwykle bogaty gość – Ariman, który ma swój pogląd na świat i sposoby otrzymywania bogactw. Na szali wagi leży osobisty wybór młodych ludzi między dowodami Arimana i światopoglądem Senseja. Co oni wybiorą?

Stać się hiper bogatymi, przekraczając wszystkie normy sumienia i moralności, albo zostać Człowiekiem? Brać od życia wszystko, co tylko zechcesz, albo pomagać ludziom? Żyć dla wielości zadowoleń albo dla duszy? Co wybierze sam czytelnik – główna intryga książki.



## Sensei IV

Ta książka – to prawdziwa sensacja!

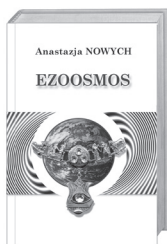
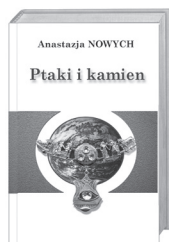
W niej oprócz unikalnych dawnych praktyk duchowych, odkrywają się tajemnice, dobrze chronione w ciągu stuleci, rozpatruje się prawie nieznaną historią współczesnej ludzkiej cywilizacji. Sensei opowiada o ukrywanych faktach: o naukach Imhotepa, pochodzeniu społeczeństwa

«Wolnych kamieniarzy», historii powstania «najbardziej wolnego państwa w świecie» – USA, władzy Archontów, będącej w cieniu nad właścicielami świata i ich metodach wpływu na światową politykę, aktywnie stosowanych w naszych czasach. Książka zawiera również nieznanne wiadomości o życiu Chrystusa, odkrywa istotę straconego dawnego terminu «allat», odkrywa rolę żeńskiego pierwiastku, tajemnicę Graala w przeszłości i przyszłości.

## Ptaki i kamień

Składa się z trzech opowieści «Dyżur», «Wszystko jest tak prosto» i «Ptaki i kamień». Każda z których w tym czy innym stopniu łączy się legendarną Osobowością – Sensejem.

Nie patrząc na ich różnorodność, one są połączone ideologią stawania się w różnych sytuacjach Człowiekiem, życia zgodnie z sumieniem, czynienia Dobra. W książce można znaleźć wiele ciekawych wiadomości: o tajemnicach człowieka, o jego niezwykłych zdolnościach, o tajemnicach powstania myśli i sposobach ich kontroli, o intrygujących faktach z historii Prawosławia. Ponadto wiele ważnych informacji dla tych, którzy idą drogą samodoskonalenia.



## Ezoosmos

Zadziwiająca informacja o ustroju świata, o tajemnicach czasu, również o ukrytej stronie społeczeństwa. O tych, którzy dość często są prawdziwą przyczyną prowokowania większości nieszczęśliwych wypadków, samobójstw, trwałych «nie mających przyczyn» chorób ludzi, nagłych depresyjnych stanów.

Główny bohater książki – Sensei odkrywa unikalne wiadomości o prawdziwej strukturze tych sił, przyczynach takiego zachowania, metodach ich wpływu na ludzi. Książka opowiada również o tych mężnych, silnych duchowo ludziach (Geliarach), którzy opierali się tym «nieczystym siłom» w przeszłości. Ta książka pomaga odnaleźć pewność w sobie, w swoich siłach i uczynkach oraz uczy kontrolować swoje myśli.

Anastazja Nowych

# Sensei. Prawdziwy Szambali

Kontakt wydawnictwa:

Ukraina, 01024,

Kijów, ul. Krugłouniwersytecka, 14

Tel. +380 (44)599 57 01

[www.allatra.com.ua](http://www.allatra.com.ua) • e-mail: [info@allatra.com.ua](mailto:info@allatra.com.ua)

1 wydanie, 2014 rok

Wydawnictwo CPI Moravia Books s.r.o.

Brno 1024

CZ-691 23 Pohořelice

Polskie wydawnictwo IBIS, 2014 (2015)

Tłumaczenie: Alina Mecheda

Okladka: Anastazja Nowych

Wydawnictwo IBIS s.r.o.,  
P.O. Box 45, 251 70 Dobřejovice

[info@ibisbooks.cz](mailto:info@ibisbooks.cz)

[www.ibisbooks.cz](http://www.ibisbooks.cz)